

ADAM MICHNIK

Z DZIEJÓW  
HONORU W POLSCE

WYPISY WIĘZIENNE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985

1985 W 174/1

1985 W 174/2









Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 404

ISBN 2-7168-0065-0

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE



ADAM MICHNIK

# Z DZIEJÓW HONORU W POLSCE

WYPISY WIĘZIENNE

*Markowi i Joli Nowakowskim*

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1985

TEGOŻ AUTORA  
W BIBLIOTECE « KULTURY »

*Kościół, lewica, dialog 1977 (wyczerpane)*





## ZAMIAST WSTĘPU

17 stycznia 1984 roku, przemawiając na wojewódzkiej Konferencji PZPR w Lublinie, Wojciech Jaruzelski poczynił kilka uwag na temat obchodów zbliżającej się 40-tej rocznicy powstania PRL. „Tu — mówił premier, sekretarz i generał — materializować się zaczęła, tworzona myślą i walką pokoleń bojowników o robotniczo-chłopską sprawę, idea społecznie sprawiedliwej niepodległej Ojczyzny. Przejęcie hegemonii i odpowiedzialności za narodowe losy przez klasę robotniczą, głębia reform społeczno-politycznych, ugruntowanie sojuszu przyjaźni polsko-radzieckiej oraz trwałe określenie przynależności do wspólnoty państw budujących socjalizm, to główne fakty 40-lecia”. Po tej wstępnej ekspozycji generał-premier przypomniał że „ocena 40-lecia staje się płaszczyzną i przedmiotem ostrej walki politycznej. Przeciwnik, żerujący na trudnościach, które przeżywamy, dąży do podważenia wyboru drogi oraz znaczenia socjalistycznych przemian”. Wszelako „oczernić historycznego dorobku socjalizmu nie pozwolimy”. „Walka, którą prowadzimy — kontynuował Jaruzelski — o wszechstronną, sprawiedliwą ocenę przebytej drogi, jest walką o prawdę”. Ta zaś nie jest dla Jaruzelskiego sekretem: „Prawda zaś jest taka — dom, w którym żyjemy, który dziś wspólnie oczyszczamy i umacniamy, zbudowała klasa robotnicza, chłopci i inteligencja, członkowie partii, stronnictw sojusznicznych i bezpartyjni, wierzący i niewierzący, starsze i młodsze pokolenia, ale przecież według programu i pod przewodnictwem naszej partii — Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej”.

Aliści — poinformował generał — „wewnętrzni i zewnętrzni wrogowie socjalizmu rzucają nieustannie oszczerstwa na nasz socjalistyczny rodowód”. Dlaczego? „Chodzi o zaszczepienie na-

szemu społeczeństwu — wyjaśnił premier — a zwłaszcza młodzi, pesymizmu, poczucia beznadziejności, katastroficznej wizji. Ma to prowadzić do stanu apatii, do paraliżu aktywności zawodowej i społecznej, jednym słowem, przy akompaniamencie frazesów o miłości do Polski prowadzić do osłabienia, do delegalizacji Polski” (cyt. wg *Trybuna Ludu*, 19. I. 1984 r.).

Odczytuję w powyższej wypowiedzi wezwanie do przeciwników politycznych, by publicznie uargumentowali swój punkt widzenia. Tekst niniejszy jest częstkową odpowiedzią na ten apel.

Jak przystało na łańcuchowego psa imperializmu, celem moim — zgodnie z definicją Jaruzelskiego — jest „rzucanie oszczerstw”, „zaszczepianie pesymizmu” i „poczucia beznadziejności”, doprowadzanie do „apatii”, powodowanie „paraliżu aktywności zawodowej”, a także oglądanie wrażym okiem „degradacji”. Słowem: mam ochotę wziąć udział w „aktywnej wojnie psychologicznej”. Takie dostałem dyspozycje od swoich amerykańskich mocodawców, a zarazem jest to zgodne z ogólną mizérią mego charakteru: łakomstwem pieniędzy i władzy. Wszakże wykonując zlecenie imperialistycznych służb wywiadowczych, chcę się okazać przydatny także partyjnym lektorom i publicystom. Myślę otóż, że jako worek treningowy ten tekst może okazać się pożyteczny.

## I

Sens sięgania pamięcią do lat czterdziestych wydaje się oczywisty. Przywódcy PZPR próbują w ten sposób uświadomić swej bazie, że w historii ich partii był już kiedyś okres izolacji politycznej i brutalnej walki o władzę, którą jednak partia potrafiła przetrwać. Mamy tu tedy do czynienia z rozpaczliwym wysiłkiem odzyskania tożsamości historycznej i ideowej przez PZPR. Ma to być również przesłanie do przeciwników, że tak jak przed czterdziestu laty nie powiodły się ich rachuby, tak i teraz skazane są one na niepowodzenie i czeka ich klęska.

Powiem od razu, rezygnując tym razem z żartów, że wcale nie uważam tych tez za absurdalne. Klęska Polski przed czterdziestu laty była wynikiem układu sił międzynarodowych i jako taka była nieuchronna. Dopóki ten układ nie zmieni się, dopóty Polska skazana będzie na egzystencję w orbicie sowieckiej dominacji. W tej orbicie wszakże egzystować można różnie. Inaczej mówiąc: klęska była nieuchronna, ale różny mógł być jej kształt.

Ten był uzależniony od konkretnych poczynań grup i jednostek, od technik społecznej samoobrony, od mądrości i odwagi obywatelskiej Polaków. Dlatego celem obecnej kampanii propagandowej jest ogłupienie społeczeństwa. Chodzi o ponowne narzucenie opinii publicznej propagandowego schematu przeszłości, który przez 35 lat włączano Polakom do głów, a który rozsypał się jak worek trocin w ciągu kilku jesiennych tygodni 1980 roku. Stąd tak wielka ilość publikacji na temat konferencji jałtańskiej. Wiąże się to z dwojakiego rodzaju przyczynami. Najpierw jest to polemika z funkcjonującym potocznie stereotypem Jałty, ukształtowanym w epoce „Solidarności”. Z grubsza rzecz biorąc, sens tego stereotypu da się określić tak oto: w Jałcie, pod nieobecność Polaków, przywódcy trzech mocarstw zdecydowali o losie Polski. Dlatego wszystkie decyzje, jakie społeczeństwo podejmuje, muszą brać pod uwagę realia post-jałtańskiego ładu. Konsekwencją tej tezy było stwierdzenie, że mandat do rządzenia Polską zawdzięczają komuniści wyłącznie arbitralnym decyzjom obcych mocarstw, które Stalinowi pozostawiły wolną rękę. Drugi typ przyczyn obecności problematyki „jałtańskiej” w prasie partyjnej wiąże się z deklaracjami polityków państw Paktu Atlantyckiego o potrzebie odrotu od koncepcji jałtańskiego ładu, który w swych konsekwencjach wcisnął pół Europy w totalitarny gorset sowieckiego komunizmu. Podobny sens kryły w sobie słowa Papieża Jana Pawła II, wypowiedziane w Warszawie 17 czerwca 1983 roku: „Również z tego miasta — powiedział Papież — stolicy i Narodu i Państwa, które z nakładem największych ofiar walczyło za dobrą sprawę w czasie ostatniej wojny światowej — pragnę przypomnieć wszystkim, że prawo Polski do suwerennego bytu, a także do prawidłowego rozwoju w zakresie kulturalnym i społeczno-politycznym, apeluje do sumienia wielu ludzi i wielu społeczeństw na świecie. Polska wypełniła do ostatka, owszem: z nawiązką! zobowiązania sprzymierzeńcze, jakie wzięła na siebie w straszliwym doświadczeniu lat 1939-1945. Los Polski w 1983 roku nie może być obojętny Narodom świata — zwłaszcza Europy i Ameryki” (cyt. wg *Więź*, nr 8-10/1983). Dla publicystów partyjnych ten kierunek refleksji jest wielce kłopotliwy. W ich argumentacji ciężar położony został na tezę, że Jałta dała Polsce granicę na Odrze i Nysie, przeto kto kwestionuje Jałtę, ten kwestionuje granicę na Odrze i Nysie. Polska granica zachodnia jest bez wątpienia najważniejszym atutem propagandy komunistycznej, która dobrze wie, co robi, gdy każdy, pozbawiony nawet znaczenia głos z RFN-u na temat ewentualnej rewizji granic przedstawia jako realne za-

groźenie integralności polskiego państwa. Rumor wokół granicy zachodniej ma przesłonić inne postanowienia konferencji jałtańskiej. O tych innych postanowieniach partyjny historyk pisał ostatnio tak oto: „Promotorem dyskusji na temat rządu w Polsce był Churchill i to już na wiele miesięcy przed Jałtą. Wypowiedział wiele słów, napisał wiele listów celem stworzenia warunków powrotu rządu z emigracji do Warszawy i przekazania mu władzy. Ale upór polityków emigracyjnych i ich doktryna polityczna — 'wszystko albo nic' — udaremniły mu wykonanie tego planu. Z chwilą powstania Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego kontrowersje między sojusznikami powiększyły się. ZSSR uznał PKWN, mocarstwa zachodnie uznawały rząd premiera Mikołajczyka. Wszelako Churchill znów podjął akcję forsowania Mikołajczyka, zdając sobie jednak sprawę z rzeczywistości, wystąpił z projektem 'fuzji' PKWN i rządu londyńskiego, na zasadzie 50 % do 50 %. Stalin uznał, że sprawy dotyczące Rządu Jedności Narodowej winny być oddane w ręce samych Polaków. W konsekwencji w sierpniu i październiku Mikołajczyk rozmawiał w Moskwie z B. Bierutem i E. Osóbką-Morawskim, którzy zaproponowali mu utworzenie rządu pod jego przewodnictwem, ale na bazie PKWN z przyłączeniem jeszcze 3-4 działaczy reprezentujących obóz londyński. W chwili, gdy Mikołajczyk nakłaniał swych towarzyszy z Londynu do przyjęcia bardziej realistycznej postawy i do kontynuowania rozmów — został obalony. Wybierając się do Jałty Churchill nie widział żadnych szans do forsowania rządu na emigracji i na powrót do koncepcji 'fuzji', ale nie chciał też uznać konsekwencji przemian społeczno-politycznych w Polsce, czego wykładnikiem był PKWN, a potem Rząd Tymczasowy. Myślał o 'czymś trzecim', o rządzie utworzonym przez wielkie mocarstwa poza Lublinem i Londynem. Miał w tym poparcie Stanów Zjednoczonych, ale miał przeciw sobie Stalina. Słynna stała się replika Stalina, gdy mówił, że 'wielu nazywa go dyktatorem, lecz że ma on wystarczająco demokratycznych uczuć, by nie zgodzić się na tworzenie rządu polskiego bez Polaków'”. Ostatecznie postanowiono — pisze historyk — „I. Działający obecnie w Polsce Rząd Tymczasowy powinien być 'zorganizowany' na szerszej podstawie demokratycznej z włączeniem przywódców demokratycznych z samej Polski i Polaków zza granicy”. Ten rząd będzie miał obowiązek przeprowadzenia wyborów powszechnych „możliwie najprędzej”.

„Układy podpisane w Jałcie — konstatuje historyk — po raz pierwszy nie wspominały o rządzie polskim w Londynie, który w ocenie historyków zachodnich został przez Churchilla i Roose-



velta 'wyrzucony za burtę' ” (Włodzimierz T. Kowalski, „Sprawa polska na konferencji w Jałcie”, *Trybuna Ludu*, 3 luty 1984 r.).

Obszernie przytoczony wywód partyjnego historyka zasługuje na uwagę z kilku względów. Jest on mianowicie pouczającą lekcją języka, którym mówią komuniści: zajęcie Polski przez Armię Czerwoną i utworzenie przez czynniki sowieckie PKWN nazywa się „konsekwencją przemian społeczno-politycznych”; Stalin zostaje pasowany na głównego rzecznika polskiej suwerenności, a Churchill okazuje się być zwolennikiem narzucenia Polsce rządu wyznaczonego przez mocarstwa. Te bardzo interesujące przemyslenia cechuje jednak nazbyt lekkomyślna szczerłość: z punktu widzenia zasad komunistycznej propagandy, historyk powiedział nieco za dużo. Wymknęło mu się bowiem, że jednak jakąś formę rządu narzucono Polakom w Jałcie oraz, że ten rząd został uznany i zaakceptowany pod pewnym warunkiem...

Z perspektywy „żołnierza antypolskiej wojny psychologicznej” i „psa łańcuchowego imperializmu” sprawa przedstawia się następująco: Jałta była największym triumfem stalinowskiej dyplomacji, porównywalnym tylko z sukcesem Hitlera w Monachium. O ile jednak Hitler wnet zmarnował swój sukces awanturniczą polityką agresji, o tyle Stalin — polityk rozważny, dalekowzroczny i realistyczny — zbudował ład międzynarodowy obowiązujący już od 40 lat. Stalin był nie mniejszym bandytą od Hitlera i także zdarzały mu się błędy: takim błędem był jego pakt z Hitlerem, za który o mało nie zapłacił utratą władzy. Ale Stalin nie był fantastą i dobrze znał granice swoich możliwości — sukces jałtański jest tego najlepszym dowodem.

W Jałcie potwierdzono wcześniejsze teherańskie ustalenia na temat stref wpływów. Polska padła ofiarą tych ustaleń i stała się klasycznym przykładem tego, co oznacza w języku sowieckiej dyplomacji słowo „porozumienie”. Bowiem w Jałcie ustalono, że rząd polski, z którym mocarstwa zawierały umowy, nie jest już rządem, natomiast tę funkcję i nazwę przejęła marionetkowa instytucja, powołana do życia przez stalinowskich czynowników. To, co Rosjanie wprowadzili w zajętej Polsce: masowe aresztowania, wywózki akowców i podziemnej administracji, wszystko to przestało być notorycznym bandytyzmem obcej armii, a uzyskało sankcję prawną działań legalnego rządu; zaś uwięzieni zdradziecko i sądzeni w Moskwie przywódcy polskiego podziemia — Okulicki, Jankowski, Pużak i inni, którzy zaakceptowali Jałtę i przyjęli propozycję rozmów z czynnikami sowieckimi — przeobrażali się z reprezentantów polskiego społeczeństwa w przestępczych dy-

wersantów. Jałta dała Stalinowi wolną rękę do niewolenia Polski. Komuniści polscy — mała grupka zdziesiątkowana stalinowskimi czyszkami — nie mieli najmniejszych szans na zdobycie władzy w demokratycznym plebiscycie. Przyjmując władzę z rąk Stalina skazywali się na los jego agentów.

Rząd RP w Londynie obwinia się nieraz o brak realizmu w stosunkach z ZSSR i o inne błędy. Otóż rząd RP popełnił zapewne wiele błędów, ale to nie rząd RP napadł wspólnie z Hitlerem na Związek Sowiecki i nie rząd RP wymordował sowieckich oficerów w Katyniu!; nie rząd RP wywoził masowo Rosjan do obozów koncentracyjnych i nie rząd RP zerwał stosunki z ZSSR. Innymi słowy: jedyną polityką polską, jaką Stalin mógł zaakceptować, była polityka pełnego podporządkowania. Kłamstwem jest teza partyjnej historiografii, że Mikołajczyk nie szukał kompromisu. Szukał go nieustannie, a objęcie stanowiska wicepremiera w rządzie Osóbki-Morawskiego było tego najlepszym dowodem. Stalina po prostu żaden kompromis nie interesował. Jałtańskim warunkiem porozumienia w sprawie Polski było przeprowadzenie powszechnych wyborów. Warunek ten nie został dotrzymany. Zarówno referendum (czerwiec 1946 r.) jak i wybory (styczeń 1947 r.) zostały sfałszowane.

Te oczywistości warto przypomnieć, rozważając problem powrotu do tematyki jałtańskiej. Idzie tu, po pierwsze, o treść jałtańskich ustaleń. W tej materii „psy łańcuchowe” są zdania, że Zachód zdradził Polskę i złamał wcześniejsze porozumienia zawarte z rządem RP. Umowa z Jałty była dyktatem narzucającym Polakom rząd, którego nie chcieli i system sprawowania władzy, którego nie akceptowali. Zdaniem „psów łańcuchowych” jałtańska lekcja dla Polski jest taka, że na lojalność i pomoc Zachodu Polakom nie wolno liczyć, a dróg do zrzucenia totalitarnej niewoli szukać muszą sami. Wszelako istotne są także skutki porozumień jałtańskich: to już jest lekcja dla Zachodu. Zgoda na sowiecką dominację w Europie wschodniej oznaczała *de facto* zgodę na narzucenie tym narodom systemu totalitarnego komunizmu, co znacznie umocniło Związek Sowiecki. Porozumienie jałtańskie na temat suwerenności, wolnych wyborów itp. zostało podeptane w sposób demonstracyjny i wielokrotny. Stać się to winno pogładową lekcją sowieckiej polityki, jej celów i jej sposobów. Jałtę należy uznać za prefigurację całej późniejszej polityki sowieckiej, której realizmu, dalekowzroczności i konsekwencji odmówić nie można. Istotą tej polityki jest zręczne żonglowanie hasłami pokojowymi, umiejętne wzmaganie napięć i podsycanie konfliktów w zachodniej strefie wpływów, konsekwentne posługiwanie się

ideologią rewolucji społecznej, frazeologią „obrony uciskanych i wydziedziczonych”, a także całkowity brak skrupułów w posługiwaniu się przemocą i kłamstwem. Jej słabością wszakże jest brak kultury sprawowania władzy w krajach podbitych: istotą polityki wewnętrznej była po prostu legalizacja podboju, a jej rozwinięciem — doktryna Breżniewa. Jałtańską strefę bezpieczeństwa Kreml przekształcił rychło w kompleks totalitarnych państw o charakterze wasalnym — nie dbając nadmiernie o zachowanie pozorów. Dlatego tak często siła argumentów zastępowana jest argumentem siły. Zdaniem partyjnych publicystów, sensu powrotu „Jałty” szukać należy w dążeniu Zachodu do wyrwania Polski ze strefy bezpieczeństwa Związku Sowieckiego. Jakkolwiek nie jest to ściśle, trudno zaprzeczyć, że tu tkwi sedno sprawy. Bo wiem Jałta była porozumieniem. Stalin, a po nim inni przywódcy ZSSR przyznali sobie prawo do jednostronnej interpretacji tego porozumienia. Dla nich gwarancją pokoju jest ład jałtański, a gwarantem tego ładu — komunizm w Europie wschodniej. Na tej właśnie zasadzie mianem burzycieli pokoju w Europie obdarzono komunistów Węgier i Czechosłowacji (Nagy i Dubczek), no i oczywiście „Solidarność”. Komuniści lubią powtarzać, że wyniki Jałty zmienić może tylko wojna nuklearna. Ten sąd, zadziwiający w ustach czytelników pism Karola Marksa, nie jest niczym innym, jak pobożnym życzeniem: wyniki Jałty zmienić może proces przeobrażeń wewnętrznych w Związku Sowieckim i innych krajach bloku. Polityka Zachodu może takiemu procesowi sprzyjać lub go hamować. Jałta — rozpatrywana z tej perspektywy — jest przykładem porozumień, których z rządem komunistycznym zawierać nie należy. Nie dlatego, że to porozumienie kosztowało Polaków utratę wolności — takie sentymenty nie spędzają snu z powiek politykom żadnego kraju — ale dlatego, że Jałta pozwoliła Stalinowi założyć pętlę na szyję zachodnich demokracji. Do dziś nie została zdjeta.

Dla Polaków natomiast postulat „wyjścia z Jałty” był przez 40 lat nierealistycznym marzeniem i takim pozostaje. Dla „psa łańcuchowego” — szczerze musi to wyznać — nader kusząca jest wizja opuszczenia Polski przez wojska sowieckich wyzwolicieli, ale nie uważa tego za możliwe w dającym się wyobrazić horyzoncie czasowym. Dlatego zadaniem polityki polskiej nie jest dziś dążenie do „wyjścia z Jałty”, lecz takie przeformułowanie relacji polsko-sowieckich, by było w nich miejsce na realną podmiotowość polskiego społeczeństwa. Polityka sowiecka — mimo skostnienia i nieelastyczności — zna różne modele stosunku do

narodów położonych w jej strefie bezpieczeństwa. Inny zastosowała do Litwinów i Ukraińców, inny do Finów. „Pies łańcuchowy” chciałby widzieć Polskę bliżej statusu Finlandii niż Litwy.

## II

Tak więc — zdaniem „psa łańcuchowego” — komuniści zawdzięczają władzę w Polsce Stalinowi i Czerwonej Armii. Jałta usankcjonowała ten stan rzeczy aktem zdrady Polski przez jej dotychczasowych sojuszników. Partyjny publicysta, nie kwestionując roli ZSSR, uznał taki pogląd za jednostronny i niesłuszny. Jego zdaniem w okresie Jałty „obóz lewicy” wypracował własny program, który uzyskał poparcie. Przyjrzyjmy się wizerunkowi tego programu i spróbujmy przetłumaczyć język partyjny na mowę „psa łańcuchowego”.

1) *Trwały sojusz z ZSSR*. PZPR takiego nie wypracowała. Przypomnijmy: KPP, polska sekcja Kominternu, została rozwiązana w 1938 roku pod zarzutem opanowania jej kierowniczych ogniw przez prowokatorów. Powody tej decyzji są do dziś niejasne, wielu łączy ten postępek Stalina z przygotowywanym prohitlerowskim zwrotem w polityce międzynarodowej. Nowa organizacja komunistów utworzona została *de facto* w ZSSR i tam opracowano pierwszą deklarację programową, stamtąd przerwani zostali jej pierwsi przywódcy i organizatorzy (Nowotko, Mołojec i in.). Postulat sojuszu z ZSSR nie był oryginalnym pomysłem polskich komunistów, tak jak trudno uznać np. postulat ochrony psów w deklaracji Towarzystwa Ochrony Psów za coś niezwyklego. Podporządkowanie sowieckim dyrektywom było wpisane w istotę PPR — na tym polegała specyfika tej partii.

2) *Powrót ku tradycjom piastowskim w kształcie terytorialnym państwa*. Przed wybuchem wojny nikomu z polskich komunistów takie pomysły nie przychodziły do głowy. Ta idea — kompletnie nierealistyczna w ówczesnej sytuacji — kołatała się jedynie po głowach grupki maniaków z marginesu obozu skrajnej prawicy. Aprobata Stalina dla granicy na Odrze i Nysie nie była efektem perswazji Wandy Wasilewskiej, lecz wyrazem konsekwentnego dążenia do osłabienia Niemiec. W zgodę aliantów na sowiezyczację Niemiec Stalin słusznie nie wierzył, a więc uzależniając Polskę od siebie — gwaranta jej granicy — przesunął daleko

na zachód zasięg sowieckiego panowania. Przypisywanie sobie zasługi wytyczenia polskiej granicy zachodniej jest ze strony polskich komunistów co najmniej przesadą. Konia kują — powiada przysłowie — a żaba nogę podstawia.

3) *Przebudowa ustroju w kierunku socjalistycznym przez uspołecznienie wielkiej i średniej własności.* W rzeczy samej nazywa się w ten sposób akt upaństwowienia, co tożsame z uspołecznieniem nie jest. Uspołecznienie np. fabryki oznacza — najprościej rzecz ujmując — uczynienie jej własnością zatrudnionych tam pracowników. Nie chodzi tu o tytuł formalno-prawny, lecz o faktyczną władzę nad procesem produkcji i podziału produktu wytworzonego. Akt upaństwowienia fabryki zmusza przeto do sformułowania pytania: czyją, jakiej grupy społecznej własnością jest państwo? W krajach Przodującego Ustroju państwo było od samego początku własnością komunistycznego aparatu władzy. Przeto: postulat likwidacji wielkiej i średniej własności oznaczał drogę ku totalnemu podporządkowaniu tych sfer życia społecznego komunistycznej nomenklaturze.

4) *Uprzemysłowienie i urbanizacja oraz rewolucja oświatowa.* Taki program komuniści w istocie formułowali i realizowali. Zwrócić uwagę wszakże wypada na metody i koszty społeczne industrializacji. Odrzucając Plan Marshalla (w oparciu o przesłanki wyłącznie polityczne), komuniści zwiększali te koszty, za co płacić świat pracy niską stopą życiową; kopiowanie sowieckich wzorów powodowało, że powstające fabryki i miasta były planowane poniżej aspiracji polskiego społeczeństwa. Budowano przemysł nienowoczesny i niesprawny, a polityka rolna nastawiona na kolektywizację rujnowała wieś. Rewolucja oświatowa sprzęgnięta została z indoktrynacją i towarzyszył jej konsekwentny zamiysł przetworzenia kultury narodowej na totalitarną modłę. Faktem jest wszakże, iż sprawdziło się w Polsce proroctwo lewicowego krytyka stalinizmu: realizując burżuazyjne dzieło industrializacji, biurokracja komunistyczna powołała do życia swego grabarza — klasę robotniczą.

5) *Oparcie rządów na jedności i współdziałaniu wszystkich sił prosocjalistycznych przy eliminacji z życia politycznego sił prokapitalistycznych.* Rozszyfrujmy tę formułę. Mitologizowane nieraz tzw. „notatki” Alfreda Lampego, zawierające pomysły szerszej formuły demokratycznej, były czym były: luźnymi pomysłami jednego z polskich komunistów. Nie Alfred Lampe de-

cydował o kształcie faktycznego programu polskich komunistów, a Józef Stalin. Od samego początku komuniści mieli pełną świadomość realizacji sowieckich wzorów ustrojowych. Otwarty pozostał natomiast problem tempa przemian i taktyki działania w złożonym dziele wciskania polskiego społeczeństwa w totalitarny kaftan. Stalin stosował wobec Polski taktykę „salami”, nazwaną tak później przez węgierskiego namiestnika M. Rakosiego. Nie atakował formalnie; kroił cienkie plasterki. Taką taktykę zalecał komunistom: mieli być narodowi, demokratyczni i kompromisowi. Miłowan Dżilas wspomina w swych „Rozmowach ze Stalinem”, jak wiosną 1944 roku kremlowski Gruzin czynił mu wymówki: „Co tu broicie (?) z czerwonymi gwiazdami na czapkach? Nie forma jest ważna, ale to co osiągniecie, a przy tym z czerwonymi gwiazdami. Na miłość boską — gwiazdy nie są ważne”.

Oto geneza linii programowej PPR. Polscy komuniści, twarżąc dzierżąc podstawowe ogniwa władzy (bezpieczeństwo, wojsko, cenzura itp.), głośno deklarowali wolę porozumienia ze wszystkimi, dodając przy tym: „władzy nie oddamy”. Władza należała im się z wyroków „Boga i Historii” i dlatego ich formuła koalicyjności nie dopuszczała uruchomienia mechanizmu ubiegania się o demokratyczny mandat społeczeństwa. Każdy, kto to postulował, był mechanicznie kwalifikowany jako „siła prokapitalistyczna” i „eliminowany”, tzn. skrytobójczo mordowany, więziony pod fałszywymi zarzutami, skazywany na los pariasa. Upraszczając wywód — każde uogólnienie jest uproszczeniem — powiedzieć można, iż w pierwszym okresie swych rządów (do 1947 r.) komuniści dzielili się nieco władzą z ugrupowaniami kontrolowanymi przez swą agenturę (Widy-Wirski w Stronnictwie Pracy, Chajm w SD, Kowalski w SL, Ćwiek w PPS). Ich technika działania była prosta. Najpierw polityką prześladowań produkowali podziemie, potem oskarżali Mikołajczyka i PSL o kontakty z „łasem”, zaś demokratyczne skrzydło w PPS o kontakty z PSL, wciąż występując w roli prokuratorów. Gdy brakło argumentów rzeczowych, uruchomili zarzuty karne, organizowali wokół nich inkwizytorskie dyskusje, w których ostatecznie zawsze decydował nagan.

Zdaniem innego publicysty partyjnego „z chwilą pojawienia się w kraju Mikołajczyka jego PSL stało się poważnym niebezpieczeństwem dla władzy ludowej oraz załazków nowego ładu pokojowego w Europie”. Innymi słowy: dla pokoju europejskiego konieczne jest, by w Polsce panował totalitarny komunizm. Rzecz znamienna — mowa tu o przywódcy politycznym, który zaapro-



bował wyniki konferencji jałtańskiej i próbował (jak Benesz w Czechosłowacji) polityki porozumienia z Moskwą. Wszelako Stalin, powtórzmy, po otrzymaniu w Jałcie zachodniego *placet*, nie podjął żadnych prób rozmów z Mikołajczykiem. Los Benesza w lutym 1948 roku jest odpowiedzią na pytanie, czemu tak właśnie się stało. Dla Stalina, zatem i dla polskich komunistów, Mikołajczyk od samego początku przeznaczony był „na odstrzał”. Działali metodycznie: najpierw skrytobójcze mordy, areszty i prowokacje, potem sfałszowane referendum i wybory. Nie mieli najmniejszych skrupułów w postępowaniu ci wierni uczniowie Stalina: kłamstwo i przemoc były ich chlebem codziennym.

6) *Poszanowanie polskich odrębności i specyficznych właściwości w kształtowaniu nowego ustroju*. Tak brzmi jedna z ulubionych formuł komunistów, która ma sygnalizować ich suwerenność wobec Kremla. Zdają się być dumni z tego, że na miejsce Starego Miasta w Warszawie nie zaprojektowali (a mogli...) imitacji Placu Czerwonego, a zamiast Zamku Królewskiego nie zbudowali Kremla. Otóż respektowanie tego typu odrębności w krajach Europy Wschodniej było — do 1948 roku — elementem polityki Stalina: w Czechosłowacji i na Węgrzech rządził Parlament, a w Rumunii był nawet król. Po 1948 roku zrezygnowano z tych ornamentów, przechodząc na wyższy szczebel budownictwa socjalistycznego, tzn. do kopiowania sowieckich wzorów w każdej dziedzinie.

Komuniści, zwłaszcza ci bardziej myślący, próbowali naturalnie przeciwną część wrogiej opinii publicznej na swoją stronę, ale przecież nie jest to ani powód do zdziwienia, ani tytuł do chwały. Stosunkowo szeroki liberalizm wobec swoich z w o l e n n i k ó w (np. pisarzy z *Kuźnicy*) był sposobem dezintegracji oporu środowisk inteligenckich. Bowiem, godzi się podkreślić, wobec przeciwników od początku stosowano otwarty terror. Gdy opór został złamany, szeroka formuła przestała być użyteczna. Nasuwa się pytanie: kiedy, w jakich okolicznościach władza komunistyczna staje się nieco bardziej liberalna? Krótki namysł wskazuje na trzy typy liberalizmu komunistów. Gdy czują się — po pierwsze — bardzo mocni i ustabilizowani, tolerują nieliczne wybryki poszczególnych jednostek czy wąskich grup opinii publicznej. Taki był liberalizm Gierka przed 1976 rokiem i Kadara w ostatnich latach. Gdy znajdują się — po wtóre — pod naciskiem żądań rewindykacyjnych, a przemoc użyć nie są w stanie — taki był liberalizm ekipy Novotnego i ekipy Gierka w ich schyłkowych fazach. Wreszcie — po trzecie — komuniści

pozorują liberalizm (zawsze zespolony z działaniami policyjnymi), gdy po zastosowaniu przemocy chcą rozbić cywilny opór społeczeństwa. Taki był ich liberalizm w Polsce w latach 1944-1948 oraz po 13 grudnia 1981 roku. Od czasów Bieruta nikt nie powiedział tyłu słów o patriotyzmie, co Jaruzelski, i od czasów Bieruta nikt nie posadził tyłu ludzi do więzienia.

Warto więc mieć w pamięci, co wyczyniali komuniści po 1948 roku, gdy zelżał społeczny opór. Warto wciąż przypominać ten długi cykl zdarzeń z polskiej kroniki kryminalnej: od procesu Rzepeckiego i Rybickiego poprzez procesy Niepokólczyckiego, Mierzwy, Lipińskiego, Pużaka, Doboszyńskiego, Kirchmayera aż po uwięzienie Spychalskiego i Gomułki. Prymas Polski został uwięziony — rzecz również godna przypomnienia — w pół roku po śmierci Stalina. Zwyczajna wiedza o logice rozwoju komunistycznego totalitaryzmu nakazuje dopuszczać i taką możliwość, że całą tę sekwencję Polacy mogą jeszcze raz przeżyć, jeśli zaniechają dziś oporu.

### III

Publicysta partyjny w „antyradzieckości” dostrzega „jedno z ważnych źródeł naszego współczesnego kryzysu politycznego”. Wywodzi się to z przeszłości: „wiosną 1943 roku Delegatura Rządu odmówiła Polskiej Partii Robotniczej prawa do formułowania i reprezentowania polskiej myśli politycznej”. Przedstawiciele Delegatury — nadmieńmy — postawili komunistom jako warunek współpracy żądanie, by w publicznej deklaracji opowiedzieli się za respektowaniem integralności terytorialnej Polski w granicach sprzed 1. IX. 1939 roku oraz oświadczyli swą niezależność od niepolskich ośrodków dyspozycyjnych (chodziło o ZSSR). „Tymczasem PPR — zdaniem partyjnego publicysty — w konieczności uznania tych racji radzieckich w tej kwestii 'widziała' jedyną drogę mogącą zapewnić Polsce udział w militarnym i politycznym zwycięstwie nad III Rzeszą”. Mimo tych oczywistości „teza, że radykalna lewica polska jest 'agenturą sowiecką' znajdowała szeroki posłuch”. Także w latach 1980/1981 — dodaje partyjny publicysta — „opozycji rodzimej oraz zachodnim przeciwnikom socjalizmu udało się odnowić w społeczeństwie dawne alergie antyradzieckie”, a to w celu „podania w wątpliwość tytułu PZPR do pełnienia władzy”. W konkluzjach autor wzywa „niechętną PZPR część społeczeństwa” by uznała, iż „po obu stronach linii konfrontacyjnej ścierają się różne polskie punkty widzenia”.

Rozważmy ten problem, podnoszony przez cytowanych partyjnych publicystów (cytaty pochodzą z artykułów Werblana i Wojny): czy rządzący Polską komuniści są sowiecką agenturą? Pojęcie „agentury” zakłada świadome działanie na cudze polecenie i w cudzym interesie. Agent może mieć subiektywne przekonanie, że służy własnemu krajowi: w cudzą świadomość wejrzeć niepodobna. Dlatego, w kategoriach subiektywnych, nie da się niemal o nikim orzec z całą pewnością — nawet o liderach Targowicy — że działa z cudzego rozkazu i w cudzym interesie na szkodę własnego narodu. Jakież zatem sens ma ta formuła w odniesieniu do Targowicy? W zbiorowym odczuciu konfederacji targowicy, wspierając się obcą pomocą, łamali polski porządek państwowo-prawny ustanowiony przez reprezentantów społeczeństwa. Nie da się przy tym wykluczyć, że Seweryn Rzewuski czy Szczęsny Potocki uważali interwencję rosyjską za nieuchronną, ale z chwilą zidentyfikowania swych poczynań z rosyjskim planem podboju i po znanych konsultacjach w Petersburgu przestali być częścią polskiego życia publicznego, a stali się agenturą. Identyczną rolę odegrali polscy komuniści w 1944 roku. Geneza zjawiska nie wyczerpuje jednak jego istoty. Przez 40 lat swych rządów komuniści przebyli wiele łamańców i — bez wątpienia — bywały momenty, gdy dysponowali szeroką bazą społecznego poparcia. Tak było w październiku 1956 roku po dojściu do władzy Gomułki; tak było w pierwszych miesiącach 1971 roku, po spotkaniu Gierka ze strajkującymi stoczniovcami Szczecina. Jeśli przeto po 13 grudnia 1981 roku z wielką siłą powrócił zarzut agenturalności, to przyczyn tego szukać należy w przekonaniu opinii publicznej, że rządzący Polską komuniści, mając do wyboru wolę Polaków i wolę Kremla, zawsze wybiorą tę drugą. Dlatego niepodobna porównywać ich polityki z np. Kekkonenem. Kekkonen to przykład prosowieckiego polityka fińskiego, rządzącego Finlandią z mandatu swych rodaków; komuniści polscy są realizatorami sowieckich instrukcji. Po grudniu 1981 roku ich status powrócił do punktu wyjścia, do epoki rozmów z Delegaturą w 1943 roku. Są niewielką wysepką w morzu wrogiego społeczeństwa, a gwarantem ich władzy są wojska sowieckie. Jakież inny sens może mieć teza cytowanego partyjnego publicysty, że „Polska Ludowa z jej współczesną racją stanu jest jedyną możliwą formą niepodległego bytu państwowego”? Albo inaczej: czy da się pomyśleć taki zwrot w polityce Kremla, którego aprobaty polscy komuniści nie będą uzasadniać polską racją stanu?

Jak długo jedynym mandatem władzy komunistycznej będzie aprobatą Kremla, tak długo funkcjonować będzie ona w społec-

nej świadomości jako sowiecka agentura. Wtedy, 40 lat temu, o oszustwo było łatwiej. Przez te lata jednak ich argumenty zwie-trzały, straciły moc perswazyjną. Owładniętych fanatyzmem za-wodowych rewolucjonistów zastąpili przywiązani do apanaży za-wodowi urzędnicy aparatu władzy. Zmieniły się więc nieco oby-czaje, metody, język właścicieli Polski Ludowej, ale nie zmieniło się ich drapieżne przywiązanie do swej własności — władzy. I nie zmienił się ich sposób widzenia przeciwników politycznych. W la-tach 40-tych komuniści dzielili swych oponentów na — po pierw-sze — agentów obcych mocarstw pracujących za wraże pieniądze, po wtóre — zwolenników sanacji tęskniących za utraconą władzą, po trzecie — na ludzi naiwnych, choć poczciwych, głuptasów uwięzionych w absurdalnych schematach tradycyjnych pojęć wier-ności i honoru. W książkach o latach 40-tych często odtwarzany był ten dialog racji: po jednej stronie mądry, szlachetny i dale-kowzroczny rzecznik Przodującego Ustroju, po drugiej — zacie-trzewiony zwolennik Londynu, powtarzający w kółko i bez uzasadnienia frazesy o honorze i wierności. W końcu rzecznik Przo-dującego Ustroju zwyciężał siłą swych argumentów. Argumenty siły — przesłuchania, wywózki i procesy — opisywane były rza-dziej. Ten model funkcjonuje do dziś. W przemówieniu z lutego 1984 roku Mieczysław F. Rakowski charakteryzując opozycję mó-wił o takich, „którzy grając rolę surowych moralizatorów, nie odmawiają jednak wsparcia w twardej walucie, zmieniając ją na czarnym rynku po cenie zapewniającej wcale niezłe życie”. I da-lej: „opozycja znalazła się na bezdrożu politycznym (...). Faktycz-nie nie ma nic do powiedzenia. Opozycja wyrosła na negacji i nadal się nią karmi. Nie stać jej na program pozytywny. Bo też nie ma innego bardziej przydatnego i bardziej realistycznego dla Polski programu, jak ten, który realizuje partia i jej sojusznicy (...). Opozycji pozostaje tylko złość, nietolerancja, a nierząd-ko głucha nienawiść”. Natomiast — zdaniem M. F. Rakowskiego — klęskę poniosły próby oporu i bojkotu oraz „różnego rodzaju nękające akcje, wymierzone w tych twórców, którzy nie wyrzekli się swego posłannictwa. Należy się szczere uznanie i podzięko-wanie wszystkim tym, którzy nie ugięli się pod naciskiem pomó-wień o kolaborację, nie udali się na tzw. emigrację wewnętrzną, lecz pokonując nieraz różne obawy, zahamowania i wątpliwości, udzielili osobistego poparcia tym siłom politycznym, które uznały za historycznie konieczne położenie kresu procesowi niszczenia fundamentów socjalistycznego państwa”. O cóż więc chodzi? — „Chodzi jedynie o to, by do świadomości nieprzejednanych, a tacy przecież jeszcze są, dotarło, że nie jest dziś aktem odwagi

mówienie nie, albo też obrażanie się na państwo. W czasach, gdy świadomość społeczna kształtowana jest przez potężne środki masowego przekazu, twórca, który tak postępuje, traci kontakt z masowym słuchaczem, widzem i czytelnikiem. Faktycznie sam z własnej woli przekreśla szansę zdobycia wpływu i znaczącego miejsca w kulturze narodowej. Nie jest także powodem do dumy — ironizuje Rakowski — wyciąganie ręki do mecenasa zagranicznego. O tych, którzy to czynią, można powiedzieć, że dokonują wyraźnego wyboru. Stają po stronie sił antykomunistycznych, a często i antypolskich. Nie obawiamy się wyprawienia polskiej literatury i plastyki na emigrację. Są to złudne plany. Większość twórców jest związana z ojczystą glebą, bo tylko związek z nią stwarza szansę pozostania w narodowej kulturze. Gleba ta nieraz jest gorzka — uderza w ton liryczny wicepremier — zasolona, ale jest własna. Twórczość oderwana od rodzinnej gleby może ekscytować przez pewien czas kawiarnie, żurnalistów zachodnich węszących za sensacją oraz antykomunistów z 'Wolnej Europy' i okolic, ale jest obca, nieznaną milionom ludzi pracy" (cyt. wg *Trybuna Ludu*, 28. II. 1984 r.).

Oto co miał do powiedzenia komunistyczny wicepremier w 40-tym roku rządów swej partii. Polemizować z tym właściwie niepodobna. Argumentacja ta — wielce typowa dla epoki łamania oporu — jest kiepskim plagiatem „państwowotwórczej” ideologii OZONU; dokładnie to samo mówili o swych antagonistach „czarni pułkownicy” w Grecji czy chilijska junta Pinocheta.

Jaki pozytywny program może mieć opozycja w warunkach totalitarnej dyktatury? Może to być program obalenia tej dyktatury, program samoobrony społecznej przed jej wyniszczającymi poczynaniami, program podstawowych zmian demokratycznych. Opozycja programy takie posiada i nieraz je formułowała. Cóż znaczy zarzut nietolerancji w ustach człowieka odpowiedzialnego za rozpętywanie nienawiści, za tępienie postaw nonkonformistycznych i myśli niezależnej, wreszcie — za przelaną krew... Jak może mówić o złości i nienawiści wśród opozycjonistów człowiek sięgający chwytów najbardziej podłych, żeby wspomnieć choćby publiczne obnoszenie się ze sfałszowanym zapisem nagranej na taśmę rozmowy Wałęsy z bratem?

Dobrym komentarzem do rozważań Rakowskiego o odwadze jest felieton Wierzbickiego „Wąż jako teoretyk” (*Tygodnik Powszechny*, 19. II. 1981 r.). Píše Wierzbicki: „Podstawowy chwyt węża: 'w stosunku do', 'w odniesieniu do'. Nie można być nonkonformistą 'w ogóle'. Nonkonformistą można być tylko 'w stosunku do', 'w odniesieniu do'. Oto układ modelowy: ofiara — kat.

Ofiara przeciwstawiła się katowi. Sądono dotychczas: nonkonformistą jest ofiara. Wąż głosi: 'a to zależy, w stosunku do kogo'. I dodaje: 'proszę spojrzeć na kata znieprawionego przez tłum, kat przeciwstawił się tłumowi, ma odwagę obstawać przy swoim stanowisku, to nonkonformizm, ofiara zaś podlizywała się tłumowi, słuchała jego zachcianek, to konformista'. Nonkonformistą może być każdy. Wypędził z domu rodzinę: 'nonkonformista — wyrokuję wąż — nie poddał się terrorowi sąsiadów'. Zdemolował klatkę schodową: 'nonkonformista — nie idzie na pasku dozorczyńni'. Zdradził kolegów: 'nonkonformista — nie ułękł się presji nieżywciowych norm'. Konformistą może być też każdy. Oddał życie za kraj: 'konformista, uległ panującej modzie na dobre serce'. Wąż — kończy Wierzbicki — cytuje swą teorię i ogłasza ją w długich zapisach swego węzowego syku".

I tak jest we wszystkim. Szczególnie perfidnym chwytym Rakowskiego, obnażającym zasady jego etyki, są uwagi, że „wyciąganie ręki do mecenasa zagranicznego nie jest powodem do dumy”. Aż korci, żeby spytać tego doktora nauk historycznych, kto przed wojną finansował działalność partii komunistycznej, ale to pytanie byłoby zejściem na jego poziom moralny i intelektualny. Dlatego zapytamy raczej, o co tu właściwie chodzi? Czy o publikowanie w prasie zachodniej? Rakowski również z tamtych łamów korzystał. A może o przyjmowanie pomocy z parafii przez ludzi pozbawionych przez Rakowskiego możliwości wykonywania zawodu i środków do życia? Jakież podłoże trzeba, by uprawiać ten rodzaj drwin z prześladowanych i skazańców, jakież osobisty tytuł do dumy i sztychu z bezbronnych i uciemżonych, którym Rakowski odmawia nawet praw więźniów politycznych... I te kąśliwe uwagi na temat ich dostatniego życia — zaiste, od 40-tu lat nikt w tym kraju nie opływa w takie luksusy, jak zdeklasowani przeciwnicy totalitarnego komunizmu.

Natomiast uwagi o „oderwaniu od gorzkiej i zasolonej gleby” są już mniej oryginalne. W powtarzaniu tych stereotypowych frazesów Rakowski niczym szczególnym się nie wyróżnił: pomysł, że w kulturze polskiej nie istnieją Gombrowicz i Miłosz, Lebnstein i Czapski, Panufnik i Palester, zaś jej pożywnym składnikiem są zwolennicy Przodującego Ustroju, funkcjonuje w partyjnej propagandzie od 40-tu lat, przetrwał Bermiana, Kliszkę, Łukaszewicza, przetrwa i Rakowskiego.

Z dzisiejszej perspektywy spoglądając, tamten wczesny okres, którego retorykę Rakowski dziś powtarza, potraktować można jako laboratorium. Wtedy zostały uformowane — funkcjonujące do dziś — relacje z ZSSR, metody sprawowania władzy i rozwią-



zywania konfliktów społecznych, które funkcjonują do dziś. Wtedy uformowane zostały zręby systemu totalitarnego, w którym — wedle określenia papieża Jana Pawła II — „człowiek jest częścią całości, własnością państwa — i w ten sposób traci swoją podmiotowość wobec państwa, pozostając tylko przedmiotem kolektywnej manipulacji” (Frossard, „Rozmowy z Janem Pawłem II”). W tych pierwszych latach system ten jawił się jako pełen okrutnego dynamizmu i historycznej perspektywy. Za istotny wskaźnik skuteczności — nie bez racji — uznaje partyjny publicysta (Werblan) „jego atrakcyjność wśród elit intelektualnych i młodego pokolenia. Cała plejada wielkości w nauce i sztuce opowiedziała się po stronie nowej władzy już wtedy, kiedy znaczna część społeczeństwa — klas pracujących nie wyłączając — poparcia takiego jeszcze odmawiała”. Mechanizmy *akcesu* opisał Czesław Miłosz w „Zniewolonym umyśle”. My zajmiemy się — z perspektywy „psa łańcuchowego” — przypomnieniem kilku przypadków umysłowego oporu.

#### IV

Zdaję sobie sprawę z przeraźliwej brutalności tych wprowadzających uwag. Kreśląc je kierowałem się przekonaniem, że banały czasem warto powtarzać, aby banałami pozostały, aby prawda była mniej bezbronna. Zastanawiając się nad mechanizmami funkcjonowania totalitarnego komunizmu dzisiaj, badamy techniki społecznego oporu, sposoby organizowania się społeczności, układ sił i konflikty interesów. Dla zrozumienia tego, co się działo w epoce stalinowskiej są to wszakże kategorie niemal bezużyteczne. Królował terror, społeczne więzi były rozbite, instytucjonalne formy opinii publicznej — zlikwidowane. Siły oporu można było szukać tylko w sobie. Poniższe rozważania są relacją o takich próbach. „Nie należy jednak — powtórzę za Bronisławem Geremkiem — ulegać pokusie prostej aktualizacji dyskursu z przeszłości. Doświadczenie historyczne można traktować jako głos dochodzący do nas z dali, ale skierowany do nas. Założeniem wyjściowym jest wówczas aktualizacja przekazu, poddanie go krytycznej dyskusji — jakby „partnerski” dialog z nieobecnymi. Ale można takie doświadczenie historyczne traktować jako pewną „lekcję” dla współczesności: rozważyć, jak ludzie w kontekście określonej rzeczywistości historycznej rozumieli swój czas,

jakie podejmowali działania, jakie były źródła czy też mechanizmy ich powodzeń i niepowodzeń. Traktując owo doświadczenie historyczne jako zamknięte, wcale nie pozbawiamy go aktualności, nie przekreślamy możliwości dialogu czasu przeszłego z teraźniejszym; odbieramy je właśnie jako pewne doświadczenie ludzi, a więc wagę ma nie tyle ów głos bezpośredni, nie tyle sam dyskurs, co jego losy w konfrontacji z rzeczywistością, jego rezonans społeczny, jego skutki. W re-lekturze przeszłości warto zastosować obie te metodologie” (Bronisław Geremek, „Chrześcijananie i socjaliści” *Więź*, nr 6, 1983 r.).

Dodać do tych precyzyjnych formuł pragnę, że przypomnienie postaw niezłomnych w czasach stalinowskiej pogardy poczytuję sobie również za obowiązek moralny wobec ludzi, których dłużnikiem się czuję.

Warszawa, Centralny Areszt Śledczy.  
jesień 1983 - wiosna 1984

## LUKRECJUSZ I GUSŁA

### I

W styczniu 1952 roku, wkrótce po zerwaniu z rządem komunistycznym i w trakcie nagonki zorganizowanej przez „niezłomnych” publicystów emigracyjnych i urzędowych z kraju, pisał Czesław Miłosz w liście do Melchiora Wańkowicza: „(...) dzisiaj patrzę na konflikt światowy całkiem inaczej niż inni. Jest to największy konflikt od czasu wyłonienia się w Rzymie chrześcijaństwa, końca tego konfliktu nie zobaczę, ale rozumiem jego rozmiary i rozumiem, jakie to nakłada na człowieka obowiązki. Rozwój wypadków będzie inny, niż się przypuszcza, bo kto 'zdrowym rozumem' chce to ogarnąć, będzie bity, tu nie chodzi o to, że my mamy tyle bomb, a oni tyle itp., bo zagadnienie należy do innej sfery, teologicznej, czy jak kto chce. Moi rodacy zagraniczni wyobrażają ten konflikt jako coś w rodzaju Dżengis-Chana, który zabrał im kraj, nie wiedząc, że każdym swoim dniem przeżytym poddają się Dżengis-Chanowi, tym więc, im więcej wrzeszczą o swoich cennieściach, jak u Gombrowicza, bo im więcej treści z nich wynika, tym ten Dżengis-Chan jest mocniejszy. (...) A w Polsce, o, tam się czuje zgrozę i w y m i a r tego, co się dzieje, co jest tylko częścią olbrzymiego przewalania się globu w zupełną zagładę albo na jakiś nowy tor, pewnie ani po myśli jednych, ani drugich. (...) Ale konflikt dzisiejszy nie jest konfliktem z Hitlerem i należy włączyć w rachunek, jak z perspektywy dwudziestu lat pewne sprawy będą wyglądać — bo to nieprawda, że jest tylko zabór Polski — jest takie przekształcenie, że nikt jej nie pozna, jest to zjawisko w ruchu: a będą bici wszyscy, którzy nie potrafią swoich umysłów

dostosować do pojmowania zjawisk w ruchu" (*Twórczość*, nr 10/1981 r.).

Mniej więcej w tym samym czasie, kilka miesięcy wcześniej, latem 1951, znakomity historyk Witold Kula napisał esej „Gusła”. „Gusła” zostały skonstruowane jako korespondencja dwóch przyjaciół historyków, którzy spierają się o ocenę zachodzących przemian. Dla podkreślenia wagi tego sporu, Kula obdarzył swych bohaterów rzymskimi imionami Klaudiusza i Lucjusza, komunistów określił mianem „chrześcijan”, hitlerowców nazwał „barbarzyńcami”, „Krótki kurs historii WKP(b)” przyrównał do Dziejów Apostolskich, Stalina do papieża, a uchwały partyjne do postanowień soborowych. Klaudiusz i Lucjusz nie są „chrześcijanami”, łączy ich wszakże zdecydowana niechęć do społecznego porządku „przedchrześcijańskiego” (czyli przedwojennego).

Lucjusza wyposażył Kula w cechy intelektualisty-*poputczyka*, „towarzysza drogi”; Klaudiusz jest zdecydowanie niechętny sprawującej władzę sekcie. „Nie różnimy się w stwierdzeniu faktów — pisał Lucjusz do Klaudiusza — różnimy się natomiast obliczem, jakim na te fakty patrzymy i oczekiwaniami, jakie z ich skutkami wiążemy”. Przystępując do wyłożenia swoich racji, poczynił Lucjusz znamienne zastrzeżenie: „Gdy tyle ważnych przemian się dokonuje, gdy tyle rąk z entuzjazmem pracuje nad naprawą zmurszałego (obaj się co do tego zgadzamy) gmachu naszego Imperium i przebudową z gruntu niemoralnej (i co do tego jesteśmy zgodni) struktury społecznej naszej cywilizacji, (...) gdy tyłu wczorajszych intelektualistów, chrześcijan a i niechrześcijan znajduje radość i ulgę w zagubieniu się w tym zbiorowym wysiłku — my znajdujemy czas i ochotę na ogólne rozważania nad stanem i przewidywanym losem poszczególnych wartości naszej, grecko-rzymskiej kultury”. Świadom wieloznaczności tej formuły, Lucjusz wyjaśnia: „Jeszcze kilka lat temu (kilka lat — a przecież w innej epoce!), gdy mówił ktoś, najczęściej zresztą wykrzykiwał!) o niej — i Ty, i ja wiedzieliśmy, co o tym sądzić. Wiedzieliśmy, że te słowa służyć miały za sztandar do walki przeciwko chrześcijanom i rozumieliśmy dobrze, kto i dlaczego najczęściej i najgłośniej miał te słowa na ustach. Wiedzieliśmy, że ci ludzie najmniej z tą kulturą w naszym jej rozumieniu mieli wspólnego — i wiedzieliśmy też, że chrześcijanie, z całą ich tak często wypominaną 'wschodnią obcością', zmieścili w swej ideologii wiele najistotniejszych tej kultury ideałów i uczciwych konsekwencji jej podstawowych założeń. Byli też jedyni, którzy te hasła mieli nie tylko na ustach, ale reprezentowali sobą gotowość walki o ich realizację”. Przeto „musimy baczyć, by przez nas

z kolei nie zaczęły przemawiać tamte głosy. Byśmy nie stali się katarynkami przez tamte ręce nakręcanyimi. Stalibyśmy się przecież śmieszni! Kto chce realizacji bardzo ważnych celów — nie może protestować przeciwko zastosowaniu mniej ważnych, a niezbędnych dla ich realizacji środków”.

Przypomina Lucjusz, że „gdy niedawno ustały prześladowania chrześcijan (...) odetchnęliśmy z ulgą. Gdy zaś objęli władzę w Imperium w doniosłych chwilach odparcia inwazji barbarzyńców — obaj wiedzieliśmy, że przychodzą do władzy ludzie na pewno bardziej ideowi niż ci, którzy od niej odeszli”.

„Oczywiście — dodaje — obaj nie byliśmy tak naiwni, by przypuszczać, że odtąd już konsulów i pretorów wybierać się będzie uczciwie, że straż liktorska nie będzie już nadużywała swej władzy, czy że kłamstwa wśród hasła i tez propagandy oficjalnej znikną. Wystarczyło nam, że przed tragicznie i beznadziejnie rozkładającym się Imperium i jego ludami stanęła jakaś perspektywa ratunku. Zmiana ogólnego kierunku rozwojowego, zejście z gościńca, prowadzącego w przepaść na drogę trudną, lecz gdzieś przecież wiodącą, było dla nas rzeczą zasadniczą. I choć oburzałeś się, widząc, jak w czyste dotąd szeregi chrześcijan napływają tysiącami najnędrniejsi karierowicze, jak wczorajsi ich prześladowcy biją dziś pokłony przed Krzyżem — rozumiałeś przecież, wiem to, głęboką mądrość ich Kościoła i zrozumienie najistotniejszych ludzkich praw, rządzących zachowaniem się jednostki w społeczeństwie, które wykazywali ich przywódcy. Fakt: człowiek, który wczoraj, w okresie chaosu spowodowanego inwazją barbarzyńską, był złym człowiekiem — dziś, w czasach normalnych, ujęty w dodatku w ramy sprawnie działającej organizacji Kościoła chrześcijańskiego, nie tylko, że przestanie nim być, nie tylko że będzie pożyteczny, lecz stanie się człowiekiem porządnym. A robienie ludzi nieporządnym porządnymi czyż nie jest najwyższą zasługą panującego systemu i czyż nie jest najlepszym wyrazem tego, iż jest on najistotniejszym spadkobiercą humanistycznych idei naszej, grecko-rzymskiej kultury, idei, których kultura ta dotąd nie umiała wprowadzić w życie?

A więc nie będziemy tu mówić o praktyce rządzenia, o tych rzeczach, które niepokoją tłum”.

Przyjrzyjmy się rozmowaniu Lucjusza. Metaforyczność formuł nie jest w tym momencie przypadkowa. Owa niedookreślona ogólnikowość pozwala na rezygnację z refleksji na temat okoliczności i sposobów, którym „chrześcijanie” zawdzięczali władzę. Z wyżyn metafory można pominąć tak drobne incydenty jak pakt Ribbentrop-Mołotow, datę 17 września 1939, praktyki sowiety-

zatorskie na ziemiach wschodnich przed czerwcem 1941 roku (likwidacja polskiego życia publicznego, wywózki, areszty), mord katyński; ogląd z tej perspektywy pozwala pominąć Jałtę i proces Okulickiego, narzucenie reżimu „chrześcijańskiego” przez obcą armię, terror policyjny i sfałszowanie wyborów. Mistyka przełomu cywilizacyjnego pozwala pamięć o tych faktach stłumić, myślenia o nich zaniechać. Również pojęcie „człowiek ideowy” kryje w sobie niemałą mistyfikację. Nic nie ujmując ideowości poszczególnych komunistów, więźniów sanacji czy też działaczom podziemnej PPR, nie ma przecież rozsądnych powodów by twierdzić, że np. Bierut był bardziej ideowym człowiekiem niż Pużak, Minc — niż np. Kwiatkowski, a Rola-Żymierski, Spychalski czy Berling — niż Sosnkowski, Okulicki czy Rzepecki; że — generalnie — komuniści byli bardziej ideowi od żołnierzy AK czy Batalionów Chłopskich.

Równie znamienna jest rezygnacja z refleksji o „praktyce rządzenia, o tych rzeczach, które niepokoją tłum”. Bowiem właśnie owa „praktyka rządzenia”, rola przemocy i kłamstwa w życiu publicznym, stanowiła o niechęci Lucjusza np. do sanacji. Wybitny polityk tego obozu, Eugeniusz Kwiatkowski, wypowiedział w „Dysproporcjach” wiele słów mądrych i myśli przenikliwych, a przecież nie te słowa, lecz „praktyka rządzenia”, Brześć, Bereza i OZON rzeźbiły rysy wizerunku „zmurszałego gmachu” i „z gruntu niemoralnej cywilizacji”.

Czemu przeto Lucjusz o tym wszystkim zapomina? Czemu Klaudiusz nie przywołuje mu tych faktów jako kontrargumentów? Bo obaj chcą wierzyć w autentyczność ich haseł, a w świecie ich rządów chcą znaleźć i dla siebie miejsce pod słońcem. „Chrześcijan” to rzeczywistość. Czy można odrzucić rzeczywistość? Ona jest; jest nieuchronnym następstwem procesu historycznego. Problem polega więc na tym, by wpisać się w rzeczywistość, szukać jej stron pozytywnych i budzących nadzieje, ale przy tym zachować swą duchową tożsamość i wierność wartościom kultury „grecko-rzymskiej”.

Nie jest to wszakże łatwe. Lucjusza i Klaudiusza różni od „chrześcijan” stosunek do prawdy. „Chrześcijan” prawdę znają, pisze Lucjusz, my — nie. Na tym polega pierwsza, najbardziej zasadnicza różnica między nami a nimi. Mimo całej sympatii, jaką do nich czujemy, różnica ta wydaje się nieprzebyta. (...) Z tego, że oni prawdę znają, wynika — niezależnie od tego, co ich przywódcy mówią — iż faktycznie będzie ona w ich świecie zdegradowana”, bowiem „prawda jest znana i teoretycznie nie może się zmieniać”.

Jest to wszakże tylko teoria. „W praktyce zespół prawd uznanych przez chrześcijan ulega zmianom — lecz nie zostanie on zmieniony pod wpływem najbardziej przekonującego wyводу Twego czy mego. Zmienia go tylko wypowiedź któregoś z ich biskupów czy innego czczonego przez nich męża. Nie to jest ważne co się mówi, lecz to, kto mówi”.

„W pierwszych dziesięcioleciach — przywołuje Lucjusz przykład — istnienia ich sekty wśród wyznawców ich gminy w Efezie zaczęły przeważać odmienne od przyjętych w innych gminach poglądy na sprawę małżeństwa, na stanowisko społeczne kapłanów etc. Wówczas jeden z pierwszych propagatorów chrześcijaństwa, tzw. św. Paweł, napisał do gminy efeskiej list, w którym te innowacje potępił. Zwolennicy innowacji natychmiast zamilkli. Czy (...) tylko ze względu na karność kościelną? Nie, Klaudiuszu, sąd taki byłby niedocenianiem zjawiska. Oni zostali naprawdę przekonani o błędności swych poglądów. Lecz czy przekonały ich (...) argumenty? Bynajmniej. Nie one, lecz podpis, podpis autorytetu, ten ich przekonał”.

Różnica jest nieprzekraczalna. „Gdy my, mimo że studiujemy i wielbimy autorów, walczymy z autorytetami — oni uprawiają ich kult. My walczymy o to, by każdą myśl rozpatrywać, zapominając o osobie jej autora. (...) U nich przeciwnie, osoba autora gra doniosłą rolę w ocenie jego myśli, a jego 'niedowiarstwo' czy 'odszczepieństwo' faktycznie w ich rozumieniu zwalnia ich od poważnego rozpatrywania jego pism”.

Lucjusza uderza jeszcze, że „chrześcijanie (...) doskonale współpracują z tymi, których uważają za pogan — a nie ścierpią wśród siebie, ba, prześladować gotowi tych spośród nich samych, których uważają za nieprawowiernych, tych którzy różnią się od nich poglądami na często, naszym zdaniem, zgoła drugorzędne sprawy. Heretyk jest gorszy od poganina — mówiąc ich stylem”.

Lucjusz stara się zrozumieć sekret doktryny: „Chrześcijański stosunek do prawdy jest inny niż nasz, gdyż jako całość, jako ideologia, jako Kościół Wojujący urzeczeni są oni pięknem innej wartości. Przecież to dążenie do sprawiedliwości przyświeca im w pracy i w walce. Ono jest tym słońcem, które zaćmiewa słońca inne”. Natomiast oni — Lucjusz i Klaudiusz — są potomkami „świata starego”, świata, który stworzył wspaniałą naukę i kulturę, ale także „zło jako regułę współzycia ludzkiego”, a i „legalizację tego zła w doktrynie” i obyczajowości. Wielu przeciw temu powstawało — powiada Lucjusz — „lecz któż zajął tak bezkompromisowe stanowisko negacji wobec niesprawiedliwości,

jak chrześcijanie? I któż, tak jak oni, wykazał gotowość protestowania nie słowem lecz czynem, gotowość działania i wyciągania w tym działaniu najdalszych konsekwencji?" Oni jedni odwołali się do „spracowanych i obciążonych” i „miliony odpowiedziały na to wezwanie i jeśli nawet nie przyjęły wyraźnie religii chrześcijańskiej, jeśli nawet często, powtarzając wulgarne napaści, krytykują chrześcijan — to przecież dają im bezwiednie najsilniejsze możliwe poparcie: nie zezwolą na cofnięcie żadnej z reform przez chrześcijan wprowadzonych”. I dalej: któż „na świecie całym szczerze dziś walczy o ich sprawę poza chrześcijanami? (...) A jeśli tak — to ani Ty, ani ja nie mamy prawa protestowania przeciwko niedogodnościom drogi, która prowadzi do celu wielkiego, do którego innej drogi nie znamy. Nie mamy prawa bronić tym, których nasz świat krzywdził, dążenia do sprawiedliwości — choćby nawet na tej drodze obumierało wiele wartości nam najdroższych. W wypadku konfliktu wielkich wartości prawda czy sprawiedliwość jest ważniejsza? Ty i ja wiemy, że sprawiedliwość”.

Lucjusz powtarza więc to, co sami „chrześcijanie” o sobie chętnie mówili: wywód z pozoru jest spójny. Wszakże nawet na temat tych milionów co „odpowiedziały na wezwanie” można mieć rozmaity pogląd. W Rosji najpierw odpowiedziały, a zaraz potem zakneblowano im usta; w Polsce od początku odpowiedziały negatywnie: dlatego trzeba było fałszować wyniki referendum i wyborów. Co się tyczy aprobaty reform — sprawa jest sporna. Reforma rolna, bezpłatna oświata i lecznictwo — tak, tych reform masy będą bronić. Ale istota reform „chrześcijańskich” była inna: totalizacja życia zbiorowego, likwidacja swobód obywatelskich, pozbawienie „spracowanych i obciążonych” wszystkich praw wcześniej wywalczonych, uczynienie człowieka własnością aparatu wszechwładnej sekty ideologicznej sprawującej „kierowniczą rolę”, wprzęgnięcie idei sprawiedliwości w rydwan polityki imperialnej. Tych zaś przeobrażeń masy z pewnością bronić nie będą chcieli. Czy istotnie nikt na świecie poza „chrześcijanami” nie walczył o ich sprawę? Wielkie to i demagogiczne uproszczenie. Co ważniejsze jednak: czy kremlowski „papież” i jego ludzie w istocie o tę ich sprawę walczyli? Czy może też aspiracji „spracowanych i obciążonych” do godnego życia używali jako instrumentu podboju świata?

Wreszcie: czy można sprawiedliwość fundować na codziennym deptaniu prawdy? Tak bym replikował Lucjuszowi. On jednak przewiduje tylko ostatnie z tych stwierdzeń jako kontrargument Klaudiusza: „Starasz się więc wykazać — pisze — że



drogą do sprawiedliwości kroczyć nie można, nie obrażając w niczym dążenia do prawdy, tak jak my ją rozumiemy. Że więc rażące nas zjawiska (...) są z punktu widzenia dążenia do prawdy szkodliwe, a dla realizacji sprawiedliwości — nie niezbędne”. I replikuje: spróbuj udowodnić ten pogląd „z podniesionym czołem”. „Wytłumacz, dlaczego z reguły obrońcy naszej, greckorzymskiej kultury znajdują dla siebie (często wbrew własnej woli) protektorów w najbardziej podejrzanych sferach? Dlaczego w praktyce tylko prawowierni chrześcijanie walczą o prawa 'spracowanych i obciążonych' tak w Italii, jak i w wyzyskiwanych prowincjach Imperium?”

Rzekłbym: Lucjusz, mijasz się z prawdą. Powtarzasz frazesy propagandowe, ulegasz szantażowi. W „praktyce” nie tylko ta sekta walczy o prawa „obciążonych” (gdy jest w opozycji), choć nikt tak okrutnie jak ta sekta, gdy znajdzie się u władzy, tych praw nie likwiduje. Zaś obrońcy naszej kultury mają różnych protektorów, nie tylko podejrzanych, ale gdyby nawet i tak było, to jeszcze nie powód, że Platona palić trzeba na stosach, a Sokratesa zmuszać do wypicia cykuty. To zaś czynią ludzie z tej sekty. Czynią to z fanatyzmem, gdyż — słusznie stwierdza Lucjusz — „wiara jest ich bronią. I ta broń dotąd okazuje się skuteczniejszą sprawą”. Straszna to broń — rzekłbym Lucjuszowi...

On wszakże streszcza argumenty Klaudiusza: słyszę, jak mówisz, że „prawda działania musi wynikać z jakiejś prawdy poznawczej, z jakiejś poprawności metody. (...) Z kłamstwa nie wynika prawda!”

I kontrargumentuje: „W zmurszałym gmachu starego świata były jednocześnie dwa tarany. Jeden z nich nazwijmy imieniem tego, który najpełniej wyraził odwieczną, świecką, wolną myśl: nazwijmy go imieniem Lukrecjusza. Drugi taran — to Biblia. Oba one były wrogiem staremu światu — ale wrogość Lukrecjusza nie szła w parze z równym stopniem obcości. Należał on przeciwieństwo do tego świata. Biblia natomiast w każdym calu była i wroga, i obca. Lukrecjusz wyrażał nas. Stary świat pokonała Biblia. Dziś Ty, metodą Lukrecjusza, analizujesz Biblię. To ciekawe. Metoda ta dotąd nigdy jeszcze nie była stosowana wobec takiego obiektu. Ale czy to do czegoś prowadzi? Z dwojga złego ciekawsza byłaby już analiza Lukrecjusza metodą Biblii. Nowy, nowy w każdym calu świat musi być analizowany również z gruntu nowymi metodami. Nie znamy ich, ani Ty, ani ja. Może ich jeszcze nie stworzono?”

Więc nie oburzaj się na chrześcijańskie guśła, wierzenia i legendy.

Przyjacielu: odrobina pokory!

(...) Nie potrafię ci wykazać, dlaczego dla skutecznej walki o dobro przydatne są dziś te ich wszystkie guśła — ale potrafię Ci wskazać dziesiątki przykładów, w których walka z tymi guśłami miała jak najwyraźniejsze podłoże obrony istniejącego zła.

Bowiem to ludzie tej sekty „prowadzą ludy Imperium ku ratunkowi! Więc jak mam sądzić o tym, co w ich doktrynie jest konieczne, a co zbędne? W duszy chrześcijanina apostoł góruje nad badaczem. Tak jest dobrze!”

Oto mechanizm rozumowania, który wiedzie Lucjusza do podpięcia w stan mistycznego upojenia intelektualisty zafascynowanego niezrozumiałą dlań siłą. Abdykując z prawa do czynienia normalnego użytku ze swego rozumu, powtarza wszakże uporczywie: „Oni prowadzą ludy imperium ku ratunkowi”. Aż korci spytać: skąd ta pewność, Lucjuszu, skoro metodą lukrecjuszowską niepodobna tego udowodnić, zaś ich „Biblia” jest metodą guślarską? „W duszy chrześcijanina apostoł góruje nad badaczem” — powiada Lucjusz, a sam wyrzeka się namysłu nad tym „co w ich doktrynie jest konieczne, a co zbędne”. Nie w każdego propagandysty duszy apostoł góruje nad badaczem — powiedziałbym Lucjuszowi. On jednak nie chce słuchać. „Fakty, o których mówię, są bardzo mocne i miliony ludzi dają im świadectwo. (...) Stwierdzenie tych faktów wymaga od nas upokorzenia się swoją niewiedzą”.

„A chwilowo — przestrzega przyjaciela — strzeżmy się, byśmy się nie stali (...) katarynkami nakręcanymi przez obce ręce. Znamy przecież tak dobrze ten mechanizm! Szlachetni ludzie, którzy godzą się na wszystkie reformy, wprowadzone w Imperium przez chrześcijan, a bronią 'tylko' tych czy innych imponderabiliów, nie rozumiejąc, że w ten sposób spełniają rolę zwalczających reformy!”

„Mówisz, że w ten sposób zaginą na świecie wartości, które kochamy? — rozwija swój wywód Lucjusz. — Mylisz się, Przyjacielu. Miłość do nich Cię zaślepia. Wartości w kulturze nie giną, lecz ulegają ciągłym przekształceniom, przetasowaniom. Zmieniają się ich proporcje — lecz nici się nie rwą. Być może, niewykłuczone, że wartości, które my reprezentujemy, są w tej chwili na pewien czas w fazie zmniejszania swej roli. Ale, na bogów! znasz przecież autorów! Czy którykolwiek z nich twierdził, że trzeba być reprezentantem właśnie tych wartości, które akurat zwyżkują?!”

Henryk Elzenberg — myślę — trafnie scharakteryzował ten sposób rozumowania. „Wszelkie wymowne zapewnienia — pisał — że „siła nic nie może przeciw duchowi”, służą tylko pokrzepieniu na duchu; gdybyśmy tego byli tak pewni, nie musielibyśmy tak wciąż się utwierdzać. Dzięki sile można się stać panem nie tylko cudzego ciała i czynu, ale także myśli i uczuć. Kobieta — jak to nieraz widzimy w poezji greckiej — może pokochać człowieka, który zburzył jej miasto i zabił ojca i matkę; tak Achillesa pokochała Bryzeis. Niewolnik na korzyść pana działa najprzód z musu, potem stopniowo coraz bardziej z przyzwyczajenia, a w końcu z solidarności: gra tu dużą rolę sztuka dla sztuki, satysfakcja, że się swoje zrobiło dobrze, a także, przy potrzebie działania, praktyczna — na co dzień przynajmniej — niemożliwość działania inaczej niż na korzyść pana i w jego służbie. W końcu niewolnik gotów jest panu być wdzięczny, że wolno mu służyć” (H. Elzenberg, „Kłopot z istnieniem”).

Tak wywody Lucjusza postrzegane są z zewnątrz. On sam próbuje wierność rzeczywistości kreowanej przez „chrześcijan” uzgodnić z wiernością wartościom lukrecjuszowskim. Pytanie jednak: jak dochować wierności tym wartościom w świecie, który je codziennie gwałci?

Klaudiusz, jego przyjaciel, w swojej replice rozwija wątki zapoczątkowane lucjuszowym listem. Opisuje degradację nauki, dziwaczne obrzędy rytualne, które uchodzą za rozwijanie wiedzy, hierarchiczność struktury społeczeństw „chrześcijan”, panujący w sekcie kult autorytetu. „Skąd ich ojcowie Kościoła i synody kościelne, które uważają się za uprawnionych do zabierania głosu, i to decydującego, w sprawach literatury pięknej, sztuk plastycznych, historii, astronomii, biologii... — I potem — ... jakżeż świat staje się prosty, gdy taki czy inny problem naukowy może być rozstrzygnięty po prostu powołaniem się na tekst np. św. Hieronima, lub na decyzję w tej sprawie np. soboru nicejskiego”.

W konkluzji czyni wszakże Klaudiusz znamienne wyznanie: „Jeśli rozmawiam czy koresponduję z Tobą — to nie dla ćwiczeń retorycznych, lecz dlatego, że ja chciałbym Ci ulec, ja chciałbym, byś mnie przekonał. Cała dusza buntuje się przeciwko rosnącej izolacji (...). Ale nie widzę sposobu... Wierzę w naukę (...) w jej nieśmiertelność i człowieka dzięki niej żywot wieczny. A to, co widzę, to dowody obumierania nauki, na długo”.

Lucjusz odpowie na to: „Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak powstawały chrześcijańskie pisma święte? Czyś spróbował wyo-

brać sobie ogrom odpowiedzialności, spoczywającej na każdym z ich soborów wówczas, gdy decydował takie czy inne uchwały? Czy pod literacką formą pustelniczych nieraz dzieł potrafiłeś dostrzec, że każda linijka tych pism powstawała z potrzeb walki wyzyskiwanych o wyzwolenie, rodziła się w warunkach śmiertelnego zagrożenia, w jakim ich ruch wyzwoleniczy w każdej chwili się znajdował? W warunkach przez wiele pokoleń się toczącej, a zawsze na śmierć i życie zaciętej walki — dorobek naszej kultury stawał co dzień wobec najwyższej próby. To z niego, co wytrzymywało tę próbę — odchodziło do arsenału na zawsze. Trwały dorobek wiedzy ludzkiej. Broń uciśnionych. Selekcja, o której pisałeś — to właśnie odrzucenie tego, co nie wytrzymało próby. A zagrożenie trwa i walka trwa! Odrzucone w boju nieużyteczne bronie zabierzemy troskliwie z pobojowiska i schowamy do muzeum — ale po ostatecznym zwycięstwie!”

Odpowiedziałbym Lucjuszowi fragmentem wiersza Zbigniewa Herberta:

*(...) na koniec oni  
 autorzy płócien podzielonych na prawą stronę i lewą stronę  
 którzy znają tylko dwa kolory  
 kolor tak i kolor nie  
 wynalazcy prostych symbolów  
 otwartych dłoni i zaciśniętych pięści  
 śpiewu i płaczu  
 ptaków i pocisków  
 uśmiechów i szczerzenia zębów*

*którzy mówią  
 potem kiedy zamieszkamy w owocach  
 będziemy używali subtelnego koloru „może”  
 i „pod pewnym warunkiem” o perłowym połysku  
 ale teraz ćwiczymy dwa chóry  
 i na pustą scenę  
 pod oslepiające światło  
 rzucamy ciebie  
 z okrzykiem: wybieraj póki czas  
 wybieraj na co czekasz  
 wybieraj  
 I aby ci pomóc nieznacznie popychamy języczek wagi*

(„Trzy studia na temat realizmu”)

Lucjusz uważa jednak te techniki „chrześcijan” za incyden-

talne. Kontynuuje: „Zły masz stosunek do chrześcijańskich pism świętych”. Z pietyzmem bierze do ręki zwoje. „(...) To zweryfikowane krwią doświadczenie śmiertelnej walki o wolność od jej początków do dziś. To to z naszej wielkiej nauki, co okazało się w ostatecznym rachunku pozytywne. To kanon”. I dalej: „Razi Cię u chrześcijan jedna hierarchia autorytetu? Chrześcijaństwo nie twierdzi, że wszystkie rzeczy i sprawy ludzkie zabarwione są — w ich terminologii — „religijnie” i że nie masz takich, które byłyby „religijnie” obojętne. Pamiętaj, że kiedyś, w rozmowie, musiałeś, choć bardzo niechętnie, przyznać mi w tym rację. A skoro tak — to nie protestuj przeciwko ich hierarchii autorytetów. Takie są właśnie, wiesz to dobrze, prawidła mobilizacji sił i walki”.

Teza o klasowym i politycznym „zabarwieniu” dzieł kultury może mieć charakter akademicki, może być płodną hipotezą, ujawniającą ukryte sensy historii kultury. Na taką hipotezę mógł przystać i Klaudiusz: analiza społecznych funkcji muzyki kościelnej jest przecież dopuszczalna. Rzecz w tym, że dla „chrześcijan” wyznawca poglądu odmiennego czy odmiennej interpretacji tego samego poglądu stawał się wrogiem godnym już tylko unicestwienia. Jak więc nie protestować? Lucjusz wszakże w zapamiętaniu rozwija swą myśl: „Bij, Przyjacielu! Gorsz się, jak wolisz! Ale: ja wierzę w dogmat o nieomyślności papieża i soboru! Tak. Mam odwagę to powiedzieć: Kościół ma zawsze rację!

I jeśli dodam do tego: 'nawet wówczas, gdy jej nie ma' — to nie będzie to cynicznym uśmieszkiem. Twierdzę, że 'Kościół ma zawsze rację, nawet wówczas, gdy jej nie ma' dlatego, że Kościół musi mieć pełne prawo próbować, szukać i błędzić. To nie sprzeczność, Klaudiuszu. Kościół jest reprezentantem nowych, pozbawionych dotąd głosu sił. Kościół jest ich organizatorem do wielkiej walki i do budowy nowego, lepszego świata. Gdzież, pytam, siły te miały możliwość sprawdzać, próbować, przygotowywać się do wielkich zadań, wobec których stanęły? W koszarach niewolników kampanjskich latyfundiów czy barakach dla tragarzy ostyjskiego portu? Za wielka była sprzeczność między minionym światem a nimi. Obraz przyszłego świata mógł się tworzyć tylko w nocnych dyskusjach niewolników, w twórczej myśli ich proroków. Dziś dopiero przyszedł czas na próbę. A próby — to możliwość błędu. Do tego chrześcijanie muszą mieć prawo! Niech błędzą! Każdy ich błąd, wyeliminowany, zwiększa ich siły na przyszłość, zwiększa pewność i celność ich działań, przyspiesza — nie bójmy się tego słowa — Królestwo Boże na ziemi”.

Przerwijmy cytowanie. „Krótki kurs WKP(b)”, broszury

Lenina, przemówienia Stalina i Żdanowa jako „zweryfikowane krwią doświadczenie śmiertelnej walki o wolność”, jako „kanon” — czyż to nie przerażający owoc pracy intelektualisty nad likwidacją normalnych funkcji własnego mózgu? Utożsamiając „spracowanych i obciążonych” z „chrześcijanami”, Lucjusz przyjmuje tych ostatnich z całym dobrodziejstwem inwentarza. Ich usprawiedliwieniem ma być — Królestwo Boże na ziemi.

Tu właśnie najbrutalniej ujawnia się nadużycie metaforyki „chrześcijańskiej”. Bowiem prawdziwi chrześcijanie, ci bez cudzy-słowa, nigdy Królestwa Bożego na ziemi nie obiecywali. Intelektualista z lukrecjuszowskiej szkoły biorący serio takie deklaracje — czy może być smutniejszy objaw autodegradacji rozumu?

Jednak wtedy nie było to takie oczywiste. Klaudiusz bowiem napisze przyjacielowi w odpowiedzi: „Zgodzę się, że chrześcijanie odkryli zasadnicze prawo dziejów narodów: prawo o wyzysku większości przez mniejszość i takimi czy innymi metodami — mniejsza o nie — doszli do jedynie słusznego wniosku, że ten wielowiekowy wyzysk może być i powinien być zlikwidowany. Umieli też mobilizować masy do walki o tę zmianę i do jej obrony, gdy już się dokonała”. Po tej wstępnej aprobacie pryncypiów, Klaudiusz znów lokuje swą polemikę w sferze sporu o kulturę jałowioną przez „chrześcijan”, o naukę poddaną ideologicznym szamanom. Przyjmując przesłanki wywodu Lucjuszowego, broni już tylko tej dziedziny, która dotyka go bezpośrednio jako intelektualistę. Nie jest to już spór o naturę panującego systemu, lecz o stosunek chrześcijan do intelektualistów i ich warsztatu twórczego.

Np. „Dzieje Apostolskie”: „Jest to dzieło — pisze Klaudiusz — o charakterze bałwochwalczym, tyle że chwali inne niż nasze bałwany. Celem tego dzieła jest wykazać, że Kościół chrześcijański jest wspólnym dziełem św. Piotra i św. Pawła, którzy byli zawsze zgodni i zawsze, i we wszystkim mieli rację. Dzieło to może być dla nas nawet interesujące jako przejaw pewnej kultury — ale nie oczekujesz chyba, bym przyjął je za wykładnię prawdy historycznej?!”

I wyjaśnia: „Przed odparciem barbarzyńców byliśmy potrzebni chrześcijanom. Naszym świeckim, lukrecjuszowskim jak to nazwałeś taranem burzyliśmy — (...) raczej współdziałaliśmy w burzeniu starego świata. I nam, i światu zdawało się, że zbliżamy się do chrześcijan. Po wyzwoleniu... Pamiętasz jeszcze te parę pięknych lat po wyzwoleniu? Po wyzwoleniu okazało się, że w nauce chrześcijańskiej tkwi wiele elementów płodnych naukowo, których nie przeczuwaliśmy. Zachłystywaliśmy się nimi.

A jeszcze później? A teraz? Dziś nasza świeckość nie jest im już potrzebna. (...)

Dziś my, którzy wzrosliśmy w walce z legendami, w walce o wolną świeckość, dogłębną, bezlitosną — dziś my tworzyć mamy nowe legendy.

Ich świat — to wielkie misterium. W tym świecie możliwe są tylko dwie role: ministranta i ikonoklasty.

Ikonoklasta walczy o prawdę — ministrant czyni życie ludzkie znośniejszym.

Rację ma ministrant.

Cóż — gdy ja potrafię być tylko ikonoklastą!”

Lucjusz na to: ich świat to życie. „Życie jest zawsze racjonalne. Życie ma zawsze rację”. I dalej: „Piszesz o 'Dziejach Apostolskich'. Piszesz słusznie. Ale czyś widział kiedyś gromadkę spracowanych byłych niewolników, którym ich kapłan czytał i tłumaczył te 'Dzieje'? Czyś widział jak każdy nowy kraj, ogarniany przez chrześcijaństwo, przeżywając kolejno te same etapy, korzysta z doświadczeń poprzednich, studiuje dokumenty, analizuje prawidłowości, ustala różnice? Miliony ludzi, tworząc historię — żyją historią. (...) Budują nowe z książką historyczną w rękę”.

Odpowiedziałbym na to cytatem z Miłosza:

(...)

*Przeklina lud, a błazny mu śpiewają  
Ze nigdy nie był tak jak dziś wolny.  
I szuka znaków co się w niebie palą:  
Pokój służalstwa? Czy zagłada wojny?*

(„W praorcach swoich pogrzebani”)

Klaudiusz odpowie jednak inaczej: „Ich nauka dowodzi tego, czego już dowiedziono, ich sztuka ilustruje to, co już wiadome. Ich człowiek żyje w szczęściu posiadania prawdy, nie dręczy się niewiedzą, nie szuka, nie tworzy...”. Po czym cytuje jednego z „ojców Kościoła”: „Jak to dobrze jest wiedzieć, że jest już światło dla wszystkich ludzi i że przyjdzie czas, gdy wszyscy to zrozumieją”. Od siebie zaś dorzuca: „Jak to dobrze jest wiedzieć, że jest już światło... Nie trzeba już szukać prawdy, tropić jej, badać — trzeba tylko rozszerzać, propagować istniejącą... Jak to dobrze jest wiedzieć... Szczęście, cielece szczęście...”. Na to Lucjusz: „Klaudiuszu! Obudź się wreszcie! Czy nie widzisz? Rzeka czasu płynie wartkim nurtem. Ciebie też unosi. (...) Po-

kieruj łodzią! Wypłyn na główny nurt! Twoja wola i siła fali zawiodą Cię razem daleko. Patrz na mijane brzegi — lecz porzuć dziecianną zabawę chwytania gałęzi. Nie uchwycisz tego, co mija! Tak właśnie jest dobrze!”

Herbert odtworzył ten dialog w „Prologu” do „Napisu”:

*„Wyrzuć pamiątki. Spal wspomnienia i w nowy życia strumień*

*[wstąp.*

*Jest tylko ziemia. Jedna ziemia i pory roku nad nią są.*

*Wojny owadów — wojny ludzi i krótka śmierć nad miodu*

*[kwiatem.*

*Dojrzewa zboże. Kwitną dęby. W ocean schodzą rzeki z gór”.*

Tak mówi Chór. Zaś On odpowiada:

*„Płynę pod prąd a oni ze mną*

*nieubłaganie patrzą w oczy*

*uparcie szepczą stare słowa*

*jemy nasz gorzki chleb rozpaczy”*

Tak mógłby przecież odpowiedzieć Klaudiusz... Zaś Lucjusz na to: „Po czemuż Ty ronisz krokodylowe łzy? Po jakim człowieku, po jakiej nauce? Mówisz, że po człowieku szukającym prawdy. Więc co Ci jest tak drogie? Szukanie dla szukania? Ale przecież przez tysiąclecia istnienia nauki ludzkiej coś już odkryto, coś już stwierdzono, coś już ustalono! Droga pod górę, którą się wspinamy, nie musi być przez każdego człowieka powtarzana od podnóża. Starczy mu jeszcze drogi w górę, gdy zacznie od miejsca, do którego ludzkość się wspięła! Twój dawny, wąpiący człowiek pocieszał się pięknem samego wspinania się, samego wysiłku, samego sukcesu. Prawda przezeń odkryta była mu droga, okupiona bólami twórczymi i uwieńczona radością twórczą — i nic mu nie przeszkadzało, że odkryły ją już setki ludzi przed nimi. Za takim człowiekiem tęsknisz, samotnym, wąpiącym, wyizolowanym z ludzkości, wyrwanym z historii. (...)

Broń się Klaudiuszu! Dojrzewaliśmy w buncie przeciwko światu, który nas wydał — a dziś on, miniony, bierze za to odwet. (...) Dziś stare zaczyna się od nowa. Próbuje mówić Twoimi, uczciwymi ustami. Broń się, Klaudiuszu! Wpłyn w wartki nurt”.

Klaudiusz: „Nie potrafię, Lucjuzszo, chyba nie potrafię... Tak jak nie można wyprzeć się własnych rodziców, tak nie można wyprzeć się swego kraju — tak też nie można wyzwolić się



z władzy czasu, który nas wydał. (...) W naszym świecie obowiązywała wierność w przyjaźni, po prostu. U nich obowiązuje ona, o ile i jak długo spojona jest wspólną pracą dla zbiorowości. U nas obowiązywało po prostu: przestrzeganie powierzonej tajemnicy. U nich obowiązuje ono o tyle, o ile tajemnica ta jest tajemnicą zbiorowości. U nas obowiązywała: pomoc prześladowanemu. U nich jest ona przestępstwem! (...) Ach, to ich zhierarchizowane społeczeństwo! To dążenie do awansu w hierarchii, praca na pokaz, odgadywanie myśli zwierzchnika, ubieganie krytyki, praca nie z myślą o tym by było dobrze, ale by nikt nie mógł zarzucić, że jest źle! To ciągłe oddziaływanie góry na dół, cotygodniowe, codzienne niemal kazania o wciąż tej samej treści, umacnianie małych w przekonaniu o słuszności paru zasadniczych, prostych, uproszczonych, aż do fałszu uproszczonych, wciąż tych samych prawd! (...)

Słabną w dyskusji, wiem to. Schodzę od zasad — do błędów wykonania, które przecież od początku z programu naszej dyskusji wyeliminowaliśmy. Schodzę z racjonalnej płaszczyzny na wyliczanie objawów, które mi są obce, które mnie drażnią. Ale to dlatego, Lucjuszu, że zwlekam z wyznaniem Ci, że ja się i tego Królestwa Bożego na ziemi — też boję!

Powiedziałem już. Trzeba ciągnąć dalej.

Cytowany już w poprzednim moim liście święty pisał: 'Człowiek — to brzmi dumnie'. Dlaczego to słowo tak dumnie brzmiało dla niego? Dlatego, że patrzył on na człowieka takiego — powiedzmy to odważnie — jakim ukształtował go stary, miniony, zły świat. Wielkość człowieka ujawniła się wyłącznie w walce z tym światem. W walce o wolność dla siebie i dla innych, w odwadze ataku, w rozpaczach buntu, w pogardzie dla małości. Wielki był człowiek, gdy kruszył bałwany, którym kłaniała się jego epoka. Wielki był, gdy umiał spojrzeć na świat swoim, niezależnym spojrzeniem i gdy umiał bronić prawdy tego, co dostrzegł.

Historia nie zna innej wielkości człowieka, jak tylko ta, która wywalczona była w walce z innymi ludźmi. W walce z ich siłą fizyczną, marnością moralną, nędzą umysłową. Nie ma wielkości człowieka, jak tylko w walce z innymi! Nie ma wielkości człowieka, jak tylko w walce o wolność!

Lucjuszu! Co umożliwi osiągnięcie wielkości człowiekowi wolnemu?!"

Tak oto Klaudiusz doprowadził swój wywód do absurdu. Skoro bowiem swoje refleksje polemiczne przerzuca ze sfery krytyki arcywolniczej codzienności w gwiazdne strefy filozoficz-

nych kłopotów ludzi w pełni wolnych, skoro miast dociekać mechanizmów totalitarnej niewoli rozważa odwieczny problem „co będzie, jak już będziemy w Raju?” — jest w pełni gotów do kapitulacji przed „chrześcijanami”.

Elzenberg powiadał: „Jeśli się ktoś chwali, że nie popełnił czegoś złego, co mógł być popełnić, i z wielką elokwencją argumentuje, że przecież 'nie godziło się', 'nie uchodziło', znaczy to, że swej cnoty żałuje. Nie poszedł za swym interesem, bo się krepował; teraz korci go stracona sposobność”.

I w rzeczy samej: w następnym liście informuje Klaudiusza, że biskup Aleksandrii wezwał go „do objęcia kierownictwa Aleksandryjskiej biblioteki. W Aleksandrii też rozpoczyna pracę siedemdziesięcioosobowy komitet do przekładu pism świętych z hebrajskiego, aramejskiego i greckiego — na łacinę. Kierując biblioteką — miałbym wziąć udział w pracach tego komitetu, jako rzeczoznawca od historii języków wschodnich! Czy śniły nam się kiedyś takie możliwości naukowe?

Nie jadę z lekkim sercem. Wiem, że te możliwości mają granice. Wiem, że nie pozwolą mi skreślić z tekstu owych słów *'Tu es Petrus et in hanc petram ecclesiam meam edificabo'* — mimo że są one jawnym późniejszym wtrętem, dopisanym dla umocnienia władzy zwierzchniej rzymskiego biskupa. Ale czy dla tej, oczywiście dla każdego myślącego człowieka bzdury, mam z tych możliwości rezygnować? Zbyt na to kocham moją pracę”. Po czym namawia Lucjusza, by wraz z nim udał się do Aleksandrii.

Wystarczyła atrakcyjna propozycja pracy w ukochanym zawodzie, by Klaudiusz przełamał swój wstręt do kłamstwa, do zhierarchizowanego społeczeństwa, do pustki „chrześcijańskiej” kultury.

Lucjusz odpowiada mu na propozycję: „Nie pojedę, Klaudiuszu, do Aleksandrii. Jeszcze nie pojedę... Śmiejesz się, że ja, taki zawsze 'pozytywny' — zwlekam? Nie śmiej się. Daruj. Niezbadane są jeszcze drogi serca człowieka na przełomie dwóch epok”.

Tak więc Lucjusz nie czuje się dostatecznie dojrzały do prac nad publikacją dokumentów ewidentnie sfałszowanych. Ale — dodaje — „czekaj na mnie, za pół roku, najdalej za rok. Przyjadę do Aleksandrii, na pewno!”.

W tymże — zamykającym tę korespondencję — liście podsumowuje Lucjusz swoje argumenty. „Czy myślałeś kiedyś — pisze do Klaudiusza — jak skomplikowany jest ów podstawowy proces przemian, które przeżywamy? Dla nas — to upadek pogaństwa, likwidacja despotyzmu cesarów, odparcie barbarzyńców... A dla

niewolników — to pęknięcie kajdan na rękach i na nogach, otwarcie baraków-więzień, wolność, wolność nie myśli, lecz przede wszystkim życia, jedzenia, pracy! Czy wyobrażałeś sobie, jaką jest droga, która z koszar dla niewolników prowadzi do obywatelstwa? Corocznie tysiące niewolników z niedawnych latyfundiów rozpoczyna ludzkie, samodzielne życie kolonów. Niewolnicy z kopalni ripasceńskich też otrzymują wolność — a konieczne jest, by dalej pracowali. I przy tym wszystkim chleba nie może zabraknąć, choć nie można już przykuwać niewolników do wioseł okrętów, kursujących między Ostią a Egiptem. Chleba nie może zabraknąć i broni nie może zabraknąć, i budowa nowego świata musi posuwać się naprzód. I człowiek, przede wszystkim świeżo wyzwolony człowiek — nie może się zgubić w obcym mu jeszcze świecie. A jeśli nawet, jak mówisz, droga z koszar dla niewolników prowadzi poprzez realizację publikańskich marzeń, poprzez mieszkanko z bohomazem na ścianie i kwiatkami w oknach — to dostrzeżemy w tym wielki awans praw człowieka, człowieka takiego jak Ty i ja, tyle że upośledzonego dotąd — i nie stanemy przecież dlatego w poprzek tej drogi! Nie jest to droga łatwa, bynajmniej... A sprawna organizacja kościelna i ciągłe oddziaływanie Kościoła na wiernych ma ją właśnie ułatwić, ba, może umożliwić. Nasze karne podporządkowanie się tej organizacji i temu oddziaływaniu — to nasz w tym udział. (...)

W skomplikowanym życiu współczesnego świata każdy fakt ma wiele różnych aspektów. I oceniając go — nie wolno nam patrzeć pod naszym kątem widzenia, my, którzy należeliśmy i należymy do wybranych. Inni są od nas ważniejsi, bo są liczniejsi. Bo byli dotąd bardziej upośledzeni. Bo oni wywalczyli sobie i nam wolność. Jak refren wracają słowa Miłosza: „Przeklina lud, a błazny mu śpiewają, że nigdy nie był tak jak dziś wolny”...

„Przypomnij sobie — pisze dalej Lucjusz — ostatnie lata Imperium, przed inwazją barbarzyńską. Staliśmy wówczas, ramię przy ramieniu, niewielką, ale dobraną grupą uczonych i artystów. Występowaliśmy przeciwko bezprawiu, wyzyskowi, ciemnocie, broniliśmy prześladowanych chrześcijan, przestrzegaliśmy niechających słuchać o groźącym śmiertelnym niebezpieczeństwie barbarzyńskim. Byliśmy z siebie samych i z siebie nawzajem bardzo, ale to bardzo zadowoleni. Wydawaliśmy się sobie i mądrzy, i szlachetni, i odważni, i bezkompromisowi, i niezależni, i wolni, przede wszystkim wolni, mimo wszystko, wbrew wszystkiemu!

Minęło zaledwie parę lat. Ciężko stwierdzić, że nie byliśmy ani tacy mądrzy, ani tacy znów wolni. Niedaleko szukając nasza wymiana listów pokazuje przecież, jak bardzo, buntując się prze-

ciwko, tkwiliśmy przecież w sidłach starego, złego świata! I nawet zrozumieć w pełni jest nam trudno wielkość czasów, do których nie dorośliśmy!”

Tak brzmi samokrytyka intelektualisty, który zbyt późno zrozumiał, że oto „uciskane dotąd narody Imperium wyruszyły w wielką drogę: drogę, prowadzącą do Królestwa Bożego na ziemi. Ruszyliśmy wraz z nimi. A w drodze — jak to w drodze: każdy z nas różne miał tempo. Wyruszyliśmy razem — lecz szybko rozciągnęliśmy się w marszu. Co pewien czas ktoś z nas ustawał, potem znów szybko podgonił. Dziś dzielą nas już nieraz tysiące kroków, wielkich kroków rzymskiego legionisty. Głosu swego już nie słyszymy, a słysząc nie rozumiemy. Każdy z nas skłonny jest pogardzać zarówno tym, który wysforował się naprzód, jak i tym, który pozostaje w tyle. O pierwszym myśli, że to tak się spieszy do tej manny niebieskiej — o drugim, że przywiązany do starego, złego świata. Ale idziemy, nieuchronnie idziemy — tak jak nasze narody. W sercu każdy z nas przeżywa to, co drugi przeżyje jutro. (...) Nie ma dychotomicznego podziału ludzi — są tylko kamienie milowe na tej samej, wielkiej drodze. (...) Nie grozi żadnemu z nas wpadnięcie w tę wstrętą pogardę dla tych co na przodzie i dla tych co w tyle. Starajmy się równać krok...”

Zbigniew Herbert inaczej postrzegał ten marsz ku „Królestwu Bożemu na ziemi”. Pisał:

*Odeszły pasterskie fletnie  
złoto niedzielnych trąbek  
zielone echa waltornie  
i skrzypce także odeszły —  
pozostał tylko bęben  
i bęben gra nam dalej  
odświętny marsz żałobny marsz  
proste uczucia idą w takt  
na sztywnych nogach  
dobosz gra  
i jedna myśl i słowo jedno  
gdy bęben wzywa stromą przepaść  
niesiemy kłosa lub nagrobek  
co mądry nam wywróży bęben  
gdy w skórę bruków bije krok  
ten hardy krok co świat przemieni  
na pochód i na okrzyk jeden*

Lucjusz: „Świat będzie chrześcijański — czy się to komu podoba, czy nie! I choć przygaśnie w nim może — na pewien

czas — wiele drógich nam gwiazd — będzie to świat, w którym olbrzymiej większości ludzi będzie lepiej niż w danym. Zboczenie na krok z drogi, z szeregu dążących do stworzenia tego nowego, lepszego świata — to przejście na stronę wroga, który z obu stron, jawnie i podstępnie, we dnie i w nocy tę drogę atakuje. Przejście na stronę wroga... Zadrzałeś, kochany? Zadrzałeś na pewno, tak jak i ja, gdy pisałem te słowa. Wszystko raczej niż to! Nie ma rzeczy dość ważnej (...), dla której można by do tego dopuścić. Wszystko raczej — niż znaleźć się przeszkodą na drodze milionów, walczących o stworzenie sobie życia spokojnego i szczęśliwego! I nie najstraszniejsze byłoby tu to że — stratumę... Równajmy krok!”.

Herbert:

*nareszcie idzie ludzkość cała  
nareszcie każdy trafił w krok  
cielęca skóra patki dwie  
rozbiły wieże i samotność  
i stratowane jest milczenie  
a śmierć niestraszna kiedy tłumna*

Lucjusz: „Nigdy, w żadnej epoce ludzie nie wiedzieli, nie mogli wiedzieć, jakim będzie geniusz jutra. Ale jak słońce wschodzi po nocy, jak wiosna przychodzi po zimie, tak zawsze, z siłą konieczności, w każdej epoce ludzkość osiągnęła nową, nieznaną dotąd wielkość! Ich świat jest przyszłym światem. Z ich świata, a nie przeciw ich światu wyrośnie nowa ludzka wielkość, a z nią... może i ratunek wielu z tych wartości, które są nam drogim? Może to już niedługo? Równajmy krok! Więcej: przyspieszajmy kroku! Tylko w ten sposób szybciej ją dostrzeżemy!”.

Herbert:

*kolumna prochu nad pochodem  
rozstąpi się postulne morze  
zejdziemy nisko do czeluści  
do pustych piekieł oraz wyżej  
nieba sprawdzamy nieprawdziwość  
i wyzwolony od przestachów  
w piasek się zmieni cały pochód  
niesiony przez szyderczy wiatr  
i tak ostatnie echo przejdzie  
po nieposłusznej pleśni ziemi  
zostanie tylko bęben bęben  
dyktator muzyk rozgromionych*

(„Pieśń o bębnie”)

Łatwo dostrzec różnice w argumentacji Klaudiusza i Herberta. Może dlatego „chrześcijanie” wiedzieli, że Herbertowi nie warto nawet proponować, by jechał do Aleksandrii?



W tym ostatnim z listów Lucjusz zastanawia się, „czy ta nasza wymiana listów, tak przecież ostatecznie 'pozytywna' — nie powinna być przez nas opublikowana. Na pewno ważniejsza, niż listy tego kabotyńca Cicerona! Ale nie. Może pomogłaby ona niektórym, takim jak my — ale może by liczniejszym zaszkodziła? (...) Ale to nie jest najważniejsze! Najważniejsze to wyrazić to nowe, co się rodzi!”.

Jakiż więc sens ma owa tylekroć deklarowana wierność wartościom, które „nie zwykują”? Jeden tylko: wśród urzędowego kłamstwa i prywatnego samooszustwa, wśród duchowej i publicznej aprobaty dla poczynań „chrześcijan”, wśród wychwalania ich nieoczywistych zasług i przemilczania ich oczywistych łajdactw — ocalić własną świadomość. Tam, gdzie kończą się „Gusła”, zaczyna się opisany przez Miłosza „Ketman”.

Powiadał Elzenberg: „Jeśli moje życie zewnętrzne — ale tylko zewnętrzne — jest całkowicie uregulowane przez władzę, tak że ani ono nie wpływa na wewnętrzne, ani na odwrót, natenczas obie dziedziny ostro się od siebie odcinają i życie wewnętrzne stanowi własny swój świat niezależny, odrębny. Ale na to trzeba, by władza — czy to przez poszanowanie, czy jak to bywa wobec niewolników, przez wzgardę — zupełnie nie sięgała do wnętrza. Wtedy to się wypracowują najbardziej samodzielne, najmniej poddane wpływom środowiska, najbardziej uduchowione i zwarte poglądy na świat. I najbardziej bezsilne”.

## II

Wszakże bezsilność Lucjusza jest szczególnego rodzaju. To bezsilność człowieka ogarniętego i pchanego przez tłum podążający pod nadzorem w wyznaczonym kierunku; człowieka, który nie mogąc odmienić swego losu, próbuje go zracjonalizować i dojrzeć w konieczności cnotę, by móc łudzić się, że jego niewolnicza egzystencja kryje w sobie jakiś wyższy sens. Podobny mechanizm psychologiczny opisał Arthur Koestler w powieści „Ciem-

ność w południe”, głośnej analizie literackiej wielkich procesów moskiewskich. Uwięziony przez Stalina Rubaszow, jeden z historycznych przywódców bolszewickich (wzorowany na postaci Bucharina), rozważa w swej celi absurdalne zarzuty o sabotaż i szpiegostwo, po czym przyznaje się do niepopelnionych czynów, uznając logikę wywodów Gletkina, oficera śledczego. Zaś Gletkin twierdził po prostu, że taki pokazowy proces potrzebny jest Rewolucji.

Rewolucja to jedyny sens życia starego bolszewika. „Być może — zastanawia się Rubaszow — rewolucja w tym okresie historycznym potrzebuje tyranii, użytecznego kłamstwa, niesprawiedliwych ofiar. Być może rewolucja potrzebuje, bym się przyznał do niepopelnionej zbrodni, bym został osądzony w sfalszowanym procesie i niewinnie stracony”.

Dialogi Rubaszowa z Gletkinem są nader pouczające. Oto próbka:

*Gletkin*: „Ile mieliście lat, gdy dostaliście pierwszy zegarek?”

*Rubaszow*: „Osiem albo dziesięć”.

*Gletkin* („patrząc oczyma, które jak zwykle nie miały żadnego wyrazu”): „Ja miałem 16 lat, gdy mnie nauczono, że godzina dzieli się na minuty. Gdy chłopci z mojej wsi musieli jechać do miasta, szli na stację o świcie i spali w poczekalni aż do nadejścia pociągu, co mogło się zdarzyć dopiero wieczorem lub następnego ranka. Ci chłopci pracują teraz w fabrykach. W mojej wsi stoi teraz największa na świecie fabryka szyn stalowych. W ciągu pierwszego roku nadzorca kładł się spać między jednym opróżnieniem pieca hutniczego a drugim; robili to z takim uporem, że trzeba było ich rozstrzelać. W innych krajach chłopci mieli dwieście lat, by przywyknąć do maszyn. Tu dano im tylko dziesięć. Gdybyśmy ich za najmniejsze przewinienie nie wyrzucali, stanąłby cały kraj, a chłopci spaliby na podwórzach fabryk, póki by trawa nie wyrosła nad kominy i wszystko nie było jak przedtem. W przeszłym roku mieliśmy tu delegację kobiet z Manchesteru. Napisały potem artykuły pełne oburzenia, że robotnicy z ich przędzalni nigdy by nie pozwolili na podobne traktowanie. Czytałem, że przemysł w Manchester istnieje 200 lat. Czytałem też, jak się tam odnoszono do robotników 200 lat temu, gdy wszystko się zaczynało. Wy, towarzyszu Rubaszow, posłużyliście się tymi samymi argumentami co delegacja kobiet z Manchesteru. Macie z nimi jedno wspólne: dano wam zegarek, gdy byliście jeszcze dzieckiem”.

Monolog Gletkina stawia Rubaszowa wobec następującej al-

ternatywy: albo uznać, że jest to wyznanie rzecznika interesów „nowej klasy”, stróża „wyzysku nowego typu”, odmówić solidarności z tym rozumowaniem, a tym samym całe życie w służbie bolszewizmu uznać za błąd, albo też dostrzec w słowach tego policjanta z awansu społecznego głos ludu i „konieczności dziejowych”, którym raz jeszcze stary bolszewik z inteligenckiej zamóżnej rodziny winien się podporządkować.

Dylemat Rubaszowa — wierność prawdzie czy wierność rewolucji — zostaje wszakże przetransformowany przez niego samego w dylemat: wierność dniom wczorajszym czy jutrzejszym. „Jakim prawem ci — zastanawia się — którzy schodzą ze sceny, patrzą z taką wyższością? Czy w epoce prehistorycznej małpy huśtając się wytwornie na gałęziach, z rafinadą jedząc delikatne owoce i uważając się za wysoko cywilizowane, nie patrzyły z podobną pogardą na niezdarnego neandertalczyka, który ponuro człapał po ziemi, pożerał surowe mięso i mordował swych towarzyszy? Był prostacki, okrutny, wykraczał przeciw prawu dżungli, powalał drzewa, przesuwał skały i z punktu widzenia wysoko rozwiniętych małp był barbarzyńskim cofnięciem się historii”.

Rubaszowowi nie wystarcza już analogia do pierwszych chrześcijan — on sięga aż do małp. Ponieważ jednak nawet w przybliżeniu nie wiadomo, co małpy myślały o neandertalczyku, bez ryzyka błędu można przyjąć, że wywody Rubaszowa są rozpaczliwą próbą zakłamania życiowej kłębki. Bowiem jego śmierć tym różni się od śmierci przeciwników Stalina, że tamci uzasadnieni dla swej ofiary nie musieli szukać w kłamstwie.

Wszelako byłoby błędem pomijać kontekst historyczny dylematów Rubaszowa. Dla bolszewika-inteligenta alternatywa Hitler czy Stalin wcale nie była propagandową konstrukcją. Tylko spoglądając na mapę polityczną świata lat 30-tych naszego wieku można zrozumieć cały dramatyzm sytuacji intelektualistów, którzy mając świadomość — choć niepełną — stalinowskich zbrodni, opowiadali się jednak za komunizmem, widząc w nim zapórę dla tryumfalnego marszu systemu swastyki i czarnych koszul. Tym ludziom świat jawił się jako pole konfliktu z faszyzmem, co czyniło ich podatnymi na przyjęcie stalinowskich mistyfikacji. Rubaszow wolał śmierć niż postawę, która byłaby na rękę Hitlerowi, tak jak Lucjusz panicznie lękał się, by jego ustami nie zaczęli przemawiać wrogowie „spracowanych i obciążonych”.

I tak, mówiąc słowami Miłosza, „z małego nasienia prawdy wprowadzali roślinę kłamstwa”.



### III

Na dialog Lucjusza z Klaudiuszem można wszakże spojrzeć i innym okiem. Oto Drieu La Rochelle, francuski pisarz uformowany duchowo przez pierwszą wojnę światową: konserwatyista, wróg nowoczesnej techniki i miłośnik ciała ludzkiego. W liberalno-permisywnej cywilizacji widział źródło współczesnej dekadencji. Choć wielbiciel kultury greckiej, już w 1934 roku zadeklarował się jako faszysta. Odpowiadały mu deklaracje Hitlera o potrzebie edukacji młodzieży przez sport, a redukcji „niepotrzebnego intelektualizmu”. Klęskę Francji w 1940 roku przyjął jako naturalny efekt wcześniejszej dekadencji, teraz jedyną radę widział w odnowieniu zdegenerowanych Francuzów przez wysportowanych niemieckich Ariów. Zwycięstwo tych ostatnich w wojnie jawiło mu się jako nieuchronna konieczność. Dlatego zaproponował Abetzowi, niemieckiemu gubernatorowi Paryża, wydawanie pisma, które służyć miało normalizacji stosunków zwycięzcy z podbitą Francją. Na redaktora naczelnego proponował Jean Poulhana, jednego z najbardziej miarodajnych intelektualistów przedwojennej Francji, i próbował go skłonić do objęcia tej funkcji. Poulhan wahał się. Bezpośrednio pod wrażeniem klęski pisał do jednego z przyjaciół: „Wśród tej potwornej zdrady, zdrady nawet nie umówionej — jakby całkowicie naturalnej — nie wiadomo co robić. Powiedz, czy masz jeszcze nadzieję, czy ufasz we Francję, czy wierzysz, że wszystko da się jeszcze odtworzyć?”. Sam nie był jeszcze zdecydowany, gdy otrzymywał listy od kusicieli. Jeden z nich, Jouhandeau, pisał mu: „Tak mało zabitych, tak wielu jeńców. Widzi się wyraźnie, że to nie jest wojna. To rewolucja”. Chardonne dodawał: „Francja jest martwa, Hitler jest naszą opatrnością”.

Opisując ten nastrój i cytując te głosy, dorzucał w liście do przyjaciela własny komentarz: „Zwróć też uwagę, że każdy sąd jest teraz obciążony prognozą. Jeśli zwycięstwo i ucisk niemiecki ma trwać sześć miesięcy, próba podjęta przez Dr (Drieu La Rochelle) jest obrzydliwa. Jeśli jednak ma trwać sto lat, próba ta jest genialna, odważna, niezbędna. A Drieu wierzy i zawsze wierzył, że potrwą to sto lat...”.

Po namyśle Poulhan odmówił przyjęcia posady redaktora w prohitlerowskiej gazecie literackiej. Do Drieu La Rochelle napisał otwarcie: „Jestem niezbyt skłonny, by zobaczyć w hitleryzmie coś więcej niż przejściowy szal”.

Poulhan, francuski Klaudiusz, nie pojechał do Aleksandrii.

Ciekawa byłaby wszakże jego korespondencja z francuskimi Lucjuszami, gdyby ów szał był mniej przejściowy...

#### IV

Dylemat intelektualisty poddanego ciśnieniu historii opisuje Jacek Bocheński w „Boskim Juliuszu”. Tę znakomitą książkę można potraktować także jako komentarz do „Guseł”. Bocheński, który jako młodziutki chłopiec oddał swe pióro w służbę „chrześcijan”, po kilku latach sporządził swój rozrachunek z historią. Posłużył się przy tym — jak kilku innych znaczących pisarzy — epoką wielbionego przez siebie antyku.

Lucjusz z „Guseł” Witolda Kuli wierzy — jak pamiętamy — „w dogmat o nieomyślności papieża”, ponieważ „Kościół jest reprezentantem nowych, pozbawionych dotąd głosu sił” i ich organizatorem „do wielkiej walki i do budowy nowego, lepszego świata”.

Bocheński natomiast zauważy, że „człowiek nabiera potęgi proporcjonalnie do ilości popełnionych zbrodni. Potopy i piekła nie zostały przecież wynalezione bez powodu, jest w nich boska racja stanu. Ale uzasadnienie akcji tego rodzaju nie może mieć nic wspólnego z utylitaryzmem. Żaden bóg nie oświadcza: zrobiłem piekło, ponieważ przynosi mi korzyść.

To prawda, że podboje w czasach przedchrześcijańskich nie wymagały właściwie usprawiedliwienia. Nikt przynajmniej nie potrzebował ich uzasadniać rzekomym interesem podbijanego. Wystarczyło własne „męstwo”, które w języku łacińskim stanowi jednoznacznik „cnoty”. Późniejsze wojny chrześcijan z poganami i chrześcijan między sobą zmierzały na ogół do nawróceń, podejmowano je w imię wyższego ideału, w celach pożytecznych dla przeciwnika, a zatem, jeśli zgodzić się z motywacjami, wojny te polegały przeważnie na wzajemnym świadczeniu sobie dobrodziejstw.

Lucjusz z „Guseł” nie lubił Cyncerona; nazywał go kaboty-nem. Skąd ta niechęć? Czy nie stąd, że w historii Cyncerona dostrzegł krzywe zwierciadło własnych poczynań? Bocheński — przypomnijmy — pisał o Cynceronie, rekonstruuując jego sposób rozumowania, tak oto:

„Tu musiał zapytać sam siebie: dlaczego przegrałem? — Jaki popełniłem błąd, że Klaudiusz zdołał mnie obalić? (...) Na pozór błąd był czysto taktyczny. Polegałem — uważa Cyncero — na nie

dość pewnych sojusznikach. Omyliłem się w ich ocenie. Sądziłem, że nie zawiodą, a w momencie krytycznym zawiedli. Pozostałem sam. Nie umiałem tak zobowiązać sojuszników, sprząć ich ze mną takimi łańcuchami, tak zwięzlić wzajemnych interesów, aby mi nic nie groziło. Więc nie był to błąd ideologiczny. Nie mam się czego wstydzić jako filozof, ale pod względem taktycznym rozegrałem sprawę nieumiejętnie. Skoro jednak rzecz się tak przedstawia, wynikają stąd dalsze konsekwencje. Padłem przecież ofiarą nadmiernego zaufania do ludzi. Jakich ludzi? Tak zwanych 'najlepszych', optymatów. Zaufałem zwolennikom pewnego kierunku politycznego. Wciąż jestem z nimi jedynomyślny w kwestiach ideowych, popieram ruch, ale przestałem dowierzać ludziom ruchu. Zaraz, zaraz... Ostatecznie ruch tworzą właśnie ci ludzie. Jeżeli zraziłem się do ludzi, czy mogę nie zrazić się do ruchu? Czuję, że coś fałszywego tkwi w samej istocie sprawy, nie tylko w charakterze poszczególnych osób. Idzie tu o ruch pewnej klasy społecznej, a słabość moralna klasy przesądza o słabości moralnej ruchu. Czy zatem służę dobrej orientacji politycznej, jeśli jest to orientacja klasy zdeprawowanej? Ba! A cóż innego mam do wyboru? Lepszą klasę? Którą? Prymitywny motłoch uliczny? Demagogię popularów? Dziedzictwo po Katylinie? Ohydną robotę Klodiusza? Nic więcej nie istnieje. Co najwyżej Cezar, który, po pierwsze, uprawia grę osobistą, zgodną z własnymi, niepohamowanymi ambicjami, po drugie, schlebia tłumom. No i jest jeszcze Pompejusz, nie mniejszy indywidualista, sprzymierzony obecnie z Cezarem. Ale właśnie na Pompejuszu zawiodłem się najbardziej. Nie ma dobrego wyjścia z tych wszystkich zawiłości. Jestem skazany na 'klasę najlepszych', ponieważ jej niczym nie zastąpią. Zamiana może być tylko ze złego na gorsze. Ale ta klasa nie obroni mnie, bo nie potrafi i nie chce. Składa się po prostu z ludzi zazdrosnych, którzy nie cierpią mnie jako wybitnej osobistości. W ich polityce nie idzie o idee. Ich polityka to głównie rozgrywka między pewną liczbą osób dążących do kariery. Muszę się z tym liczyć bardziej niż dotychczas. A skoro nie mam dobrego wyjścia, muszę wybrać jakieś wyjście, naturalnie bez pełnego przekonania. Nie będzie to droga prostolinijna, niech więc przynajmniej będzie korzystna czyli bezpieczna. (...) Należy zaniechać frontalnych ofensyw przeciw złu. Z częścią zła wypada się chwilowo sprzymierzyć, jeśli można. Trzeba zająć dogodniejsze pozycje, umocnić zaplecze i manewrować".

Tak — z grubsza rzecz biorąc — wyglądał pierwszy etap ewolucji intelektualisty od złego „starego” do „dobrego nowego

świata”, od — u Cyncerona — optymatów do Cezara, od — u Lucjusza — „cezarów” do „chrześcijan”.

Bohater książki Bocheńskiego, Antykwariusz, komentuje łamańce duchowe swego przyjaciela: „Myśląc tak Cyncero nie wie jeszcze, że wpada w sidła zastawione przez Cezara. Sądzi, że to on przechyttrza Cezara. W rzeczywistości Cezar przechyttrza jego. Wodzowi, zajętemu wojną w Galii, nie potrzeba niczego innego więcej aniżeli takiej właśnie ewolucji poglądów Cyncerona. (...) Zwierzątko oswaja się samo — pomyślał Cezar, — Nie płoszmy go. Zaczyna jeść z ręki”.

Cyncero wpadł w tarapaty, gdy wreszcie poparł Cezara. Żalił się w liście do Attykusa: „Jeżeli mówię o polityce to, co jest słuszne, uważają mnie za maniaka. Jeżeli głoszę, co nakazuje konieczność, uchodzę za sługusa. Jeżeli milczę, powiadają, że się dałem złamać i wykończyć. Wyobraź sobie, jak mnie to musi boleć”.

Komentarz Bocheńskiego: „O, z tej odmiany zapatrywań ciężko się wytłumaczyć filozofowi! Dlatego pięćdziesięcioletni erudyta oznajmia: teraz dopiero nauczyłem się pewnych rzeczy, i to nie z książek, lecz z doświadczenia. No, a poza tym — kontynuuje — zajrzyjcie do Platona. Platon uważa, że forsowanie jakiego bądź poglądu jest dopuszczalne o tyle, o ile można przekonać obywateli. Potępia zaś wszelkie narzucanie poglądu siłą. Otóż poglądy obywateli rzymskich uległy zmianie wcześniej niż moje. Ja się tylko dostosowałem do otoczenia. Wielu ludzi, niegdyś przeciwnych Cezarowi, obecnie go popiera. Gdybym trwał przy starych przekonaniach i próbował je narzucać innym, postępowalbym wbrew Platonowi. (...) Wszyscy popierają Cezara! Byli mu wprawdzie przeciwni, ale już popierają. Nawet 'najlepsi' to robią. Czy wszyscy się mylą, czy raczej myliłby się ten, kto by wystąpił przeciw Cezarowi? Ale nikt nie występuje. Zapanowała nadzwyczajna solidarność. (...) Na Herkulesa, to nie-samowite! Lecz dostatecznie groźne, by zrezygnować z oporu”.

Komentarz Bocheńskiego: „Widzimy zatem, ile różnych czynników rozbraja Cyncerona. Widzimy, że przynajmniej jednym z tych czynników jest własny rozum filozofa, który istotnie każe rewidować zastarzałe opinie i uprzedzenia. Dołącza się interesowność osobista, niechęć do optymatów, kompleks 'popelnionego błędu', lęk przed możliwymi burzami i osamotnieniem. (...) Z drugiej strony dokuczają tylko świadomość hańby, obawa o zachowanie twarzy wobec Historii, gdyby trzeba było wyraźnie sprzeniewierzyć się ideałom, wyznawanej etyce i (...) filozofii”.

Rekonstrukcji Bocheńskiego trudno odmówić siły perswazyjnej. Jego Cycero jest mniej wzniosły, niż bohaterowie „Guseł”, ale nie mniej przekonujący. Jest wszakże intelektualistą widzianym z nieco innej perspektywy. Ten Cycero jest po prostu wcześniejszym chronologicznie wcieleniem Lucjusza z „Guseł”. To Lucjusz z epoki, gdy zawiera z „chrześcijanami” polityczne „małżeństwo z rozsądku”; miłość do nich zacznie sobie wmawiać później, dopiero wtedy, gdy publicznych deklaracji miłosnych „chrześcijanie” od niego zażądają. Nad jego postępkami nie unosi się jeszcze aura etyki mistycznej wiary w budowę „Królestwa Bożego na ziemi”, choć Konieczność Dziejowa zaczyna już kołatać do bram jego duszy. Tą duszą wszakże wciąż rządzi kanon starożytnych wartości moralnych. Zaś starożytność — powiada Bocheński — „ceniła związki polityczne człowieka z człowiekiem. Traktowała politykę raczej jako sprawę między poszczególnymi osobami niż między ugrupowaniami reprezentującymi różne kierunki ideowe, zatem w polityce i w stosunkach osobistych obowiązywały te same kryteria. Wymagano solidności, dotrzymywania przyjaźni osobie, odpłacania dobrodziejstw dobrodziejstwami, to właśnie było moralne, to świadczyło o ludziach”. Ślady tego łatwo odczytać w listach bohaterów „Guseł”. Wszelako Lucjusz Kuli to Cycero Bocheńskiego po przełomie ideologicznym, po przekroczeniu duchowego Rubikonu, kiedy to zaprzestał analizować „Biblię” metodą Lukrecjusza, a zaczął swęj lukrecjuszowskiej genealogii przyglądać się nieufnym okiem neofity zafascynowanego siłą zwycięskiej sekty.

## V

Przyglądając się duchowym ewolucjom i moralnej ekwilibryście „Cyceronów”, Lucjuszów i Klaudiuszów, Czesław Miłosz zapisał:

*„Należy uznać za dowiedzione, że jesteśmy lepsi od tamtych,  
Łatwowiernych, zapalnych a starych, mało sobie ceniących życie”.*

I udzielił im szeregu ironicznych rad:

(...)

*Szanuj nabyte umiejętności, o dziecię Europy.  
Dziedzicu gotyckich katedr, barokowych kościołów  
I synagog w których rozbrzmiewał płacz krzywdzonego ludu,*

Dziedzicu Kartezjusza i Spinozy, spadkobierco słowa 'honor',  
Pogrobowcze Leonidasów,  
Szczepnij umiejętności nabyte w godzinie grozy.  
Umysł masz wyćwiczony, umiejący rozpoznać natychmiast  
Złe i dobre strony każdej rzeczy.  
Umysł masz sceptyczny a wytworny, dający uciechy  
O jakich nic nie wiedzą prymitywne ludy.

Tym umysłem wiedziony, rozeznasz natychmiast  
Słuszność rad których udzielamy.  
Niech dnia słodycz przenika do płuc.  
Po to mądre a ścisłe przepisy.

3

Nie może być mowy o triumfie siły  
Bowień jest to epoka gdy zwycięża sprawiedliwość.

Nie wspominaj o sile, by cię nie posądzono  
Że w ukryciu wyznajesz doktryny upadłe.

Kto ma władzę, zawdzięcza ją logice dziejów.  
Oddaj logice dziejów część jej należną.

Niech nie wiedzą usta wypowiadające hipotezę  
O rękach które właśnie fałszują eksperyment.

Niech nie wiedzą twoje ręce fałszując eksperyment  
O ustach, które właśnie wypowiadają hipotezę.

Umiej przewidzieć pożar z dokładnością nieomylną.  
Po czym podpalisz dom i spełni się co być miało.

4

Z małego nasienia prawdy wyprowadzaj roślinę kłamstwa,  
Nie naśladowuj tych co kłamią, lekceważąc rzeczywistość.  
Niech kłamstwo logiczniejsze będzie od wydarzeń,  
Aby znuzeni wędrówką znaleźli w nim ukojenie. (...)

5

Niech słowa twoje znaczą nie przez to co znaczą  
Ale przez to wbrew komu zostały użyte.

Ze słów dwuznacznych uczyni swoją broń,  
Słowa jasne pogrążaj w ciemności encyklopedii.

52

*Żadnych słów nie osądzaj, zanim urzędnicy  
Nie sprawdzą w kartotece kto mówi te słowa.*

*Głos namiętności lepszy jest niż głos rozumu,  
Gdyż beznamiętni zmieniać nie potrafią dziejów.*

6

*Nie kochaj żadnego kraju: kraje łatwo giną.  
Nie kochaj żadnego miasta: łatwo rozpada się w gruz.*

*Nie przechowuj pamiątek bo z twojej szuflady  
Wzbije się dym trujący dla twego oddechu*

*Nie miej czułości dla ludzi: ludzie łatwo giną  
Albo są pokrzywdzeni i wzywają twojej pomocy.*

*Nie patrz w jeziora przeszłości: tafla ich rdzą powleczona  
Inną ukaże twarz niż się spodziewałeś.*

7

*Kto mówi o historii jest zawsze bezpieczny.  
Przeciwko niemu świadczyć nie wstaną umarli.*

*Jakie zapragniesz możesz przypisać im czyny,  
Ich odpowiedzią zawsze będzie milczenie.*

*Z głębi nocy wynurza się ich pusta twarz.  
Nadasz jej takie rysy jakich ci potrzeba.*

*Dumny z władzy nad ludźmi dawno minionymi  
Zmieniaj przeszłość na własne, lepsze podobieństwo.*

8

*Śmiech powstający z szacunku dla prawdy  
Jest śmiechem którym śmieją się wrogowie ludu.*

*Wiek satyry skończony. Odtąd nie będziemy  
Podstępłą mową szydzić z nieudolnych monarchów.*

*Surowi jak przystało budowniczym sprawy  
Pozwolimy sobie jedynie na pochlebczą żartobliwość.*

*Z ustami zaciśniętymi, posłuszni rozumowaniu  
Wkraczajmy ostrożnie w erę wyzwalanego ognia.*

(„Dziecię Europy”)

„Gusła” Witolda Kuli opowiadają o intelektualistach wyciągających wnioski z mądrych rad poety.

## VI

Czym są bowiem w istocie „Gusła”, ten błyskotliwy, uczciwy i świetnie napisany esej? Dla Witolda Kuli był świadectwem, dla nas są — źródłem.

Lubił Kula cytować zdanie Micheleta: „Trzeba wziąć źródło na łożo tortur, zmusić je, by wykrztusiło informacje”. Poddajemy przeto „Gusła” próbie tortur. Ten zapis świadomości duchowej uczonych orientacji „lukrecjuszowskiej” (tym mianem Kula obdarzył intelektualistów lat 1930-tych z kręgu niekomunistycznej lewicy) ilustruje nade wszystko specyficzną izolację tych ludzi. Ich poparcie dla „chrześcijan” jest wynikiem kompleksów, ignorancji, a troszkę i słabego charakteru. Emocje tych ludzi wyznaczył przede wszystkim skrajny krytycyzm wobec epoki świeżo minionej. Świat rządów sanacji był dla nich światem zdrady ich ideałów — nie była to argumentacja dorabiana *ex post*. Znowu przywołajmy na świadka Czesława Miłosza, który w 1936 roku pisał: „Ten kraj jest krajem kłamstwa, dziedziną łgarzy i ślepych. (...) Już nie litość, nie humanitaryzm prowadzi mnie i moich rówieśników. Prowadzi nas nienawiść do kłamstwa, jakie ten kraj podbiło. W ryku megafonów, w wianiu chorągwi, w mamłaniu uroczystych obchodów: kłamstwo, kłamstwo. W parszywych kabaretowych piosenkach, w merdaniu dziennikarzy, w głosach dzieci nawet: kłamstwo, kłamstwo”.

W 1940 roku Miłosz powtórzył:

*Widziałem polską ziemię, ziemię krwi i potu —  
No cóż, to prawda, krzywdy był kraj i ucisku.  
Niechże go sobie tam, na jakimś obelisku  
Skłamią jak dotąd.*

(„W malignie 1939”)

Te przytoczenia pozwalają zrozumieć emocję Lucjusza, który w rozgoryczeniu nazwie Piłsudskiego „naszym małym, jakże ma-



łym, Cezarem". Powie to człowiek, który rzeczników świata „spracowanych i obciążonych” dojrzy w Stalinie i Bierucie... Zdrada sanacji, przegrana emigracji, siła „chrześcijan” — wszystko to złożyło się w 1945 roku na akces ludzi formacji „lukrecjuszowskiej” do Nowej Władzy. Stąd też — ich idealizacja pierwszego okresu „chrześcijańskich” rządów. Mówią o tym okresie z sentymentem bohaterowie „Guseł”, pisze to samo Miłosz do Wańkowicza, powróci ten wątek w polemikach toczonych po 1956 roku. A przecież ten idealizowany czas był epoką bezwzględnej wojny toczonej przez „chrześcijan” ze społeczeństwem, epoką mordów skrytobójczych, masowych uwięzień ludzi z AK, fałszowanych wyborów i fingowanych procesów przeciwników politycznych. Zarazem jednak — i nie ma w tym sprzeczności — był to okres szerokiego marginesu tolerancji dla akceptujących Nową Władzę intelektualistów, którzy służyć mieli do jej uwierzytelnienia w oczach opinii polskiej i międzynarodowej. Potem — jak słusznie zauważył Klaudiusz — ich świeckość (?) przestała być potrzebna.

Trudno orzec, co ważniejsze jest w argumentacji Lucjusza: autentyczne przekonanie, że „chrześcijanie” są rzecznikami świata pracy, czy też lęk, by nie powrócić do antykomunistycznych stereotypów myślowych, ostatecznie odrzuconych po klęsce politycznej „polskiego Londynu”; by nie powtarzać argumentów ludzi odsuniętych od władzy przez „Kościół”. Ten lęk jest również jednym z ważnych motywów w listach Miłosza, który nie ukrywa, że antykomunizm emigracji to dlań „cofnięcie się na wcześniejszy szczebel świadomości”, że jednym z motywów jego akcesu była właśnie „potężna nienawiść” do politycznej głupoty „Londynu” („Pomnażać liczbę cieniów nie warto” — pisał). Rzeczywistość polską postrzegał Miłosz jako wybór między „pokojem służalstwa”, a „zagładą wojny”, między „gładką ścianą Wschodu”, a „murem polskim Ciemnogrodu”. Lucjusz rozumował zapewne podobnie, a wybierając „Wschód”, czuł się w potrzebie uwznioślenia go. Powtórzmy: wierzył, bo chciał wierzyć, bo uważał, że musi wierzyć, bo innej drogi nie spostrzegał. Było w tym prawdopodobnie nieco „złej wiary”, sporo naiwności i wiele nadziei, że „czas ciemności jak zima przeminie”, a wartości kultury „grecko-rzymskiej” uda się przenieść w nową epokę.

Lucjusz jest też modelowym nieomal przykładem „plebejskiego kompleksu” polskiego lewicowego inteligenta, noszącego w sobie bezustannie odziedziczone po szlacheckich demokratkach poczucie winy człowieka uprzywilejowanego wobec krzywdzonych plebejuszy. Rzecz w tym wszakże, że po wojnie Lucjusz stykał

się z ludem głównie tym z „chrześcijańskich” gazet, filmów i oficjalnych przemówień; że nieraz wie lepiej — powtarzając „chrześcijańskie” formuły — od samego ludu, co temu ludowi jest prawdę potrzebne do szczęścia.

Swój „plebejski kompleks” transformuje Lucjusz w „kompleks chrześcijański”, utożsamiając interes godności ludu z wolą polityczną „Kościoła”. Gdy widzi wokół siebie „tyle rąk z entuzjazmem pracujących nad naprawą”, widzi to, co chce widzieć, co uważa, że powinien widzieć. By jednak to właśnie zobaczyć i usłyszeć — trzeba było najpierw osłepić się i ogłuchnąć. I oto ten „lukrecjuszowski” intelektualista popada w mistykę Nowej Wiary, bije czołem przed prymitywnymi broszurkami propagandowymi, dostrzega w nich to „co z naszej wielkiej nauki okazało się w ostatecznym rachunku użyteczne”.

Czy Lucjusz zwariował? Nie, nie zwariował. Natomiast doznał objawienia religijnego. Nie uwierzył w dosłowność sformułowanego Kanonu Nowej Wiary, ale uznał, że Nowa Wiara jest instrumentem walki o lepszy świat, o sprawiedliwość, a więc — w konsekwencji — także o wolność i prawdę.

Przypadek Lucjusza jest ciekawy, bo jest typowy. Tak rozumował Rubaszow, tak rozumowało wielu intelektualistów uformowanych duchowo przez epokę faszyzmu. Jeśli postrzegało się świat jako alternatywę pomiędzy Nową Wiarą i Hitlerem, to wybór Nowej Wiary przestawał być absurdalny. Jeśli w dodatku Nową Wiarę poznawało się najpierw z subtelnych analiz Marksa, to tezy propagandowych broszurek mogły jawić się jako nieuchronna prymitywizacja myśli odkrywczej i przenikliwej. W tym sensie „lukrecjuszowski” intelektualista była bardziej podatny na argumenty Nowej Wiary niż „niewolnik”, który z oficjalnych przemówień i tychże broszurek dowiedział się, że został wyzwolony i uszczęśliwiony przez „chrześcijan”, a zwiększony wyzysk będzie odtąd nazywał się współzawodnictwem pracy. Propozycje Nowej Władzy dla intelektualistów były bardziej kuszące...

Rozumowanie Lucjusza nie jest jednak po prostu szukaniem uzasadnień dla koniunkturalizmu. Ciekawa byłaby analiza porównawcza też Lucjusza z argumentacją takich francuskich pisarzy jak Sartre czy Merleau-Ponty. Ci również zdołali zgwałcić swój rozum do popierania sowieckiej polityki, ale nie potrafili przeobrazić się z dnia na dzień z intelektualistów w dyspozycyjnych partyjnych kaznodziejów. Sartre’a, tak jak i Lucjusza, do „chrześcijan” zbliżyła przeprowadzona na wysokich piętrach abstrakcji intelektualna analiza procesu historycznego i żywiołowa

nienawiść do burżuazji; tak jak i na Lucjusza, na Sartre'a odstrasza­jąco działały bliższe kontakty z „chrześcijanami”.

Lucjusz i Klaudiusz tym wszakże różnili się od Sartre'a, że żyli pod rządami sekty, która do ideologicznych uchwał i fanatycznych pochodów dorzucała chętnie argument w postaci oficera śledczego. Lucjusz dyskretnie o tym milczy; Klaudiusz wspomni gorzko, że w rozumieniu „chrześcijan” pomoc prześladowanemu jest przestępstwem... Wnet zaopatruje to stwierdzenie w pokrętny wywód o nowym kontekście społecznym norm moralnych. Klaudiusz boleje nad tym, ale polemizować z etyką donosu nie umie. Już nie umie...

W 1951 roku, gdy powstawały „Gusła”, Elzenberg zapisał w swym dzienniku: „Etyka czysto społeczna, o ile rości sobie pretensję do tego, by być nie tylko regulatorem stosunków między ludźmi, ale słowem ostatnim o dobru i obowiązku, jest już nie czymś szanownym i cennym, ale po prostu narzędziem mordowania wartości”.

Zastanawiam się: dlaczego Kula kazał Klaudiuszowi tak brzydko skapitulować? Może chciał przez to wyżej moralnie wynieść Lucjusza? Może chciał zadokumentować swe przeświadczenie, że inna droga nie była możliwa? A może uznał to po prostu za nieuchronną konsekwencję słabych „linii fortyfikacyjnych” swego bohatera? Bowiem Klaudiusz kiepsko radził sobie z ciśnieniem otaczającej rzeczywistości — dość postawić na jego miejscu Stanisława Ossowskiego, także uczonego „lukrecjuszowskiej” proveniencji, by wyobrazić sobie inne argumenty i stanowczą odmowę jazdy do Aleksandrii. Dlaczego więc Klaudiusz bronił się tak słabo? Czy była to słabość wyjątkowa? Otóż myślę, że do chwalebnych wyjątków należał raczej Ossowski. Klaudiusz ulegał presji otoczenia; płynął nurtem rzeki regulowanej przez „chrześcijan”.

Znów odwołam się do Elzenberga. „Nacisk psychiczny — pisał filozof — jaki wywiera społeczeństwo, jest bodaj cięższy do zniesienia niż ordynarny przymus mniej lub więcej fizyczny, wywierany przez maszyny państwowe. Stwierdzam to wyraźnie na sobie: uleganie przymusom fizycznym, teraz podczas wojny, nie wprawia w taki stan przygnębienia, jak uleganie niektórym naciskom społecznym wśród znośnych nawet skądinąd współobywateli własnych, w czasie pokoju. Straszno powiedzieć, ale ja przy najeźdźcy czuję się w jakimś znaczeniu — może prze­rafinowanym? — m n i e j n i e w o l n i k i e m .

Groza totalitaryzmu na tym polega, że mnoży on niejako

jedno przez drugie: fizyczny nacisk państwowy przez pseudomoralny nacisk społeczny — wytwarzając coś czego w tym stopniu nigdy chyba jeszcze człowiek nie zaznał”.

Na taką sytuację nie można skutecznie odpowiedzieć samizolacją; nie wystarczy w samotności ubolewać nad własnym nieprzystosowaniem do wilczej rzeczywistości. Człowiek postępujący w ten sposób jest już złowiony na wędkę pokusy. Trzeba — powiada Elzenberg — „żyć tak jak się myśli: w przeciwnym razie, prędzej czy później, zaczyna się myśleć tak jak się żyło”.

Dlatego „Gusła” dziś czytane są przestrożą. Przestrożą dla intelektualistów zaopatrzonych w abstrakcyjne formuły ideologiczne, wyposażonych w „plebejski kompleks”, wrażliwych głównie na wolność dla swego warsztatu, a także dla tych, którzy w spotkaniu z przemocą szukają winy raczej w sobie, niż w przemocy. Jedni i drudzy znów przecież podążyć mogą za głosem fletu nowego szczurołapa.

„Gusła” powiadają przecież — choć może nie z tą intencją były pisane — że Klaudiuszowi nie opłacało się paskudzić udziałem w edycji sfałszowanych pism „ojców Kościoła”; nie kalkulowała mu się jazda do Aleksandrii. A i wiara Lucjusza w konieczności historyczne objawione „ojcom Kościoła” została zweryfikowana nadspodziewanie szybko, już po kilku latach. Jesienią 1956 roku zostało z niej już bardzo niewiele...

Zbigniew Herbert zanotował taki oto obraz tej „jesieni sprawiedliwej”: „Tej jesieni drzewa nareszcie mają spokój. Stoją cały czas w twardej nieco pogardliwej zieleni i ani cienia żółci, ani ziarna czerwieni w liściach. Trawa jest gęsta, mocno wbita w skórę ziemi i niczym nie przypomina sierści starych zwierząt. Nietknięte róże toczą swoje rozgrzane planety wokół nieruchomych i chudych jak księżycy owadów.

Tylko pomniki przeżywają jesień, tym tragiczniejszą, że już ostatnią. Spróchniałe cokoły ukazują nietrwałość budowniczych imperium. Sypią się skrzydła aniołów i pióropusze admirałów. Pęknięte czoło filozofa odsłania przeraźliwą pustkę rozbitych naczyń. Tam gdzie był palec wskazujący proroka, płynię teraz mały pajęczek uczepiony babiego lata.

Siwi zakochani idą pod wiecznymi drzewami, ścieżką zasypaną chrupkami paluszkami bogów i cesarów” („Jesień sprawiedliwa”).

Tyle zostało z gromkich prawd uchwalonych przez „chrześcijańskie” sobory i z historycznych objaśnień ich cezarycznego „papięza”, któremu za życia stawiano pomniki.

## VII

W tym też czasie podjął polemikę z argumentami Lucjusza znakomity polski historyk Witold Kula. W głośniejszej książce „Rozważania o historii” (do której „Gusła” zostały załączone jako dodatek) podjęty został ten temat w rozdziale „Historia — nowy Bóg”.

„Czy religiolodzy przypuszczali — zastanawia się Kula — że w połowie XX wieku zacznie zdobywać sobie świat nowa religia, dzika i barbarzyńska, przypominająca okrutnych wschodnich bogów, Molocha pożerającego swoje dzieci, Baala, któremu na ofiarę składa się pierworodnych, Minosa, w którego paszczę idzie się ze śpiewem na ustach i girlandami uwieńczoną głową?

Potomni nie mała będą mieć trudu z ustaleniem daty Bożego Narodzenia owego Nowego Boga. Czy rodził się on wówczas, gdy ktoś powiedział „wolność jest to zrozumiana konieczność” (...) Czy wówczas, gdy tak proste okazało się rozłożenie człowieka na czynniki pierwsze: dym z komina, włos na materace, kości do cukrowni oraz mały kawałek mydła i gdy jedyną niezniszczalną częścią człowieka okazywały się złote zęby, wyrwane z bezwładnych szczęk? Czy wówczas, gdy potężna machina takiego czy innego państwa grała losem jednostki jak piłką? Czy wówczas, gdy od człowieka, na którego padło najłżejsze choćby oskarżenie, odwracali się jak od zapowietrzonego najbliżsi i gdy poczucie osamotnienia jednostki dochodziło szczytów, nieznanym autentycznej tragedii?”.

Istota nowej religii polegała na „wierze w prawidłowości historii, prowadzące rzekomo ludzkość z nieuchronną koniecznością ku zagładzie lub do wrót raju”.

Korzeni religii szuka Kula w rosnącym poczuciu bezradności. Systemy totalitarne przekreśliły możliwość wywierania realnego wpływu zwykłych ludzi na sprawy społeczne. Wobec hitleryzmu bezsilna była demokracja niemiecka i europejska. Cóż mógł robić antyfaszysta? „Może oczywiście pisać i mówić, że to, czy tamto mu się nie podoba, może zbierać podpisy pod protestami przeciwko zesłaniu Karla Ossietzky’ego do Dachau, może dążyć do ‘wstrząśnięcia sumieniem świata’ ujawnieniem okrucieństw faszystów — bezsilność jednak wszystkich tych metod, którym najpiękniejsze postacie Europy poświęcały wszystkie swe siły w latach trzydziestych, ujawniła się w tym właśnie okresie z całą jaskrawością”.

Temu poczuciu bezradności towarzyszyło „rosnące przekonanie

nie o prawidłowości i nieuchronności owych (...) błogosławionych czy złowróźbnych procesów". Tak więc bezradność zespolona z przekonaniem o istnieniu konieczności historycznej składają się na Nową Wiarę. „W wypadku przekonania o kierunkowości przemian historycznych — dodaje Kula — możliwa jest również i postawa aktywna (...) pod warunkiem, że się aprobeuje ów kierunek, że się go uważa za pożyteczny, że się go moralnie dodatnio wartościuje. W wypadku przeciwnym pozostaje albo postawa bierności, albo straceńcza walka w obronie przegranej we własnym przekonaniu sprawy. (...) Pozytywna ocena kierunku przewidywanych przemian wyklucza bowiem (...) składanie na jej ołtarzu ofiar”.

Sytuując swe uwagi w obrębie refleksji marksistowskiej, Kula dowodzi: „Marksizm jest chyba najjaskrawszym przykładem doktryny, podkreślającej z jednej strony z całą mocą determinizm i nieuniknioną jednokierunkowość przemian dziejowych — z drugiej zaś ze wszystkich sił mobilizującej masy do aktywnego działania w kierunku tych właśnie przemian. Pozorna sprzeczność między tymi dwoma elementami była w ciągu ostatnich 80-ciu lat (pisane w 1956 roku — A.M.) przedmiotem niezliczonych dyskusji między marksistami a przeciwnikami marksizmu. (...) Oczywiście w dziejach marksizmu instytucjonalnego w praktyce raz na jedną, raz na drugą z tych cech kładziono większy nacisk. Stalinizm, z typowym dla siebie woluntaryzmem, z praktycznym przekonaniem o wszechmocnej władzy państwowo-partyjnej, gubił determinizm historyczny”. Zdaniem Kuli, „rzecz sprowadza się do odpowiedzi na pytanie: jak zwalczyć zarówno poczucie beznadziei, jak i poczucie wszechmocy, jedno i drugie zgubne? Jak zwalczyć zarówno fatalistyczną bierność, z jaką mogą być przyjmowane niesione przez historię klęski, jak i nie liczącą się z ofiarą chęć przyspieszenia tego, co wydaje się historyczną koniecznością? (...) Rozwiązanie sprawy leży w zagadnieniach instytucjonalnych gwarancji bezpieczeństwa tak międzynarodowego, jak wewnętrznego. Strach przed historią jest odwrotnie proporcjonalny do zakresu realnej wolności i bezpieczeństwa jednostki”.

Spór dotyczy rozumienia charakteru prawidłowości historycznych. Przekonanie o ich nieistnieniu „otwiera pole do arbitralnego fanatyzmu, do eksperymentów na żywym ciele społeczeństw”. Wszelako przekonanie, że „przyszłość bez reszty i we wszystkich detalach jest zdeterminowana”, przy dodatnim jej wartościowaniu „może skłaniać (i nieraz skłaniało) do nieliczącego się z kosztami dążenia do przyspieszenia procesu dziejowego. Jeżeli przed nami jest raj, w którym wśród obfitości dóbr żyć

będą ludzie jak aniołowie (...) — to rzecz jasna żadne ofiary nie są zbyt wielkie”, by jego nadejście przyspieszyć.

„Przekonanie więc o istnieniu prawdziwości historycznych — konkluduje Kula — może być społecznie groźne tylko o tyle, o ile z pojęciem owych prawdziwości wiążemy: 1) przekonanie o ich mechanicznej i wszechobejmującej wszechmocy, 2) idealizujące wyobrażenie jakiegoś punktu docelowego rozwoju”.

Na pytanie, „czy prawdziwości historyczne mają kształt fatalistycznych przeznaczeń?” — Kula odpowiada wywodem:

„Przemian w kierunku kapitalizmu chcieli w Polsce (...) faktycznie zarówno bankierzy, jak i rewolucyjni demokraci. Walka między nimi toczyła się właśnie o to 'jak'. *Ex post*, mądrzejsi o 100 lat, stwierdzić możemy, że i to 'jak' było zdeterminowane, że nie było możliwości, by Polska inną niż odgórną drogą weszła w epokę kapitalistyczną. Po pierwsze jednak współcześni o tym wiedzieć nie mogli, po wtóre zaś, gdyby rewolucyjni demokraci, wiedząc o tym, powstrzymywali się od działania, to pomijając że nie byłiby wówczas rewolucyjnymi demokratami, przejście do kapitalizmu dokonałoby się w sposób jeszcze 'gorszy'. Przemiana była przecież wypadkową wszystkich działających sił społecznych. Korzystniejsze dla chłopów w Królestwie niż w Cesarstwie przeprowadzenie uwłaszczenia chłopów może tu być jaskrawym dowodem. Żeby zrealizowane było to, co realnie możliwe — muszą być tacy, którzy walczą o cele nierealne”. Co się zaś tyczy celu finalnego, owego „Królestwa Bożego na ziemi”, wieszczonego przez „chrześcijan” i wyglądanego przez Lucjusza, to Kula napisze:

„Jeśli więc słyszymy ludzi, którzy głoszą zbliżający się koniec kultury ludzkiej — albo wzywają nas do bliskiego już raju ziemskiego (co na jedno wychodzi), kładą ofiary w obronie okopów Trójcy Świętej; — albo nie liczą się z ofiarami na ołtarzu przyszłości — to możemy im odpowiedzieć: ludzie uwierzyli w Baala, Minosa i Minotaura. Abraham był gotów zatopić nóż w gardle swego syna Izaaka, a Agamemnon sam zaprowadził swą córkę do ołtarza w Aulidzie. Pierwsi chrześcijanie wierzyli, że koniec świata nadejdzie, nim umrze św. Jan na Patmos, a współcześni Bolesławowi Chrobremu wierzyli, że nadejdzie on w roku 1000. Jeśli chcecie być im podobni — to wierzcie podobnie.

Ale jeśli dla uzasadnienia tych postaw ludzie powołują się na historię i jej nauki, na prawdziwości historyczne i na historyczną świadomość — to obowiązkiem historyka jest powiedzieć im:

Veto! Tego historia nie uczy!”.

## VIII

Dokonana przez Witolda Kulę eksplikacja mechanizmu wiary Lucjusza jest przekonująca; jest też — dodajmy — zbieżna w swych zasadniczych tezach z opisem „zniewolonego umysłu” Miłosza. „Gusła” były bez żadnej wątpliwości aktem oporu umysłu przeciw zniewoleniu; były też dramatycznym zapisem bezradności tego umysłu. W dialog Lucjusza z Klaudiuszem wpisany był historyczny kontekst: ich skrajny determinizm historyczny był uogólnieniem własnej, najzupełniej oczywistej bezradności.

Rzecz to nie nowa: wielka emigracja po 1831 roku odpowiadała na tragizm bezradności — mesjanizmem; elity polskie po klęsce Powstania Styczniowego na taki tragizm odpowiadały ideą pracy organicznej. Po 1945 roku, w opanowanym przez czynowników Nowej Wiary „zagłębiu oświęcimskim” (określenie Jana Strzeleckiego) sytuacja beznadziejności i bezwyjściowości zrodziła „Historię — nowego boga”. Nowy bóg fascynował intelektualistów siłą swych armii, rozmachem swych budowli, dynamizmem swych poczynań. Wnet jednak okazało się — ba! obwieszczono to publicznie! — że siłę „Kościoła” gwarantował bezwzględny terror, budowle mają kształt potiomkinowskich wiosek, a dynamizm wzorowany jest raczej na praktykach politycznych samowładnych carów Rosji niż rewolucyjnych ruchów skrzywdzonych i poniżonych. Potężny na pozór gmach nowego imperium rychło objawił się jako zmurszały. I w ten zmurszały gmach — by strawestować słowa Lucjusza — „biły jednocześnie dwa tarany. Jeden z nich nazwijmy imieniem tego, który najpełniej wyraził odważną, świecką, wolną myśl: nazwijmy go imieniem Lukrecjusza. Drugi taran — to Biblia”. Powiedzmy też inaczej: krytykę stalinowskiego mechanizmu podejmowano z dwójakiej perspektywy. Dla jednych była to krytyka Antychrysta, który więził Prymasa i biskupów, prześladował wiarę, deptał Boskie przykazania. Symbolem tej krytyki była Biblia, czytana przez miliony katolików. Dla drugich wszakże, takich jak Kula i inni intelektualiści spod znaku Lukrecjusza, krytyka stalinizmu polegała na godzeniu w abstrakcyjny dogmat Nowej Wiary, w spetryfikowane formy systemu, który stracił moc rozwojową i stał się konserwatywnym hamulcem postępu. Intelektualista lukrecjuszowski krytykował martwą formę w imię dialektyki rozwoju; postulował, by instytucje systemu, wyrosłego z ducha ideologii marksistowskiej, poddać marksistowskiej, historycznej analizie. Był to więc postulat „uhistorycznienia komunizmu”. Komunizm przestawał być „Kró-



lestwem Bożym na ziemi”, a stawał się jedną z możliwych odpowiedzi ludzkości na wyzwanie cywilizacyjne swego czasu. Cechy charakterystyczne tej epoki formułował Kula następująco: „Świat współczesny stoi wobec: 1) wielkiego skoku ku dalszemu jednoczeniu się ludzkości, 2) likwidacji prywatnej własności środków produkcji (przynajmniej w tradycyjnym rozumieniu słowa 'własność', 3) niesłychanej koncentracji dyspozycji źródłami energii, a tym samym całym życiem gospodarczym, 4) niesłychanego postępu technicznego, rewolucjonizującego pojęcia pracy fizycznej i umysłowej i rewolucjonizującego proporcje podziału życia ludzkiego na godziny pracy i godziny od niej wolne.

I tym razem rzecz w tym 'jak' się to dokona”.

Tak oto mistyce „Królestwa Bożego na ziemi” przeciwstawiony został namysł nad potrzebami przeobrażającego się świata.

Witold Kula jest racjonalistą; jest wrogiem każdej religii i każdej wiary. Z tej też perspektywy osądzał Nową Wiarę: to nie przypadek, że komunistów przyrównywał do chrześcijan, a ich partię do Kościoła. Podobnej operacji dokonywał Miłosz w „Zniewolonym umyśle”, Andrzejewski w powieści „Ciemności kryją ziemię”, Ossowski w pisanych do szuflady szkicach czy Kofakowski w eseju „Kapłan i błazen”. Niechęć do religii i Kościołów była czymś oczywistym dla intelektualistów nurtu „lukrecjuszowskiego”. Spór dotyczył wyłącznie zagadnienia form walki. Zdaniem Kuli źródłem religijności jest „poczucie osamotnienia i bezradności wobec potężnych sił, na które nie można oddziaływać. Stąd dygresyjny wniosek: skuteczna walka z religijnością to nie ograniczanie praw Kościoła czy bajeczki o małpie — lecz umacnianie gwarancji wolności obywatelskich”.

Uczeń Lukrecjusza znów nie rozumiał Biblii...

## IX

Z perspektywy Kuli spór o wydarzenia roku 1917 czy 1945 jest równie jałowy jak dyskusje z jakobinami na temat terroru: może mieć znaczenie historyczne, o ile odpowie na pytania o przyczyny terroru i jego mechanizmy. Jest to czas przeszły dokonany — na spór o wartości nie ma w nim miejsca. Dlatego Kula nie rozważa problemu moralnej odpowiedzialności Lucjusza i Klaudiusza za afirmację poczynań „chrześcijan”. Wydaje się, że tak Klaudiusz jak i Lucjusz, jak i każdy intelektualista zaangażowany w życie publiczne epoki stalinowskiej, mógłby w chwili

rozrachunku powtórzyć za Marią Dąbrowską: „Lepiej błądzić, niż nie robić nic”.

Nie każdy jednak tak odpowiadał. Esej Kołakowskiego „Odpowiedzialność i historia” zawierał opcję na rzecz indywidualizacji etycznej powinności i polemikę z obyczajem redukcji błędu moralnego do wskazania na „konieczności dziejowe”. Był więc ten esej opowiedzeniem się wczorajszego adepta Nowej Wiary za postawą przeświadczenia o bezwzględności norm moralnych w życiu jednostkowym; relatywizm historyzmu nie uchylał rygoryzmu etycznego. Był zarazem praktycznym opowiedzeniem się za stanowiskiem wczorajszych antagonistów, intelektualistów opornych już w latach stalinizmu na pokusy Nowej Wiary. Szkic Stefana Kisielewskiego o Skiwskim był zakamuflowaną polemiką właśnie z takim pojmowaniem konieczności historycznej, jakie prezentowała na swych łamach *Kuźnica*, a w swych listach — bohaterowie „Guseł”. Esej Stanisława Ossowskiego „Z nastrojów manichejskich” był z kolei polemiką z jednokierunkową wizją wszechwładnego Postępu. Ossowski, jak Kula, wywodził się z kręgu „lukrecjuszowskiego”; Kisielewski był od tej formacji nader odległy — a w tym przedmiocie zajęli stanowisko zdumiewająco zbieżne. Łączył ich nie tylko sceptycyzm wobec mniemanych konieczności dziejowych objawionych „chrześcijanom”, ale nade wszystko przekonanie o potrzebie wierności wartościom prymarnym, także wtedy, gdy są deptane.

Kula, w swych ostatecznych konkluzjach, rozwiązywał na przyszłość problem podobnie. Przewyciężając płaszczyznę sporu Lucjusza z Klaudiuszem, zanotował: „Determinacja historyczna działa w najogólniejszych ramach (...), ważne jest nie tylko, a może nawet nie tyle to, co się dokona, lecz i to, jak się dokona. Czy owa koncentracja dyspozycji sprowadzi na świat erę powszechnego faszyzmu — czy też stworzymy instytucjonalne realne formy społecznej kontroli nad ową skoncentrowaną dyspozycją i nadamy w ten sposób realny na miarę naszej epoki sens utopijnym, odwiecznym marzeniom ludzkości o ludowładztwie. A to zależy od świadomej walki o to ludowładztwo. Przynajmniej założyć trzeba, że zależy — bo inaczej żyć nie warto”.

# WIARA I ODMOWA

## I

Klaudiusz, bohater „Guseł” Witolda Kuli, przełamując swój krytycyzm wobec Nowej Wiary, zdecydował się objąć kierownictwo aleksandryjskiej biblioteki. Hanna Malewska, autorka powieści o podboju Rzymu przez barbarzyńców, objęła w 1953 roku posadę archiwistki w Bibliotece Kórnickiej. Te dwie podobne z pozoru decyzje były wszakże znakami postaw skrajnie odmiennych. Dla Klaudiusza bowiem był to akt rezygnacji z oporu wobec pokus, których nie szczędzili intelektualistom nowi władcy kraju; dla Malewskiej — był to akt niezłomnego oporu właśnie.

Hanna Malewska należała do zespołu *Tygodnika Powszechnego*, który odmówił wydrukowania w marcu 1953 roku kłamliwego i hagiograficznego nekrologu Stalina, co spowodowało likwidację pisma. Opór redakcji krakowskiego tygodnika był konsekwencją wcześniej obranej drogi; drogi uczestnictwa w życiu publicznym, ale dla dania świadectwa wartościom chrześcijańskim. Obecność „za wszelką cenę”, także za cenę podeptania prawdy, nie była dostateczną pokusą dla tego środowiska. Tom esejów Hanny Malewskiej „O odpowiedzialności” pozwala zrekonstruować — choćby fragmentarycznie — sposób rozumowania znakomitej pisarki i odtworzyć korzenie etyczne *non possumus*, wypowiedzianego przez nią i krąg przyjaciół.

## II

Powieść „Przemija postać świata” opowiada w swym zakoń-

czeniu o liście, który otrzymał 90-letni Kasjodor od pewnego mnicha. „Nie masz zbrodni, której by nie popełniał albo nie znosił nasz świat, pełen razem nieprawości i nieszczęść — pisał mnich — wściekłość miota wszystkimi sercami, łakomstwo ludzkie, jak mówi prorok, stało na głowie, a miara grzechów dopełnia chyba miary przeznaczonych nam dni”. „Może tak jest — Kasjodor słyszał to niejednokrotnie. — Niemniej — mówił swoje — trzeba robić swoje”.

Ten ex-minister przy królach rzymskich u schyłku swego życia organizował bibliotekę z ocalałych w pożodze wojennej rękopisów i opracował podręcznik ortografii. Obrazek to jak z wiersza Miłosza:

*W czasach dziwnych i wrogich żyliśmy, wspaniałych,  
nad głowami naszymi pociski śpiewały (...)  
W tych czasach nie dość było zawodzić słowami  
czystymi nad patosem świata wiekuistym,  
była epoka burzy, dzień apokalipsy,  
państwa dawne zburzono, stolice wrzecionem  
kręciły się pijane pod niebem spienionym.  
Gdzież jest miejsce dla ciebie w tym wieku zamętu,  
książko mądra, spokojna, stopie elementów  
pogodzonych na wieki spojrzeniem artysty? (...)*

(„O książce”)

Kasjodor tworzył miejsce dla książki. Wśród wojen i nienawiści, głodu i krwi „robił swoje”. Niósł pomoc potrzebującym i tworzył azyl dla książek. Wiedział, że to przetrwa. Ta postawa urzekła Hannę Malewską. Sięgnęła po epokę zmierzchu Rzymu, po epokę przełomu, by lepiej zrozumieć mechanizm przełomu, który dokonywał się na jej oczach.

Zastanawiając się w 1945 roku nad nową sytuacją Polaków, nad cnotami niezbędnymi dla przetrwania nadchodzących trudnych czasów, pisarka sięgnęła do pism Norwida. Ten źle notowany u komunistów poeta posłużył jej do przypomnienia chrześcijańskiej wizji wolności. Cytowała jego sąd o Bismarcku:

*Nie! choć się u pożarów grzejesz błyskawicy,  
Nie jesteś serio w swej mosiężnej szlafmocy.  
Jesteś tylko nieznośny bardzo i praktyczny,  
Zewsząd krwią powalany... jednak nie tragiczny!*

Cytowała też norwidowy „piorunujący wyrok na przemoc materialną”:

*Gdzież? kiedy? czyje? ostały się miecze,  
Bez słów, bez myśli, bez prawd i ich cześci? —  
Jeśli nie miały pęknąć w rękojeści,  
Jak kruchy kielich pęka przed spełnieniem  
Upadły dwakroć: sobą — i sumieniem!  
Nie! rozum tylko ten, co pieśń wytrzyma,  
Boleść ta tylko, co aż w psalm się leje,  
Tylko szat, który strun liry się trzyma,  
Hart, który wobec serca nie truchleje —  
Tylko ten rozum, ból, szat i ta siła  
Warte są dziejów, iż mają Nadzieję,  
Gdy wszystko inne — to błąd — to mogiła —  
To gorzej niż błąd i niż grób... to knuty!  
Świat wezmą... jednej! nie zdobędą n u t y!*

Słowami Norwida odpowiada Malewska na zagrożenie, które uważał za najbardziej istotne. Była to zorganizowana przemoc: totalizm władzy świeckiej. Źródłem tego modelu państwa szukała Malewska w Bizancjum. „Święte Państwo — mówi Artemidor w „Przemija postać świata” — ślepe i łykające ludzi, jak Polifem. Oni nawet i wrogów zarażają na swoją modłę”. Zaś Kasjodor powie: „To coś jakby młyn, który musi mleć, bo tak jest zrobiony”. Mnich Dionizy natomiast napisze na swych zwojach: „Nie zdarzyło się, odkąd sięga pamięć ksiąg, żeby Imperium wyrzekło się dobrowolnie choćby skrawka ziemi”.

Jak stawić czoła takiemu niebezpieczeństwu? Znow pomocą służył Norwid:

*Nie niewola ni wolność są w stanie  
Uszczęśliwić cię... nie! — tyś osobą;  
Udziałem twym — więcej! — p a n o w a n i e  
Nad wszystkim w świecie i nad sobą.*

Przyjmuje ten wiersz za swoje *credo*.

„Panowanie”, o którym tu mowa to — zdaniem Malewskiej — nie tylko wolność wewnętrzna; to również „ta paradoksalna wolność chrześcijańska, podobna totalizmowi z baśni: bohater-święty nie tylko czyni zawsze i tylko to, co rozumnie, po ludzku chce, ale i spotyka go tylko to, na co przystaje wewnętrznie.

Bo tym samym okolicznościom jedni dotrzymują kroku, inni — sładzy konieczności i trafów — dają im się wlec bezwolnie”. Idzie tu więc o — nieprzypadkowo przypomnianą w 1945 roku — pewną wizję bycia człowieka w świecie, o styl przeżywania swej epoki. Styl heroiczny, choć heroizm to szczególnej próby, „heroizm rozumiany nie jako wyskok odwagi, ale jako długi, codzienny trud”. „Bić się umiemy — nie umiemy walczyć” — przypomina pisarka tę myśl Norwida i sięga do innych jego, wciąż aktualnych diagnoz polskich wad. Przeto: „Polak jest olbrzym — ale człowiek w Polaku karzeł”. Przeto: „Patrz, jak w y r ó ż n i ć nie umiając — biją”. Powtarzała też za Norwidem zarzut braku cywilnej odwagi w Polsce. Bowiem specyficznie polskie wydawało się Malewskiej „niezrozumienie r ó ż n i c y zdań jako normalnego, pozytywnego elementu współzycia. Kochać się albo bezcześcić, to i dzicy potrafią (...), ale różnić się świadomie, spokojnie, ze wzajemnym rozumieniem — to dojrzałość, której nie dostrzegał (Norwid — A.M.) w społeczeństwie polskim. Nie tylko brak własnego zdania, ale tępienie go u innych”. A do tego „kłótniwość płynąca z napięcia temperamentów a nie szermierki myśli. A zarazem kult 'świętego spokoju', do którego społeczeństwo wraca po gwałtownych a bezowocnych paroksyzmach, po najwyższych ofiarach (...). Stąd zakłamanie, tania łezka narodo- wa, frazeologia ('żaden patrycjusz rzymski nie napisał dwunastu tomów o patriotyzmie, bo to rzecz nieprzyzwoita'). Celebrowanie przy każdej okazji, 'fałszywe serio' — natomiast brak samokrytycyzmu i zatykanie uszu na głos śmiałej i trzeźwej opozycji”.

Znów Norwid: „U nas poświęcenie to jest dopiero, ażeby stracić wszystko dla sprawy, nie — zyskać dla sprawy”. Słowem — powiada Malewska — był Norwid „zdecydowanym wrogiem cierpiętnictwa polskiego, wyradzającego się w dodatku w mesjanistyczną megalomanię, patrzącą z pogardą na prozaiczne, cząstkowe i wyrachowane osiągnięcia innych narodów”. Idzie więc Malewskiej o to, by na czas nadchodzący wypracować w polskim społeczeństwie „prymat myśli nad uczuciem i romantycznym czynem”. Bowiem nie Samosierry i Elstery są i będą potrzebne, a „codzienny heroizm pracy, rzetelności i bezkompromisowej postawy moralnej”, co jest rzadsze w Polsce „niż ułańska brawura”.

Zastanawiając się nad zadaniami pisarza w Polsce zagarnianej przez totalizm władzy świeckiej, opowiadała się Malewska przeciw literaturze „państwowotwórczej”, tworzonej na zamówienie i polecenie, prorokując martwość dziełom z tego ducha poczętym. Wbrew postulatowi *Kuźnicy* tworzenia socjologicznej konstrukcji losu ludzkiego, broniła literatury jako opowieści o niepowtarzal-

nym wymiarze losu człowieka — jedynej w świecie „trzciny myślącej”.

Norwid i Pascal stanowili element bardzo świadomie formułowanego programu idei i postaw społecznych proponowanych Polakom schwytanym w kleszcze Nowej Wiary. Na ten program składała się rezygnacja z dalszej walki zbrojnej (w 1945 roku działało jeszcze zbrojne podziemie), odwaga cywilna, rzetelność życia codziennego, kształtowanie kultury umysłowej i moralnej. Wspólnym mianownikiem tych wartości była wierność chrześcijaństwu; łączność katolickiej społeczności z katolickim Kościołem. Dlatego tak istotne znaczenie mają uwagi Malewskiej na temat roli i zadań Kościoła w rządzonej przez komunistów Polsce. Odrzucała ona stanowczo wizję Rzymu jako ostatniego azylu dla „zdetronizowanych przez rewolucję monarchów”; uważała za absurdalny obraz: „podniszczone sześciokonne karoce wszystkich głów koronowanych Europy jako ostatni obraz następcy Rybaka w przepowiedzianych dniach Antychrysta”. Przytoczmy wywód Malewskiej:

„Katolicyzm jest żywym organizmem. — Wszystko co życiodajne, co ma w sobie zdrowe soki, ten organizm zdolny jest przyswoić sobie, odnawiać się tym i wzrastać. Ktoś z Ojców Kościoła powiedział: 'Gdziekolwiek i z czyichkolwiek ust pada słowo prawdziwe, zawsze pochodzi od Ducha Świętego'. Zestawmy ten sąd z odmienną praktyką wszystkich walczących obozów ideologicznych świata, praktyką klasyfikowania prawdy w zależności od tej czy tamtej strony barykady czy granicy. Przyznajmy od razu, że i obóz katolicki nie zawsze wprowadzał w czyn słuszną zasadę. Ale ilekroć w ciągu dziejów wzdragał się przyjąć pokarm nowy, dlatego że pochodził z niechętniej mu firmy, ilekroć zaniedbał 'uczyć się i od nieprzyjaciela' — zapadał na bezwład i anemię. (...) Jeżeli z jaką teorią ustroju państwowego chrześcijaństwo na stałe jest związane, to z teorią Arystotelesa, przyswojoną przez myślicieli średniowiecznych, według której każdy ustrój jest dobry, o ile ma na celu dobro powszechne i rządzący kierują się dobrą wolą. Tylko te dwa punkty są zasadnicze: istotna troska o społeczeństwo, szczerza dobra wola (bo miłościwe zamiary ograniczające się tylko do mów i manifestów miały wszelkie ustroje od sułtanatu do narodowego socjalizmu).

Odchodzący z pola epigoni mieli niejednokrotnie pretensję do Kościoła, że nie chciał podzielić ich losu i że w różnych czasach i stronach świata nie życzył sobie zamknąć się w Okopach św. Trójcy, by z jakimś hr. Henrykiem upajać się romantyzmem bez-

nadziejnej walki na straconym posterunku. Ostatnio rojaliści francuscy zgłaszali tego rodzaju gorzkie pretensje do Kościoła (de la Vareude).

Ale słowa Chrystusa „niechaj umarli grzebią umarłych swoich” — także nie były „elegantkie”.

O wiele częściej jednak spotykały Kościół zarzuty z przeciwnej strony: zarzuty zacofania i upartego wstecznicstwa, które tylko siłą oportunistów wlecze się za pochodem dziejów. Kościół jednak ma na swoim rachunku największą rewolucję w historii: spowodowaną przez dwunastu rybaków w najpotężniejszym mocarstwie starożytności. (...) W skali chrześcijańskiego widzenia świata najpotężniejszymi i najdonioślejszymi przewrotami są te, które się dzieją nieustannie i wszędzie: wciąż odnawiające się dzieje piejącego kura, Samarytanina studni Jakubowej czy dobrego łotra.

W normalnym biegu życia narodów Kościół bierze udział tylko prostując go i naprowadzając ku wiecznie żywym, a nigdy w pełni przez zbiorowość nie osiąganym celom. Jest tym zakwasem ewangelicznym i jako taki miesza się do mąki, której skład wcale niekoniecznie musi mu odpowiadać. Często postępuje tak, jak w czasach niemowlęcych chrześcijańskiego świata Zachodu: nie mogąc wprowadzić całkowitego pokoju, narzucił barbarzyńcom *treuga Dei*, rozejm Boży przynajmniej na trzy dni w tygodniu. (...) Wszystkie herezje wyrzucały Kościołowi tego rodzaju postępowanie jako haniebnym kompromis. Najkonsekwentniejszy odłam reformacji, purytanie, żądali, by religia odrzuciła wszystko co ludzkie, nie boskie: teologię, sztukę, śpiew, prawa kanoniczne, hierarchię. Nasi arianie odpasali miecz. (...) Kościół niezłomnie bronił stanowiska zasadniczej dobroci i uprawianej pełni natury ludzkiej. (...) Dlatego jedynie te formy współżycia ludzkiego spotkały się z jego nieubłaganym i nieodwołalnym potępieniem, które wykrzywiały lub okaleczały naturę ludzką”.

Powyższy wywód miał charakter programowy: Malewska nie chciała widzieć Kościoła w charakterze obrońcy Okopów św. Trójcy i nieodstępного towarzysza hr. Henryka. W jej ujęciu Kościół — wieczny i ponadpolityczny — miał podjąć wyzwanie nadchodzącego czasu na innym planie, w innym wymiarze. Bo wiem to co się działo w Polsce i tej części świata przerastało wymiar polityczny, było wielkim przekształceniem cywilizacyjnym. Spoglądając na walenie się starych struktur państwowych i ustrojowych, oglądając zdrady, przemoc, ludzkie zagubienie, Malewska nieustannie szukała klucza do zrozumienia, jak przemija postać świata.



### III

Zaczyna się ta powieść zmiennym obrazem: Teodoryk, wódz Gotów, podbija Italię rządzoną przez Odoakra, wodza Skirów. Italczyki są już tylko przedmiotem; podmiotami w walce o władzę nad apenińskim butem są barbarzyńscy książęta. Teodoryk rozpoczyna swe rządy od wiarołomnego paktu: po zawarciu porozumienia, podczas uroczystej uczty, morduje Odoakra. Dla ówczesnego czytelnika ten obraz — można domniemywać — był sygnałem nader wyraźnym: w ten sam sposób sowiecki generał Czernichowski zakończył swe porozumienie z wileńską AK po wspólnym wyzwoleniu Wilna z rąk hitlerowskich.

Epoka Kasjodora — pisze Malewska — „nie miała własnego głosu, wciąż była echem tego, co przeszło, a wydawało się trwać, albowiem trwanie Imperium Romanum — choćby podobne mdłemu żywotowi na Polach Elizejskich — było równoznaczne z trwaniem świata. (...) Te dziwne, przemieszane i pstre masy nie miały też własnego, swoistego kształtu”. Słowa te mógłby napisać również bohater „Guseł”, choć książka Malewskiej jest powieścią historyczną, a nie esejem kostiumowo-aluzyjnym. Jednak pytania, które Malewska stawia materiałowi historycznemu są całkowicie współczesne: są pytaniami jej czasu. Kasjodor i św. Benedykt, Boecjusz i Artemidor zmagają się z problemami, na które szukali odpowiedzi Polacy epoki powojennej. Ten umierający świat, od wierzchołków władzy po zbiegłych niewolników, świat pełen krwi i łez, cierpienia i niepokoju, wierności i zdrady, ten świat widziany od strony człowieczego dramatu — jest zadziwiająco współczesny. Oto Teodoryk, król Italii owładnięty pod koniec życia strachem przed bizantyjskimi intrygami, więzi papieża, nakazuje zamknięcie kościołów katolickich, skazuje na śmierć Boecjusza i Symmachusa, pierwszych rzymskich obywateli. Kasjodor, jego lojalny minister, zastanawia się: dlaczego Teodoryk tak postąpił? Dręczy go to, Rzymianina z Rzymian, który zdecydował się służyć godnemu królowi w oparciu o proste rozumowanie: „Gdy Alaryk z Wizygotami oblegał Rzym, zapytał go senat w trwodze: „kogo żądacie?” — „Gaivalos” — odpowiedział w swojej mowie — „Wszystkich dusz”. Król Teodoryk właśnie nie zażądał „naszych dusz”.

„Nie zażądał dusz” — to znaczy: tolerował tradycję, religię, obyczaj, co zapewniało państwu wewnętrzny pokój. I oto depce to wszystko, sięga po dusze: dlaczego? Artemidor, inteligentny i cyniczny Grek pozostający na służbie Teodoryka, wyjaśnił mu: „Dlatego i po to, Kasjodorze, żeby Bizancjum miało nową strawę

z męczennika i ostatniego rzymskiego patrycjusza. (...) Do tego doprowadzi Teodorykowy lęk, szczyt przezorności”.

Zatem Teodoryk działał pod wpływem strachu. On także... Bowiem strach jest wszechobecnym władcą ludzi w tej epoce przełomu. Patrząc na twarz księcia barbarzyńskiego, wielokrotnego zdrajcy, biskup Epifaniusz myślał: „Czyż strach nie był najcięższą, bo bez granic, kaźnią, diabelską także pokusą dla słabego i drapieżnego i godnego współczucia odkupionego tworu Bożego? Tym bardziej jeśli był to strach samotny i przytajony, jak lęk tego zdrajcy”.

Dworacy Teodoryka zaszeptali — bo przestano mówić głośno — o „groźącej niełasce”. Kasjodor „całą skórą zaczął wyczuwać nagłą aurę strachu, jaką powiało na dworze. Sam zbyt mało był podatny na tę chorobę, aby wcześniej dostrzec symptomy”. A były one proste — „dworacki tłum odsuwający się” od Boecjusza jak na komendę, „niby liktorzy przechodzący do nowego nominata”.

Kasjodor, na wieść o śmierci Boecjusza („skronie zmiążdżono mu łańcuchem — tak mówią w zamku; a inni mówią, że konsularnego męża zatłuczono pałkami”) wpadł w rozpaczliwy, nierozumny gniew — na siebie i świat. Bał się wyjść na spotkanie żony Boecjusza. Ale przemógł się: „Wstał. Bo zobaczył, czym mu grozi taka litość, taki gniew i słabość — to się kończy ślepym strachem”.

Dzień później spotkał Artemidora. — „Chodźmy do mnie, u mnie jeszcze nie podsłuchują i najzagorzalszy ogar wie, że nie mieszam się do niczego — podniósł głos, jakby z przeznaczeniem dla uszu za kotarami. Beztroski Artemidor, stary przyjaciel królewski, i on uległ zarazie lęku...”.

Boją się wszyscy. W oczach Teodoryka dostrzegł Kasjodor „niesamowity upiór lęku”. Wspaniale opowiada Malewska o strachu: klasyfikuje, charakteryzuje, opisuje. Wie, że strach jest trucizną, ale wie też, że nie bierze się z powietrza. Prokopiusz z Cezarei wie przed czym drży z lęku, wie co go czeka, gdy jego „Historia sekretna” wypadnie w niepowołane ręce. Wtedy nie pomogą już żadni świadkowie, „bo czegoż nie odwoła człowiek rozciągnięty na torturze?”.

Greki Chromatias, były niewolnik, jeden z najbliższych ludzi króla Teodahada, miał „służbę, konie, apartament w pałacu i łożę w pobliżu króla. Był ponad wszelkimi podejrzeniami. Mimo to jego coraz częstsze kurcze żołądka (kłopot w oficjalnych okolicznościach) wyraźnie płynęły z zamętu myśli i uczuć podobnych do strachu. (...) Katorżnik Chromatias, który przeżył na Sardynii

dwadzieścia lat (co było większą sztuką, a może i większym łaždactwem niż wszystkie jego aprowizacyjne interesy), doprawdy popadł w oszołomienie wobec tego, co ujrzał i co jeszcze przeczuwał na dworze w Rawennie. Cóż, może zestarzał się, wyszedł z wprawy — dość, że zamiast nurkować jak żaba w ścieku (...). Czy nie znalazł się przypadkiem wśród zbrojnych, swobodnych i potężnych — wariatów? (...) Strach? Czy ze strachu robi się rzeczy szalone? (Strach Chromatiasa objawiał się zawsze chęcią ukrycia się za kotarą lub nawet wpełznięcia pod kanapę). Jeśli Artemidor oskarżał nowego króla o brak filozofii, to praktyczny Chromatias wręcz o brak piątej klepki. (...) Tego rodzaju myśli jak ostatnia niepokoily czasem Chromatiasa i o własną poczytalność. Eks-katorżnik przeżył wszystko najgorsze w życiu, ale lęk jest jedyną studnią pozbawioną dna”.

Strach ogarnął nawet pierwszych rzymskich obywateli. Kasjodor, przybывая w misji poselskiej do Rzymu zajętego przez Belizariusza, „wstąpił w portyk i dojrawszy przez drzwi garść senatorów, rozsypaną wśród pustych krzesel, pochylił głowę. Ci ludzie nie zmylili by już nawet ślepych źrenic przodka, Apiusza Klaudiusza — lęk, nędza, niepewność biją od nich jak zapach brudu. Ukradkowe spojrzenie: Czy poznać Kasjodora? Czy powitać? Korna, spodłala nadzieja...”.

Jak zmierzyć się z tym strachem? Malewska śledzi trzy różne odpowiedzi: Boecjusza, Kasjodora, św. Benedykta. Boecjusz otwarcie stawia czoła strachowi. Podejmuje opozycję. On, minister na dworze Teodoryka, Rzymianin z Rzymian, „konar pnia, którego pyszne Bizancjum jest tylko późnym, wysilonym kwiatem”, miał świadomość upadku swej ojczyzny. Jego rozmowa z Kasjodorem należy do najświetniejszych fragmentów powieści Malewskiej. Mówił Boecjusz do Kasjodora:

„— Czy myślisz, że jestem ślepy, Kasjodorze? Zaslepiony? i że wierzę — ot, chociażby w nasze widowiska noworoczne? (...) Senat, urzędy rzymskie... Histriony na teatrze! Powiesz może: kukły warte swojego losu — honorowane, płatne? Masz rację... Jakim prawem noszą wielkie nazwiska? O czym myślą, czym żyją?... *Senatus populusque!*... Pracujemy w cyrkach.

Jak zapaśnik uderzony w serce Kasjodor nie mógł wyrzec słowa. Oto dziś jeszcze jedną i największą niespodziankę sprawił mu człowiek, którego — zdawało mu się — znał. Kolumna Marka Aurelego jak ktoś trzeci zaciążyła nad nimi, niedosiężnie wysoka w nużącym świetle. Więc dla niego to wszystko nie jest ani dumnym wspomnieniem, ani godną codziennością, ale czymś jak nieustająca sromota?

— Boecjusz — przemówił wreszcie, prawie z pokorą. — Cóż możecie zrobić: ty, Symmach, nawet gdyby was było paru więcej jeszcze? Bądźcie tylko sobą. — Odetchnął głębiej. Pewność, że widzi jasno, przywróciła mu wymowę. — Italia i Rzym, Boecjusz, są przecież rządzone, i to jak można najlepiej, wedle sumienia to mówię. Senat niech sobie deklaruje. A ty! Ty masz przecież szlak wytknięty... (...)

— Urodziłem się, Kasjodorze, Rzymianinem.

— Rzym jest szczególnie miejscem. Powiedziałbym — niebezpiecznym...

— Może. Lecz i Platona także nie czyta się bezkarnie. Wiesz, co on wkłada na barki filozofów, Kasjodorze? Aby się stali oczyma ślepych, laską chromych. Nie mogą być tylko księgami.

W tę noc na Kasjodora spadły jedna po drugiej niespodziewane pewności. Oto ów człowiek wspaniałego umysłu stojący przed nim — zdolny jest bardzo się mylić. Na ścieżce ministrów, na pograniczu tego, co trzeba, i tego, co niepodobne. Tu nie może on, nie wolno mu, do licha, szybować prostą linią ptaka jak w przestrzenie filozofii. (...)

Polityka u was, w Rzymie... — zaczął i przerwał.

— ... Sam przyznasz, Kasjodorze, że senatowi rzymskiemu wolno jeszcze popełniać czasem (...) pomyłki. Nieco dawniej byliśmy tutaj niż Goci.

— Sam mówiłeś przed chwilą, że to spodłałe histriony.

— Senatorowie tak. Senat nie.

Platońskie idee senatu, obywatelstwa... Cóż można odrzec?"

Wierząc w owo przesłanie rzymskiej tradycji, Boecjusz otwarcie sprzeciwił się Teodorykowi. Wystąpił w obronie oskarżonego o spisek senatora: „Z jakąż wielkodusznością — wspominał później Kasjodor — Boecjusz wystąpił, z jaką prawdziwie pańską i rzymską swobodą dumną (...). Nic nie zmuszało go, by tak właśnie postąpić i obarczyć się — jakkolwiek retorycznie — współwiną: wyjść samotnie i bez wyzwania na arenę. To było piękne, w starym rzymskim stylu”. „Nie jesteśmy w Bizancjum! Ani w Persji — powtarzał sobie Kasjodor — a Boecjusz nie zgrzeszył zdradą. (...) Zgrzeszył wiernością, dla cieniów może, ale wiernością”.

Za to zapłacił głową. A skazał go na śmierć — z polecenia Teodoryka — ów senat rzymski, w obronie którego Boecjusz wystąpił. „W godzinę jednomyślnie uznali go winnym zdrady stanu. (...) Bez przesłuchania, wbrew prawom Boskim i ludzkim”. A przecież — myślał z goryczą Kasjodor — „wszyscy razem nie

mogli stracić głów, nawet dóbr, lecz wszystkich powalił na kolana ślepy strach przed władzą”. I powiedział do Symmachu, teścia Boecjusza, który sam czekał na więzienie: „Rzymu już nie ma, Symmachu”. — „Jest: w Boecjuszu” — odrzekł mu Symmach. Właśnie spodlenie rzymskiego senatu było dlań najważniejszym argumentem: „Właśnie dla tego ktoś musiał tak postąpić jak Boecjusz: wyjść naprzeciw i niech się dzieje, co chce”. Na to Kasjodor: „To barbarzyńcy tylko, nie Rzymianie, z chlubą znoszą przegraną śmierć...”.

Śmierć Boecjusza stawiała przed Kasjodorem z całą brutalnością problem sensu jego wierności Teodorykowi, sensu jego postępowania opartego na wierze w wyższość *civilitas* nad nienawiścią. Widział Kasjodor, jak „jego własne imię, jego sława chyła się oto z dnia na dzień ku topieli. Niesława w oczach Gotów; bo któż pierwszy naruszył pakt?... Gorsza może w oczach Rzymian: być teraz gockim ministrem...”. Zastanawiał się, kto miał rację: on, trwający przy Teodoryku, czy Boecjusz, podążający ku śmierci, „jeszcze czystszy, dumniejszy, byle nie ugiąć posągowego czoła, niech wali się świat!”. Dla Artemidora sprawa Boecjusza była jasna: „Niektórych filozofów należałoby przywiązać za ręce i nogi — tłumaczył Kasjodorowi — w tylnym *cubiculum*, jak wariatów z dobrej rodziny... Bo popatrz tylko, *domine*, czy nie zanosi się tu na jedną z tych arcyłudzkich awantur, przewracających wszystko do góry nogami, nie wiadomo jak, *cui bono*, dlaczego? Szlachetny partacz, szkodnik, najpierw wyjdzie na zbrodniarza, potem zaś na świętego męczennika. Najgorszy przekładaniec (...).

Kasjodor milczał. Ten tu mędrak i dworak do pięć Boecjuszowi nie dorósł. Może ma nawet po swojemu rację — po dworsku, po bizantyńsku...”.

Artemidor bał się i powtarzał sam sobie: „Cóż, trzeba żyć jak wybraleś, Artemidorze. Nie chcesz być — hm, Boecjuszem. Ani też męczennikiem na arenie, ani gladiatorem. Gladiatorowie znikli z piasku niedługo po męczennikach. Ale ot, Severinus Boecjusz był i zginął w naszych czasach. — Ja zawsze jednak wiedziałem, że nie chcę być Boecjuszem”.

Racje Kasjodora — rzecz prosta — były odmienne. Różnił się od Boecjusza wyborem innej strategii, a nie odmiennym systemem wartości. Uważał, że jako minister Teodoryka i jego następców więcej będzie mógł dla tych wartości uczynić. Ale i on przegrał: wśród intryg, zdrad i mordów upadło królestwo Gotów pod naporem Bizancjum. Dzieło życia Kasjodora rozpadło się doszczętnie. Któż więc miał rację: Boecjusz czy Kasjodor?

Malewska nie udziela na to pytanie jednoznacznej odpowiedzi. Uznaje racje moralne Boecjusza, ale i racje Kasjodora; gotowa jest uznać racje wszystkich, także Gotów i ludzi Bizancjum, pod jednym wszakże warunkiem. W działaniach tych ludzi, w ich motywach i czynach dostrzec musi świadomie wpisana chęć uznawania wyższych racji: Bożych. Zwieńczeniem tych racji jest Benedykt, twórca nowej reguły zakonnej; Benedykt-mnich zmywający z ludzi piętno niewoli, zespalaający w sobie godność z miłosierdziem, otwierający każdego człowieka na posłanie Chrystusa. Ale nawet drogi Benedykta nie przedstawia pisarka jako jedynie słusznej. Uznaje wielość dobrych dróg, ale nad każdą z nich, nad Boecjuszem i Kasjodorem, nad Symmachem i Benedyktem, nad królem Gotów Totilą i wodzem Bizancjum eunuchem Narsesem, zakreśla znak Krzyża. „Znak — powiada Malewska — który od ludzi ostatnich, zhańbionych, umarłych śmie domagać się niemożliwości”.

Nie wszyscy wszakże podążali za tym znakiem. Oto referendarz Cyprian, oskarżyciel Boecjusza: „Szedł, jak wszyscy, do jakiegoś celu. Do godności i dóbr po więzieniu? Czy też szedł gnany strachem, że się spóźni, że chybi, że nie dogodzi? Jego rzymska twarz nie zdradzała nic z tego, a kroki równo stukały po bruku, jakby były mierzone krokami gońca”. Znak Krzyża był przeciw Cyprianowi i jego czasom; tym czasom, które — myślał Kasjodor — „obtłukują nas jak rzemieślnik kamień”. Ten znak był jedyną busolą Kasjodora, któremu los nie oszczędził klęsk i upokorzeń. Służył Teodorykowi, gdy ten w obłędzie strachu zgładził Boecjusza, służył jego następcy, Teodahadowi, mordercy Teodorykowej córki, którym pogardzał. „A jednak służył nadal Teodahadowi. I — rzecz dziwna — coraz mniej go to osobiście kosztowało. Sprawa stała się prosta. Nic już swojego nie miał w tej służbie oprócz pewności, że nie można inaczej. Jego własną sławę i przywiązanie, zasługi i uczucia — wszystko Bóg zabrał w sposób tak niepojęty, że nie śmiał go nawet roztrząsać”. Jedno wszakże wiedział; „cokolwiek się zdarzy, on zawsze zacznie na nowo”. To zbliżyło go z papieżem Agapetem. „Omawiali plany wielkiej szkoły i biblioteki w Rzymie, na którą Agapet oddał zaraz swój rodzinny dom na Caelius. — To przetrwa — mówił minister — chrześcijańska akademія, jakiej nie ma cały Zachód, pod pieczęą twojej, Apostolski Ojczy, stolicy”.

Tej filozofii był wierny aż do śmierci — wierność, tak rzadka w epoce przełomu, była wielką cnotą Kasjodora. Szanował go za to papież Agapet. Gdy jeden z książąt Kościoła, zwolennik porozumienia z Bizancjum przeciw Gotom, zarzucił Kasjodorowi,

że „Jego Dostojność służy wiernie doczesności, a nawet tymczasowości, w osobach gockich naszych monarchów”, papież Agapet odrzekł: „— Czyż chcecie, żeby i on zdradzał? Za wiele już mamy zrad. Każda zdrada to bardzo ciężki grzech!”.

To przypomnienie prawdy fundamentalnej przeciw prawdom wątpliwym i skażonym koniunkturą jest dla rozumowania Malewskiej zasadnicze. Kasjodor, bohater jej powieści, znajdował się w sytuacji tak rozpaczliwej, jak cała Italia. Gdy dobiegały „echa trąb marszowych Belizariusza”, dla wielu „brzmiały jak trąby jerychońskie”. „Cała Italia miała teraz do wyboru: wyglądać zguby mordercy-tyrana czy też lękać się zdobywców”. Potem zaś „Italia była znowu jak człowiek rozpięty na torturach, który nie może ani żyć, ani umrzeć”. W tym świecie trudno było o nadzieję — Kasjodor jednak znajdował ją: gromadził księgi. I nie przestawał myśleć; wciąż starał się w tym wielkim zamęciu dziejowym, wśród rozchwiania struktur i więzi międzyludzkich dostrzec i inne aspekty, ziarna czegoś lepszego... Już będąc starcem, mnichem, odkrył, „że jednak jest olbrzymia nowość nawet w brutyjskim zaścianku. Bo on sam przed wielu laty oddając ziemię wyrzekł, a raczej wyczytał z kościelnego 'Decretale', że 'nie przystoi niewola wyzwolonym przez Chrystusa, w Jego oczach bowiem wszyscy są równi' — i odtąd każdy człowiek na tej roli jest wolny, po raz pierwszy od tysiąca czy więcej lat”.

Kasjodor Malewskiej doceniał to w niemiejszym stopniu niż Lucjusz z „Guseł”, choć patrzył na to innym okiem. Wiedział: „Longobardowie coraz bliżej... Ale lud zawsze przetrwa, po prostu nie może go wykorzenić ze szczętem ani wojna, ani nawet 'Święte państwo’”. Triumf „świętego państwa” nie był dla niego jednak wynikiem „konieczności dziejowych”, lecz efektem przemocy. Bał się „świętych” wzorców despotyzmu opartego na kłamstwie, bał się trwałego przeniesienia tej zarazy do Italii. Dlatego nie zgodził się na fałszywe kultury fałszywych męczenników — bronił prawdy nawet wbrew swemu otoczeniu, bowiem „gdy nawet ludzie z nauką nie cenią już prawdy, najzwyczajszej, małej prawdy, umiera cywilizacja”.

„Kasjodor — pisała Malewska w eseju „Budowniczy wśród ruin” — przez czterdzieści lat był sternikiem państwa. (...) Przez długie i pomyślne dla całego kraju lata (...) budował państwo Italię, oparte na prawie i kulturze rzymskiej, a chronione mieczem Gotów. (...) Ukochane słowo — hasło Kasjodora, *civilitas*, zdawało się znów, po klęskach poprzednich, nabierać w Italii barwy

i życia. Próżne nadzieje. (...) Szybkie zwyrodnienie zdobywców i niewczesne pretensje Bizancjum, niedojrzała przyszłość i skostniała przeszłość sprowadziły na Italię najgorszy z dotychczasowych kataklizmów. Zrobiwszy wszystko, co mógł jako mąż stanu i nic nie osiągnąwszy, świadek ostatnich ponurych, krwawych lat Teodoryka, a później niesławnego końca jego dynastii, Kasjodor odszedł na zawsze od spraw państwa, stworzył dom klasztorny na swoich pięknych ziemiach w Apulii i tam, z największym zadowoleniem pełniąc porządkowe funkcje w rodzaju czyszczenia lamp, jednocześnie uczył niezmordowanie braci, licznie napływających, wszystkiego, co sam umiał z mądrości starożytnej, także najzupełniej świeckiej. A nade wszystko spisywał podręczniki, z których korzystać miały szkoły klasztorne i katedralne przez całe średniowiecze. Wreszcie, coraz bardziej świadomego powszechnie barbarzyństwa, mając lat dziewięćdziesiąt i trzy napisał dla braci 'Ortografię'. Wzruszający i piękny ostatni czyn sługi Bożego i sługi *civilitatis*'.

Temuż to słudze Bożemu i słudze *civilitatis* każe Malewska pod koniec życia znów wracać pamięcią do Boecjusza. Znów czytał Boecjuszowe słowa: „Śmierć pogardza wyniosłą sławą...”. „Nawet za życia Boecjusz nie był mu tak bliski jak w swojej więziennej księdze. (...) Wiersze biegiły niby sztafeta z pochodniami do ojczyzny.

... Wspólna ojczyzna, choć ty byłeś tam księciem, a ja sługą. Tak piękna Ojczyzna Mędrców, że okazuje się przedsięwzięciem Królestwa.

Jedynym przedsięwzięciem Boga, w którym stary „brat świecki” Kasjodor w połatanej kukulli — naprawdę czuł się jak w domu.

Ale był dzisiaj w tym pałacu sam zupełnie...

Jak Boecjusz był sam w lochu. Zgniła fosa i chropawy ślepy mur z poczerniałej, stopionej w jedno cegły. Jeśli wtenczas Kasjodor przenikał ów mur, to tylko odgadując poníženie i ból skażenka, daremność kłęski. Ale od kiedy zdobył tę księgę (i przepisał ją kilka razy), odsłaniać mu się zaczęło coś zgoła innego: coś jakby wyzwolenie Boecjusza, nie tylko z lochu, ale i z własnej natury — ba, nawet z tak kochanej „złotej miary” przodków: przekroczenie progu wolności, jakiej nie znał nawet Brutus; mądrości, co ochrzciła całą mądrość pogan; harmonii, w której nawet zgrzyt topora katowskiego może współbrzmieć z wierszami.

Inaczej zgoła zwyciężył Severinus Boecjusz, niż myślał przez całe życie.



Może my wszyscy — ktokolwiek z nas w czymkolwiek zwycięża na tym świecie — zwyciężamy i n a c z e j ? Taka była ostatnia zmącona myśl Kasjodora...”.



Komentując swoją książkę („Stosunek twórców do antyku” — Wypowiedź w ankiecie *Meandra*) Malewska napisała: „To, co usiłuję pokazać w 'Przemija postać świata' na tle ówczesnego, wyjątkowo tragicznego splotu wypadków politycznych, są to właściwie już szczątki ładu i dorobku antycznego i walą się jego ruiny, zamierają przeżytki, wynaturza się ostatecznie to, co zdegenerowane. (...) Wiek wielkiej twórczości dawno przeminął, teraz przestano rozumieć nawet kontynuację. A jednak sama nawet krótkowzroczność ówczesnych ludzi, ich złudzenia i zaślepienia w jakiś krańcowy, paradoksalny sposób uwydatniają wielkość stawki, o którą najlepsi z nich walczą. Bo o to chodzi, że nie jest celem prawdziwym zwykły konserwatyzm i kontynuacja, lecz przeszczepienie istotnej treści *romanitatis*, jak wówczas mówiono, na zupełnie nowe formacje polityczne i społeczne. Klęski i zwycięstwa tego czasu są wyjątkowo jasnym zwierciadłem rzeczy trwałych i nietrwałych. (...) Nie sama sprawa cywilizacji greckorzymskiej wchodzi tu w grę, ani 'rzymskości' chrześcijaństwa podejmującego dziedzictwo, ani odrębnej cywilizacji bizantyńskiej — ale sprawa człowieka na jednym z wielkich zakrętów jego dziejów. Sprawa przełomów i kontynuacji społecznych oraz ludzi najbardziej świadomych, jakim był w tej epoce Kasjodor. Epigon starczej cywilizacji bez geniuszu, ze strzępami lichymi wiedzy — tak skłonni bylibyśmy powiedzieć czytając jego pisma. A jednak zarazem człowiek jutra i dziedzic najlepszej *romanitatis*: jeśli weźmiemy pod uwagę, czego dokonał na starość po całym życiu porażek. Gdy przeczytałam (...), że ten eks-minister, erudyta w ówczesnym stylu i schyłkowo-elegancki poeta opracował mając lat dziewięćdziesiąt trzy ortografię dla swoich barbarzyńskich skrybów — wydało mi się to czynem tak pięknym i wzruszającym, że głównie z tego powodu, dla uczczenia i skomentowania takiej postawy powstała dwutomowa powieść”.

Zważmy: Malewska nakazuje Kasjodorowi rozwiązywać te same problemy, które Kula postawił przed Lucjuszem i Klaudiuszem. Wszyscy oni odpowiadają na sytuację k o ń c a p e w n e g o ś w i a t a, tak jak na tę sytuację odpowiadać musieli ich twórcy. Esej Kuli i powieść Malewskiej — czy to nie nazbyt odległa analogia? Powtórzmy przeto za Malewską: „Kto wie

— pisała na łamach *Meandra* — czy w tego rodzaju tematach — w obrazach różnych kolejnych 'końców świata', znanych z dziejów — nie odgrywa zawsze naczelnej roli przeświadczenie, że wartości nieprzemijające najplastyczniej i najmocniej występują w momentach kryzysów”.

#### IV

Cytowany esej „Budowniczy wieku ruin” — rzecz o papieżu Grzegorzu Pierwszym — powstał w 1951 roku; jest rówieśnikiem „Guseł” Kuli i pierwszych emigracyjnych wypowiedzi Miłozsza. Ten esej jest chronologiczną kontynuacją dziejów upadku Rzymu i jest też kontynuacją refleksji o ludziach, którzy przełomowi barbarzyńskiemu (*barbaricum tempus* — pisał często Grzegorz — papież) stawiali czoła. Grzegorz powtórzył swą wczesną biografią drogę Kasjodora: senatorski syn, prefekt miasta Rzymu przywdział habit zakonny. Wśród wojny, płonących rękopisów i burzonych miast, niszczonej praworządności i rwących się nitek ciągłości kulturalnej wysoki dostojnik świecki wstąpił do zakonu, prawdopodobnie benedyktynów. „Poszedł tam — pisze Malewska — gdzie uczono, i jego też nauczo, sprostać wszystkim czasów. W owym wieku nadzwyczajnych klęsk widne było niezaslepienym oczom, że właśnie w klasztorach kształtowali się ludzie, którzy mogli więcej od innych; reguła żądała od nich, żeby mogli w s z y s t k o, czego po Bożemu będą chcieli”.

„Cechą tych czasów — czytamy dalej — było ogólne nieokiełznanie, rozpasanie. (...) Alboin longobardzki przepijał z czaszki wroga do swojej żony, która była tego wroga córką, i zginął z jej mściwej ręki. (...) Charaktery kruszały szybciej niż akwedukty. (...) Serwilizm podbitych szedł o lepsze ze zwyrodnieniem zwycięzców”. Emocja ukryta w tych słowach pozwala przypuszczać, że ich autorka nie tylko spodlałych senatorów rzymskich miała przed oczyma, ale i Lucjusza, dowodzącego konieczności dziejowych, i Klaudiusza, podążającego do Aleksandrii by fałszować księgi...

„Tam gdzie zapanowała reguła — kontynuuje Malewska — wykwiwały nieprawdopodobne oazy: pokoju, ładu, gościnności, dobrej wiary, skrzętnej pracy, piękna, nauki. Sam wygląd pól uprawnych klasztoru jego ogrodu, jego przytułków i szpitali stanowił najjaskrawszy kontrast z otoczeniem i z dzikim pustko-

wiem, z którego wszelki ślad dobrobytu stał najpierw nieludzki fiskalizm późnego cesarstwa, a potem najazdy. (...) Dzieło samotników, nastawionych na wieczność, o ileż trwalsze niż monarchie zdobywców. Człowiek wyzuty ze wszystkiego, zwłaszcza z własnej samowoli, był potężny. (...) Królestwo ośmiu błogosławieństw zdawało lepiej egzamin życia niż królestwa realistów”.

W tej diagnozie epoki ukryty jest program oporu. Grzegorz był realizatorem tego programu. Inaczej niż Kasjodor, o którym brak nawet wzmianki w pismach Grzegorza, papież był samoukiem. „Braki w jego wiadomościach — oceniał katolicki historyk — są zdumiewające”, choć mógł „z tym wszystkim być najbardziej uczonym człowiekiem w ówczesnym Rzymie”. To również było znamię epoki...

Grzegorz niedługo był zakonnikiem. Wnet został diakonem rzymskiego kościoła, potem legatem papieskim w Konstantynopolu. Po powrocie, gdy podczas zarazy zmarł papież Pelagiusz II, obwołano papieżem właśnie jego. Był to czas inwazji Longobardów.

Zbigniew Herbert tak o nich pisał:

(...)

*Pod paznokciami pod powieką*

*Grudki krwi obcej czarne i twarde jak kamień*

*Palenie świerków szczekanie konia popiół*

*Wieszają na urwiskach węża obok tarczy*

*Wyprostowani idą z północy bezsenni*

*Prawie ślepi kobiety nad ogniskami kołyszają czerwone dzieci*

*Ogromny chtëńd wieje od Longobardów*

*Cień ich trawę przeplata kiedy zlatują w dolinę*

*Krzycząc swoje przeciągłe nothing nothing nothing.*

(„Longobardowie”)

Podobnie Malewska: „Longobardowie mało byli podobni do poprzednich najezdników, poprzestających na jednej trzeciej ziemi, niby dawni *foederati*, i zachowujących pozory zależności od cesarstwa. Longobardowie zabierali wszystko, ludność zmieniali w poddanych, palili kościoły, mordowali mnichów. (...) Ci najdzikszy z barbarzyńców mieli ustrój plemienny oparty, jak w Sparcie, na nowym przydziale ziemi dla każdego dorastającego wojownika i o te ziemie stale walczyli. (...) Wszędzie tam, gdzie opór słabł,

Longobardowie wdzierali się natychmiast, jak wiecznie naciskająca sprężyna”.

„Longobardowie” z wiersza Herberta i eseju Malewskiej mają wiele wspólnych cech z „chrześcijanami” z „Guseł” Kuli.

Obrońcą miasta i faktyczną głową społeczności był biskup, chrześcijański biskup (bez cudzysłowu). „Wśród ogólnej ruiny — pisze Malewska — siłą rzeczy ukształtowała się ta rola świecka biskupów, z ich autorytetem religijnym, wiedzą wśród powszechnej ignorancji, środkami materialnymi. (...) Byli obrońcami, żywicielami, orędownikami, stróżami sprawiedliwości, byli wzorem i ostoją wiernych”. Model biskupa — to Epifaniusz, Pelagiusz, Sylweryusz z jej powieści.

Epifaniusz — niosący pomoc wszystkim potrzebującym — to dla Malewskiej wzór biskupiego posługiwania. „Nie było wielką polityką — zapisała w powieści — to, co robił biskup Epifaniusz: po prostu każdemu dochować uczciwie wiary, a wszelką słabość bronić przed przemocą”.

A oto Pelagiusz, zwolennik porozumienia z Bizancjum, do którego zwrócił się bizantyński wysłannik, by poświadczył, że papież Sylweryusz (Pelagiusz był mu niechętny...) to „człowiek Gotów” i chciał im otworzyć bramy miasta. Pelagiusz, relacjonując swoją odpowiedź, rzekł: „Odpowiedziałem, że choć w Kościele są różne partie, a ja należę istotnie do przeciwnej Sylweryuszowi, nie ma partii przeciwko Dziesięciorgu Przykazaniom”.

Bizancjum domagało się od papieża Sylweryusza by „przywrocił złożonego patriarchę-heretyka w Konstantynopolu”. Belizariusz wezwał papieża do swojej wojskowej kwatery. „Za pierwszym razem — opisuje Malewska — Sylweryusz przyszedł był z poręczeniem comesa i rozmawiali sam na sam. Belizariusz wyłożył jasno sprawę. — Nie chcecie — kończył — dla dogmatycznych subtelności (on, żołnierz, nie rozumie się na tym) narażać przez zuchwały opór powagi urzędu duchownego oraz własnej osoby”.

Sylweryusz poczerwieniał słuchając, po chwili jednak odpowiedział spokojnie: — Ja też mam Władcę, który mnie osądzi. — I nie dodawsz nic więcej wyszedł.

(...) Za drugim razem papież nie zażądał — nie śmiał może — poręczenia powrotu i wszedł równie blady jak siwizna jego brody, między dwoma mnichami antiocheńskimi ze świty Belizariusza; własny kler jego zatrzymano w przedsionku.

— Mamy dziesiątki doniesień, że chcieliście otworzyć Gotom Porta Asinaria — wyrzekł comes prędko, marszcząc brwi.

— A Cesarski Majestat mniema, że na biskupstwo mianował was po prostu Teodahad — wtrąciła Antonina. Belizariusz spostrzegł z niejaką przykrością, że nie podnosząc się z sofy czyści skórka paznokcie.

— Słowem: albo musicie zrzec się urzędu, albo przejednać Cesarskie Wieczności spełniając ich wolę.

— Słyszałem to już od was, dostojny panie. Ale Bóg zlecił Kościół Piotrowi, nie zaś monarchom.

— Czy to znaczy, że odmawiacie?

— Odmawiam. — Drżał jednak cały, kolano uderzało o kolano i Belizariusz podsunął mu krzesło.

— Nigdy nie widziałam podobnego zuchwalstwa — ozwała się Antonina, wciąż gładząc paznokcie.

— To nie widzieliście chyba katolickiego biskupa — rzekł Sylweryusz do comesa.

Wtedy dwaj mnisi podeszli, zdjęli starcowi paliusz, narzucili habit i postrzygać go jęli na mnicha.

Do kleru w przedśionku wyszedł kapłan Antoniny i oznajmił, że niegodny papież Sylweryusz zrzekł się urzędu i rozpoczął pokutę”.

Grzegorz, spadkobierca tych tradycji pasterskiej troski i pasterskiej nieugiętości, scharakteryzował własną wizję biskupiego posługiwania w liście o przyjacielu — mnichu wyniesionym na biskupstwo. „Powiedz mu, że musi odmienić duszę. — Pisał. — Niech mu się nie zdaje, że wolno mu poprzestać na czytaniu i modlitwie. Nie ma prawa być oderwany od wszystkiego i w spokoju. Musi przynosić owoce. Trzeba mu mieć szeroką rękę — *manus largum* — niech bieży do każdego w potrzebie, niech poczytuje cudzy niedostatek za własny, a jeśli taki nie będzie, na próżno nosi imię biskupa”. O sobie zaś pisał: „Albowiem, jak moje grzechy na to zasługują, zostałem biskupem nie tylko Rzymian, ale i tych Longobardów, którym obce jest wszelkie prawo, poza prawem miecza...”.

Te formuły były odpowiedzią Kościoła na czas przełomu. Mówiąc ściślej: były propozycją takiej odpowiedzi sformułowaną przez Hannę Malewską. Biskup miał żyć kłopotami swej społeczności, troską o najuboższych, dążeniem do złamania pogaństwa, „nie łamiąc przy tym i nie gwałcąc natury ludzkiej”. Społeczności dżeczonyj widnmem najazdu i zagłady potrzebny był jednolity i sprawny organizm kościelny — o to musiał troszczyć się biskup. Tu jednak otwierało się morze problemów: „państwo i polityka, szukające w nim podpory lub udzielające mu jej wzajemnie, wciąż zagrażały jego autonomii. A nie wolno mu było pod grozą

śmierci ześwieczać albo skostnieć. Musiał tworzyć żywą tkanę chrześcijańskiego współżycia i toczyć żywą krew łaski”.

Dbął o to Grzegorz rozumiejąc, „że jacy pasterze, taka będzie owczarnia”. Dlatego piętnował tych, co „szarpią podwładnych”, „sieją lęk”, „chcą być panami, a zapominają być ojcami, na tych stolicach, które wzniesiono jako siedziska pokory”; „zysków doczesnych szukają w godności, która winna być potępieniem wszelkich rachub świeckich!”. Ostrzegał też kapłanów, by „nie ubiegali się o pozyskanie miłości większej niż miłość dla prawdy”. Te wzory i przestrogi złożyły się — zdaniem pisarki — na model „wychowawcy Episkopatu”.

W trzecim roku pontyfikatu Grzegorza las „longobardzkich mieczów” zaświecił Rzymianom w oczy. Świadom bezbronności Italii, wyszedł poza mury miasta na osobiste spotkanie z longobardzkim królem. „Nie wiemy — pisze Malewska — co mu powiedział, ale historia zapisała krótko, że król Agilulf odstąpił od oblężenia Rzymu”. Było w tym coś z cudu: gdy ów władca Longobardów szedł na Rzym, papież powiedzieć miał w kazaniu do Rzymian: „Dwie rzeczy nade wszystko niepokoją mnie dziś, najdrożsi bracia, a to zawziętość i niejasność świętego tekstu oraz nowina, że król Agilulf przekroczył Pad, ażeby przyjść nas oblegać”. Agilulfa — przypomina Malewska — określał często w swych listach: „*nondicendus Agilulfusude* dający się nazwać po ludzku Agilulf!”.

Organizując Kościół i życie społeczności, szukając dróg do nawrócenia wszystkich, łącznie z Longobardami, broniąc Italii przed barbarzyńcami, a swą owczarnię przed upodleniem i nienawiścią, Grzegorz miał poczucie schyłkowości swej epoki, kresu swego świata. Mówił w swych kazaniach:

„Gdzie jest, powiada prorok Nachum, siedlisko lwów i żerowisko lwiat? Czy jej (Romy) wodzowie i księżęta nie byli jako lwy przebiegające krainy świata, by zawładnąć zdobyczą przez gwałt i mord? Tu było żerowisko lwiat, bo tu pacholeta i młodzieńcy, ludzie tego świata i synowie ludzi tego świata, zbiegali się zewsząd, by posiąść fortunę. Ach, dzisiaj nikt tu już nie spiesz w nadziei lepszego losu. (...) Wszyscy widzicie jak utrapienie nasze wzrasta. Wszędzie miecz, wszędzie śmierć. Jedni wracają do nas z obciążonymi rękami, by nam powiedzieć, że inni w więzach albo pomordowani. Trzeba mi zamilknąć, bo dusza moja znudzona jest życiem”.

„O świecie, s w o i m świecie — pisze Malewska — mówić jak o przegniłym i starym okręcie, którego niepodobna doprowadzić do przystani”. Widział klęski i przeczuwał następne.

Wszelako — przypomina pisarka — osądzał, że jego lud „potrafi patrzeć prawdzie w oczy nie tracąc odwagi”.

„Ten smutny człowiek — czytamy dalej — ten człowiek wyglądający łun Sądneho Dnia, jednocześnie dopatrywał się już w swoich czasach przepowiedzianego ostatecznego triumfu Kościoła. Te eschatologiczne wizje nie wpłynęły jednak na kształt codziennej powinności. „Sternik na przegniłym okręcie i obrońca walącego się domu, każdą chwilę życia, wydartą z bólem kontemplacji, poświęca właśnie ratowaniu społeczności chrześcijańskiej *hic et nunc*, z jej duszą i ciałem. Z dnia na dzień robi wszystko, co może, przez miłość i obowiązek. Po czym okazuje się, że budował na wieki”.

Powiadał, że nawrócenie grzesznika jest większym cudem niż wskrzeszenie umarłego; powiadał: „Uważajcie za rzecz niemożliwą podobać się jednocześnie Bogu i przewrotnym; powiadał: „długo znoszę cierpliwie, ale gdy raz postanowię nie znosić dłużej, przeciw niebezpieczeństwom wesół idę”.

„Do ostatniego tchu — powiada Malewska — czuwał Grzegorz nad wyższą harmonią w epoce, która była zarazem zbójecka i dekadenccka”.

## V

Temat „przełomu” był w owym czasie wciąż obecnym motywem pisarstwa Malewskiej. Przypomnijmy jeszcze dwa inne jej eseje z tego okresu: „Alfred Wielki w historii i legendzie” oraz „Święci z zielonej wyspy”. Oba te szkice są kolejnymi próbami rekonstrukcji odpowiedzi chrześcijanina na sytuację bez nadzieję.

Kolumbanus, irlandzki mnich, jeden ze „świętych z zielonej wyspy”, poświęcił się apostołstwu wśród Longobardów. Analizując surową regułę klasztorów powstałych z jego inspiracji i jej niezwykle surowe wymagania, Malewska szuka ich korzeni „w tym niezwykłym zapale i uniesieniu, które porывały ludzi ówczesnych, kazały im szukać takich samych ostateczności w służbie bożej, jakie otaczający ich, tragiczny i ponury świat przełomu ukazywał im w służbie zła i zniszczenia”. Te słowa napisane zostały w 1951 roku...

Otoczony Longobardami zewsząd, pisał Kolumbanus: „Bez przeciwników nie masz walki, a bez walki nie masz wieńca. Gdzie bój, tam odwaga, czujność, żarliwość, cierpliwość, wierność —

mądrość, stałość, roztropność. Bez boju nędza tylko i porażka. Tak więc nie masz wieńca bez boju. I dodam jeszcze: bez wolności nie masz godności”.

Pisał też: „Wolność przyrodzona memu plemieniu daje mi tę śmiałość. U nas nie wzgląd na osobę, ale na słuszność prze-waża”.

Te słowa miały wymiar współczesny — były nazwaniem dzieła Kościoła katolickiego w Polsce w chwili, gdy terror osiągał swój zenit. Taki też sens miało przypomnienie, że „mnisi dawali schronienie skazańcom i wdzierali się nawet na miejsce straceń, by wyrwać, by wybłagać ludzkiej, okrutnej i zawodnej sprawiedli-wości jeszcze jedną głowę”.

Alfred Wielki z kolei, władca chrześcijański Anglii z IX wieku, posłużył Malewskiej za punkt wyjścia do refleksji nad „conradowskim” etosem chrześcijańskiej odpowiedzi na „przełom”. Choć nazwisko Conrada nie pada w tym szkicu, to jednak chyba on jest patronem opowieści o świecie, który ceni „niesłuszność w klęsce, mroczną i wyniosłą walkę bez nadziei, uporną wierność wodzom i powołaniu wojownika”. „Myśl tym bardziej harda, serce tym ochotniejsze, animusz tym większy, im bardziej słabną siły” — te słowa starej pieśni rycerskiej Anglosasów dobrze ilustrują aurę wokół Alfreda. W tej aurze zdrada była postępkem niedopuszczalnym. „Gdzie pójdziemy, jeśli zdradzimy ciebie — bezpańscy, smutni na duchu, niewarci nic, bez wszelkiej mocy?” — tak mówią towarzysze Apostoła Andrzeja przed jego ostatnią wyprawą.

Gdy Normanowie podbili Anglię, a król Alfred musiał schronienia szukać na wysepce wśród bagien, te cnoty moralne stały się jego oparciem. „Niepodległa Anglia — powtarza Malewska za brytyjskim dziejopisem — to było wówczas tych kilkadziesiąt akrów ładu pośród moczarów i — sumienie Alfreda”. Bowiem Alfred kontynuował walkę, zebrał rozbite siły i wygrał wiele bitew z Normanami. Opór stawiany najeźdźcom („Normanowie byli to najgroźniejsi może wojownicy, jakich oglądała Europa, przeniknięci do szpiku (...) fanatyczną religią wojny”) miał — zdaniem pisarki — „decydujące znaczenie dla przyszłości chrześcijaństwa i kultury łacińskiej w Europie”. Powstrzymując barbarzyńców z północy, Alfred walczył „o więcej jeszcze, niż z ówczesnej perspektywy ktokolwiek mógł odgadnąć”.

Malewska opowiada obszernie o losach Alfreda i zastanawia się nad życiem wewnętrznym tego monarchy, a zarazem krzewiciela chrześcijańskiej kultury na wyspie. Jedną z jego ulubionych



lektur było „Pocieszenie filozofii” Boecjusza. Tłumacząc ten utwór na angielski, wtrącał gdzieś tam własne zdania. Oto jedno z nich: „Myślę, jak wszyscy chrześcijanie, że to Zrządzenie Boże włada światem, nie zaś Los”. O tę właśnie wiarę — cytuje Malewska królewskiego biografa — rozbili się Normanowie. „Żyć godnie” — powtarza pisarka z Alfredem. Takie jest zadanie na dzień dzisiejszy. Bowiernie nieprzypadkowo sięga pisarka po epokę Longobardów czy Normanów, nieprzypadkowo rekonstruuje motywy i sposoby rozumowania chrześcijan uwikłanych w sytuacje równie dramatyczne, jak jej własna sytuacja. Ona wciąż szuka odpowiedzi na główne pytanie swego czasu: jak bronić człowieka przed upodleniem, a kultury przed barbarzyństwem? I wciąż konstruuje replikę na wywody Lucjusza i Klaudiusza z „Guseł”, a także innych, którym poczucie przełomu przesłoniło wiedzę o normach moralnych. I wciąż opowiada się po stronie męstwa tych, którzy w milczeniu, jak bohaterowie Conrada, pozostają wierni tym kilku nadrzędnym wartościom, bez których życie traci swój smak. Cytowała powiedzenie Alfreda: „Jeśli masz się poskarżyć, nie użalaj się przed słabym, ale zwierż się łękowi swego siodła i dalej jedź, śpiewając”.

## VI

Eseje Hanny Malewskiej — można przyjąć takie założenie — swą konstrukcją i przesłaniem stanowią replikę na „Gusta” Witolda Kuli, choć nie są przecież polemiką, a głosem w rozmowie o najważniejszym problemie: jak stawić czoła totalitarno-barbarzyńskiemu przełomowi w kulturze; jaką postawę zająć wobec nowych władców, którzy jednym jawią się jako nowi „chrześcijanie”, a drugim jako nowi „Longobardowie”. Kasjodor i Boecjusz, Epifaniusz i Grzegorz, Kolumbanus i Alfred to różne przykłady odpowiedzi udzielanej przez chrześcijanina; ich przypomnienie to próba odwołania się do tych tradycji chrześcijaństwa, które uformowały sytuacje zagrożeń ostatecznych. Wszyscy ci ludzie, broniąc wartości elementarnych, ocalają zarazem — sami o tym nie wiedząc — wartości najbardziej długowieczne; ich czyny owocują w następnych, w spadkobiercach, którym przekazali — nie dając mu zagasnąć — chudy płomyk nadziei. Alfred ocalił Anglię, Grzegorz Kościół katolicki, Kasjodor ortografię. Każdy z nich dokonał więc dzieła historycznego, w skali stuleci, a realizować pragnął nie więcej niż wiarę w Boga Żywego i nakazy Dekalogu.

Każdy z nich znajdował się w sytuacjach po ludzku beznadziejnych, w obliczu klęski nieuniknionej, a przecież każdemu z nich wiara religijna pozwala wciąż zaczynać od nowa.

Henryk Elzenberg, zastanawiając się nad takimi sytuacjami, zanotował: „Nie ma poza mną potęgi, która by mnie w walce o dobro podtrzymała; nie ma gałązki, której by się można uchwycić. Zło panuje, cywilizacja chyli się ku upadkowi; przemoc rządzi światem; żadna niezłomność nie ostoi się wobec męki fizycznej, którą władni są nam zadać zbrodniarze kierujący sprawami ludzkości; świat jest dżunglą, a duch jest bezsilny”.

Ten obraz jest prawdziwy; jak sobie z tym poradzić? — zastanawia się Elzenberg. „Źródła są zbyt głębokie — pisze — zbyt jakieś absolutne, metafizyczne, by wysiłek woli, postanowienie miały tu coś do powiedzenia. Tu potrzeba przeobrażenia, transmutacji całej istoty: 'nie ten będzie twój rdzeń, tylko inny'. Potrzebne jest paulińskie 'zrzucenie starego Adama': piorun, który by człowieka spalił całego”.

Jednak w skromniejszym zakresie pomocny jest też pospolity, tradycyjny rachunek sumienia. „Nazywać błoto błotem, to już jest wielka łaska (...); nazwać zło złem, to jest postęp. Wielką ulgą i oczyszczeniem jest już sama jego obiektywizacja dana nam w słownym, określonym jego ujęciu: oto ten wróg, który był we mnie, złączony i zespolony z moją wolą, chcący przeze mnie, ukazuje mi się teraz poza mną, uchwytny, ograniczony. Widzę go, nazywam i mogę zwalczać. Ten ja, który w ten sposób przygwaźdza swe zło i potępia je, to już nie jest ten, który był z nim tożsamy. Potępiam: więc wierzę w dobro i nie jestem cały niewiarą. Potępiam swój egoizm, swą niechęć, swe zwątpienie: więc tkwi we mnie coś, co jest nietknięte egoizmem, niechęcią, zwątpieniem. Daleko stąd do przeobrażenia, ale się wstąpiło na drogę”.

Zestawienie sądu Malewskiej z opinią Elzenberga pozwala na interesujące porównanie dwóch odpowiedzi na sytuację beznadziejną: chrześcijańskiej i — powiedzmy za Kulą — „lukrecjuszowskiej”. Analogia jest zdumiewająca: w obliczu zła totalnego najważniejszy staje się nakaz rachunku sumienia i wierność prawdzie. Słowa Elzenberga są jakby wyjęte z kart książki Malewskiej: mógłby je wyrzec Boecjusz, Kasjodor, a może i św. Benedykt. Pewnie każdy z nich powiedziałby więcej, z tych stwierdzeń wyprowadziłby wnioski religijne. Wszelako wspólny jest tu etyczny fundament, który spotkanie ludzi tak odmiennych czyni możliwym. Wydaje się bowiem, że — choć ortodoksyjnie kato-

licka — jest przecież odpowiedź Hanny Malewskiej na przełom zarazem wielce nietradycyjna. Na tle potocznie funkcjonujących orientacji polskiego katolicyzmu eseistyka ta kryje w sobie projekt głębokiej rewizji modelu Kościoła, modelu biskupa, sposobu przeżywania religijności.

„Chrześcijaństwu — pisała Malewska polemizując z Camusem — niejednokrotnie już w historii myśli zarzucano, że jest wygodne. Nie stawiali jednak nigdy tego zarzutu ludzie, którzy zgłębili, choćby tylko teoretycznie, ale z chęcią zrozumienia — prawdziwe realizacje wiary, nadziei i braterstwa chrześcijańskiego, świętych i ich cierpienia. Te cierpienia, których dostarcza żywa, nie usypiająca i prawdziwa świadomość siebie — wyrzekająca się podpory stoickiej dumy. Bo tragiczna, nawet i samotna дума, szlachetna w tej mierze, że żywi się ciężarem niesionym, a nie sukcesami, jest chyba mniej bolesna i mniej trudna niż to, co widzą w sobie — i uznają, i nie zapominają — chrześcijanie oświeceni światłem, przy którym wszystko co mają i czym są okazuje się ciemnością. Pokora — prawdziwa, polegająca na uznaniu dostrzeganej rzeczywistości wewnętrznej (...) to siła i ostatecznie radość, ale na drodze do niej są iście czyścicowe cierpienia, tak nieuchronne w życiu mistyków”. Tak skonstruowany wizerunek chrześcijanina niewiele ma wspólnego z klasycznym, endeckim z ducha konterfektem „Polaka-katolika” z jego gromkim wyznawaniem miłości do „Boga i ojczyzny”, z jego zaściankową ciasnotą i niechęcią do obcoplemieńców. Katolicyzm Malewskiej ma oddech wielkiego uniwersalizmu chrześcijaństwa, a w swym centrum lokuje wartości prawdy i tolerancji. Tylko taki katolicyzm może podjąć skutecznie intelektualne wyzwanie swego czasu — dlatego Kościół postulowany przez Malewską daleki jest od triumfalizmu, wystrzega się udziału we władzy świeckiej, broni się przed wewnętrznym skostnieniem. Biskup katolicki — wzorem św. Marcina z Tours — unika zażyłości z możnymi, zaś nieuchronne kontakty z nimi winny mieć na celu obronę uciszonych, także heretyków, przed prześladowaniami. Kościół musi być z a w s z e ; musi być gotów do kompromisu, ale i do męczeństwa; musi chronić pokój, praw i obyczaju; musi być stróżem podmiotowości. Nade wszystko jednak Kościół winien być głosicielem prawa miłości, tak ważnego w życiu codziennym ludzi udręczonych terrorem i targanych przez zrozumiałe pragnienie odwetu.

„Kochaj i czyń, co chcesz” — powtarza Malewska za św. Augustynem. Drogą miłości — wyjaśniała — „właśnie dlatego, że proste jak tor pocisku, bywają bardzo dziwne wśród naszych spła-

tanych ścieżek (...); jej niewiarygodne zwycięstwa wprawiają w osłupienie ludzi małej wiary”. Bowiem „tylko miłość ma w życiu istotną cenę”, a „czas bez miłości jest prawdziwą pustynią”. Te słowa, wypowiedziane w 1950 roku, miały sens szczególny.

Wtedy też przypominała ludziom codziennie upokarzonym sens chrześcijańskiej pokory: „Pokora nie jest niczym więcej i niczym mniej jak prawdą w życiu”. „Jednym z wielkich, życiodajnych paradoksów chrześcijaństwa — dodawała — jest połączenie niezłomności i niezmienności zasad z największym dostępnym nam po luzdsku w y r o z u m i e n i e m poszczególnych sytuacji i ludzi”.

Stosunek do prawdy był dla niej najistotniejszym sprawdzianem idei i poczynań. Zastanawiając się w 1957 roku nad istotą stalinowskiego mechanizmu, zanotowała: „Profanacją prawdy i jej okaleczeniem jest narzucanie jej. A nawet chronienie takimi środkami, które zdradzają niewiarę w jej moc własną i takąż niewiarę zaszczepiają ludziom zarówno w własnego, jak i przeciwnego obozu. Czy będzie to niewiara w prawdę, czy w umysł ludzki, w praktyce wychodzi to na jedno. (...) Wierność prawdzie rodzi cześć dla niej. Na jakimś szczeblu oczyszczenia wierność i cześć wzdragają się przed jakimkolwiek przymusem. Narzucać prawdę, to nie tylko profanacja. To często zabójstwo samego pojęcia prawdy, już nie mówiąc o miłości do niej”.

Malewska przywołuje przykład z Dostojewskiego: „Geniusz Dostojewskiego stworzył wizję Wielkiego Inkwizytora niezdolnego już nie tylko wierzyć, ale widzieć na własne oczy o krok przed sobą Prawdą”. Wymowa tej legendy jest wielostronna, godząca we wszelkie totalitaryzmy, zarówno w piętnastowiecznych Torquemadów, jak w upiornych policjantów z koszmaru Orwella „Rok 1984”. Zdaniem Malewskiej, przesłanie tej legendy brzmi następująco: „W o l n o ś ć” jest samą istotą chrześcijaństwa, religii, związku człowieka z Bogiem. „Królestwo nie z tego świata’ polega na tym, że człowiek zawsze może i zawsze musi wybierać. Jego myśl i jego serce nie mogą być związane żadnym przymusem: ani oczywistości, ani bezpieczeństwa materialnego, ani władzy. Miłość nie może istnieć bez wolności, a wolność bez wyboru, a więc także ryzyka błędu. Ale wolność jest ciężarem. I Inkwizytor przedstawia siebie jako dobroczyńcę ludzi, skoro ich od tego ciężaru uwalnia, a ma zamiar, on i jemu podobni, uwolnić definitywnie. (...) Jest przedstawicielem pewnego błędu, który wciąż powraca w psychice ludzkiej i pojawiał się również w historii katolicyzmu.

Toteż, kiedy w szkicu Zygmunta Kubiaka — kontynuuje Małewska — czytamy, że źródłem nietolerancji jest niedostrzeżenie istotnych pytań i potrzeb ludzi, a nadawanie absolutnego bytu abstrakcjom, nasuwają mi się wątpliwości. Inkwizytor wierzy, że potrzebą i szczęściem słabych ludzi — czyli prawie wszystkich — jest zdjęcie z nich osobistej odpowiedzialności; wierzy, że daje im to szczęście. Natomiast zupełnie już nie wierzy w Prawdę, nawet kiedy ją widzi przed sobą. (...) Uleganie przymusowi i zadawanie przymusu zniszczyło w nim samo pojęcie Prawdy”.

Te jasne, mocne i piękne słowa mogły wyjść jedynie spod pióra człowieka, który dał im świadectwo własnym piórem i własnym życiem.

## VII

Jan Józef Szczepański, rekonstruując w jednym ze swych opowiadań argumenty redaktorów — nadzorców literatury z epoki stalinowskiej, zanotował następujące monologi: „Ludzie, którzy wezmą to do rąk, będą szukać w opowiadaniu nie tylko wiernego opisu faktów, ale i pokrzepienia, że fakty te nigdy się już więcej nie powtórzą. (...) Ten pański pesymizm wyczuwa się w każdym zdaniu. Stawia pan człowiekowi votum nieufności. A tego robić, mimo wszystko, nie ma pan prawa”.

Inny zaś redaktor objaśniał: „Piśmiennictwo ma teraz swoje zadania bojowe. Aktualne zadania do wypełnienia. (...) W ciągu ubiegłych osiemdziesięciu czy stu lat koncepcja pisarstwa zanar-chizowała się w samej swojej istocie, a człowiek parający się piórem zaczął rościć sobie nazbyt wybujałe pretensje. Teraz załamujemy ręce i wołamy, że chcą nas zaprząć, że stwarzają nam nienormalne warunki. Czyste nieporozumienie. Tamte dawne warunki były nienormalne. Ręczę panu, że odkąd istnieje literatura, okresy jej niezależności stanowią w czasie znikomą cząstkę. Właśnie zależność jest stanem normalnym. Robota na zamówienie. Przywrócono naszej pięknej sztuce jej charakter rzemiosła. Bo to jest rzemiosło jak każde inne, jak robienie mebli lub szycie butów. Tyle tylko, że trochę mniej uczciwe i trochę lepiej płatne. Ale skoro się z tego żyje, trzeba stosować się do wymagań. Ja, proszę pana, widzę mój zawodowy punkt honoru w tym, żeby rzetelnie wykonać obśtalunek. Żeby było dobrze zrobione, żeby język był bez skazy, konflikty rozwiązane prawidłowo. Nie

wmawiajmy sobie, że możemy zmienić świat naszym gadaniem. Minęły te czasy. Bądźmy skromni. Czy to mało, jeżeli potrafimy przez ten zamęt przenieść czystą, precyzyjną mowę?”

Powyższe przytoczenia stanowią właściwy kontekst dla zrelacjonowania też Hanny Malewskiej pomieszczonych w szkicu „O odpowiedzialności”, przeznaczonym do skonfiskowanej przez cenzurę książki zbiorowej „Rachunek pamięci” (pod redakcją Jerzego Kornackiego). Książka ta miała być rozrachunkiem polskich pisarzy z epoką stalinowską i — jak większość rozrachunków — ugrzęzła w cenzorskiej szufladzie.

„Dziwi mnie — pisała Malewska — a nawet żenuje tworząca się historia ‘etapów literatury powojennej’, która zdaje się składać całkowitą odpowiedzialność za poziom pisarstwa w Polsce na ciasnotę i nacisk zarządzeń”. Dla pisarza nie istnieją bowiem warunki „zabójcze”, natomiast pisarze mogą do trudnych okoliczności swego czasu dorastać lub nie dorastać. Pisarz — jeśli jest pisarzem — musi pozostać wierny sobie w każdej sytuacji. Natomiast wcale nie musi w każdej sytuacji publikować swych utworów. „Zaczerpięcie oddechu i ugorowanie, rekapitulacja i zbieranie materiału, wreszcie pisanie do szuflady, to wszystko jest też pisarstwem — do praktykowania w bardzo trudnych nawet warunkach”.

W okresie odwilży (a omawiany tekst powstał w lipcu 1956 roku) często cytowano formułę Pawła Hertza, który, replikując pisarzom oskarżającym administracyjnych nadzorców, powiedział: „Jeśli kol. Putrament zaleci mi wyskoczyć przez okno, a ja wyskoczę, to nie tylko kol. Putrament będzie winny, ale i ja będę winny”. Zdaniem Malewskiej „pisarz, jeśli posłuchał”, jest „bezw warunkowo winniejszy”.

„To, że tak wielu dojrzałych i świadomych ludzi pióra u nas postarało się zabić swoją rację istnienia osobistą i społeczną, był to widok równie deprymujący jak zdumiewający: tym bardziej, że nikt w dosłownym sensie im tego nie nakazał, a tak zwany „rewolwer przy skroni” w ich wypadku nie wchodził w ogóle w rachubę. (...) Skok przez okno jest tu trafną metaforą, bo pisarz popełnia samobójstwo słuchając administratora, albo w ogóle oglądając się na niego. A mam tu na myśli nie tylko strach przed jakimś większym czy mniejszym personalnikiem czy intendentem, owczy pęd, despotyczną abstrakcję, ale nawet administrujące drugie ja, które może przybierać te wszystkie pozory i zagłuszać prawdziwe ja pisarskie.

Ja pisarskie nie jest żadną konstrukcją, abstrakcją: kto jest

pisarzem, ten doskonale zna je osobiście; ale właśnie dlatego, że jest ono czymś żywym, można je niepostrzeżenie zabić. A wtedy jest to nie tylko rezygnacja życiowa (rzecz zawsze zła, jeśli nie uzasadniona wyborem czegoś lepszego), ale odstępstwo, po którym już wszystko inne staje się nieważne — jak po złamaniu kręgosłupa czy skoku z trzeciego piętra. Zdrada samego siebie i zdrada społeczna. W określeniu, że pisarz zdradza w ten sposób ufających mu czytelników i pozostawia próżnię społeczną w miejscu, gdzie on właśnie, nie kto inny, powinien się znajdować, nie ma żadnej przesady. A jeśli, przestając być pisarzem, pozostanie zręczny i umiętny w roli fałszerza, tym groźniej niszczyć będzie naturalne u ludzi zaufanie do słowa artystycznego. (...) Przed paru dziesiątkami lat mówiłoby się przede wszystkim o zdradzie sztuki. Dzisiaj rzuca się nam w oczy zdrada społeczna: nie tylko miejsce poszczególnych pisarzy, ale miejsce literatury opustoszało”.

Rozważając epokę „świeżo minioną”, Malewska zastrzegła się: „Zuchwale byłoby wyrokować o skomplikowanych osobistych motywach jednostki; zbędnie — rywalizować z Miłoszem w katalogowaniu zewnętrznych i wewnętrznych przyczyn wiodących do 'zniewolonego umysłu'. Lecz można sądzić (...), że przede wszystkim niedostatek pisarstwa przyniósł klęskę tylu pisarzom — czy raczej literatom. Mogą być pierwszorzędni literaci i drugorzędni pisarze. Z różnych powodów jakiś pisarz nie daje pełnej swej miary lub ma tę miarę skromną i ograniczoną — niemniej jest pisarzem, jeśli ta miara stanowi jedno z jego życiem, jeśli nie chce on i nie potrafi rozszczepiać się na dwóch ludzi, z których jeden urządza sobie życie, a drugi pisze. W przeciwnym razie jest literatem, zdolnym czasem pisać umiejętnie, i to nie tylko pod dyktando, bez przekonania, lecz również z przekonaniem, które administrator wewnętrzny wyrobił sobie pod wpływem okoliczności i stara się nim natchnąć własne pióro. Gdyby załamali się czy raczej przerachowali tylko tacy, właściwie byłaby to niewielka szkoda i raczej należałoby mówić o zginaniu się niż łamaniu. Ale najtragiczniejsze, prawie nie do pojęcia zjawisko, to że pisarze, nie literaci, dobrowolnie stawali się klientami owych 'Niebiańskich Zarośli', czy jak inaczej nazwać można luksusowy cmentarz premiowany przez Ministerstwo Kultury. Nie tylko poszli na deklaracje, w które nie wierzyli, nie będąc ludźmi skrajnie naiwnymi: to sprawa ich ludzka i obywatelska; dużo pisarzy w przeszłości pochlebiało dedykacjami władcom, a nawet drwiło ze skazańców. Nic w tym arcydziwnego. Ale inna i mniej licząca precedensów sprawa, to skazać lub uśmier-

cić własne utwory. Co do podpisów i dedykacji dużo w siebie można wmówić: od ślepej wiary aż do „ketmanu”. Ale tworząc pisarz nie może się w ten sposób mylić: wie kiedy tworzy, a kiedy fabrykuje. Wie też kiedy w żywą tkankę utworu pakuje coś martwego i zabójczego jak kawał żelaza. Twórczość nie znosi też targu. Nie asymiluje ani „ogólnych racji”, ani taktyki, ani dwulicowości. Trudno wyobrazić sobie pisarza, który by o tym nie wiedział i uśmiercał swój utwór w dobrej wierze.

I zapewne nie tylko dla mnie o wiele łatwiejsza do zrozumienia i strawienia była rozbieżność, sprzeczność kilku „flagowych wierszyków” i całego nurtu nienaruszonej twórczości, jaką widzieliśmy u jednego z największych i chyba najszerzej akceptowanego twórcy tych lat: cokolwiek inni lub on sam mógł sobie zarzucić, był poetą i tego nigdy nie oddał. „Niepojęta rzecz” — tak reagował niejedyn z nas, kiedy wzięwszy do ręki książkę kogoś będącego pisarzem i choćby przez to bliskim człowiekiem, znajdował w niej nie osłabienie, błąd, kicz nawet, co się zdarza najlepszym — ale szalbierstwo. Nieraz książkę zamykało się czym prędzej właśnie przez ludzki szacunek dla pisarza. I trzeba było sobie jakoś odpowiedzieć: oto był fakt, niewinnie i starannie odziany w okładkę, niewątpliwy, a bardziej wymykający się wyobraźni, „pisarsko nieprawdopodobny”, niż repertuar kilkunastu artykułów kodeksu karnego, pod które powieściopisarz czy dramaturg tak często, śmiało, z pełnym zrozumieniem podpada w osobach swych bohaterów.

Dziwne książki mnożyły się, choć na szczęście niezbyt żwawo, i odpowiedź jakoś się formowała. Nie tak gwałtowna jak parę poważnych porównań, raczej mglista i rozczarowana, potem komplikująca się w wiele wątków. I wciąż jeszcze podobna do pytania, bo ostatecznie nie ma na to żadnej pozytywnej odpowiedzi!

Dla zachowania aktywności pisarskiej za wszelką cenę, ludzie odstępowali krok za krokiem od prawdziwego pisarstwa. Stwarzali sobie, a raczej akceptowali jego pojęcia fałszywe, by się osłonić przed własnym osądem, ku czemu ich to prowadzi”.

W ten sposób doprowadziła Malewska swój wywód do kwestii socrealizmu. „Skuteczność społeczna pseudo-stylu „poszczecińskiego” była, jak wiemy, żadna — choć ten взгляд miał być jego naczelną racją bytu. Nigdy i nigdzie — tu możemy śmiało sięgnąć po te nadużywane słowa — nie udało się komenderowana sztuka, a jednak nadal tzw. realisci polityczni nie zniechęcają się do niej. Ale powtórzę, nie oni są najważniejsi w dziedzinie sztuki; jako ci, którzy składali wciąż nowe dowody, że jej zu-



pełnie nie rozumieją. I nie politycy zdolni są obrócić w niwecz prawdziwie społeczną, humanistyczną, normalną rolę sztuki, tylko faryzeusze i saduceusze literackich i artystycznych sanhedrynów, jedni bardziej zakłamani, inni bardziej cyniczni, uczeni w piśmie podcinający gałąź, na której siedzą, ale gotowi przesiadać się na coraz inną.

(...) I nie na 'etapie poszczecińskim' dokonała się fatalna krzywda, wyrządzona tym spośród młodych piszących, którzy nie byli i nie są nihilistami. Bo wcześniej zaczęła się klęska starych, dojrzałych literatów i krytyków, gorliwych subskrybentów rzekomego zamówienia społecznego, jak to się wtedy nazywało — nie dokonanego bynajmniej przez społeczeństwo. Na miejscu, gdzie młodzi powinni byli widzieć piśmiennictwo niepodległe i samo sobie dyktujące prawa, solidarnie świadome swojej prawdziwej roli, zobaczyli ludzi w większości gotowych przyjąć korepetycje posłuszeństwa.

Łatwo mi tu przewidzieć pytanie i zarzut. Czy artyzm zaangażowany, wyznający określony światopogląd i moralność — zwłaszcza religijną, absolutną — może twierdzić, że proces twórczy nie zna innych norm prócz własnych, i sam się tym kierować? Ma nie tylko prawo, ale obowiązek, jakkolwiek to nie zawsze widziano i zauważano. (...) Podporządkować dzieło najwznioślejszym nawet racjom sprzecznym z jego wymaganiami wewnętrznymi, to pomieszczenie celów, niehumanistyczne, nierozumne, więc niemoralne: nie służy się w ten sposób ani racji ogólnej, ani dziełu. (...) 'Komenderujący' a także 'posłuszny' są nihilistami (nie zawsze świadomymi), jeśli sądzą, że w dzieło trzeba coś włożyć, jak w pudełko czy wehikuł, aby miało wartość. (...) Przekonaliśmy się, że największe oczywistości załamują się po długotrwałym ataku dymnym fałszów. Napoleon twierdził, że 'powtórzenie jest najsilniejszą figurą retoryczną'. Fałsze powtarzano u nas tysiące razy, krzewiąc nihilizm w sztuce. To właśnie określenie wydaje mi się odpowiednie dla największej plagi kulturalnej naszego czasu. Nihilizmem nazwać można negowanie wartości, ale taka negacja jest często drażnieniem, które nie zadowolając się połowicznymi lub podejrzanymi wartościami szuka pełniejszych — coś z tego twórczego 'nihilizmu' mają największe dzieła literatury, czy to *Hamlet* czy *Dzieciństwo* Tołstoja, czy Dostojewski. Nihilizmem bez cudzysłowu jest o b o j ę t n o ś ć na wartości, umowna lub nakazana prawda do odwołania, licytacja, która nic nie kosztuje. Taki właśnie nihilizm cechuje literaturę podporządkowaną”.

## VIII

Poznałem panią Hannę Malewską jesienią 1977 roku, a później kilkakrotnie miałem okazję z nią rozmawiać. Wypytywałem ją o wiele spraw — wszystko co mówiła było nadzwyczaj skromne, mądre i pełne dobroci. Do epoki stalinowskiej wracała pamięcią niechętnie i raczej cieszyła się z nawróconych grzeszników, niż wspominała dawne polemiki. Była otwarta, pełna tolerancji, wrażliwa na odmienne doświadczenia i cudze punkty widzenia, wyrozumiała dla bliźnich i świadoma potrzeby kompromisów w życiu publicznym. W sprawach zasadniczych wszakże była niezmiennie niezłomna. Ten sam wybór moralny, który nakazywał jej, redaktorowi katolickiego miesięcznika, szukać współpracy z jakże odległym od katolicyzmu Henrykiem Elzenbergiem, zakazywał jej podjęcia współpracy z katolikami z PAX-u, którzy w 1953 roku przejęli *Tygodnik Powszechny* po usunięciu przez władze administracyjne prawowitych właścicieli pisma. Opowiadając o tych sprawach, zapytywana przeze mnie, pani Malewska — rzecz znamienna — nie zastanawiała się nad celem poczynań administratorów. Te były dla niej równie oczywiste, jak powody longobardzkich okrucieństw. Zastanawiała się nad kapitulacją intelektualistów, także katolickich, co było dla niej równie bolesne jak serwilizm podbitych mieszkańców Italii i rzymskich senatorów.

Wszelako korzenie intelektualnej Nowej Wiary — co zresztą wynika z cytowanego wyżej eseju — nie były dla niej jasne i wciąż pozostawały nie do końca zrozumiałe. Dlaczego tak było? Czy jej analiza nihilizmu kultury stalinowskiej wyczerpywała problem? Nie byłem i nie jestem takiego zdania. Lektura „Guseł” Kuli czy powieści takich jak „Sedan” Hertza, „Popiół i diament” Andrzejewskiego, tomu opowiadań „Żywe i martwe morze” Rudnickiego, wierszy Broniewskiego, Jastruna czy Ważyka wskazuje, że artystyczną tandetę socrealizmu wyprzedzały chronologicznie utwory o dużym ładunku artystycznym i intelektualnym, poczęte z ducha społecznego protestu.

Dla pani Malewskiej jednak kryterium nadrzędnym był stosunek do barbarzyństwa. Nie była chłodnym obserwatorem: była stroną w sporze. Nie rozważała skomplikowanych uzasadnień Longobardów czy Normanów — wspólnie z Kasjodorem ocalała stare księgi, kroczyła w procesji prowadzonej przez Grzegorza wśród rzymskich ruin, apostołowała z Kolumbanusem, ukrywała się wśród bagien z Alfredem. I wciąż, spokojnym tonem, nieprzerwanie wygłaszała racje tych przegranych, ściganych, ukrywają-

cych się. Racje prześladowanych widziane okiem chrześcijanina obdarzonego żywym doświadczeniem epok klęsk i przełomów. „Jest w historii u dna — pisała — nauka prosta, bardzo surowa i bardzo konieczna. O pograniczu wolności i konieczności. Wolność musi walczyć w każdej chwili, aby to, co dziś nie jest jeszcze koniecznością, jutro się nią nie stało: czy to w porządku zbiorowym czy indywidualnym. (...) Sprawowanie wolności to wybór, a jego sferą jest teraźniejszość. Jest to nauka życia w pełni każdą godziną. (...) Prawdziwi rewolucjoniści dziejów, budownicowie przyszłości i realizatorzy samych siebie przeżywali najpełniejsze swoje godziny — myśląc w skupieniu. (...) Historia to z samej definicji nauka o niepowtarzalnych faktach i niepowrotnych godzinach. A najdonioślejsze fakty zewnętrzne przygotowują się w niej przez fakty wewnętrzne”.

Egzemplifikacją tych rozważań były opowieści o ludziach najdotkliwiej doświadczonych przez konieczność i oczekujących na śmierć w więziennej celi. Oto Boecjusz, owładnięty nienawiścią do swych oprawców, a przez to i rozpaczą. Bowiem — pisała Malewska — „Boecjusz był świadom, w jaką popadł hańbę: bo nie mur lub łańcuch jest niewolą, lecz niewładanie sobą”. Jego zwycięstwem nad słabością był wtedy właśnie napisany traktat „O pocieszeniu filozofii”.

Wreszcie bohater jej sławnego opowiadania, Tomasz More, skazany na śmierć za wierność prawdom swej wiary. „Nie w mojej mocy sprawić — cytowała Malewska słowa uwiezionego — bym nie został zgładzony, ale przy pomocy Bożej postaram się, aby nigdy nie padła na mnie hańba”. A przecież dodawał More: „Święty Piotr znacznie mniej się lękając ode mnie wpadł jednak w taki strach, że na słowo prostej dziewczyny wyrzekł się i opuścił Zbawiciela. Dlatego też nie jestem na tyle lekkomyślny, by zaręczyć, że nie upadnę, lecz będę się modlił (...), aby Bóg, który mnie skłonił do takiego postępowania, udzielił mi łaski, abym wytrwał”. W liście do córki uzasadniał swój konsekwentny upór: „... jakiegokolwiek by były przyczyny, dla których przysięgi odmawiam (chodziło o przysięgę królowi jako zwierzchnikowi Kościoła — A.M.), jednej rzeczy jestem pewien i ogólnie jest wiadoma: że wielu z tych, co złożyli przysięgę, i to z najuczestniejszych, zanim tę przysięgę im przedłożono, mówili i podtrzymywali całkiem przeciwne rzeczy w porównaniu z tymi, na które teraz przysięgali... Nie chcę sądzić niczyjego sumienia, ukrytego przed naszym wzrokiem w głębi duszy człowieka. To tylko powiem, że nie słyszałem nigdy o przyczynie tej zmiany, o wykryciu jakiegogoś przekonywającego argumentu, uprzednio nie dostrzeżanego,

lub nie dość rozważonego. Jeżeli teraz te same rzeczy wydają im się inne aniżeli przedtem, to cieszy mnie to dla nich niewymownie. Ale ja nie dostrzegam żadnej zmiany w tym, co widziałem poprzednio. I dlatego, chociaż inni mogą postąpić inaczej, mnie tego, córko, uczynić nie wolno...". Miał More jasność sumienia tak wielką, że — pisał — „zbawienie moje może od niego zależeć”. A przecież bał się — głównie o to, że uwięzieni zostaną jego najbliżsi. „I będą się pocili krwawo, jak on, i tak będą leżeć jak martwi w swych celach, i tak samo będą kuszeni. To, że nadzieja na życie nie chce umrzeć, to jest pokusa prawie nad siły. Nie wolno człowieka tak kusić. Nikomu nie wolno...”.

Słowa te, odczytane za kratami, są wezwaniem szczególnego rodzaju: jakby ramiona Krzyża zwracały się ku wszystkim podawanym pokusie. I jakby Krzyż od owej pokusy chronił...

## IX

O śmierci pisarki, wiosną 1983 roku, dowiedziałem się tu, w więzieniu. Tu, gdzie samotność jest uczuciem szczególnie dojmującym, poczułem się jeszcze bardziej osamotniony: pani Hanna była trwałym punktem odniesienia także dla mnie, jednego z tysięcy jej czytelników. Sięgnąłem wtedy po jej książki, by raz jeszcze przekonać się, że póki one istnieją, nigdy nie będę osamotniony do końca.

I tyle kwiatów na grób pani Hanny Malewskiej.

## FILOZOFIA NA CZAS GŁAZOWŁADZTWA

### I

„Czytałem pańskie listy i pańskie artykuły. Pańska postawa jest bezsensowna. Pan broni świata, który minął, leży w gruzach. Ten świat, w którym pan wciąż żyje, jest już bezsilny. W imię chimera marnuje pan swoje życie. Za nami jest dziś siła; za nami jest historia. Odwracając się do nas tyłem, odwraca się pan od świata”. Tak mówił mi prokurator. Tak mówił mi oficer śledczy. Tak argumentował minister. Tak pisał rzecznik prasowy rządu. Tak mówią oni wszyscy od czterdziestu lat do nas, którzy wciąż nie chcemy zrozumieć, jakim to szczęściem jest żyć w więzieniu, którego są naczelnikami.

Dzisiaj to już wyświechtane frazesy. Miałem przeto opracowaną technologię repliki. Zaczynałem od przypomnienia artykułu *Trybuny Ludu* z czerwca 1977 roku. Jego autor zajmował się uwięzionymi KOR-owcami. Pisał, że nikt nie będzie chciał nam ręki podać, gdy wyjdziemy z więzienia. Pisał o obiektywnych prawach procesu dziejowego, o sile Partii, o rozwoju dynamicznym i harmonijnym oraz o niezłomnym sojuszu z ZSRR. Był w tym artykule ton triumfatora poświęcającego z przykrością chwilę swej cennej uwagi tym, którzy wylądowali na śmietniku Historii.

Wczoraj, przechodząc więziennym korytarzem, zderzyłem się niemal z tym triumfatorzem. Szedł przygarbiony, smutna twarz krótkowidza, jakby na smyczy prowadzony przez niskiego tłustego funkcjonariusza, który nie kwapił się do ściskania dłoni znawcy konieczności dziejowych. Nie znać było niedawnej wielkości po Macieju Szczepańskim...

W skład mojej repliki wchodziło też sakramentalne przypomnienie o latach stalinowskich, kiedy to oficerowie śledczy i klawisze, prokuratorzy i sędziowie także wierzyli, że ich przełożonym objawione zostały rozkłady jazdy Parowozu Dziejów. Bierut był równie miarodajny jak Jaruzelski, a Stalin dużo potężniejszy od Czernienki. Radziłem więc memu rozmówcy, by był ostrożny w swym historiozoficznym optymizmie.

Po wysłuchaniu mych uwag prokurator zauważył nie bez pewnego zdziwienia: „Tak pan mówi, jakby pan od dwóch lat nie siedział w więzieniu”. Odrzekłem na to, że istotnie, we własnym odczuciu i w rzeczywistości jestem mniej zniewolony od niego, ponieważ nie muszę wykonywać hańbiących poleceń; że — przeciwnie — czuję się wolny i tak też się zachowuję. „Wiem coś o tym — wycedził przez zęby mój interlokutor. — Czytałem pańskie wypowiedzi przemycone do wrogich rozgłośni”. Zapewniłem go, że to z pewnością funkcjonariusze Biura Śledczego MSW, być może ukryci sympatycy „Solidarności”, zajmują się tym przemytem, bo ja przecież nie mam żadnych możliwości. Przyjęcie tej hipotezy dowodziłoby wszakże, że nawet oni nie są przekonani o kierunku konieczności dziejowych...

Po co piszę o tym wszystkim teraz? Z lojalności wobec czytelnika. Informuję, że tu, gdzie teraz przebywam wszystkie teksty czyta się inaczej; tu każda lektura jest szukaniem odpowiedzi na tych kilka prostych a zasadniczych pytań. Tych odpowiedzi szukałem także w książce Henryka Elzenberga.

## II

Pod datą 3 lipca 1945 roku Elzenberg zapisał uwagę Tacyta: „Wolność i wspaniałe nazwy służą za pretekst, i nikt jeszcze nie zapragnął niewoli dla drugich, panowania dla siebie, by się przy tym nie posługiwał wyrazami tego rodzaju” (Tacyt, Hist. IV, 73).

Nowi władcy Polski deklarowali, prócz wolności, ideologię wiary w człowieka i jego przyszłość. Elzenberg sceptycznie zaznaczył 22 lipca, w pierwszą rocznicę ogłoszenia Manifestu Lipcowego PKWN: „Gdyby z kultury wykreślić wszystko to, co w nią włożyli ludzie bez wiary w człowieka i jego przyszłość, niewiele by z kultury zostało”.

Tak oto Henryk Elzenberg, filozof, profesor USB w Wilnie, autor prac o Leibnizu, Marku Aureliusz i etyce wyrzeczenia, powitał programowe deklaracje Nowej Władzy. Te dwie uwagi

sytuują nas w centrum elzenbergowskiego reagowania na rzeczywistość. Są też niezłą próbką jego stylu: odpowiadania na banał paradoksem i prześwietlania każdego urzędowego frazesu przenikliwym spojrzeniem niedowiarka.

„Kłopot z istnieniem” wypełniony jest uwagami tak właśnie sformułowanymi. Autor opatrzył tę książkę podtytułem „Aforyzmy w porządku czasu”, a jest to w istocie rodzaj „dziennika myśli”, sporządzanego przez całe życie. Formę książki zawdzięczają te zapiski Hannie Malewskiej, „która — pisze autor w przedmowie — całą rzecz w ruch puściła, dając impuls do pierwszej publikacji”.

Tę niezwykłą książkę odczytywać można na wiele sposobów: jako komentarz do epoki, jako autoportret autora, jako obraz zmagania się filozofa z tajemnicą istnienia. Można widzieć w niej chronologiczny zapis ewolucji autora, ale i jedną kreską zarysowany obraz podstawowych konfliktów duchowych naszego czasu. Bowiem jednolitość tej myśli jest uderzająca. Tezy sformułowane w przeddzień wybuchu pierwszej wojny światowej autor rozwija po pięćdziesięciu latach z zadziwiającą wiernością swym zasadniczym młodzieńczym opcjom. Elzenberg wypowiada się na tematy różne, ale zawsze traktuje o sprawach zasadniczych. Każdy znajduje w tej książce jakąś wersję odpowiedzi na pytanie: w jaki sposób Elzenberg oparł się pokusie apatyzji i argumentów, które oferowali intelektualistom nawracającym się na Nową Wiarę rządzący Polską komuniści. Pod tym kątem sporządziłem niniejsze wypisy.

Pytanie o konieczność dziejową jest w swej istocie pytaniem o stosunek do siły. „My mamy siłę i dlatego zwyciężymy” — oto klasyczny argument z repertuaru ruchów totalitarnych poszukujących nowych adherentów. Polski intelektualista miał okazję rozważyć ten argument, obserwując ruchy totalitarne w okresie międzywojennym. W styczniu 1936 roku Elzenberg zanotował: „obserwując rozwój nacjonalizmów współczesnych, jestem przerażony ogromem zła moralnego, jakie cały ten podział na narody niesie ze sobą. Logicznie nie wydaje się to konieczne, ale w praktyce zawsze tak bywa: nacjonalizm w swej najgłębszej istocie jest zrośnięty z wolą krzywdzenia. Każdy prawie nacjonalista, o ile go racja stanu nie zdeterminuje inaczej, zawsze weźmie, pierwszym odruchem, stronę krzywdziciela przeciwko pokrzywdzonemu, z lubością będzie się pławiał w widokach pastwienia się silniejszego nad słabszym. Każdy jest zakuty w pancierz przeciwko

jakiemukolwiek ideałowi. I każdy jest bez perspektywy dziejowej, ile że ludzkość jako całość jest mu obojętna. I gorzej: same n a r o d y są zawsze niesprawiedliwe. Krzyczą, gdy się uważają za pokrzywdzone; miażdżą, gdy się poczują na siłach; państwa, które się dopiero organizują, organizują się nie do szlachetnej walki o przodownictwo, jak ja to sobie swego czasu wyobrażałem, ale do grabieży i do jakiegoś swoistego, zbiorowego sadyzmu. Tych wszystkich idealności, które mi się kiedyś marzyły, nie znajdzie się w nich na lekarstwo”.

Refleksję tę zapisał człowiek, którego młodość wypełniona była marzeniem o narodowej niepodległości — ochotnik do legionów. Obserwując nacjonalizm ruchów totalitarnych, postrzegał zaprzeczające jego systemowi wartości i niepodległościowym marzeniom elementy. „1) Pogarda dla prawdy, gotowość sfałszowania jej choćby na wieki, jeśli się okaże albo przywidzi, że interes narodu tego wymaga. I to nie tylko u tłumy i u demagogów, ale u ludzi myśli, prawników, historyków: jak te chytrki bezwstydnie naginają teksty źródłowe! 2) W związku z tym, i specjalnie: stosunek do własnego złego postępowania. Póki można, puszcza się w ruch i tu całą powyższą, niesamowitą machinę oszustw, by się z niego wykłamać. 'My? myśmy zawsze byli aniołkami'. A jak już nie można? no, nic prostszego jak się przerzucić w apoteozę tego, czego się z oburzeniem wypierano, 'robowaliśmy? mordowali? gwałcili? łamali traktaty? poniżali godność strony przeciwnej? ależ owszem! to jest *der echte deutsche Geist*, albo inna tam jakaś nasza, swojska, narodowa tężyzna'. Od kłamstwa do apoteozy, od apoteozy do kłamstwa. 3) Sprawa arcyaktualna (pisane w 1936 roku — A.M.): samo pojęcie 'nacjonalizmu' przechodzi przyśpieszoną ewolucję i właśnie w języku nacjonalistów 'naród' stał się tylko terminem hasłowym, pozbawionym dawnej swej treści. Na dzisiejsze 'nacjonalizmy' składa się co następuje: 1) trochę 'nacjonalizmu' typu dawnego, w tym szacownym, przyzwoitym ujęciu, w jakim 'nacjonalistami' byli np. Mickiewicz lub Wyspiański; 2) dużo klasowości burżuazyjnej lub, ogólniej rzecz biorąc, wrogości do proletariatu i do marksizmu; 3) trochę tradycjonalizmu (niedużo); 4) apoteoza siły, kult silniejszego, cześć dla gwałtu i zaborczości; 5) w związku z tym duża doza immoralizmu w ogóle, zwłaszcza niechęci do ideału sprawiedliwości; 6) takąż jeszcze silniej akcentowana niechęć do kultury i intelektu. Cały ten 'nacjonalizm' jest prądem w istocie swej najzupełniej międzynarodowym; faktycznie istnieje już dziś m i ę d z y n a r o d ó w k a n a c j o n a l i s t ó w. A nie wymieniałem jeszcze punktu siódmego: nacjonalizm współczesny



jest wrogi zarówno elitaryzmowi jak demokracji. Z elitaryzmem ma ten rys wspólny, że część społeczeństwa odsuwa od pełni praw obywatelskich; jednak odsuwa zawsze taką lub inną mniejszość, gdy elitaryzm właśnie mniejszość wyposaża w prawa szczególne. Ale bo też o co innego nacjonalizmowi chodzi: nie o stworzenie mądrej, kulturalnej arystokracji, tylko o wyobcowanie, w obrębie społeczeństwa, grup mogących służyć na co dzień za przedmiot nienawiści dla reszty. W tym celu wyszukuje się 'obcych'. Najlepiej, jak się ma Żydów, ale w braku tego błogosławieństwa może być i innowierca i mason i względnie niedawny imigrant i ktoś politycznie nieprawomyślny. 'Narodem' nazywa się wtedy pełnoprawną większość, nakierowaną przeciw pokrzywdzonej mniejszości. Z tej strony ujęty jest nacjonalizm próbą wyjścia z kryzysu ogólnowiatowego metodą wynajdowania kosztów ofiarnych".

Ten nacjonalizm totalitarny zdawał się wypełniać aktualne i przyszłe dzieje Europy, a odrzucenie go jawić się mogło jako tożsame z odrzuceniem całej rzeczywistości historycznej. Przeto: „dzieje czy pozadziejowość?” — zapytywał Elzenberg w tymże 1936 roku. I na własny użytek formułował hipotezę, że „nie ma się co spodziewać wpływu dobra i dążeń moralnych na kierunek dziejów i jakieś wyraźniejsze podciągnięcie ludzkości, i że wobec tego właściwą drogą jest oderwać się od dziejów i samodzielnie, na własną rękę szukać zbawienia. (...) Wszystkie próby zrobienia z człowieka istoty nieco przyzwoitszej zawiodły. Zawiodł chrystianizm, zawiodą wszystkie systemy wychowawcze: czyż wychowanie, jako zjawisko masowe, nie jest zawsze, przynajmniej pośrednio, pod wpływem potęg, które same by potrzebowały wychowania długiego i moralnego? Ilekroć się pojawi wielka idea mająca człowieka podźwignąć, zostaje skierowana w łożysko dążeń niskich albo zgoła nikczemnych, wchodzi z nimi w symetrię i, w rezultacie, wydaje się jakąś formą życia nie zawsze może pozbawioną wartości względnych, ale z punktu widzenia owego podźwignięcia, karykaturą tego, co projektowano w idei. Czyż jednym ze źródeł ruchu hitlerowskiego nie jest — może coś poplątałem, ale tak mi to przedstawiono — pewien bardzo uduchowiony, pół-mistyczny ruch grupki ludzi o szczególnie wysokiej kulturze wokół Stefana George? Szukając antecedensów jakiegoś chamstwa, zawsze wśród nich znajdziemy jakieś anielstwo.

Ale dalej: jeśli z wielkiej idei coś ostało się, nie wsiądko, nie weszło w symbiozę ze złem, to natychmiast spostrzegamy, jak od tej resztki ludzie się zaczynają wykręcać, wyslizgiwać się jak piskorze, kłamiąc, lawirując, sofistykując. Oba zjawiska w sposób

klasyczny obserwujemy na 'chrystianizmie' (w cudzysłowie nies-  
tety!) europejskim. Więc najprzód ta symbioza: kompromisy  
z imperializmem, tyranią, żądzą wyzysku etc. Pewne jednak bar-  
dzo istotne postulaty się utrzymały. Więc w stosunku do nich  
wprowadza się to drugie, to wyklamywanie się: 'Miłość bliźnie-  
go to jest cnota, nikt nie zaprzeczy, ale...'. Rozbudowuje się to  
w całe systemy: patrz te nonsensy, które u mądrego skądinąd  
Schelera można wyczytać o chrześcijańskiej pokorze. Z wielkiej  
idei zachowuje się w końcu tylko pewna ilość form: 'przed ołta-  
rzem przyklękać'. W najlepszym już razie pewne czy to dyrek-  
tywy czy instytucje mające — tu nie przesądzam: pełną czy czę-  
ściową, istotną czy pozorną — rację społeczną niezależnie  
od wszelkiej idei: 'małżeństwo ma być nierozzerwalne', bo tak  
już jest: jesteśmy mało co warci nie przez jakąś 'ludzką ułom-  
ność', ale przez istotną złą wolę. Złą podwójnie: raz, że dążącą  
do celów mało chwalebnych, drugi raz, że działającą uporczywie  
wbrew lepszej wiedzy. W stosunku do dobra znamy właściwie  
tylko dwie możliwości: systematyczne załganie, operowanie za-  
sobem wyrażeni i gestów maskujących rzeczywistość, i pod osłoną  
tego systemu pozostawienie 'życiu' wolnej ręki; albo nienawiść  
— jawną lub utajoną — i bunt wykrętny czy też otwarty, zależ-  
nie od stopnia przyparcia do muru. Normalną też rzeczą jest  
naginanie poglądów do interesów, przykrawanie myśli i wiary".  
Elzenberg rozważa kontrargumenty: postęp moralny — w życiu  
osobistym i publicznym — choćby niewielki, ma jednak miejsce.  
Rozważa także „próby podźwignięcia człowieka”: komunizm i  
gandyzm. O komunizmie powiadał w styczniu 1936 roku: „Tu  
próbuję się przekształcić człowieka zmieniając mu zewnętrzne wa-  
runki bytu, stwarzając mu nową glebę materialną, gospodarczą,  
społeczną, i w ten sposób determinując jego rozwój niczym roz-  
wój rośliny. Może to dać, niewątpliwie, pewne wyniki, tu jed-  
nak należałoby zastanowić się nad środkami”. Niewiele wiedział  
wtedy Elzenberg o komunizmie...

Gandyzm uważał za próbę „w swej ofensywie na zło bardziej  
bezpośrednią, a w środkach bezwzględnie czcigodną”. Tu widział  
istotny kontrargument przeciw „bezdziejowości”.

„Jak rozsądzić? — zapytywał sam siebie. — Jednego, nieste-  
ty, nie można zakwestionować: wszystkie osiągnięte postępy są,  
na dalszą metę, niepewne. (...) Każdy nabytek możemy zaprze-  
paścić nie dzisiaj to jutro; powrót do goryla grozi na zawsze.  
Faktem jest, że i ta nasza epoka, w której się dopatrzyłem pew-  
nych może zadatków, jest jednocześnie epoką zatracania zdoby-  
czy, któreśmy byli skłonni uważać za stałe, niemal za wieczne.

Faktem jest, że weszliśmy w fazę regresji w wielu dziedzinach. I że wiara w 'postęp aksjologiczny' (w samą możliwość tego postępu), będąca niezbędnym warunkiem postawy potwierdzającej wobec dumnie tak zwanej 'pracy dziejowej' — że ta wiara jest silnie zachwiana. 'Ludzi ducha' odsunęło się na bok; uczyniono to w wielu miejscach programowo i ostentacyjnie. Czyż nie jest całkiem w porządku, że się nie próbują napraszać, tylko idą swoimi drogami? A dzieje, to dla nich tylko część tego świata, od którego się odrywają. Część tego co dane, 'natury'. Granica w ich pojęciu przechodzi nie między 'naturą' w sensie potocznym a człowiekiem i światem dziejów, ale między 'naturą' i światem dziejów z jednej strony, a z drugiej: nadrzędnym światem pracy aksjologicznej. Tamto wszystko, to tylko warunki, z którymi trzeba się liczyć; sytuacja historyczna w mym kraju jest taką samą daną warunkującą moje poczynania, jak góry czy równiny tego kraju, jak klimat gorący czy umiarkowany. Pesymizm tej koncepcji jest oczywisty. Zakłada ona, u punktu wyjścia, że jest źle i lepiej nie będzie. Jeżeli proces dziejowy nie prowadzi do żadnych naprawdę wartościowych wyników, to świat dziejów w ogóle staje się czymś, czego trzeba się wyrzec. To dziś razi świadomość zachodnią. Ale nie raziło jej zawsze. Człowiek wyznający taki pesymizm jest w towarzystwie licznym i dobrym".

Nie są to uwagi człowieka zaangażowanego w politykę. To pisze człowiek kultury przerażony światem polityki; obserwujący z grozą immanentne zło wpisane w ten świat. Pesymizm swój — wynik namysłu nad sytuacją polityczną w 1936 roku — Elzenberg transponuje w sferę refleksji antropologicznej. Czyż można sobie bowiem wyobrazić jakąś drogę polityczną wiodącą ku dobru?

Z tego samego okresu (grudzień 1935) pochodzi nota o „imperializmie dobra”. „Jest to jedna z dróg — pisał Elzenberg — o których się zawsze i po wsze czasy myślało: w imię 'dobra' czy 'ducha', czy 'doskonalenia człowieka' sięgnąć po władzę realną. Tę, którą daje siła: nie ta 'duchowa'; więc, w szerokim znaczeniu, f i z y c z n y m. Zdobyć władzę i raz wreszcie zorganizować świat w imię dobra, jak tyle razy organizowany był w imię hasel obojętnych lub nikczemnych. A gdy się patrzy na ludzką złość i panowanie zła w świecie, dołącza się do tego myśl inna. Jeżeli się nie da udoskonalić, to przynajmniej siłą poskromić. Poskramiają w ten sposób władcy, pracodawcy, rządy, policja: ale oni sami nie lepsi; poskramiają nie w imię dobra, ale w imię zewnętrznej porządku (który oczywiście j e s t dobrem, ale wstęp-

nym i niesamodzielnym, bez znaczenia jako cel ostateczny). No i w imię interesu własnego. Otóż myśl: poskromić tak samo, ale w imię dobra rzeczywistego. Tak jak jasny Monsalwalczyk mieczem powściągnął jedną zbrodnię, tak powściągnął je wszystkie. I roi się wyobraźni jakiś zakon poskromicieli, którzy by w imię sprawiedliwości wkroczyli w ludzkie zatargi, nie znając egoizmu własnego.

Niezrealizowanych pomysłów dla celów 'doskonalenia ludzi' stworzono sporo; najświetniejszy oczywiście przykład to Platon. 'Zakonom poskromicielskim' miało być, w swym idealnym, utopijnym programie, rycerstwo; nigdy zresztą nie próbowało stać się nim inaczej niż dla parady. Szczytem wreszcie organizacji tego typu wyposażonej w realną już egzekutywę i biorącej swe zadanie na serio jest Kościół — ten po Konstantynie (...).

Są wypadki, kiedy takie dążenia powstają na mniej lub więcej uświadomionym brzydkim podłożu: niezafałszowaną rzeczywistością jest wtedy żądza władzy, całkiem po prostu. Może nią być również chęć zemsty. Ktoś doznaje poczucia krzywdy, poniewierki, spostponowania. Czuje się uciśnionym. Skądinąd wie, że ucisk i krzywda są złem: więc chcąc władzy, wyobraża sobie, że chce jej po to, by być sługą sprawiedliwości; tymczasem jego motywem istotnym może być zwykłe: 'dam ja wam za swojej, łajdaki'. Czasem są to też po prostu rojenia słabości marzącej o sile: obrzydliwy imperializm cherlaków, nasycanie się w wyobraźni, gdy w rzeczywistości nie można.

Otóż pierwsza, wstępna krytyka, jakiej podlegać może imperializm dobra, to ta jego właśnie analiza psychologiczna. Wielu rzekomych zbrojnych cherubów, a naprawdę ludzi ambitnych i zawziętych, w jej następstwie odpadnie. Mogą się jednak znaleźć i cherubowie autentyczni; ale tu się zaczyna krytyka od strony faktów, warunków, obiektywnych trudności. (...) Do sprawowania władzy potrzebna jest jakaś poważniejsza grupa — nie garstka, ale właśnie grupa, dość liczna: owa przyszła 'warstwa rządząca'. Gotowej warstwy 'dobrych' w żadnym zaiste społeczeństwie nie wypatrzymy. Nie jest nią, jak sobie dawniej — nim popadła w nastroje defetystyczne — naiwnie czasem wyobrażała, nieszczęsna inteligencja. Nie są nią 'uczeni' Renana: uczeni także bywają dobrzy lub źli, jak popadnie. Nie są nią 'filozofowie' Platona: bo takiego typu ludzkiego w ogóle nie ma na świecie. Wobec tego: wyłowić tych ludzi z różnych warstw? jak? przez propagandę? apostołstwo? wychowanie? W naszych czasach ideologie kombatanckie próbowały głosić kon-

cepcję: przez udział w obronie kraju, służbę frontową. Ci, którzy się bili, to są ci 'lepsi'. Moja własna koncepcja z lat tuż przed wojną i z jej pierwszego okresu (tego legionowego) była bądź co bądź mniej prymitywna; streszczała się w słowach: selekcja przez dobrowolne pójście na wojnę. Echa koncepcji podobnych odzywały się później w naszej sanacji. Niestety: ochotnicy zaciąg na wojnę też nie jest selekcją najlepszych. Rychło też poznałem swoją naiwność: bohaterstwo nie jest rękomią cnót innych i, niestety, zbyt często bohaterowie są draby. Mniej drastycznie, ale całkiem już zgodnie z moją obserwacją i doświadczeniem: na jednego niosącego, jak to się mówi, 'życie w ofierze', jest pół tuzina 'ludzi przygody', Kmiciców, lekkoduchów, awanturników. Moja metoda wydała w rezultacie nie co innego tylko tę rzecz w pierwszych latach obosieczną, a potem już więcej niż wątpliwą: rządy sanacji. Ale dalej: przypuśćmy grupę już stworzoną, scementowaną i w jakiś tam sposób (to też jest problem!) utrwaloną, umocnioną u władzy. W mig ulegnie ona pokusom tej władzy: bo władza znieprawia. To jest kwadratura koła: wyjścia tu nie ma. Nawet zakony — 'zakony' w sensie ścisłym, katolickim, buddyjskim — stawały się sługami szatana, gdy dochodziły do władzy. A obok pokusy głównej, to jest korzystania z władzy, by służyć własnemu interesowi, grożą inne przykre pułapki. Sprawy najtrzywialniej przyziemne, sprawy administracji, organizacji, ekonomii itp. pochłaniają lwią część uwagi — i w tym się zatracza pęd idealny. Świętym, a jednocześnie wspaniałym administratorem może być jeden wyjątkowy człowiek, dwóch, trzech, dziesięciu; ale pięćdziesiąt tysięcy świętych administratorów to jest utopia.

Trudność dalsza: nadmiar karności. Wyselekcjonowana warstwa rządząca byłaby, w stosunku do rządzonego społeczeństwa, zawsze nieliczna. Mogłaby się więc, póki tamtych wszystkich nie wychowa — a to jest na dalszą metę sprawa — utrzymać tylko tym, czym trzymają się wszystkie arystokracje: ścisłą karnością. (...) I wreszcie konieczność twardości. Rządzący musi być twardy; musi powściągać i karać. To zabija szereg cnót i rozwija szereg cech po ludzku niepięknych: kto włada 'mieczem świeckim', nie może być tak już, co się zowie, 'dobrym' człowiekiem. W rezultacie: władzę w imię dobra trudno jest objąć, a gdy się raz ją objęło, trudno jest nie przestać być dobrym.

A jednak: może istnieć walka o dobro, i to walka zorganizowana, przy której się nie sięga po władzę. I to chyba jest pewna droga. Droga chrześcijaństwa trzech pierwszych wieków, tych przed Konstantynem; droga buddyzmu. I po prostu

najskromniej: droga tych wszystkich rozsianych po świecie jednostek i grup walczących o cele nieważkie i niematerialne środkami też nieważkimi. Granica oczywiście jest tu dość płynna. W każdej organizacji tkwi jakiś element władzy (nad jej członkami), a w stosunku do nie-członków element siły innej niż ta czysto duchowa. Największą w naszej epoce ofensywą ducha na życie publiczne, jedną z największych jego ofensyw od początku świata, jest ruch Gandhiego. (...) To byłby mój wielki przykład współczesny. W każdym razie miecza tu nie ma, ani w ogóle egzekutywy w zwykłym znaczeniu. I przymusu Gandhi zawsze unikał”.

Ten obszerny wywód, przytoczony tu zresztą z jawną intencją upowszechnienia myśli bardzo bliskich mnie samemu, jest zarazem znakomitą ilustracją metody Elzenberga. W przedmiocie wyboru opcji zasadniczej będzie on nieustannie wahał się pomiędzy pełnym zerwaniem z „dziejowością”, a zaangażowaniem w imię wartości ruchu gandystowskiego. Będą to dwa różne, nieraz używane przemiennie, sposoby uzasadnienia własnej niezgody na teorie i praktyki ruchów opartych na przemocy i kłamstwie. Sama postawa jednak była niezmiennie niezłomna. Niezmienna była także metoda: Elzenberg wszystkim konstrukcjom intelektualnym, także własnym, przyglądał się z permanentną nieufnością, prowadził ciągły wewnętrzny dialog, polemizował z samym sobą i własne prawdy uporczywie podważał. Te błyskotliwe i destrukcyjne analizy własnych dogmatów są w jego dziele równie ważne jak konkluzje.

Oto „wróg dziejowości” po kilku miesiącach (VIII 1936) zanotował samokrytycznie: „Jest w tamtym programie pewna jałowość, podobna do tej, którą zarzucałem hedonizmowi: z osiągniętej doskonałości jednostkowej, tak jak z doznanej przyjemności, nic nie wynika; jest to punkt końcowy, coś statycznego. Więc jednak czy nie stawiać na kartę dziejów, które mają tę przynajmniej zaletę wstępną, że są dynamiczne i że się nie widzi ich końca. Cały dzisiejszy nawrót dziejowy napawa pesymizmem; to jasne. Jest rzeczą przerażającą patrzeć, z jaką lubością i przekonaniem ogół ludzki wkracza na drogę barbarzyństwa i jak to swoje barbarzyństwo — czy bestialstwo? — hołubi. Beznadziejność ogarnia, gdy się pomyśli, że to wszystko się dzieje po starożytnej *humanitas*, po ewangelii, po ruchu franciszkańskim, po złagodzeniach dwóch wieków przed naszym ostatnim, po pracy tylu proroków, świętych, moralistów, ministrów kultury. Więc wszystko poszło na marne; I ostatecznym wynikiem jest ten sam od pryncypów nam znany stary 'goryl' starego Taine'a,

tyle że sprawniejszy technicznie? A jednak wiem przecież na pewno, że starą syzyfową pracę ucłowieczenia tego tworu jacyś entuzjaści znowu podejmą; że ktoś tu i ówdzie pójdzie ich śladem; że na obłęd będą szukać środków zaradczych. A jeśli to wiem, to czy nie karygodną kapitulacją wobec nastroju narzuconego mi przez wypadki byłoby, gdybym nie usiłował być jednym z tych, którzy przy tym pomogą? (...) Tak: trzeba 'usługiwać' przy dziejach zbiorowych, skromnie przyłożyć ręki do toczenia syzyfowego głazu, walczyć o człowieczeństwo nie tylko dla siebie, ale dla świata, dla przyszłości, dla nieurodzonych, dla 'najdalszych', dla 'ducha dziejów', w bezradności dziś zagubionego. A ubocznie otrzyma się to wielkie dobro, będące jednocześnie dobrem moralnym i tą swoistą formą szczęścia, jaka po tylu kłękach życia pozostaje dostępna: dobro z a p o m n i e n i a o s o b i e".

Refleksję powyższą zestawić należy z traktatem o „imperializmie dobra”. Są od siebie nieodłączne, są dwiema twarzami tego samego wyboru. Uwagi o „imperializmie dobra” to nic innego jak nieodmiennie aktualna polemika ze zwolennikami „totalnej zmiany”, rzecznikami utopii rewolucyjnych i teokratycznych, bojownikami o Nowy Ład i Nowego Człowieka. To wywód unicestwiający mistykę ideologiczną i polityczną demagogię. Godzą one wszakże nie tyle w świadomych oszustów, co w ludzi samozakłamanych. Przecież ta, sporządzona w 1935 roku, krótka zapiska antycypuje wszystkie późniejsze rachunki sumień zawiedzionych rewolucjonistów, którzy wierzyli, że niosą światło, a nieśli mrok...

Decyzja postawienia na „kartę dziejów” nie jest przeto wynikiem wiary w sens historii — jest raczej opcją moralną na rzecz walki z barbarzyństwem o nadanie sensu bezsensowi, walki w imię wartości, a nie w nadziei zwycięstwa. To kontynuacja myśli sprzed wielu lat (ze stycznia 1910 roku), kiedy to Elzenberg zapisał w swym dzienniku: „Kto walczył o jakiegokolwiek urzeczywistnienie w przyszłości, ten w kłęsce się może załamać. Ale wartość nie jest w czasie, więc i nie ginie. Więc tego, kto służył swej sprawie myśląc tylko o jej wartości, kłęska nie niszczy od podstaw”.

W 1917 roku wpisał sobie do sztambucha: „Nie gardź sobą, że bitwę przegrałeś. Trzeba pewnej siły, by się zapędzić aż tam, gdzie się bitwy przegrywa”.

### III

Tryumfy barbarzyństwa, które obserwował Elzenberg, były wyzwaniem dla człowieczej kondycji intelektualisty. Burzyły świat jego pojęć, deptały kanon jego wartości. Oznaczały przewrót w kulturze i moralności. Nie był to problem z abstrakcyjnych rozważań i akademickich dyskusji: wybór rzutował na kształt codziennych zachowań. Przypomnijmy:

„Ekscelencjo, czuję, że jest to moment zadeklarowania wiary żywionej w milczeniu. Jeśli Ekscelencja uważa mnie za godnego wstąpienia do Narodowej Partii Faszystowskiej, będę sobie poczytywał za najwyższy zaszczyt miejsce najpokorniejszego i najposłusznieszego sługi w jej szeregach”.

„Depeszę tej treści — pisze Gustaw Herling-Grudziński w 'Dzienniku pisanym nocą' — wysłał Pirandello do Mussoliniego we wrześniu 1924 roku, w trzy miesiące po zabójstwie Matteotiego. (...) Pirandello faszystą? Z jego wizją życia, historii, wieloznaczej egzystencji ludzkiej? W 'Sześciu postaciach scenicznych w poszukiwaniu autora' ojciec powiada: 'Każdy z nas myśli, że jest taki, a nie inny, ale to nieprawda. Uprzymiarniamy to sobie dobrze, gdy w jakimkolwiek z naszych postępów, przez nieszczęsny przypadek, zostajemy jakby zaczepieni lub zawieszeni; uprzytamniamy sobie, że nie jesteśmy całkowicie w tym postępku, że byłoby okrutną niesprawiedliwością sądzić nas tylko po nim'. Gombrowicz, o którego pokrewieństwach z wielkim dramaturgiem i nowelistą włoskim mówi się stanowczo zbyt mało, wysłałby podobną depeszę do Ekscelencji w Warszawie, gdyby koniec wojny zastał go w kraju? Tak właśnie należy rozumieć jego listy do Iwaszkiewicza, drukowane w swoim czasie w *Twórczości*? Jako przypadkowy postępek, po którym nie wolno go sądzić? W moim przekonaniu Pirandello zgłosił natychmiast formalny akces do faszyzmu, żeby mu dano spokój, żeby mu nie przeszkadzano pisać, skoro i tak ambicje i uroszczenia wszelkich ustrojów politycznych były dlań nie więcej niż dziecinną fanfaronadą. Faszysty, chętnie przyjąwszy ten akces, odnosili się do 'najpokorniejszego sługi' z nieufnością, traktowali go jak 'obce ciało', jak enigmatycznego i nieobliczalnego karmazyna, wartego taryfy specjalnej dla splendoru nazwiska. To pewne, że nie był kandydatem na tradycyjnego włoskiego (a zresztą czy tylko włoskiego?) literata dworskiego.

Smętne natomiast refleksje o dworskiej uległości literatury poddanej naciskom z góry, przyuczanej do karnego stania w ordynku musztrą 'zamówień' i 'wytycznych' nasuwa to, co wiem



o większości pisarzy w okresie faszyzmu we Włoszech. E.Z. zamierzał kiedyś przygotować antologię świństw, jakie pod panowaniem różg liktorskich wyczyniali honoratorzy (ulubiony termin Jerzego Stempowskiego) włoskiego słowa drukowanego, uchodzący obecnie za ozdobę intelektualnej lewicy i to przeważnie skrajnej. Wycofał się w końcu z tego przedsięwzięcia bojąc się, że go w jakimś ciemnym rzymskim zaułku zakatrupią koledzy po piórze, ale pozwolił mi raz zajrzeć do swego archiwum i kogóż tam nie było! Jakie cymelia nikczemności i obrzydliwości”.

Gustaw Herling-Grudziński, jeden z najświetniejszych i najbardziej bezkompromisowych polskich pisarzy, rozważa problem stosunku intelektualisty do „przewrotu” wyłącznie w kategoriach moralnych. Dlatego też uzna „Zniewolony umysł” Miłosza za „książkę wydumaną przy biurku”, a „Matkę Królów” Kazimierza Brandysa, jedną z najciekawszych polskich powieści o epoce stalinowskiej widzianej z perspektywy komunisty, nazwie zakłamaną „spowiedzią dziecięcia stalinizmu”. Herling-Grudziński zna włoską literaturę świetnie, ale czy przypadek np. Malapartego w pełni mieści się w jego kryteriach? A np. w Niemczech — czy *casus* Gottfrieda Benna nie mąci czystego obrazu? Słowem: czy pospolity strach przed pałką jest ostatecznym kluczem do zrozumienia korzeni i mechanizmów ideologicznych obłędów naszego stulecia? Choć nie podzielam tych ocen — jako zbyt egzystencjalnych — trudno mi przeczyć, iż końcowe refleksje pisarza o „uległości literatury poddanej naciskom” mają głębokie oparcie w rozlicznych egemplifikacjach.

André Gide, wnet po upadku Paryża, pod wrażeniem hitlerowskich zwycięstw, zanotował w swym dzienniku pod datą 5 września 1940 roku: „Przystosowanie się do wczorajszego wroga nie jest tchórzostwem, lecz rozważą. Ten, co stawia opór sprawom nieuchronnym, wpada w potrzask; po co bić głową o pręty klatki. Aby mniej odczuwać ciasnotę celi więziennej, lepiej tkwić pośrodku”.

Jarosław Iwaszkiewicz był bardziej wrażliwy na niuanse. W maju 1946 roku przyniósł Jerzemu Borejszy artykuł, w którym precyzował swój stosunek do nowej rzeczywistości. Ubolewał w nim nad nastrojami nienawiści i nad konfliktami dzielącymi rządzących od rządzonych. Pisał: „Jeżeli mur raportowolimuzynowy stanowi o pewnym fałszywym spojrzeniu rządzących na rzeczywistość, to mur nienawiści i niezrozumienia jeszcze bardziej zniekształca widzenie rządzonych... Największym błędem opozycji rządzonych jest niezrozumienie, że koła historii nie da się odwrócić... Świat cały składa się z przemian — i my musimy się

zmieniać razem z nim. Kurczowe trzymanie się dawnych form jest samobójstwem. Zgoda — głęboka wewnętrzna zgoda na przemiany — jest warunkiem naszej młodości”. Dalej „przestrzega — streszcza myśl pisarza współczesny felietonista — tych, co zaczadzeni nienawiścią łudzą się, że Polska zniknie, jeśli nie stanie się Polską z ich politycznych rachub”. „Ten grzech — pisał Iwaszkiewicz — obraca się przeciw nim samym. Polska będzie Polską bez nich i poza nimi — a nawet i przeciwko nim. Polska jest wieczna... Współpraca wszystkich ze wszystkimi najlepiej buduje. Najlepszym rządem jest ten — powiada święty Tomasz z Akwinu — który łączy współudział wszystkich z działaniem najlepszych. A gdzież jest nasz współudział?” Artykuł Iwaszkiewicza nie ukazał się w druku: znakomity pisarz napisał go nieco przedwcześnie. Rząd, który — w myśl wskazań św. Tomasza — miał łączyć współudział wszystkich z działaniem najlepszych, chwilowo miał inne zamierzenia: szykował się właśnie do akcji fałszowania wyników referendum, potem wyborów, szykował się więc do „odłączania” ludzi z AK, z PSL, z PPS etc. Znakomity pisarz nie poczuł się tym jednak speszony i pozostał w służbie „rządzących”.

Pisał Miłoz:

*Z barwnych kamieni składa gospodarstwo  
Publicznym sprawom obcy Iwaszkiewicz,  
Mówca późniejszy, tudzież obywatel  
Pod naciskami twardej konieczności.  
Za względne uznać wszystko, no bo mija,  
Potem słowiańskie wskazać ludziom cnoty  
Żeby nam chłopska zagrała kapela —  
Jest melancholia przecie w takiej doli*

(„Traktat poetycki”)

Podobny — w jakimś sensie — problem podjął Antoni Gołubiew w swej wielotomowej powieści „Bolesław Chrobry”. I on żywił przekonanie, że „Polska jest wieczna”, i jego fascynowało owo „mijanie”, ów czas historycznych przeobrażeń. Ze swych przemyśleń wyprowadzał wszakże całkiem odmienne wnioski. W „Złych dniach”, trzeciej części powieściowego cyklu, wiele miejsca poświęcił opisowi kryzysu wewnętrznego w państwie rządzonej przez Bolesława Chrobrego. Było to podczas wojny z Henrykiem, władcą Niemiec. Potęga Henryka wydawała się niezwalczona, a upadek Bolesława nieuchronny. Spoglądając na nad-

ciągającą z zachodu falę najeźdniczą, narrator powieści pisał: „Czyż nie słyszycie szczerku mieczów, gwałtu bitki? (...) Czyż nie doszedł was trzask wyłamywanych przez margrabiego Henryka wrót? (...) Nie słyszycie? A przecież łomot ten rośnie, napełnia kraj, dyszy wojną i morem. Gońcy lecą po całym kraju. Czyliż to tylko zamysł Bolesława, czyliż sprawa jego drużyny, pancernych, tarczowników, straży grodowej? Łomot idzie przez kraj. A czy słyszycie jak skowronki śpiewają nad nieobeschłymi polami, jak korzonek rośliny drze się pod radłem, jak pszczoły brzęczą przy wiosennym oblicie, jak ciepły wiatr porusza gałęziami brzoź, jak ziemia oddycha. Łomot idzie przez kraj, przez was idzie ten łomot, przez wasze chaty, obejścia i sioła. Nie słyszycie?” (Iwan Bunin, obserwując bolszewizm, pisał o „tej strasznej chmurze, grożącej światu piekłem”).

Pośród tego łomotu, w obliczu strasznej chmury, dokonuje się polaryzacja postaw. Oto Zefrid, kapelan Bolesława, który nawiązał tajne porozumienie z Henrykiem. Uzasadniając w rozmowie z żoną Latoroską swe postępowanie, mówił: „Kupa kpów! — odetchnął głęboko i powtórzył ciszej, z gryzącą drwiną w głosie: — Kupa kpów w całym tym grodzie. Obacz, jako to szybko poszło. Bolko miał księstwo od Jamsborga po Pragę. Kto wiedział, że ono księstwo, to jeno kupa chrustu? (...) Tak, miła moja, nie wojować żabie z jastrzębiem. Choćby nie wiem jak nadymała się żaba, jastrząb ją dziobem kolnie i... po żabie. Otto wyniósł Bolesława, a Henryk ji znieśie. Jeno dureń trzyma za nogi tego, kto na dno idzie. Wždy durniów dosyć na świecie, takich durniów, co dalej niż własny dziób nie dojrzą, a dumają, że wszystko widzą (...). Trzeba wiedzieć, kto wygra. Ja wiedziałem to, zawsze wiedziałem. (...) Ci tam w grodzie ze skóry wyskakują, by gotować Poznań do obrony. Niechże gotują, durnie. Obaczmy, kto będzie władał Poznaniem, ledwo się miesiąc obróci na niebie, kto będzie górą. Tylko głupek siedzi w chacie, na której strzecha gore. Przez tyle lat gadali o mnie wszyscy, żem gad, żem śmierdziel, żem lis i ropucha. Obaczą, kto będzie gad i ropucha. Obaczą, jako ja z nimi pogadam, kiej przyjdą z darem i pokłonem, kiej zajazgoczą przymilnie, będą mię chwalić i wynosić. (...) Już przechyliła się waga, a są tacy, co nie chcą jej widzieć, niechże nie widzą... do końca. Ja widzę i wiem!... — Zefrid zaniósł się triumfującym śmiechem, odetchnął głęboko, zrobił ruch ramionami, jakby ciężar z nich zrzucił.

Doszedł go szept Latoroski:

— Zefrid... ty chcesz... ty przeciw księdzu stajesz? za królem?

— Ja? — zerwał się z ławy, zamachał rękoma. — Ja? Nie ja. Całe księstwo jest przeciw księdzu. Jeno kupa kpów za nim stoi. (...) W całym księstwie by w barci przed rójką, huczy księstwo. Stare rody, wielmoże i woje. (...) Na podgórzu wre i na Mazowszu wre, i u Wiślan. Księstwo dęba staje, wielki bunt wszystkich ziem, (...) wraz nie stanie piędzi ziemi pod nogami Bolkowi, jeno krzta durniów... durniów... durniów... — ostatnie słowo wykrzyczał po wielekroć, jakby chciał siebie samego zakrzyzczeć”.

Argumenty Zefrida powtórzył krótko młody Darsk, przypadkowo zamieszany w spisek, w rozmowie z rówieśnikami: „To powiem wam — wybuchnął Darsk — ludzie gadają, że trza uchodzić spod dębu, który się może zawalić”. Odpowiedział mu Dziek, Czech, syn zabitego Sobiebor, wiernego Bolesławowi wojownika: „Mój ojciec, ksiądz Sobiebor Sławnikowic mógł się ułożyć z Jaromirem (sojuznikiem Henryka — A.M.), pewno by tamten mu oddał Libice. (...) Mógłby. Wždy on nie umiał tak dumać: wali się dąb, kajże z toporem po dębie. Nie, nie, mój ojciec nie umiał tak dumać. I sam się naprosił księdzu na tylną straż, iżby podeprzeć dąb, który go chronił i gościł przez wiele lat. Wiedział, że sam nie wyjdzie z tej bitki, a... — Dziek przełknął ślinę — a poszedł na most. (...) I wiesz, Darsk: ten um został mi ojciec i nie ma lepszego umu: iść w tylnej straży, pierwszemu łeb nadstawić, a nie ustąpić. (...) Pojmujesz mię, Darsk? — Nic nie pojmuję — wykrzyknął gwałtownie Darsk, odwrócił się i odszedł. Lubień i Pałak krzyknęli za nim: — Gówniarz!”

Gówniarzem był także Zefried, kapelan-zdrajca. Nie tylko dlatego, że przegrał — wykryto spisek, co przypłacił gardłem. Także przez to, jak przegrał. Sobiebor sam poszedł na most szukać śmierci. A Zefrid? Czekał na nadejście ludzi Bolka: „Głowa pełna ciężkiej gliny, ani jednej dumki, ani śladu możliwości — nic, tylko tępe, gniotące odrętwienie. I strach, ohydne, mdłe zimno ogarniające wewnątrz, pełnzące ku górze, duszące za gardło i ściskające szczęki — na każdy okrzyk dochodzący z dworu, na każdy stuk, na odgłos zatrzymujących się przed domem kroków. Ten strach obezwładniał Zefrida do reszty, miażdżył w nim każdą rodzącą się dumkę, wsysał go w siebie jak lepkie bajoro”. Zaś idąc na swą egzekucję — dopiero wtedy! — „uchwycił jednym spojrzeniem rozszerzonych w mroku źrenic cały sens i cały smak wierności; odczuł naraz bolesny głód i tęsknotę, i żal za tym, że jej nie osiągnął, nie zdobył. Naraz wszystko, do czego dążył i za czym się szarpał, zdało mu się zetlałe i nieważne, przecie tyle było dokoła niego pełni życia, że tylko je zgarniać głodnymi

rękami, tylko zgarniać: nigdy się jej nie wyczerpie. Wszystko to zmarnował”.

W tym tkwiła największa klęska Zefrida: nawet gdyby spisek się powiódł, gdyby mąż Latorosłki osiągnął najwyższe zaszczyty i dostojęstwa w księstwie, wszystko by zmarnował. Taka jest kara za akt zdrady — smak wierności nie jest zdrajcom dostępnym. Bo zdrada to nie to samo, co wycucie odmieniającej się historii. Gołubiew był na owo wycucie ciągłej zmiany niezwykle wrażliwy. Pisał: „Powoli, lecz nieuchronnie żłobi woda nadbrzeżne urwisko, wyżera bruzdy, sączy się w szczeliny i przewierca podziemne tunele; kędyś w głębi wymywa podziemne pieczary. Mokra glina trzyma się jeszcze, lecz byle wstrząs, a brzeg się obsunie — wyniosłe urwisko runie w dół stłamszoną kupą ziemi, w której nie rozpoznasz już uprzedniego kształtu. Ale drzewa i krzewy, rosnące na szczycie urwiska, do ostatniego momentu beztroško zielenią się w słońcu, wegetują w błogiej niewiedzy o rychłej zagładzie”. Woda podmywa wszystko i wszystkich. Wiernych i zdrajców. „Oto przyszyły dni — takie już są te dni — że każdy człek w księstwie musi wybierać: tu albo tam. Dotąd doła wybierała, ksiądz wybierał ani człek wiedział, że ma wędzidło u pyska. A nynie wybiera sam”. Bo woda zabrać może wszystko, tak wiernym jak zdrajcom, majątek i dostojęstwo, bezpieczeństwo i spokój. Wszelako zdrajca utraciwszy to, nie ma już nic. Zaś wierny ma na zawsze ten niezwykły smak wierności. Tego żadna woda mu już nie odbierze...

#### IV

Henryk Elzenberg już w 1921 roku sporządził znamienne zapiskę na temat przewrotu w kulturze. Pisał: „Gdyby francuzkiemu arystokracji sprzed Rewolucji dało się jakimś cudem pokazać treść duchową, i to najlepszą, Francji po roku 1830, z Wiktorem Hugo, Zolą, Manetem i czternastym lipca jako dorocznym świętem narodowym jego rodaków, i spytano go: „czy chcesz życie przedłużyć, by w takim oto życiu mieć udział?” powiedziałby chyba, że woli umrzeć. Tak samo gdyby Hadrianowi, powiedzmy, pokazać świat chrześcijański: katedry romańskie, mnichów, krucyfiksy, konfesjonały, „Naśladowanie Chrystusa”. Cóż im z tego, że to też będą ludzie? Nie dwunożność czyni ludzi braćmi, ani też wspólne przeświadczenie, że jak od czterech odjąć dwa, zostaje dwa, tylko sposoby czucia i wartościowania.

Tak samo w naszej teraźniejszości. Kultura dotychczasowa ma swój określony charakter, jest realizacją pewnych form czucia; ten charakter, te formy czucia, to mój charakter i formy. Przypuśćmy teraz, że do głosu dochodzi radykalnie odmienny typ ludzki: kultury jako takiej może on nawet — przynajmniej ostatecznie — nie zniszczyć, ale ta kultura, która po wstrząsie zakwitnie, to już będzie kultura nie nasza, dla nas obca zupełnie. Naszej ojczyzny duchowej już nie będzie; dla nas będzie to taki sam koniec świata jakim byłby dla Hadriana Jowisz na krzyżu. Ja osobiście na pewno nie mógłbym żyć w świecie, w którym powiedzmy, nie byłoby już miejsca na Odrodzenie czy Spinozę, na Słowackiego, czy tę lub ową moją ukochaną symfonię. Otwierają się w takiej sytuacji dwie drogi. Pierwsza, to napierające siły przyszłości starać się zahamować choćby za cenę skamienia cywilizacyjnego: zawsze to lepsze niż pokorna kapitulacja. Lepsze, ale jeszcze bardzo niedobre. Druga, próbować te siły jakoś częściowo wprowadzić w świat kultury dotychczasowej, wartościom kulturalnym przeszłości zapewnić głos także w przyszłych układach. Ta druga koncepcja jest rozsądniejsza; trzeba jednak pamiętać, że na dwa różne sposoby może nas zawieść. Po pierwsze: przełom może przyjść tak gwałtownie, że na akcję pośredniczącą czasu nie będzie. Po drugie, nawet bez gwałtowności: może się okazać, że nic z kultury dotychczasowej nie da się pokoleniom napierającym wszczepić. Nie wolno wtedy ulec pokusie wchodzenia w 'mdłe kompromisy': trzeba stanąć na głowie i, jak mężczyzna, bronić swej duchowej ojczyzny”.

Zdumienie ogarnia czytającego ten wywód, który jest klarowną charakterystyką podstawowego dylematu polskich intelektualistów po 1945 roku. Istota sporu Herberta z Miłoszem (tym sprzed 1945 roku) tkwiła właśnie w odmiennym wyborze scharakteryzowanych tutaj opcji. Miłosz wybrał tę pierwszą, Herbert drugą. Elzenberg w 1921 roku optował raczej jak Miłosz, ale po 1945 roku poszedł drogą Herberta.

Ten filozof miał wzrok niezwykle przenikliwy. Widział, na co się zanoszą. W przededniu wojny, w lutym 1938 roku, napisał: „Wojna nadciąga, wybuchnie lada dzień, bez zapowiedzi. Trzeba się przygotować psychicznie. Wojna ta sięgnie w życie głębiej niż tamta. Będzie podcięciem w s z y s t k i e g o, usunięciem spod nóg w s z y s t k i c h podstaw. (...) Nie będzie niosła żadnych nadziei: dobrze, jeśli tylko zmiany na gorsze, a nie zupełną ruinę. Bo może nas przecież przerzucić w świat, w którym już żadnym sposobem nie będzie można oddychać. Dla ludzi, którzy

postawili na kartę myśli, na kartę sztuki, twórczość, może to być koniec — dosłownie. Wtedy pozostanie już tylko utrzymać się w równowadze i harcie, i czujnym intelektem ogarniać to wspaniałe w swoim rodzaju widowisko walących się światów. A jeżeli pracować i pisać, to z pełną świadomością ryzyka, że z tego nigdy nikt nie skorzysta. Będzie to wymagało spełnienia dwóch warunków, które właściwie wykluczają się: przywiązania do pewnych spraw życia i jednocześnie oderwania się, przeniesienia się z całym swym duchowym bagażem w pustkę totalną”.

Tak brzmiała prognoza. W sierpniu 1945 roku Elzenberg sporządził wstępny bilans:

„Objawem katastrofalnym zdaje się tu być zatracenie, w walce człowieka z człowiekiem, wszelkich względów moralnych. (...) Nie tykając działalności poznawczej — która z barbarzyństwem potrafi, jak wiadomo, świadomie współistnieć — groziłoby to upadkiem lub zgoła zanikiem kultury pojętej jako 'życie duchowe'. Tu się jednak nasuwa pytanie wstępne: czy pod wspomnianym tu względem stan dzisiejszy jest istotnie o tyle gorszy od tego, co się wielokrotnie już w dziejach ludzkich zdarzało? Bo jeżeli nie, to kultura nie jest zagrożona: nie zniszczyło jej tamto, nie da się zniszczyć i teraz. Otóż stwierdzam: na szerokiach przestrzeniach przeszłości była równie straszna jak teraźniejszość. Swoistą popularnością cieszy się pod tym względem Asyria, z czasów późniejszych Dżyngis-Chan, Timur. Ale inne despotie Wschodu? ale Rzym? ale średniowiecze? ale Hiszpanie w Ameryce czy na Filipinach? Kampania Korbulowa w Armenii, z wyduszaniem zwyciężonych dymem w jaskiniach, kampania słodkiego Germanikusa z wyrzynaniem kobiet i dzieci (...), to są tylko próbki prawie niewinne: a jakież tym diabelstwom towarzyszyły tryumfalne rozkwity w dziedzinie ducha! A Melos! Czyż to nie symbol? Gdy sobie to uprzytomnić, to zgroza wobec natury ludzkiej wzmagą się, ale lęk o przyszłość maleje: wytrzymała ludzkość Melos i Artaksatę, wytrzyma Oradour i Oświęcim.

Pozostają jednak dwie wątpliwości. Pierwsza: jest coś w zbrodniach tej wojny, co je niepokojąco wyróżnia od największych dotychczasowych. Przeraża ich chłód, systematyczność, techniczna doskonałość sposobów, wciągnięcie w ich służbę nauki i największych sił intelektu. Żadnej rysy we władzy sądenia — i pełnia zgody na zbrodnię. Nasuwa to z wielką siłą myśl (...), że śmierć złudzeń mitycznych i nie zamglone spojrzenie na rzeczywistość prowadzą nieuchronnie nie tylko do czynów złych, ale do

wygaśnięcia wszelkiej świadomości moralnej. I tu wątpliwość druga: w pasji, z jaką wszyscy potępiają dziś Niemców, nie zawsze się czuje akcent szczerości; w oczach wielu metody te wcale nie byłyby takie złe, gdyby to oni stosowali je do swoich wrogów. Toteż trudno mi się wyżyć obawy, że Niemcy bynajmniej nie byli jakimś tylko wyrodkiem ludzkości, po którego wyrzuceniu za nawias można się spodziewać poprawy, ale że to była *straż przednia*, i że drogą przez nich wskazaną skwapliwie przy następnej rozgrywce pójdzie wielu z tych, którzy dziś ich wykleli”.

Z uwagami tymi, wspomnijmy na marginesie, koresponduje napisany w 1949 roku wiersz Miłosza „Siegfried i Erika”. W usta niemieckiego lotnika, który pojmował swój udział w wojnie jako dążenie, by został „urzeczywistniony / kształt człowieczeństwa wolnego od skarg”, poeta wkłada charakterystyczne wyznanie:

(...)

*A więc oskarżają nas? Oby poznali  
Jak się w niewiedzy stawia pierwszy krok.  
Łopoce sztandar i miłość wspólnoty  
Zagłusza drobną niemiecką wątpliwość  
która tykoce, przesąd liberalny.  
Oby zwycięzcy poznali jak szybko  
Idzie się od pierwszego przyzwolenia  
Do pełnej wiary, na ostatni próg.  
Jeżeli dzień nastąpi kiedy krzykną:  
My? My niewinni! Myśmy nie wiedzieli!  
Wtedy zrzucone będzie brzemień win  
I nasz niemiecki naród sięgnie znów  
Po cześć należną, wierzaj, siostrzo.*

Otóż Elzenberg wiedział. Cytowana zapiska obrazuje багаż, z jakim wkraczał w epokę Przodującego Ustroju. Wobec jego pokus i pogrózek był całkowicie nieprzejednany. W zgodzie ze swoją filozofią „stanął na wyłomie” i „w harcie” bronił swej „duchowej ojczyzny”. Zrozumieć heroizm i sens jego postawy można dopiero po przeczytaniu jego dziennika; ta postawa była udziałem ludzi przenikniętych świadomością klęski. Za racjami kapłanów Nowej Wiary, za racjami Stalina i jego opryszczki była siła militarna i banał rzeczywistości. Codziennie obwieszczali swój triumf, codziennie powiększał się zastęp ich sfanatyzowanych lub służalczych zwolenników, coraz większa połać świata wiwatowała na cześć Przodującego Ustroju i jego genialnego wodza. Intelektualista, poddany ciśnieniu terroru, propagandy i codzienności



musiał zbudować sobie jakąś wewnętrzną twierdzę duchową, gdzie bronił się przed zwycięskim pochodem totalitarnej doktryny; musiał pielęgnować swój arsenał argumentów, którymi odpierał ciągłe zakusy na swe sumienie. Miłosz, uzasadniając w tamtych latach (1947 rok) swą postawę, napisał:

(...)  
*Wiersz mój chce chronić od rozpacz*  
(...)  
*I rozszerzając ziemski gmach*  
*Budzi namiętność ludzkich spraw*

(„Traktat moralny”)

Inaczej Elzenberg. Rozpacz, świadomość klęski towarzyszyły mu nieustannie. Jego twierdzą była etyka wyrzeczenia i wyrozumowany pesymizm; perfekcjonizm moralny i głęboka solidarność z kulturą — „duchową ojczyzną”. „Kultura — pisał — jest próbą zmuszenia dziejów, żeby służyły wartościom”, zaś „kłamstwo jest samobójstwem”. Obrona prawdy była dlań tożsama z obroną piękna. Był rygorystą, odrzucał „mdłe kompromisy”. Nie godził się na argument „oceny czynu według następstw”. „Jeśli w tej chwili popełniam czyn niemoralny — pisał już w 1920 roku — to moja skaza jest pewna, i już dziś oczywista; dobre skutki są problematyczne. Więc nie one mogą być podstawą oceny. Czyny są dobre przede wszystkim o ile ujawniają moją wartość wewnętrzną”.

Tego się trzymał i później. To był jego pancerz przeciwko podporządkowywaniu norm etycznych wymogom skuteczności i oczekiwaniom tzw. „postępu historycznego”. W listopadzie 1934 roku zapisał myśl Comte’a „aprobowaną przez niektóre kierunki późniejsze”: „Jednostka może rozwijać skuteczną działalność tylko w kierunku postępu, czyli ogólnego rozwoju społecznego”. A oto jego komentarz: „Tamerlan wcale skutecznie zmniejszył ilość ludzi na świecie, a Święta Inkwizycja — zasięg poznania. Ujmuje się to jednak czasem subtelniej: że w każdej epoce przed każdym społeczeństwem stoją z a d a n i a, które muszą być rozwiązane; i że jednostka tylko o tyle może działać skutecznie, o ile przy ich rozwiązywaniu współdziała. Tak, o ile się orientuję, myśli się dziś w Rosji rewolucyjnej. Jednak i to nie jest słuszne bezwzględnie. Tak jak człowiek jednostkowy, mający przed sobą wielkiej miary zadanie, jednak miewa chwile wolne, kształci się, czyta, obcuje bezinteresownie z drugimi, tak i —

poza chwilami jakiegoś wyjątkowego napięcia — zbiorowość, oprócz zadań przed sobą, ma i inne swoje sprawy, także poważne, i wdzięczna jest, gdy ktoś jej pomoże żyć tym drugim życiem, wyjętym spod naporu i ucisku zadania. Tak więc będąc czynnym w tej drugiej sferze, można by w zasadzie działać skutecznie inaczej niż w kierunku rozwoju. Dotyczy to, jak się zdaje, głównie artystów”.

Ta formuła jest nieco „unikowa”. Jej istotną treścią jest szukanie azylu dla „inaczej myślących”, nie zaś drażnienie pytania zasadniczego: o kierunek rozwoju i wymóg solidarności z nim. Dlatego — być może — po czterech latach (kwiecień 1938) Elzenberg powróci do tego tematu i powie jaśniej: „Nie jest absolutnie wykluczone, że w walce o władzę, czasem, obóz bardziej zbrodniczy służy jednak, obiektywnie rzecz biorąc, celom lepszym, i że świat, w ostatecznej instancji, więcej zyska na doraźnym zwycięstwie zbrodniarzy niż ludzi porządných. Ale to na naszą opcję wpłynąć nie może. Musimy się orientować według wartości poczynań, nie według nieprzewidywalnych, co najwyżej możliwych ich następstw. Troska o przyszłość ludzkości obowiązuje tylko w granicach, w jakich w ogóle wolno brać pod uwagę możliwe a odległe następstwa: nie są to granice szerokie. W walkach dziejowych rezultat daleki i ostateczny jest na ogół przedziwnym amalgamatem wkładów dokonanych przez obie strony. Opowiadanie się więc jednostek po jednej lub drugiej stronie to — z punktu widzenia przyszłości — raczej tylko podział ról, i podziałem ról jest poniekąd nawet przeciwstawienie się sobie całych obozów: wszyscy walczący, w gruncie rzeczy, służą czemuś, co nie jest dokładnie celem żadnego z nich, ale z tych wszystkich celów jakoś się kiedyś dziwnie wykryształili, wypręparuje”.

W 1938 roku były to — mimo wszystko — rozważania nieco akademickie. Po dziesięciu latach spór z hegłowską koncepcją konieczności dziejowej, przetransformowaną przez komunistów na język urzędowej doktryny i politycznego szantażu, był centralnym sporem o postawy moralne. Wtedy właśnie (kwiecień 1948) Elzenberg sformułował swoje „Małe anti-Hegelianum”: „Wszystko co rzeczywiste jest bezsensowne, a wszystko co sensowne — nierzeczywiste”.

W grudniu 1952 roku sporządził Elzenberg kilka zapisków na marginesie głośnej dyskusji francuskich intelektualistów wokół komunizmu, która doprowadziła do zerwania Camusa z Sartrem. Przypomnijmy: Sartre, uznając polityczną zasadność marksistowskiej konstrukcji konfliktu klasowego (proletariat-burżuazja), opo-

wiedział się po stronie proletariatu, który utożsamiał z partią komunistyczną i ze socjalizmem, który utożsamiał z ZSSR. Camus natomiast ostro zaatakował praktykę obozów pracy w ZSSR i podjął — w „Człowieku zbuntowanym” — spór z całą filozofią polityczną komunistycznego marksizmu. Polemizował też z sartrowską koncepcją „brudnych rąk” i eksplikacją procesów moskiewskich, której dokonał Merleau-Ponty. Obaj oni — Sartre i Merleau-Ponty — podporządkowywali osąd moralny wymogom „konieczności dziejowych”. Optując za socjalizmem (który uważali za nieuchronny), skłonni byli uchylić motywowaną moralnymi argumentami krytykę zbrodni i kłamstw, których w imię tegoż socjalizmu dokonywano. Camus protestował przeciw szukaniu w czystej idei sankcji dla czynów moralnie odrażających.

W ten spór z Camusem włączył się katolicki pisarz P. H. Simon, z którego artykułu (i pisma *Terre Humaine*) Elzenberg wynotował uwagę o autorze „Dżumy”: „Zdaje się on twierdzić, że idea nieuchronnie się degraduje z chwilą, gdy ją transponować na płaszczyznę instytucji i czynów; co czyniąc ulega niebezpiecznemu romantyzmowi czystości w niepowodzeniu, niepowściągliwości idealistycznej, mającej skłonność do przedstawiania dziejów jako złych esencjalnie i niosącej ze sobą to ryzyko, że ludzi najważniejszych może zachęcić do trzymania się na uboczu”.

Elzenberg skomentował to następująco: „Do wszystkich grzechów, które przypisuje się tu Camusowi, przyznaję się i ja zdecydowanie. 'Degradacja' idei w urzeczywistnieniu, to chyba rzeczywistość krzycząca. 'Dzieje esencjalnie złe': wypowiedziałem się na ten temat (...). Wezwanie do wstrzymania się? Po tylu doświadczeniach nic chyba innego nie pozostaje. 'Romantyzm' i 'idealistyczna powściągliwość' to już tylko nazwy, które może kogoś zastraszać, mnie nie. Pozostaje 'czystość w niepowodzeniu'. Otóż co do 'czystości', to jest to wartość — tak myślę — absolutna naprawdę, absolutnie nieporównywalna z wartością ewentualnego zwycięstwa”.

Zdaniem Simona, Camus u „współczesnego potomstwa Hegla” przygwaźdża „skłonność do dopatrywania się w dziejach jakiegoś ruchu koniecznego, jakiejś dialektyki w pochodzie ku spełnieniu porządku ludzkiego, który się jakoś przebóstwiał; skłonność ta odnajduje się w wielkich filozofiach politycznych wieku XX, gładko usprawiedliwiając ich immoralizm i ich instytucje terroru”. „Słusznie — zauważa Elzenberg — ale po co potomstwo Hegla traktować aż tak bez miary wykwinicie i tak je, że tak powiem, 'uwznioślać'? Dużo ci tę socjetę obchodzi przebóstwianie porządku ludzkiego!”

Ta gorzka uwaga znakomicie obrazuje stan duchowy Elzenberga. „Wezwanie do wstrzymania się” jest odpowiedzią na sytuację totalitarną, w której była to postawa radykalnego protestu; cierpka refleksja o „potomstwie Hegla” to efekt najbardziej empirycznej z obserwacji, że potomkowie filozofa z Jeny pokryją heglowską frazeologią najwyklesze łajdactwa, że — przeto — spór z nimi na płaszczyźnie filozoficznej — w najlepszym razie — zagubi istotę dyktatury „heglowskiego potomstwa”, jeśli jej wręcz nie zafałszuje. W tej uwadze wszakże kryje się i gorycz polskiego filozofa poddanego presji totalitarnej dyktatury, a czytającego naiwne i abstrakcyjne eseje francuskich intelektualistów o dialektyce, historii i moralności propagandystów systemu kierowanego przez „współczesne potomstwo Hegla”.

„Chrześcijaństwo Simona i towarzyszy — zanotował Elzenberg — jest jednak dziwnie jakoś nikłe i blade. Mniejsza z tym; zaliż jestem stróżem ich chrześcijaństwa?”

I jeszcze: „Ludzie z *Terre Humaine* są szczędni, ale zawsze też mnie irytują. Przez tych aniołków skończy się na tym, że jeszcze pokocham Murrasa! Kapitalne jest między innymi, jak czasem z nadmiaru świętości usprawiedliwiają różne immoralizmy u drugich. Nie ma obawy, by tamci odpłacili im równą monetą”.

Wiedział, o czym pisał, znał t a m t y c h z autopsji...

Simon i Sartre potępiali moralistę, „który daje się skusić szlachetnym zabezpieczeniom wieży z kości słoniowej i który wyznacza obywateli honorowych dla Rzeczypospolitej Pięknych Dusz”. Na to Elzenberg: „Myślę, że gdyby 'pięknych dusz' starczyło na 'Rzeczpospolitą', to by się to dość opłacało”. Bo cóż tamci zalecają? „Odważę człowieka, który się nie boi tworzyć historii, płacąc za to cenę należną”. „Znamy tę cenę” — zauważa Elzenberg i w tej krótkiej replice zawarty jest cały ogrom żalu ludzi podbitych przez Przodujący Ustrój do zachodnioeuropejskiej lewicy.

Sartre, objaśniając motywy swego poparcia dla komunistów, tłumaczył, że robotnicy szli za partią komunistyczną, a więc socjalizm mógł zwyciężyć tylko dzięki niej. Proletariat uważał za klasę uniwersalną, zaś za prawdziwy punkt widzenia uznał perspektywę wydziedziczonych (czyli proletariatu). Ideologią proletariatu był — jego zdaniem — komunistyczny marksizm i wizja ogólnoludzkiej wspólnoty.

Nie wchodząc w spór o to, jak było we Francji, z pewnością stwierdzić można, że punkt widzenia polskich wydziedziczonych

był odmienny. Jaki? Otóż to: jedną z ich największych tragedii była niemożność wyartykułowania własnej niedoli. Była to także — w jakimś sensie — tragedia całej polskiej kultury: totalitarna opresja była skutecznym kneblem. Jej „wspólnotowa” demagogia i terrorystyczna, wyniszczająca więzi ludzkie praktyka powodowała, że opór mógł mieć wymiar jedynie indywidualny. Człowiek osaczony i osamotniony, codziennie naganiany do „nowych wspólnych przedsięwzięć” mógł znaleźć oparcie tylko w samym sobie. Z tej pozycji pisał Elzenberg o francuskim „potomstwie Hegla”: „I jeszcze jedno *contra* Sartre, trochę ze złością: istota bez żadnego poziomu, bez żadnych przeze mnie cenionych (...) treści duchowych, z chwilą gdy jest to *homo sapiens*, należy ze mną, tym samym, do tej jakiejś wielkiej wspólnoty, jaką stanowi gatunek biologiczny: on jest człowiek i ja jestem człowiek. Nie widać jednak żadnej racji, dla której by ta wspólnota, sama z siebie i bez tamtych dodatków, pociągała za sobą nakaz jakiejś szczególnej z tą istotą solidarności, wykraczającej poza tę, która nas łączy ze wszystkimi istotami na świecie. A cóż dopiero, jeśli ów *homo* nie tylko wszelkich aspiracji wyższych jest pozbawiony, ale jest nawet ich wrogiem. Pytam: dlaczego miałbym bardziej się troszczyć, by jemu nie stała się krzywda, niż o to, żeby karaś nie był dręczony braniem na wędkę (...)? Powie mi się, że karaś nie jest podatny na doskonalenie, a ludzie nawet najgorsi są, i że droga do spodziewanych wyższych poziomów prowadzi przez wyzwolenie, a do wyzwolenia przez pewne poczynania niezupełnie wytworne. Dobrze, ale nie prowadzi ona *na pewno* przez budzenie pogardy dla owych wyższych, tu i ówdzie już osiągniętych poziomów, i obryzgiwanie błotem samych zasadniczych pojęć leżących u podstawy jakiegokolwiek wiary w 'doskonalenie'. Marzy się o Rzeczypospolitej zadowolonych i hoduje się dla niej świntuchów. Otóż ja małą 'rzeczypospolitą' pięknych dusz wolę niż wielką, wszechogarniającą — świntuchów. Jeśli taką im dzieje przygotowują, to po kiego diabła miałbym w nie włączyć? Bez sarkazmu: Sartre chce wyzwalać, a hoduje w człowieku istotę tego wyzwolenia nie wartą”.

Zapiska Elzenberga o francuskim filozofie jest — jak to zwykle bywa — raczej źródłem wiedzy o poglądach niż źródłem wiedzy o autorze „Bytu i nicości”. Stosunki Sartre'a z komunistami były skomplikowane i pełne konfliktów, zaś jako sojusznik był on dla Przodującego Ustroju równie często kłopotem. Sartre, zrywając w pewnym momencie z komunistami pisał, że „polityka stalinowska nie daje się pogodzić z wykonywaniem zawodu literackiego”. Zaś po zerwaniu zapisał w swym dzienniku, iż prze-

niką go wówczas myśl, że musiał dać świadectwo. „Świadectwo sposobowi życia, który jest skazany na zagładę, ale który kiedyś się odrodzi; i być może nasze dzieła świadczą będą o tym sposobie życia wobec przyszłości i pozwolą go uratować. A więc oscylować między zajęciem stanowiska ideowego i działaniem”.

Autorem tych słów mógłby być i Elzenberg. Bowiem dramat filozofa polskiego był drugą twarzą dramatu filozofa francuskiego: był to dramat europejskiej kultury rozdartej między dwa bloki, z których każdy uzasadnić mógł swą polityczną praktyką niechęć humanisty. Na obronę Elzenberga powiedzmy jednak, że nie uzasadniał on polityki kolonialnej państw zachodnich dialektyką konieczności dziejowych i interesami światowego proletariatu. Jeśli bowiem Elzenberg tkwił w wieży z kości słoniowej — do czego chętnie się z pokorą przyznawał — to w tym tylko sensie, w jakim jest to udziałem każdego intelektualisty, który wykonuje swój zawód, a nie opracowuje planów szturm na Bastylię. Sartre — przeto — także tkwił w takiej wieży. A polski czytelnik pism obu filozofów ma prawo napisać, że wieża Sartre'a była wyższa i bardziej hermetyczna...

## V

Elzenberg był w swym pesymizmie bardzo konsekwentny. Znał swoją bezsilność i wiele nad nią przemyślał. We wrześniu 1931 roku zanotował w swym dzienniku fragment z Pascala: „Wszystkie wysiłki przemocy nie mogą osłabić prawdy i służą tylko do tego, by silniej ją uwydatnić. Wszystkie światła prawdy nic nie wskazują dla powstrzymania przemocy i tylko jeszcze ją drażnią. Przemoc i prawda nic jeszcze na przeciw drugiej nie są zdolne uczynić”.

Medytując nad tą myślą, Elzenberg napisał:

„Oczywiście tak rzecz formułując, Pascal ma rację. Spróbujmy jednak, dla własnego użytku, w miejsce 'prawdy' podstawić tu 'słuszność'. (...) Jak się wtedy ta walka przedstawia? 'Przemoc' — powiedzmy ogólniej: siła — 'nic nie może przeciw słuszności': to znaczyłoby, zgodnie z prawdą, że nie może sprawić, by to, co słuszne, stało się niesłuszne, albo na odwrót. Może ją jednak przyprzeć do muru, albo inaczej: do krawędzi nicości. Może zniszczyć tego, co słuszność głośi, a w zasadzie nawet i w s z y s t k i c h jej głosicieli, do ostatniego. A nie idąc aż tak już daleko: można sprawić, że to co słuszne

u nikogo nie znajdzie uznania, u nikogo nie znajdzie posłuchu. Może to zresztą uczynić nie tyle jako przemoc fizyczna, ile jako nacisk społeczny. Nie mówiąc już o rzeczy tak prostej, że siła może przeszkodzić u r z e c z y w i s t n i e n i u tego co słuszne. I teraz: jaka sytuacja, gdy moje przeświadczenie o własnej słuszności jest jedyną moją słabością i jedynym moim oparciem? Muszę sobie wtedy powiedzieć, że się poprzez tę słuszność zetknąłem ze światem jakimś innym, lepszym od tego, na którym rozpiera się siła, ale to niewiele pomoże, jeśli nie mam przeświadczenia, że świat ten, na swój sposób, jest rzeczywisty. Jednym słowem: muszę uwierzyć w „przedmioty idealne”, „świat realny”. Mieć słuszność a być w sporze tym słabszym: to s k a z u j e na określoną filozofię; gdy jej nie przyjmę, przegrywam *de facto*, a odwołania do żadnego *de iure* w ogóle nie ma.

Z drugiej strony niezupełnie jest prawdą, by słuszność nie mogła nic przeciw sile. Siła nie jest jednolita w sobie; na świecie są siły, nie 'siła' po prostu; i te siły się wzajemnie zwalczają. W walce tej któraś na jakimś punkcie przypadkowo się zbiegnie ze słusznością i poprze jej interesy, nie jako interesy słuszności, oczywiście, lecz jako swoje: i tak to w pęknięciach, szczelinach, rozpadlinach między tymi wzajemnie na proch się trącymi głazami jakiś nieśmiały krzaczek dobra czasem urośnie.

Ale dalej: samo przeciwstawienie nie jest tak absurdalne jak się zdaje. Bo w słuszności jest też pewna siła. Ludzie ulegają nie tylko przemocy, ale i naporowi żarliwie głoszonej słuszności, a choć to jest walka nierówna, jednak może się zdarzyć, że siła kiedyś nie wystarczy i z samych głębin natury ludzkiej coś się wyłoni jej nieposłusznego, co nią zachwieje. I tak trafia się mimo wszystko, że w toku dziejów głaz się rozkruszy, a krzaczek rozrośnie w cedr rozłożysty. Tyle, że ci, którzy go w czasach gładowładztwa próbowali zasadzić, idą zwykle na zagładę zupełną: i na to już nic nie da się zrobić”.

Temu rozumowaniu był Elzenberg wierny. Zajmując w okresie stalinizmu stanowisko niezłomne, sam sobie przyglądał się jednak z nieufną podejrzliwością. W 1953 roku, w artykule Guittona o wojennych orientacjach francuskich, odnalazł myśl, którą wynotował: „Nieustępliwy (*l'intransigent*), podobnie jak zakładający się u Pascala, wygrywa także w przegranej”. Zastanawiając się nad tą formułą — a snuł swe refleksje w szczytowym momencie stalinowskiej Apokalipsy — zauważał: „Podkreśla się tu w postępkach nieustępliwych pierwiastek korzyści dla działającego ('korzyści' wysublimowanej, rzecz prosta). Jednak pier-

wiastek bezinteresowny, pierwiastek absolutnego nakazu, czystego *advienne que pourra*, też nie jest mitem. I on chyba ostatecznie przeważa. Bo jeżeli 'wygrana w przegranej' to ma być uznanie drugich, sąd opinii, gdy czas próby przemienie i 'historia' zacznie rozdawać swe pochwały i swe potępienia, to to jest i dosyć niepewne i w olbrzymiej ilości wypadków jednodniowe i przemijające; zapomnienie wszystko pokrywa. Kto dziś wie, kto w Mohendzo-Daro był podły a kto bohaterski? Prawdziwa 'wygrana w przegranej' jest inna, tkwi w tym, że się było 'w porządku', w zgodzie z prawem czy to powszechnym, czy to z prawem własnego życia, że się zachowało świadomość własnego nieskażenia, czystości, że się postąpiło z umiłowania nieporównywalnych albo przynajmniej najwyższych nam znanych wartości. Być dumnym, że się tak postąpiło, to jest rzeczywiście na swój sposób 'interesowne'; tej jednak interesownej satysfakcji nie można — niestety czy na szczęście — bezinteresownemu odebrać”.

Taki kształt przybrała elzenbergowska „wieża z kości słoniowej”, gdy rzeczywistość polityczna odbierała nadzieję na rychłą przegraną totalitarnej przemocy. Ten mistrz paradoksu znał wszakże fizyczną cenę wolności. Znamienną ilustracją tej wiedzy jest — opatrzona tytułem „Poezja i Teruel” — zapiska sporządzona pierwszego stycznia 1938 roku, gdy totalitaryzm dławił europejską demokrację:

„Godzinę noworoczną spędziło nas parę osób na recytacji i na czytaniu poetów. Byli wielcy: Ronsard, Vigny, Słowacki (...). Słuchałem, to i owo sam przeczytałem, ale wciąż między strofami dochodził mnie huk tych działań spod Teruel, tam gdzie znowu jedna wielka rozprawa jest, jak się zdaje, przegrana. Każde życie w poezji czy w pięknie musi być pod jakimś gdzieś Teruelem zdobyte i wywalczone. Każde musi sobie, gdzieś pod kulami, wywojować spokój i bezpieczeństwo, by mógł się w nim rozleć głos miękki, głos czułości i uwielbienia. I zawsze przychodzą godziny, gdy znów się trzeba oderwać i iść bić się o najprostsze swe prawa. Ci, którzy tam leżą w tym błocie, kupują dla nieobecných wdzięk i urodę istnienia. Nie od nas zależy, kto ma kupować a kto z kupionego korzystać. Historia nierównomiernie rozkłada uczestnictwo w udręce ognia huraganowego i w sympozjonie: na kogo los padnie, ten idzie i daremne są utyskiwania. Każdej chwili każdy musi być gotów dopić czarki i iść zabijać albo dać się zabić tamtemu: bo to też jest powołanie człowieka. Gdybym szedł za swym własnym upodobaniem, chciałbym światu życzyć wielce dziecinnie, by ten rok był dla niego rokiem poezji. Niestety toczące się sprawy zmuszają do innego życzenia. Z w y-



cięstwa na polach bitew życzę ludziom: tym grzesznym, ułomnym, pełnym winy, ale łakącym i pragnącym sprawiedliwości. Straszne: nie rozumu, nie szlachetności, nie miłości, ale zwycięstwa. Bo na co zda się rozum i miłość i szlachetność, gdy się jest zepchniętym do kasty wiecznych zwyciężonych, sług swoich wrogów?” Na to pytanie musiał Elzenberg odpowiadać sobie codziennie w epoce stalinowskiej, gdy jedynym frontem walki były umysły i sumienia. Ideologiczny diabeł świecił triumfy. „Mefistofeles w roli budowniczego dziejów: to by dopiero była zabawa! A są tacy, którzy ją nam proponują” — zapisał w 1950 roku.

Nie czuł się jednak obrońcą Okopów Świętej Trójcy. Znajdował istotne różnice pomiędzy sobą a hrabią Henrykiem z „Nieboskiej Komedii” Krasińskiego:

„Jakże to mówi mój imiennik u Krasińskiego? 'Wygrywać zawždy, a kiedy nadejdzie przegrać, to raz jeden tylko'. Gdyby miał choć trochę ascezy, widziałby to dokładnie na odwrót: 'przegrywać zawždy, wygrać raz jeden tylko'. 'Przegrywać zawždy', to znaczy: każde swe przedsięwzięcie realne, każdą kampanię wśród ludzi, kończyć niepowodzeniem lub klęską. 'Wygrać raz jeden tylko' to znaczy: ze wszystkich tych klęsk i niepowodzeń wydobyc stopniowo, szczebel po szczeblu, jedno wielkie ostateczne zwycięstwo nad 'światem' w sobie i swoją niższą naturą”. Nie wierzył w „wallenrodyzm”; trzymał się z dala od urzędów i zaszczytów. Powtarzał za panią de Staël: „Dobrodziejstwa, które można wyświadczyć osobom poszczególnym nie równoważą zła, którego człowiek staje się sprawcą, używając swojego nazwiska stronnictwu, któremu służy”. Do tej myśli powracał: „Trzeba mieć poczucie rzeczywistości i tam, gdzie diabeł gospodarzy, nie silić się na przemykanie swych trzech ziarn pszenicy między kąkole”.

Tak uzasadnił swą postawę, określaną przez wyznawców Nowej Wiary jako eskapizm. „Eskapizm”? — odpowiadał Elzenberg — wielka zbrodnia zaiste. „Wolność było bratać się z nami, z nami, wspaniałymi, świetnymi, w poczynaniach swych nieomylnymi, a ty, zdrajco, nikczemniku, wolałeś iść w świat i żyć w nim jak człowiek”.

Obserwując intelektualistów, dokonujących publicznych aktów konwersji na rzecz Nowej Wiary, zanotował w 1950 roku:

„Czynienie zła daje czasem poczucie siły. Wtedy, gdy mu nie ulegamy jako pokusie, ale je wybieramy zdecydowanie. Jednak

nie dla tego, że jest złem — to byłoby coś jeszcze innego — ale chociaż je uznajemy za zło, jednocześnie mu przyznając skądinąd jakieś inne tajemnicze walory. (...) Dokonanie zła z pewną rozmyślnością (nie ze słabości, nie ulegając pokusie) daje przynajmniej dwie satysfakcje:

- 1) poczucie siły ('potrafię się na to zdobyć');
- 2) dumę z osiągniętego (we własnym doświadczeniu) poznania tego, czego dobrzy nie znają ('byłem tam, po nocnej stronie, w świecie Minusu')

Czytając toporne deklaracje tych „świeżo nawróconych” i ich instruktorów, zauważał ze zdumieniem: „Człowiek, który ma poglądy cyzelowane czuje się czasem dziecinnie bezradny wobec tego, który ma poglądy rąbane. A przecież głupcem — jeżeli już który nim być musi — jest tamten”. Tymże ludziom, agitującym go na rzecz Nowej Wiary, wyjaśniał: „Perswazja poparta siłą nie jest perswazją”. Po jednej z takich perswazji zanotował w dzienniku: „Butnie sobie poczyna najmizerniejszy wyznawca zła albo fałszu, jeśli tylko wie, że wielu jest takich, którzy fałsz lub zło to samo wyznają. Zastrachany milknie wobec tej buty samotny rzecznik dobra i prawdy. Trzeba być herosem, by nie zamilknąć; ale jeśli się nim jest, można zwyciężyć”.

Na potwierdzenie tego lubił cytować dokonane przez Mickiewicza spolszczenie „Giaura” Byrona:

*Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrzebie  
Ducha swobody — chyba on sam siebie.  
Bo własne tylko upodlenie ducha  
Ugina wolnych szyję do łańcucha.*

Także Chamforta przytaczał z upodobaniem:

„Prawie wszyscy ludzie żyją w niewoli z tego powodu, który Spartiaci podawali jako powód niewoli Persów: że nie umieją wymówić sylaby 'nie'. Umieć wypowiedzieć to słowo i umieć żyć samemu: to dwa jedyne sposoby zachowania swej wolności i odrębności”.

Od siebie dorzucał: „Umieć powiedzieć 'n i e': to jest fundament zarówno charakteru człowieka jak jego pozycji wśród ludzi. Powiedzieć nie cichutko, prawie *in petto*, jak mały Fil w 'Kontrapunkcie', tylko głośno, żeby wszyscy słyszeli. *Der Geist, der nie verneint*: co za nędza! (Duch, który nigdy nie przeczy — tłum.

H. Elzenberg). Lepiej już być *stets* (stale) — w świecie ludzkim przynajmniej”.

Do tego potrzeba odwagi, wiele odwagi. Powtarzał więc za C. S. Lewisem, że „odwaga jest nie po prostu jedną z cnot, ale postacią k a ż d e j cnoty w punkcie krytycznym”. Nie chronił się jednak — powtórzmy — od pesymizmu. Świadomie wyrzekał się nadziei, uczył się żyć pogrążony w czarnej beznadziejności. Odrzucał chrześcijańską wiarę w Sąd Ostateczny, nie wierzył też w „kosmiczną możliwość spełnienia” ideału. Obserwacja świata utwierdzała go w pesymizmie, ale potrafił to zwaloryzować, uczynić źródłem siły. „Zaufanie do 'kosmosu' — pisał — nie jest niezbędne. Wystarczy przekonanie, że człowiek chce i w jakimś stopniu może dźwignąć sam siebie, urzeczywistnić owe wartości we własnej zamkniętej swej sferze, stworzyć wyspę sensowności w świecie bezsensu. Morze naokoło tej wyspy niechaj sobie będzie czarną otchłanią: my stoimy twardo, stawiamy czoło i wznosimy swój proporzec wysoko”. „Jest to jednak — dodawał — postawa tragiczna i trudna do utrzymania. Tylko niesłychane braterstwo tych, którzy służą wartościom, 'współpielgrzymów', czy 'współbojowników', adeptów 'społeczeństwa wyższego', tylko gorąca wzajemna miłość ich ku dobru i pięknie może sprawić, że każdy z osobna wytrzyma i nie ginie z rozpacz”. „Katastrofa następuje z chwilą — konkludował — kiedy się przekonujemy, że to nie tylko kosmos jest obojętny lub wrogi, ale że sama 'natura w nas', że sam człowiek, — 'człowiek w ogóle' — nie jest podatny na przekształcenie *in melius*; że nie tylko jego możliwości są nikłe, ale że przede wszystkim woli w nim nie ma, że mu nie zależy ani na sensie, ani na 'wartości duchowej'. Wtedy wszystko się załamuje i cały pęd ku wyżynom staje się już tylko przekleństwem: lepiej życie z rezygnacją przedrzemac (...). I tak sobie to dziś uświadamiam: dawniej tragedią tragedii była w moich oczach samotność człowieka w kosmosie, 'lampy wśród mroków' — i z tym można było żyć pięknie; dziś nie tragedią już (bo tragedia jest wzniosła), ale straszliwością życia jest dla mnie zrozumienie, że sam człowiek wcale lampą być nie chce: 'ukochali bowiem ludzie ciemność bardziej niż światło'. I odwróciły się role: bo przeciw człowiekowi i jego sprawom szukam oto sprzymierzeńca w kosmosie, i tylko w obcowaniu z kosmosem spodziewam się jeszcze urzeczywistnić to, co może być urzeczywistnione z dążeń wysokich”.

Bowiem — notował w „goryczy serca” — „kosmos jest bierny; można w niego wmówić świętość i być szczęśliwym. W człowieka świętości wmówić nie można”.

Wiedział wszakże, iż „prawd naprawdę strasznych mówić nie wolno. A to są te, które mówią o dogłębnej bezsilności człowieka”. Ta świadomość czyniła go niepodatnym na groźby komisarzy Przodującego Ustroju. Nie popadał jednak w fanatyzm własnych opcji. Powtarzał sobie: „zło w człowieku chowa się, gdy człowiek jest bity; wychodzi na jaw w pomyślności. Dla bitych i zwyciężanych ostatnim sojusznikiem jest dobra o nich opinia; toteż, chcąc ją zachować, wystrzegają się złego tam nawet, gdzie by im doraźnie pomogło. Powetują to sobie z nawiązką, gdy będą znów na wozie”. Pisał te słowa człowiek „bity i zwyciężany”...

## VI

W 1953 roku sporządził zapiskę chłodno analizującą postawy „nieustępliwe”:

„Dwie postawy wobec zła świata. Jedna: odciąć się, przeciwstawić. Swoje małe nikłe ja z jego 'jestem' i jego 'chcę być taki a taki', całemu ogromowi istnienia, który się spycha do roli czegoś peryferycznego, jakiejś scenerii. Druga: przyjąć ten kosmos, a raczej ponury demoniczny nie-kosmos, z całą jego demonicznością; trwać i wytrzymać. Pierwsza podoba się mnie, druga mojemu młodemu przyjacielowi. On chce, żeby się z a n u r z y ć, wszystko wycierpieć, nie szukać żadnego Olimpu, żadnej 'twierdzy', żadnej *'templa serena'*; jego niechęć do Goethego, przypuszczam, stąd się częściowo wywodzi. Ale *'templa serena'* są dobre, i Marek Aureliusz jest dobry, i stoicyzm, i 'twierdza', i Goethe. Chodzi tylko o to, by ten ' optymizm' (?) nie zawierał domieszki fałszu, tego co Sartre nazywa 'złą wiarą'”.

Jan Józef Szczepański kazał bohaterowi swego opowiadania („Manekin”) zastanawiać się: „Nieuczciwe pokolenie. Myślą już tylko o urządzaniu się w życiu. Jak gdyby warto było w ogóle o tym myśleć. Pożegnali się z duchem ryzyka, zwątpili w prawdę. Liczy się dla nich wygodny fotel, dobry obiad, poważanie (niekoniecznie szacunek, wystarczy poważanie). Liczą się rzeczy. 'Nie myśl o ludziach, myśl o rzeczach'. Kto to powiedział? Goethe? Genialna purchawa! Patron starców”.

Te uwagi o czołowych luminarzach życia oficjalnego wskazują, że Elzenberg poprawnie odczytał pewien nastrój „młodych niezłomnych”. Kogóż jednak nazywał swoim „młodym przyjacielem”? Czy w zapisce tej nie znajdujemy charakterystyki postawy

Zbigniewa Herberta, który w tamtych latach studiował w Toruniu? W wierszu „Do Ateny” pisał Herbert:

*Przez sowią ciemność  
twoje oczy  
na hełm spiszowy  
twoja mądrość*

*uniesień  
myślą lekką jak strzała  
wbiegamy przez bramy światła  
z jasności w oślepienie*

*uniesieni  
na mdlejącym ramieniu  
salutujemy ciebie  
ciałem na tarczy cienia*

*gdy głowa runie na piersi  
zanurzam palec we włosy  
unieś wysoko*

*Kształt ostry i niespodziewany  
wynurz na chwilę z ptasich opon*

*niech nas dobije twoja dobroć  
niech zgubi nas okrutna litość*

*W otwarte włócznie  
puste ciało  
oliwę lej  
łagodnych blasków*

*i zedrzyj z oczu  
łuskę powiek*

*niech patrzą*

Elzenberg mógłby na to odpowiedzieć zapiską o „granicach realizmu”: „Rzeczywistość — pisał — tę raczej brudną — powinniśmy niewątpliwie z n a ć: złudzeniami żyć się nie godzi. Ale nie powinniśmy się w nią w p a t r y w a ć: bo ze zła i brzydoty cóż ostatecznie innego niż zło i brzydota może się udzielić nam samym?” Bowiem swój czas nazwał „epoką nieludzką, w całości prostytuującą się sile”. R o z u m i e n i e tej

epoki mogło oznaczać uznanie jej racji; dialog z nią mógł wieść do duchowej kapitulacji. Dlatego odmawiał partnerskiego dialogu wyznawcom „dialektyki oprawców”. Powtarzał swą młodzieńczą myśl: „Nie rozumieć, nie chcieć zrozumieć, może być czasem nakazem samozachowawczym pierwszej wagi i mocy”. Był jednak ostrożny: „Pogarda i potępienie — monitował sam siebie — to najpewniej wytknięte drogi, by samemu upaść moralnie”.

Swój stosunek do świata totalitarnych dyktatur sformułował podczas wojny (grudzień 1941) i pozostał mu wierny. Zapisał wtedy:

„Ciekawe, jak wojna obecna nie stała się dla mnie przedmiotem rozważań innych niż same tylko polityczne (...). Jakże to wyglądało inaczej ćwierć wieku temu! Wtedy wypadki dziejowe pobudzały myśl we wszystkich kierunkach. Tym razem to po prostu tępe narzędzie, którym się dostaje po głowie. Nie ma tu nic do myślenia: mówi się 'nie' i czeka do końca. Ale w głębi jakiś stosunek do zdarzeń kształtować się musi. U mnie tym stosunkiem było z początku doprowadzenie do kresu, do ostatnich granic możliwych, historiozofii pesymistycznej; ostateczne zwątpienie w sensowność dziejów, w znacznej mierze — w człowieka w ogóle. To minęło lub może raczej (...) zostało przyswojone, przestało boleć. Ale proces ten rozegrał się cały w sferze czucia i instynktu, nie myśli. Co przyszło na miejsce zwątpienia? Na razie tylko spokojne opowiedzenie się przy kulturze; zwiększenie poczucia jej wagi, dostojeństwa, substancjalności. Odpadnięcie wszystkiego, co mogło uchodzić za 'zabawę w kulturę'. Umocnienie się w przekonaniu — nie! W afirmacji istotniejszej od wszelkich przekonań — że wbrew wszystkiemu te stare zręby warto podtrzymać, wśród świata zbrodni dźwigać ten gmach rozjaśnienia. I może jeszcze: poczucie absolutnej dwutorowości dziejów — dziejów zbrodni i dziejów ducha, idących obok siebie bez najmniejszego wzajemnego oddziaływania, tworzonych przez gatunki ontologiczne bardziej sobie obce niż w zoologii jaszczury i ammonity”.

Na tę gorzką nadzieję Herbert replikował wierszem:

## DO MARKA AURELEGO

*prof. Henrykowi Elzenbergowi*

*Dobranoc Marku lampę zgaś  
i zamknij książkę Już nad głową*

wznosi się srebrne larum gwiazd  
to niebo mówi obcą mową  
to barbarzyński okrzyk trwogi  
którego nie zna twa łacina  
to lęk odwieczny ciemny lęk  
o kruchy ludzki ład zaczyna

bić i zwycięży Słyszysz szum  
to przyptływ Zburzy twe litery  
żywiotów niewstrzymany nurt  
aż runą świata ściany cztery  
cóż nam — na wietrze drzeć  
i znów w popioły chuchać mącić eter  
gryźć palce szukać próżnych słów  
i wlec za sobą cień poległych

więc lepiej Marku spokój zdejm  
i ponad ciemność podaj rękę  
niech drży gdy bije w zmysłów pięć  
jak w wątlą lirę ślepy wszechświat  
zdradzi nas wszechświat astronomia  
rachunek gwiazd i mądrość traw  
i twoja wielkość zbyt ogromna  
i mój bezradny Marku płacz

Za komentarz do tego wiersza uznać można zapiskę Elzenberga na temat upadku idealizmu w Europie (czerwiec 1955): „Idealizm z punktu widzenia ludzkości w jej masie był czymś ubocznym; obiektywnie faktem ważniejszym — 'najważniejszym w dziejach ludzkości', powiedziałbym bez nadmiernych skrupułów — były wielkie religie zbawienia. Wyłanianie się ich ze starych poganizmów zamyka jedną epokę, gaśnięcie i omdlewanie zamyka drugą. Teraz wszystko się załamało; jako istota duchowa człowiek stoi dziś wobec pustki i jest z tego zawsze zadowolony. Cóż na to ci, którzy przegrali? Pozostaje im się tylko spodziewać, że z tej pustki znów coś się wyłoni, albo, jeśli nadzieją tak kruchą żyć nie chcą — odciąć się i zejść na tor boczny. Można to tak ująć: człowiek sprzeniewierzył się swemu powołaniu na świecie, więc ci, którym na tym powołaniu jeszcze zależy, zrywają z nim solidarność. *Ius secesionis a genere humano* (prawo secesji od rodu ludzkiego): jest to sprzeczne z moralnością przyjętą, lecz obawiam się, że będzie musiało stać się etyką mniejszościową na czas najbliższy. Sartre zarzucił Camusowi jako grzech

główny, o który też ledwie, nie bez oporu wewnętrznego, śmie go posądzać, że 'kocha Boga bardziej niż ludzi'. Ale 'kochać Boga bardziej niż ludzi' (przy czym Bóg oczywiście może być różny i wcale nie musi być 'Bogiem' w sensie teizmu), to jest właśnie alfa i omega, fundament wszelkiego życia sensownego, wszelkiej godności. (...) Lepiej by było, gdybyśmy nie byli tak przyciśnięci do muru i nie musieli optować: byliśmy szczęśliwi i nawet lepsi (bo nie byłoby w nas tyle wrogości). Ale nie myśmy tę sytuację stworzyli. Jest walka, jest sprawa honoru, jest wojna o cały sens bytu: jeśli to wymaga wrogości, wyparcia się dawnych związków — niech tak będzie”.

Ze zaś ta walka jest nieuchronnie przegrana? „Istota obdarzona rozumem — powiedział Marek Aureliusz — może każdą przeszkodę zmienić w materiał swojej pracy i wyciągnąć z tego korzyść”. Elzenberg natomiast w 1951 roku, tym roku grozy, zanotował:

„Walka beznadziejna, walka o sprawę z góry przegraną bynajmniej nie jest poczynaniem bez sensu. W wyniku swym ostatecznym wszystkie przecież poczynania ludzkie są beznadziejne i niewątpliwie z góry przegrane: dwa tysiące lat, trzy tysiące lat, dziesięć tysięcy lat, a dzieło stworzone upadnie; u kresu wszystkiego jest nicość. Wobec tego walka daremna na metę już całkiem bliską, taka, której daremność bije w oczy, to najlepsza ilustracja, najbardziej reprezentacyjny skrót doli ludzkiej w ogóle; w niej najistotniejsza treść naszego przeznaczenia skupia się i zawiera w jakiejś potężnej syntezie. Wartość walki tkwi nie w szansach zwycięstwa sprawy, w imię której się ją podjęło, ale w wartości tej sprawy.

Z drugiej strony mówi się czasem, że są sprawy nieśmiertelne i wieczne, które sto razy przegrywają i nigdy ostatecznie przegrać nie mogą. Pięknie jest móc sobie pomyśleć, że takiej właśnie sprawie się służy. Ale to jest tylko wielka nadzieja”.

## VII

Hołd złożony Elzenbergowi przez Herberta jest zarazem fragmentem wewnętrznego dialogu kultury polskiej. Mówiąc ściślej: tego jej nurtu, który ukonstytuował się w kraju żyjącym pod ciśnieniem stalinowskiego terroru i w oporze przeciw temu terrorowi. Jest zdumiewającym fenomenem polskiego życia umysłowego, że tego nurtu nikt dotąd (ani w kraju, ani na emigracji)



nie opisał; że wciąż nie została mu oddana historyczna sprawiedliwość. Nikt nie spojrział na dokonania polskiej kultury z perspektywy oporu stawianego zniewoleniu. Dopiero ten punkt widzenia pozwoli znaleźć wspólny mianownik dla dziennika Elzenberga, dziennika Tyrmanda i dziennika Jana Strzeleckiego, dla prozy Hanny Malewskiej, Gołubiewa, Jana Józefa Szczepańskiego, dla esejów Zygmunta Kubiaka i Zdzisława Najdera, dla wierszy Herberta i felietonów Kisiela, dla pisanych „do szuflady” prac Marii i Stanisława Ossowskich. Próba syntezy treści tych różnorodnych utworów byłaby — moim zdaniem — istotnym poszerzeniem samowiedzy polskiej inteligencji i rewolucyjną doniosłością fragmentu jej najnowszej tradycji. Podczas lektury tych książek uderza ton pesymizmu i heroizmu zarazem, ton obrony wartości elementarnych poddanych próbie bezsilności i klęski, ton specyficznego przeżywania wartości narodowych i umiejętnego przekształcenia politycznej klęski w duchową siłę. Ten nurt konstituował się w obrębie różnych poetyk, światopoglądów i kręgów ideowych, obejmował intelektualistów katolickich i ludzi od katolicyzmu oddalonych, wykraczał poza dotychczasowe ortodoksje — był próbą szukania nowych diagnoz dla ogarnięcia sytuacji tragicznej. Wszyscy ludzie mieli samoświadomość — posłużmy się określeniem Zbigniewa Herberta — „czcieli umarłych religii”; każdy z nich obserwował jak: „szyje rosnącą do męczeństwa / uderza płaska dłoń naśmiewcy” („Kapłan”). Stawiali opór nie tylko terrorowi policyjnemu — także terrorowi pewnej historiozofii; historiozofii Ducha Dziejów, który straszył „śmietnikiem Historii” i obwieszczał nieubłagane konieczności historyczne wcielone w poczynania dysponentów władzy. Tego właśnie Ducha Dziejów opisał Czesław Miłosz w „Traktacie poetyckim”:

*Gdzie wiatr zawiewa dymem z krematorium  
I dzwoni w wioskach dzwon na Anioł Pański  
Przechadza się Duch Dziejów, poświstuje.  
Lubi te kraje obmyte potopem,  
Bezkształtne odtąd i odtąd gotowe.  
(...)*

*Już go zobaczył i poznał poeta,  
Gorszego Boga, któremu poddany  
I czas, i losy jednodniowych królestw.  
Twarz jego wielka jak dziesięć księżyców,  
Na szyi łańcuch z nieobeschłych głów.  
Kto go nie uzna, dotknięty pąteczką,*

*Bętkotać zacznie i utraci rozum.  
Kto mu się skłoni będzie tylko sługą.  
Gardzić nim będzie jego nowy pan.*

*Lutnie i gaje i wieńce laurowe!  
Damy, księżęta z mitrą, gdzie jesteście!  
Was można było ucieszyć pochlebstwem,  
Zręcznie w podskoku złapać worek złota.  
On żąda więcej. Żąda krwi i ciała.*

*Kim jesteś Możny? Długie są te noce.  
Czy znamy ciebie jako Ducha Ziemi  
Który z jabłoni strząsa gąsienice  
Ażeby łatwiej karmiły się kosy?  
(...)*

*Czy ty, co nosisz rozsądny frak Hegla  
I lubisz dzikie, wiatrom dane strony,  
Przybrałeś sobie tylko nowe imię?  
(...)*

*Poeta słyszy jego śmiech potężny:  
Ja im za karę odebrałem rozum.  
Nikt nie powstanie przeciw mojej woli.*

Henryk Elzenberg powstał przeciw woli Ducha Dziejów. Intencją tych wypisów z jego książki było przypomnienie tego protestu i kilku myśli, które dają wgląd w sposób rozumowania tego niezwyklego buntownika. „Kłopot z istnieniem” to książka mądra i piękna. To książka o smaku przeżywania człowieczej godności. Po jej lekturze każdy chce być kimś lepszym...

To także nieustający spór ze wszystkimi stereotypami wszystkich obozów ideowych polskiego życia umysłowego. Konkluzje Elzenberga bywają skrajne — jeśli zaakceptować ich niepodobna, to przecież nad każdą z nich warto się głęboko zastanowić. Dlatego chciałbym, aby te zapiski człowieka mądrego przeczytali moi koledzy, którzy podjęli ryzyko i trud zaangażowania w politycznej opozycji.

Elzenberg nie odpowie im na pytanie o taktykę i strategię, ale pomoże głębiej wejrzeć w siebie, odnaleźć i nazwać najistotniejsze prawdy sumienia; przestrzeże przed pułapkami politycznego fanatyzmu. Elzenberg jest bowiem jednym z wielkich nauczycieli życia w świecie totalitarnej beznadziejności. Nikt nie posunął się tak daleko jak on w historiozoficznym i antropologicznym pesymizmie. Wszelako doprowadzając swą myśl do skraj-

ności, uczył zarazem jak znajdować w tym pesymizmie źródło siły. Jego propozycje na czas totalitarnej Apokalipsy są — ze swej istoty — bardzo elitarne; są wszakże i nader demokratyczne. Elitaryzm tkwi w ich trudności, demokratyzm — w powszechnej dostępności: godność wśród bezsilności i zniewolenia praktykować może każdy, bez względu na pochodzenie, majątek etc. Wymaga to tylko woli i charakteru. Etyka Elzenberga — przypomnijmy — okazała się skuteczną. Samemu autorowi pozwoliła zwycięsko przebyć stalinowską próbę umysłów i charakterów, a i niejednemu z jego uczniów była latarnią w mroku. Wiersz Herberta jest tego najpewniejszym świadectwem. Elzenberg jest maksymalistą — wymaga wiele. Żąda wyrzeczenia się nadziei i złudzeń, pokus i strachu. Nie umiem żyć na co dzień w takim świecie. Nie umiem zrezygnować z pokus i pobożnych życzeń. Wszelako świadomość istnienia świata wykreowanego przez Elzenberga, tak krystalicznie przejrzystego i tak pewnego w swych fundamentach, jest czymś na kształt wiedzy o porcie, do którego każdy z nas może zawinąć chroniąc się przed burzą. Bowiem po akcie wyrzeczenia, po zdarcie skóry i mięszu, ofiarowana mu zostaje przez Elzenberga pestka owocu życia — godność.

Warto być wciąż gotowym do wkroczenia w ten świat wierności sprawom z góry przegranym.

## VIII

Ta garść cytatów z dziennika Elzenberga sporządzona została przez kogoś, kto szukał w nich odpowiedzi na kilka pytań oficera śledczego i prokuratora. Nie jest to zapewne najlepszy sposób lektury, ale za to z pewnością dość niekonwencjonalny. Usprawiedliwia mnie nieco fakt, że i ta książka jest wielce niekonwencjonalna. Niekonwencjonalnym człowiekiem był Henryk Elzenberg...

By pozostać wiernym — na koniec — tej niekonwencjonalnej konwencji, przepisuję jeszcze na swój własny i całkiem już prywatny użytek dwie uwagi Shaftesbury'ego skomentowane przez Elzenberga: „Gdyby ludzie mieli więcej odwagi, byłiby wszyscy tchórzami”. „Nie ma nic śmieszniejszego na świecie niż umiarkowane prześladowanie”. To Shaftesbury.

Elzenberg dodaje: „Ale tego nie mówmy zbyt głośno”.

## IX

„Kłopot z istnieniem” — tę myśl chciałbym raz jeszcze powtórzyć — mówi otwarcie: cnota nie zostanie wynagrodzona; jedyną nagrodą jest samo życie w godności.

Inaczej mówiąc: wiem, że — tak naprawdę — to przecież nic nie wskóram; wiem, że cokolwiek przyniesie przyszłość, nie uzyskam zadośćuczynienia.

Ale wiem także, że jedyny sens jaki nadawać mogę uporczywie swej egzystencji — to być po tej właśnie stronie: godności i odwagi, wolności i honoru, prawdy i sumienia. Książka Elzenberga przywraca tym słowom nieskazitelną blask.

## SZLAK CONRADA

### I

Wyrzuc pamiętki. Spal wspomnienia i w nowy życia strumień wstąp  
Jest tylko ziemia. Jedna ziemia i pory roku nad nią są.  
Wojny owadów — wojny ludzi i krótka śmierć nad miodu kwiatem.  
Dojrzewa zboże. Kwitną dęby. W ocean schodzą rzeki z gór.

Tak mówi w „Prologu” Herberta Chór. I mówi jeszcze: „Nie ma tego miasta / Zaszło pod ziemię”. Na to On (Wierność) broni się: „Świeci jeszcze”. I znów Chór: „Jak próchno w lesie”. On: „Puste miejsce / lecz wciąż ponad nim drży powietrze / po tamtym głośach”.

Słowa Herberta wciąż przynosiła mi pamięć podczas lektury temu opowiadań Jana Józefa Szczepańskiego „Opowiadania dawne i dawniejsze”. Ten tom, opublikowany w 1973 roku i chyba nie dość zauważony przez krytyków i czytelników, jest pomnikiem dla AK-owskiego pokolenia; jest conradowskim „wymierzeniem sprawiedliwości widzialnemu światu”; jest wreszcie świadectwem prawdy. Te opowiadania, których akcja ciągnie się od 1943 roku aż po „odwilż”, są relacją o losie ludzi, których udziałem stała się permanentna klęska: od kampanii wrzesniowej po terror stalinizmu.

Szukając jakiejś zwartej formuły dla przesłania tej książki, napotykam na kłopot: Szczepański po prostu pisze prawdę. Uderza to już podczas lektury „Polskiej jesieni” — najlepszej i najuczciwszej powieści o klęsce wrzesniowej; uderza to jeszcze bardziej przy lekturze tych opowiadań, nieraz konfiskowanych przez cenzurę i wzbudzających liczne protesty opinii publicznej. Cenzurą rządzi dogmat; opinią publiczną — mit. Opowiadaniem Szczepańskiego rządzi prawda.

Publiczność — rzecz to wiadoma — wierzy w mity. Zwłaszcza wtedy, gdy są one jedynym niemal oparciem dla co dzień poniewieranej pamięci. Poniewierany czyn zbrojny żołnierzy AK, powojenne prześladowania AKowców — wszystko to utrzymywało utajoną potrzebę hagiografii. Pisarstwo Szczepańskiego było tych oczekiwań zaprzeczeniem.

Sporządzony przez niego wizerunek AK to perspektywa dowódcy partyzanckiego plutonu. Jest to więc leśne AK widziane z dołu: bez strategicznych narad wokół akcji „Wachlarz”, bez politycznego namysłu nad sensem akcji „Burza”, bez wielkiej panoramy układu światowego, Teheranu i Jałty. Nie ma na tych kartach przywódców podziemia, choć są jakieś ślady konfliktów personalnych z kierownictwem: oddział partyzancki nie chce zgodzić się na odwołanie ulubionego dowódcy; ci z „lasu” z przekąsem komentują poczynania tych ze „sztabu” (polowanie na kaczkę podczas marszu na odsiecz walczącej Warszawie). Ale to tylko tło. Bohaterem tych opowiadań jest codzienność leśnego losu tych ludzi, którzy wyruszyli w swój niezwykły rejs i — śladem bohaterów Conrada — zabrali ze sobą tylko chininę i honor. Ci ludzie są mężni, ale dalecy od spizu. Są normalnymi, dzielnymi ludźmi, których wojna okaleczyła i zdeprawowała. Są różni. Oto Stańczyk: „Było coś pociągającego w postaci tego kryminalisty, tu w lesie okazał się odważnym i wzorowym żołnierzem, niezawodnym kolegą. (...) Siedział tu między nimi jak cierń, jak żywa drwina. Szeroki, bryłowaty, ze swoją gębą starej baby (...) zachowywał się powściągliwie, jak przystało służbiście, ale każdym błyskiem maleńkich chytrych oczek, każdą zmarszczką twarzy zdawał się szydzić: — inteligenci!”.

Młodziutki „Zbirek”, którego niemiecka kula uczyniła impotentem, owładnięty jest potrzebą zabijania. Nie tylko on: w ogniu walki ludzie okrutnieją. Szary, bohater „Końca legendy”, opowiadał panu Woyno o okrutnym (saperską łopatką) zabijaniu niemieckich jeńców przez partyzantów. Dlaczego ich zabijali? „Dlatego że było mało amunicji i że nie można było zdradzać strzałami miejsca postoju. A poza tym to było przyjęte. I w ogóle nieprawda, że Polacy nie są okrutni. Nieprawda! Do każdej egzekucji zgłaszało się trzy i cztery razy więcej ochotników niż było trzeba. (...) Konfident, którego bito po łbie tak, że głowa stała się równie szeroka jak tułów, bandyta, któremu przypiekano pięty, oficer SS, którego badano w ten sposób, że wreszcie starszy strzelec Modliszka, asystent biologii z 'cywila', nie wytrzymał widoku, podbiegł i dobił go samowolnym strzałem”. Na uwagę pana Woyno, że „Niemcy robili to samo” i „to oni zaczęli”,

Szary odpowiedział: „Oczywiście, robili i robią rzeczy znacznie gorsze i w dodatku z precyzją i wyrachowaniem systemu. Po jednej bitwie, kiedy zakoczyli nas pancerkami, zebraliśmy w polu dziesięciu naszych zabitych z wyłupanymi oczami. (...) Tylko widzi pan, u nich to jest naturalne, po nich nie można się niczego lepszego spodziewać i... i... ich mi nie żal, to znaczy, nie żal mi ich, że oni w to brną, ale żal mi naszych. Nie mówię teraz o tych torturowanych i męczonych, ale o tych, którzy się nauczyli robić to samo”.

Bardziej szczegółowo opowiada o tym mechanizmie nowela „Buty”, rzecz o wymordowaniu grupy żołnierzy pohitlerowskiej formacji rekrutującej się z sowieckich jeńców. Żołnierze ci z własnej inicjatywy przyłączyli się do AK-owskiego oddziału. Przedtem brali udział w tłumieniu Powstania Warszawskiego, gdzie ich formacja odznaczyła się szczególnym okrucieństwem. U jednego z nich partyzanci zobaczyli zrabowany zegarek z wygrawerowaną pamiątkową dedykacją.

Przyglądając się tej grupie „własowców”, świetnie wyekwipowanych, w nowiutkich butach (których brakło jego bosym żołnierzom), Szary obserwował ich codzienność. Czym różnili się od Polaków? Brakiem nadziei. „Tak, brakło wokół tych ludzi szeroiego oddechu nadziei i wiary w sprawę. Tu w lesie nie mówiło się o takich rzeczach, ale przecież każdy, kto przychodził tutaj, wszystko jedno skąd prowadziła jego droga, przychodził przede wszystkim po ów ożywczy oddech, i to było jego nagrodą. To pozwalało trwać i współżyć, to pozwalało godzić się na śmierć. Oni tego nie mieli. Niesli z sobą przygnębiającą fatalność, zwierzęcą czy roślinną kalkulację przetrwania. Zdradzili Stalina, zdradzili Hitlera, zdradzają każdego... To wielkie nieszczęście, kiedy wobec kul wroga ludzie pozbawieni są własnej sprawy”.

Ci ludzie, decyzją dowódcy batalionu, mieli zostać zabici. Wykonanie rozkazu przekazano Szaremu. Ten rozkaz był dla niego szokujący.

„Rozwalić?... powtórzył tylko jak słabe echo. — ... Panie poruczniku, dlaczego? Przecież ci ludzie przyszli do nas...

— No więc co z tego? To są bandyci i dranie, każdy z nich zapracował na kulę.

— Bez sądu?... Panie poruczniku... (...) Może by ich przekazać spadochroniarzom sowieckim?

— Pan mówi śmieszne rzeczy, panie Szary. Czy pan myśli, że ich tam spotka coś lepszego? I czy pan myśli, że oni o tym nie wiedzą? Bez żadnego gadania poszliby pod trawnik. W ogóle nie ma o czym mówić. (...)

— Panie poruczniku, w tego rodzaju sprawach nie wystarczy arbitralny rozkaz. To jest jeszcze kwestia sumienia. Bardzo możliwe, że część tych ludzi popełniła przestępstwa. Trzeba to udowodnić. Trzeba to udowodnić przede wszystkim nam, którzy mamy podjąć taką decyzję.

Szary sięgnął z wysiłkiem po argumenty, beznadziejnie banalne, gdy przychodziło ująć je w słowa, argumenty, których przejmującego znaczenia nie potrafił wyrazić. (...) Jak to powiedzieć, że ci młodzi mężczyźni nie wylęgli się w jakichś masowych koszarach, że mają jakieś zwyczajne, niewojenne życie (...)?

— Gdzieś tam czekają na nich rodziny, tak samo jak na nas (...), bierzemy na siebie ciężką odpowiedzialność, panie poruczniku...

— Czy pan miał kogoś w Warszawie? — przerwał mu Raf spokojnie.

— Tak: matkę i siostry.

— Czy miał pan od nich wiadomość od czasu powstania?

— Nie.

Serce Szarego ścisnęło się tą samą goryczą, która zalewała go przez wszystkie owe dni bezsilnego nasłuchiwania, kiedy melodia strasznej pieśni sączyła się kropla po kropli w głąb piersi jak zmieszana 'z kurzem krwi bratniej' trucizna.

— Więc dla spokoju pańskiego sumienia — ciągnął Raf — niech pan się dowie, że ci ludzie, których rodziny tak bardzo pana obchodzą, to są członkowie brygady Kamińskiego. Może pan to sprawdzić w ich papierach. Poza tym, niech mi pan powie, jak pan sobie wyobraża sąd w tych warunkach? Przypuśćmy, że części z nich nie udowodnimy winy, że nie znajdziemy przy nich zrabowanych pierścionków, zegarków... że potrafią przedstawić jakieś przemawiające za nimi dowody. Co wtedy? Czy jednych zabić, a innych — tych 'sprawiedliwych' — zatrzymać w grupie? Czy może puścić ich luzem w las? No? Niech pan pomyśli nie kategoriami humanitarnych autorów, ale kategoriami naszej leśnej rzeczywistości, naszego bezpieczeństwa. Zresztą, proszę pana, ta nasza rozmowa nie zmieni niczego. Stańczyk kopie już rowy w zagajniku.

Szary cofnął się gwałtownym krokiem, szarpnął się, jak gdyby próbując wydostać się z sieci idących na niego słów. Czuł się już pokonany; nie znajdował żadnych argumentów i zdecydował się na środek, który kusił go od chwili otrzymania rozkazu. Ucieczka. (...) Niechby się to działo poza zasięgiem jego woli. Wszystko jedno. On nie miałby z tym nic wspólnego. Uchronić ręce. Czuł całą tchórzliwość takiej obrony, ale nie mógł rozstać



się z pieczołowicie pielęgnowanym obrazem rycerza, właśnie z obrazem, choć wiedział w tej chwili, że jest to tylko sentymentalna pamiątka”.

Oświadczył, że jest po służbie i chce skorzystać z regulaminowego wypoczynku. Uległ jednak chłodnej argumentacji zwierzchnika, ugiął się przed poleceniem porucznika Rafa, który nie rozumiał do końca, skąd „tyle zamętu o paru głupich mameluków”. Szary wykonał powierzone mu zadanie. Ludzi z ROA rozbrojono i zamordowano. Do egzekucji żołnierze pchali się na ochotnika — zwłaszcza ci bosonodzy. Jeden z „własowców” próbował uciekać, a złapany chciał się przed śmiercią pomodlić. Nie pozwolono mu.

W trakcie wykonywania zadania, pisze Szczepański, Szary „poczuł w ustach smak zdrady”.

## II

Szczepański poddał Szarego okrutnej próbie w „Butach”, zanim wysłał go do dworku w Gryniewiczach, gdzie spędzić miał Sylwestra 1944/1945 roku. Bowiem w „Butach” Szary ostatecznie utracił niewinność, stał się uczestnikiem zdarzeń, których szpetota moralna była oczywista. Wykonanie rozkazu Rafa, dokonanie czynu ewidentnie nieetycznego mogło zostać usprawiedliwione wyłącznie kalkulacją polityczną, zasadą „cel uświęca środki”. Szary nie szuka jednak takich usprawiedliwień, pozostaje sam ze smakiem zdrady w ustach.

I oto ten człowiek spotyka w Gryniewiczach ludzi, którzy na cały sens jego partyzanckiej biografii spojrzą w sposób szokująco niekonwencjonalny. Z jednej strony pan Woyno, właściciel dworku, który nie chce słuchać o tych okrucieństwach i uporczywie powtarza: „To jednak pokrzepiające, że w tych warunkach, przy takiej nierówności sił mogliście ich bić. To pozwala wierzyć, że na tym świecie prawda zwycięża”.

Z drugiej strony inżynier Winkler, który mówi: „To jest naprawdę dziwne, pomiędzy warszawiakami, którzy wylądowali w Gryniewiczach, jest cała klika jakichś defetystów, mędrków, (...) którzy potrafią tylko krytykować wszystko, wyśmiewać każdy zdrowy odruch narodu... Taki Siciński. Jakie on ma prawo coś gadać? Całe powstanie przesiedział w piwnicy. Albo taki Wielgosz...”.

Wreszcie oni, mędrkowie i defetyści: Siciński — socjolog i Wielgosz — poeta.

A wszystko to podczas balu maskowego, gdy czuć już wyraźnie „dławiący niepokój umierającej epoki”. Sylwester przebierańców w Gryniewiczach ma w sobie coś z klimatu „Wesela”, choć aurą przypomina raczej stypę; coś z narkotyku pozwalającego zagłuszyć świadomość nieuchronnego kresu tego świata. „Koniec legendy” jest realistycznym opowiadaniem, a zarazem wielką metaforą końca II Rzeczypospolitej. Kogóż tam nie spotyka młody partyzant z leśnego oddziału: ziemiaństwo i fernali, konspiratorów i dekowników, opuszczone żony i panny do więzienia.

Bal sylwestrowy jest dla Szarego końcem leśnej legendy. „Wciąż jeszcze grano tę samą sztukę, lecz Szary wracał na koniec sezonu. A tymczasem duch dramatu zwietrzał, uleciała z niego dawna namiętność. Aktorzy wyczerpani i znudzeni, odklepywali już tylko swoje w oczekiwaniu końca. Ogarnął go przelotny, łagodny smutek. Uświadomił sobie, ile własnych sił i emocji włożył w ten dramat i jak bardzo przywiązał się bezwiednie do swojej niewesołej roli”.

Dla jednej z uczestniczek balu, Zuli, to koniec jakiegoś fragmentu życia. „Sama się nieraz dziwię — powie szeptem — przecież my się prawie nie znamy... Pobraliśmy się niecałe dwa tygodnie przed wojną. Mówią, że zapomniałam, że flirtuję na wszystkie strony... On tam jest głodny w tym obozie. Biją go. Ja to czuję. Nie ma takiej chwili, żebym nie czuła. Śmieję się, tańczę, a gdzieś w środku czuję cały czas. Aż słabo mi się robi...”. A po chwili idzie tańczyć kankana...

W tych ludziach — zauważył Szary — był „duch teatru, a może jakiś antyczny duch ofiary”. Winkler powiadał: „taniec na wulkanie”.

Dla Szarego symbolem tego świata są konie arabskie uwiecznione na obrazie zawieszonym w pokoju pana Woyno. Ale gdy wspomniał o tym Wielgoszowi, ten z pijacką szczerością odrzekł: „Wyrzuć za burtę!” Na protesty Szarego, że to „prawdziwe araby”, dorzucił: „Wiem. To jeszcze gorzej. Neurastenia, głupota i pycha. Rasa, fuma, idiotyczne rzenie i wierzanie na wszystko. Wyrzucić za burtę, wyrzucić bezwarunkowo!”

Ta pijacka rozmowa oddaje w skrócie stosunek obu rozmówców do ginącego świata. Szaremu żal pięknych arabów, Wielgosza złości już tylko ich „idiotyczne rzenie”. Dialog o koniach jest wprowadzeniem do awantury z Sicińskim. Marek, kolega Szarego z konspiracji, zirytowany monologami warszawskiego

socjologa, wyciągnął z kieszeni pistolet i zaczął udawać, że chce po pijanemu Sicińskiego zastrzelić. Kiedy go inni odciągnęli, Siciński, blady jeszcze i trzęsący się ze strachu, zwierzył się po chwili Szaremu: „To wcale nie są głupstwa. (...) To zastraszający objaw ogólnej ucieczki od rozumu, która zaczyna się na trzeźwo. (...) Myśli pan, że nie potrafiłby do mnie strzelić? Ręczę panu, że potrafiłby. A dlaczego? (...) Otóż dlatego, że ja mam odwagę nie zachwycać się szaleństwem, że mam czelność patrzeć trzeźwo na rzeczy, nazywać je po imieniu i mówić każdemu w oczy, co o nich myślę. Tak. Gdybym po prostu udawał tchórza, którym nie jestem, byłoby wszystko w porządku. Ale ja usiłuję przeciwstawić zaślepieniu trzeźwą i krytyczną myśl. Dlatego właśnie ten smarkacz mnie nienawidzi. (...) Jeżeli pan jest człowiekiem uczciwym — mówić dalej ze wzrastającym zacietrzewieniem — musi pan jednak ocenić moją odwagę. Nie każdy zdobyłby się na mówienie takich rzeczy, nie każdy zdobyłby się na... (...)”

— Na siedzenie sześćdziesiąt dni w piwnicy — wypalił Szary (...).

— Tak, nawet na to! — podchwycił z pasją Siciński. — Tak. Wśród tych wszystkich jadowitych spojrzeń i jadowitych słów... Łatwo się jest załamać, załamać w znaczeniu jakiegoś bezsensownego odruchu wywołanego jedynie wstydem. (...) Rzucić się w bezcelową masakrę, tylko po to, żeby zaoszczędzić tych słów i tych spojrzeń. Czy myśli pan, że mało było takich, którzy skęcili kark tylko dlatego? Nie wytrzymali nerwowo. Stchórzyli. Tak — stchórzyli. Ja wytrzymałem. Ja sobie to nakazałem całą siłą woli, bo ja jestem naukowiec, ja mam ważniejsze rzeczy do zrobienia niż rzucanie butelkami w czołgi”.

Przysłuchujący się temu monologowi inny uczestnik balu, profesor-antropolog, próbował łagodzić: „To są sprawy, które przez wiele lat wzbudzać będą namiętności i spory. Stoimy dzisiaj stanowczo za blisko tych wydarzeń, żeby kusić się o jakąś syntezę”. Na uwagę Szarego, że Siciński ma sporo racji, profesor odrzekł: „Jego prywatne racje nie są ważne. (...) Każdy broni się jak może. Siciński buduje sobie twierdzę z rozsądku. Pewnie, że ma swoją część racji. Ale tylko część. Tutaj chodzi o bardzo istotny dla naszych czasów konflikt. O konflikt między rozumem a uczuciem. Tak zwani ludzie wykształceni wstydzą się dzisiaj uczucia i wypierają się go na każdym kroku”. Rozmowę przerwały tańce.

I tak jest w tym opowiadaniu przez cały czas. To są strzępy rozmów, przerywane zabawą i żartami, toastami i śpiewem, bru-

derszaftem i kankanem. Jak to zwykle na balu. Atoli te strzępy rozmów składają się na jeden z najistotniejszych zapisów polskiego losu.

### III

Przybyli z Warszawy i korzystający z gościnności gryniewickiego dworu, Siciński i Wielgosz są ludźmi, którzy z całą świadomością uchylili się od udziału w Powstaniu Warszawskim. Uważali je za polityczny bezsens, za wynik fałszywych kalkulacji, za chybiony produkt myśli świata skazanego na zagładę. Stąd ich niechęć do gospodarzy gryniewickich, którzy są tego świata częstką. Spoglądając na tych uchodźców okiem Szarego, trudno przeoczyć, iż zachowują się oni wielce nieelegancko. Po nocy sylwestrowej, podczas rannego posiłku, wydają zlecenia, jakby byli hotelowymi gośćmi, a nie życzliwie przygarniętymi zbiegami; narzekają na szczupłość posiłku, wyrzekają na skąpstwo gospodarzy. („To wszystko praktyki kochanej Frąci. (...) Czy któryś z was widział wczoraj szumnie zapowiedziane indory? (...) A wiecie, co się z nimi stało? Pani Frączkowa sprzedała je w Krakowie”).

Te spostrzeżenia prowadzą do uogólnień: „Klasyczne wzory indolencji i złodziejstwa — sarknął Siciński. — Dwór polski, psiakrew! Romantyczne Soplicowo. — Pochylił się nad stołem poufnie. — Ja wam ręczę, że tutejsi mieli całkiem inne śniadanie. Tylko że obowiązki gościnności najłatwiej zdać w czułe ręce takiej Frączkowej. — No, no! — Wielgosz uniósł ostrzegawczo palec. — Radzę więcej rewerencji dla obywatelki Frączkowej. Pojutrze będzie pewnie przewodniczącą komitetu folwarcznego. Ja się jej pięknie kłaniam na wszelki wypadek...”. Te rozmówki służą zarysowaniu tła. Siciński i Wielgosz, których rozmowie przysłuchuje się Szary, są niesympatyczni: bije z nich cynizm wymieszany z tchórzostwem. Taki jest kontekst tej odwagi, z którą wypowiadają sądy niepopularne wśród gryniewickich gości. Ich mowa jest dla Szarego wstrętna, posługują się jakimś szczególnym szyfrem językowym, niepojętym dla ludzi obcych.

Oto przeglądają pismo *Przełom*, prohitlerowski szmatławiec redagowany przez Skińskiego i Burdeckiego. Dla Szarego pisemko to jest zwyczajnym świństwem, aktem zdrady. Komentarz Wielgosza jest bardziej intelektualny: „Pewnie, nie jest to lektura zachwycająca (...) ale ma jedną zaletę: wyraża pewną myśl. Choć-

by nawet błędną — mniejsza o to. W każdym razie to nie jest już bezduszna pozytywka”.

Od tych słów zaczyna się przypadkowa rozmowa o sprawach najważniejszych.

„Gniew Szarego tracił powoli swoją dynamikę, tężał w jakiś przykry uciskający skrzep nasiąknięty goryczą i zdumieniem. Ten stan utrudniał mówienie, obciążał słowa, odbierał im równowagę i celność. — To jeszcze gorzej — odparł — to znacznie gorzej, jeżeli nie pozytywka. Bo w takim razie to nie jest nic innego jak... jak zdrada.

Owo 'zdrada' zazgrzytało jakoś, potoczyło się chrapliwie w powietrzu przesyconym miękką wonią kawy i zataiło się w nim jakby w oczekiwaniu oklasków lub gwizdów. Ale publiczność nie była skłonna do żywiołowych manifestacji. — Reagowanie przez 'ach' i 'och' jest bardzo efektowne, ale mało skuteczne. (...) — Więc jak? — wykrzyknął Szary. — Godzić się na takie rzeczy, pochwalać je?

— Wystarczy rozumieć — wyjaśnił Siciński sucho. — Nikt z nas nie zachwyca się Skiwskim czy Burdeckim ani nie pochwała ich poczynań. Ale my (...) nie pochwalamy ich ze względów najzupełniej racjonalnych. Po prostu takimi środkami nie da się już nic zdziałać. Są nie na czasie. Ja Skiwskiego znam sprzed wojny. Zapewniam pana, że to nie jest żaden potwór ani płaz. Jego wina leży w tym, że jest politykiem, który źle zagrał. W złym momencie. Może nie mógł inaczej. Ale tym bardziej, jeśli chcielibyśmy oceniać go uczuciowo, trzeba mu przyznać, że jest odważny...

— Odważny? — wybuchnął Szary. — Szuja i tyle! Szuja! — Targnęła nim tak namiętna nienawiść, że aż zacisnęła pięści. Wielgosz pochylił się nad stołem. Jego roześmiane oczy zwężyły się, a z mięsistych warg wybiegło długie, mięsiste 'prrr!' (...)

Szaremu przypomniały się wczorajsze araby. (...) Wiedział już, na razie niejasno jeszcze i mgliście, że najdotkliwsza gorycz tych spraw ma jakieś bardzo osobiste źródło, że jest czymś w rodzaju miłosnego zawodu, upadkiem i rozwiązaniem się pięknej legendy, zdemaskowaniem jego własnej niemożności w grze, która może też być nieważna. (...)

— Chodzi po prostu o kwestię tak zwanego realizmu politycznego — odezwał się nagle z głębi jadalni niski głos Wielgosza. — Rzecz u nas bardzo niepopularna, bo wymaga rezygnacji z narodowej megalomanii. Trzeba zrozumieć fakt własnej słabości i posłużyć się nim jako logiczną przesłanką. Karzełek nie może walczyć z olbrzymem taką samą maczugą. Jeżeli jest w stanie

udźwignąć tylko szpilkę, musi nauczyć się podejść do olbrzyma tak, żeby nie zostać zmiążdżonym. Musi ułagodzić go i uspić. Musi być znacznie mądrzejszy...

— Tak — mruknął Szary. — To wszystko prawda. Ale czy taki Skiwski reprezentuje, pańskim zdaniem, taką krasnoludkową mądrość? Ja widzę w tym, co on robi, tylko ślepy strach. Lizusostwo, i to głupie, bo już niepotrzebne. (...)

Powiedział słowa, których nie miał powiedzieć i którym nie wierzył. Miały podwójny smak fałszu i upokarzającego kompromisu. 'Głupie, bo niepotrzebne' — to była formuła ze słownika tamtych, to była niezdana próba wykazania własnej trzeźwości wymierzonej ich miarą. A co do lizusostwa i strachu... czuł coraz wyraźniej, że to nie jest prawda. Siciński miał rację: trzeba było dużo odwagi, aby podejmować sprawę nie tylko przegraną, ale jeszcze w dodatku wstrętną i nienawistną. Nie mógł tego wszystkiego posklejać, nie mógł zrozumieć kryjących się za tym motywów i tym zacieklej uparł się przy pogardzie i nienawiści.

— Widzi pan — rzekł po chwili Wielgosz — intencją Skiwskiego, który zresztą z przekonania był zawsze germanofilem i fałszywą, jest doprowadzenie do pewnego uspokojenia umysłów będącego stadium przygotowawczym przed jakąś na dużą skalę zakrojoną akcją antyrosyjską. Mniejsza o ostateczny cel. W tej chwili takie uspokojenie umysłów mogłoby nam przynieść tylko korzyści. Złagodzenie kursu przez Niemców jest dla nas kwestią przetrwania...

Szary poczuł nagle mocniejszy grunt pod nogami. — Ale pan się łudzi — wykrzyknął niemal radośnie. — Złagodzenie kursu... Czyż pan nie wie, że Niemcy zupełnie świadomie obrali politykę zupełnego wyniszczenia nas?

— Wiem — odparł Wielgosz spokojnie. — Nie mam co do tego najmniejszych wątpliwości. Ale w tej chwili Niemcy przegrywają wojnę. Ręczę panu, że już od roku, a może i dawniej, zmieniliby swoją politykę w stosunku do nas, gdyby tylko mogli. Oczywiście nie zasadniczo i nie szczerze, ale dla nas każda pieredyszka jest ratunkiem. Trzeba umieć chwytać takie okazje. To jest właśnie mądrość krasnoludka. Co przyniosły nam awantury, strzelaniny i wszystkie inne bohaterstwa? Co przyniosło powstanie? Zniszczenie i ruinę, nic więcej. Nieprawdopodobna wprost manifestacja głupoty... bo to jest już zbrodnia. Tak, zbrodnia.

Szary poderwał się ze skurczem w gardle. W piersiach przełamało się coś dotkliwym, fizycznym bólem. Chciał krzyknąć jakieś słowo, przeciw któremu każda logiczna formuła nie miałaby

mocy. Nie znał takiego słowa. Nie było go, może nie istniało w ogóle? (...)

— Tryumf albo zgon! — wykrzyknął poza jego plecami Wielgosz z ironicznym patosem. — To ma być nasza polityka.

— Jeszcze nie mamy prawa oceniać powstania — rzekł Szary. (...) Nie miał pojęcia, co mówić dalej, w głowie czuł nieznośną pustkę. Nagle w wyobraźni jego pojawił się kształt zbawczego anioła: nieduża barczysta sylwetka w polowym kombinezonie.

— Pewien skoczek od Andersa — podjął z ulgą — mówił nam w lesie, że powstanie miało dla Zachodu olbrzymie znaczenie... — urwał zmieszany, w samą porę uświadamiając sobie, co chciał powiedzieć. Już wtedy, na owej polanie, gdzie odbywał się kurs dla oficerów oddziału, wzdrygnął się z przerażenia, usłyszawszy z ust pułkownika to nieprawdopodobne słowo. 'Propagandowe'... 'znaczenie propagandowe', powiedział niedbale człowiek z Włoch, mrużąc oczy w dymie amerykańskiego papierosa. Nawet wtedy przez zapocony i zawoszony drelich, przez zgrubiałą leśną skórę uczył dreszcz zimnej grozy. Ale skoczek ubrany był w elegancki kombinezon i beret, miał maleńką kieszonkową lornetkę i pudełko pigułek, z których każda zastępowała jeden posiłek dzienny (...).

— Niech pan tylko wierzy skoczce od Andersa... — rzucił niespodziewanie Siciński.

— Zresztą po co zaraz powstanie? — dorzucił Wielgosz. — Proszę sobie policzyć pańskich przyjaciół i kolegów, którzy zginęli dotychczas... (...)

— Czesi — rzekł Siciński — potrafili wypracować sobie relatywny system samoobrony... (...)

— Ach, Czesi! — zachnął się Szary. — Czesi to jest całkiem inna mentalność.

— Właśnie o to chodzi. — Głos Sicińskiego mieszał się z brzękiem otwieranych drzwi sionki.

— 'Dziś twój tryumf albo zgon' — powtórzył gardłowo Wielgosz z jakąś na pół rzewną nutką melancholii. — Ładna piosenka, prawda? Głupia i niebezpieczna, ale ładna. Bardzo ją lubię... — Nieoczekiwanie melodyjnym, czystym gwizdem rozdmuchał zuchwałe nutki 'Warszawianki'. Ociężałe kroki zawtórowały miniaturowej fanfarze. Oddalały się, słyhać je jeszcze było w sieni, potem drzwi trzasnęły za nią i ucięły jej wątek.

Szary odwrócił się. W uchylonych drzwiach salonu stała Madzia w starej, pensjonarskiej sukieneczynie. (...)

— Słyszałam, co oni tutaj gadali — rzekła, przegarniając włosy. — Niech pan się nie da nabrać. To są tchórze! (...) Mnie

za nich wstyd. (...) Każdy się bał. Ja się też bałam i pan na pewno też, to jasne. Ale oni wykręcili się sianem, a teraz chcą wszystko przeinaczyć, żeby pokazać, że mieli rację. Potrafią mądrze gadać. Szczególnie ten Siciński. Wstrętna glizda! (...) On nic nie zrozumiał z powstania. (...) Bo to wszystko wydaje się takie proste: było miasto — nie ma miasta; byli ludzie, i jeszcze jacy! — i nie ma ich... Wie pan, ja tam nie jestem mądra ani uczona jak oni, ale mnie się zdaje... a raczej ja wiem na pewno, że przecież ani miasta ani ludzie nie są wieczni. Te wszystkie domy tak czy owak kiedyś by się rozpadły, a ludzie poumierali i może nikt by z tego nie miał żadnej nauki. A tak jak się stało, proszę pana, to został na setki, na tysiące lat krzyk, że nie wolno. (...) Że nie wolno męczyć, torturować, zakłamywać na śmierć. Że myśmy tego nie chcieli i nie mogli znieść, że uważaliśmy ten postulat za ważniejszy niż domy, meble, rodzinne pamiątki, skarby kultury... i życie — dodała wstydliwie. — Ja nawet nie myślę tutaj o żadnej polityce, o żadnych sztabach i władzach. To właśnie my, to myśmy chcieli to powiedzieć światu. I nie żałujemy, chociaż mało kto z nas tak naprawdę rozumie... Żałują tacy jak tamci. Oni by paktowali z samym diabłem o swoje biblioteki i knajpy. A może im tylko wstyd?

Szary stał przed nią poruszony i równie bezradny jak wobec tamtych.

— Tak, były różne śmierci miast — rzekł wreszcie — i zapisały się w historii różną nauką. W historii z czasem zaciera się fakt, a pozostaje sens. Przestroga lub przykład, piękno albo szpetota. Była śmierć Sodomy i Jerozolimy, Troi, Niniwy i Pompei. Była śmierć Warszawy i będzie śmierć Berlina. Kto wie? Może te wszystkie śmierci są jedynie ważnymi momentami w życiu tych miast? Może pani ma rację. To bardzo gorzkie i bardzo pachnie eposem — urwał, spłoszony nagle gładkością swych okresów. — Psiakość! — wykrzyknął ze złością — epos! Epos historyczny. Co to nas właściwie obchodzi? Obawiam się, że powiedziałem wielkie głupstwo. To tak łatwo wymykać się odpowiedzialności za sprawy konkretne, kiedy zna się trochę literaturę. Bo ja wiem? Czy to nie jest po prostu objaw naszej polskiej, inteligentkiej słabości, żeby myśląc kategoriami stuleci pocieszać się z każdego dzisiaj? Już sam nie wiem — rozłożył ręce bezsilnym gestem. — Jednak tamci też mają rację. Ostatecznie, komu potrzebna była ta legenda i nauka? Myśmy na razie stracili domy, biblioteki, muzea, ludzi... wszystko. Czy pani nie zdumiewa się czasem, z jakim lekkim sercem my akceptujemy nasze straty? (...)



Madzia podniosła się wolno. Jej dziecinna twarz stała się nagle tak twarda i blada, że aż się przestraszył.

— Z lekkim sercem? — rzekła wążąc dobitnie słowa. — Proszę pana, ja straciłam w Warszawie dwóch braci i matkę”.

#### IV

W nocy — Szaremu przypadł wspólny pokój z Sicińskim — nastąpił ciąg dalszy sporu. Słuchać było katusze. „Jutro, pojutrze — mówił Siciński do Szarego — mają tu rzeczywiście być. Niech pan pomyśli: za kilka dni nie będzie już Niemców. Czy pan sobie wyobraża ten moment? (...)”

— Nie — odparł. — Przez pięć lat wyobrażałem go sobie inaczej.

Siciński zaśmiał się znowu. — A ja od trzech lat właśnie tak. Pan boi się bolszewików? (...)”

— Cóż? Dla siebie osobiście nie — mruknął niepewnie Szary. — Dla tych tutaj (...). Zresztą to nie o to chodzi — dorzucił melancholijnie.

No, oczywiście! Chodzi o tromtadrackie złudzenia... (...) Polska od morza do morza, szumne powitania Raczkiewicza i Andersa, lasy sztandarów, defilady, bum, bum! Ale skąd, jakim sposobem, to nieważne. Nad tym się nikt nie zastanawiał.

Szary słuchał w milczeniu, tęsknił do przyjaznych twarzy: 'Może ten smutek rozwiąłby się jak ciężki sen zmęczenia, może potrafiłby znowu uwierzyć, że wraca z epickich pobojoisk świętej wojny, w której dobro zмага się ze złem, piękno z brzydotą, duch ofiary z duchem ślepej przemocy. Może znów nieświadomie i prosto zaufałby, że naiwna nutka zamierzchłej piosenki wystarczy za busołą w zamęcie walk uświęconych tą samą co ona legendą'.

Siciński co innego miał w głowie, na uwagę Szarego, że dwór gryniewiecki był od trzystu lat w jednej rodzinie, odrzekł: 'Będziemy świadkami historycznego momentu, kiedy przestanie w niej być. (...) Właściwie już po trochu przestaje. Ja osobiście czuję się w tej oficynie bardziej gospodarzem niż Woyno. Mieszkam — tego nie może mi nikt mieć za złe. To jest taki zabawny przedsmak zrealizowanej utopii socjalnej, w której ludzie nie posiadający niczego staną się właścicielami wszystkiego'.

Po chwili dorzucił: 'Niech pan nie przywiązuje zbyt wielkiej wagi do sentymentów. (...) Nowe formy społecznego życia, choć

by nawet narzucone z dnia na dzień, mogą się doskonale przyjąć, ustalić i przybrać kształt uswięconej uczuciem tradycji. Bywało już tak. To, do czego się przywykło i co się kocha nie zawsze musi być pożyteczne. Nawet najczęściej nie jest. Przynajmniej u nas. U nas nikt nie ceni przyszłości'.

— Bo nikt jej nie dowierza — mruknął Szary. (...)

— Właśnie o to chodzi. (...) Ale dlaczego? (...) Dlatego, proszę pana, że nikt nie odważa się wziąć na siebie odpowiedzialności za przyszłość. Nikt nie ma ambicji jej stworzyć. Dopóki rzecz jest w sferze mglistych ideologii i frazesów, roi się u nas od demiurgów. Ale niech tylko wyjrzą spod wody twarde i niewygodne bryły faktów, niech się tylko pokaże, że utopia nie ustoi na takim gruncie, wtedy koniec. A przecież przyszłość budować można tylko na faktach, a nie mimo nich. I to jest nawet znacznie ciekawsze. Ja nie jestem przeciwnikiem konserwacji zabytków, ale to mi się wydaje symptomatyczne: rekonstruowanie siedemnastowiecznego dworku właściwie tylko dlatego, żeby podtrzymać złudzenie, że będzie się go posiadać *ad infinitum* w niezmienionej formie. I to we wszystkim tak jest mniej więcej. Dlatego tak u nas mało dobrych nowych rzeczy, a tak dużo falsyfikatów. (...) Bo przecież przyzna pan, że trudniej o głębiej mniej bezpieczną dla zabytków niż nasza. — Zastanowił się przez chwilę (...). Zdawał się rozważać, czy warto wtajemniczać tego mruka w cudownie przejrzysty świat rozumowań oczyszczony starannie z rdzy malarycznych emocji. Tak mu łatwo szło. (...) Z ciekawością badacza czekał na pierwszy skurcz oporu.

— Niech się pan nie gniewa, (...) ale to wrażenie przebywania wśród falsyfikatów staje się dla mnie istną obsesją. Zupełnie jakby człowiek przyglądał się scenie jakiegoś przestarzałego, patetycznego teatru. A szczególnie, kiedy stykam się z ludźmi takimi jak pan. To mnie o tyle interesuje, że jestem psychologiem... i socjologiem także. Otóż pan i wszyscy niemal pańscy rówieśnicy jesteście doskonałymi okazami jakiegoś niefortunnego uwarunkowania. Właśnie konserwacja dawnych wzorów, nie mająca poza dawnością żadnej praktycznej legitymacji. Dlaczego się narażać? Dlaczego giniecie najniepotrzebniej i najgłupiej? Dlatego, że to jest uswięcona tradycją forma reakcji na polityczny impas. Dlatego, że to jest zwyczaj, że to jest styl. Styl życia, jak styl gry w klasycznym teatrze. Ja nie mam zamiaru kpić ani poddawać w wątpliwości dobrych intencji, ale to jest w najważniejszej mierze kwestia formy, nie twórczej, świadomej treści. Bo gdyby tak każdego z osobna zapytać... gdybym na przykład pana zapytał: o co pan walczy? O jaką Polskę? Za jaką konkret-

ną wizję przyszłości decyduje się pan umrzeć, wierząc, że to nie będzie za późno?

O jaką Polskę? — Pamiętał to pytanie. — (...) Wtedy to brzmiało jak nieznośna demagogiczna zaczepka. Byli bardzo zmęczeni i (...) uciekali. (...) Tuż poza tylnym ubezpieczeniem kompanii chrześcij w ciemności nierówną falą stąpał batalion AL. Wypoczęty i zwarty napierał niecierpliwie od tyłu. Nagle rozrzucony bezładnie pluton Szarego zmieszał się jeszcze bardziej, a ponad pracowity szelest marszu wzbity się obce, natarczywe głosy. 'O jaką Polskę walcycie? — pytał jeden. — O taką, jaka była przedtem? O sanacyjną, kapitalistyczną, obszarniczą? (...) Słuchajcie chłopcy, u nas w wojsku polskim oficerami są robotnicy i chłopci. Nasze wojsko jest naprawdę ludowe, ja sam jestem ślusarzem...'. 'U nas nikogo nie pytają, kim jest' — odpowiedział ktoś od Szarego. Ale tamten głos 'ochrypli, spopolitowany rutyną wiecowych przemówień', nie ustępował: 'Wasze powstanie nie miało sensu. To był polityczny kant, głupia gra Londynu. — Powiedzcie lepiej, czemuście nie pomogli. Staliście przecież na Pradze. — My pomogli, co się dało, ale to nie było uzgodnione z ofensywą naszego frontu. To było na złość nam. Wasi panowie chcieli chwycić władzę i dlatego rzucili ludzi na rzeź. — Wasi ludzie też się bili w powstaniu... — Jak już wybuchło, to co mieli robić? Ale my tego nie chcieli. Wy też nie chcieli. Tylko po co, do cholery, takie gadanie: wasze — nie wasze. A co wy jesteście? Warszawa nie wasza? — Koledzy, nie wystarczy się bić. Trzeba wiedzieć, albo rozumieć'. Szary zapamiętał te krzyżujące się głosy sporu ze skoczkami od Berlinga. I zapamiętał głos swego kolegi: 'Dajcie spokój politykierstwu. Myśmy dzisiaj pochowali dziesięciu chłopaków z wyłupanymi oczami'. Dla Szarego 'to jednak nie były sprawy tak proste, jak się z początku zdawało'.

Siciński czekał na odpowiedź. Szary przeto usiłował przypomnieć sobie choć jedno zdanie z owych niezliczonych programów i ideowych deklaracji, które czytywał początkowo z zaciękawieniem i dobrą wolą, później z wzrastającą stale niechęcią, lekceważeniem, niemal pogardą. Żaden z tych druczków nie wstrząsnął nim, nie wzbudził najmniejszego uczuciowego odzewu. Były jak gdyby poza rzeczywistością, nie docierały do niej ani jednym słowem, nie miały ze światem ludzkich poczynań i przeżyć nic wspólnego. 'Na co to komu potrzebne teraz? — pytał fanatycznych apostołów. — Będzie czas potem'. A kiedy pierwszy raz stanął w leśnym obozie, największą ulgą była myśl: koniec efemerycznego gadulstwa, koniec papierowych utopii. Teraz

już tylko sprawy proste i jasne (...). To było mocne, ta świadomość". A jednak brakowało Szaremu wiązania z „jakimkolwiek poważnie brzmiącym uzasadnieniem”. „Cóż? ... najłatwiej byłoby odpowiedzieć: o jaką Polskę? — o wolną! Widział jednak całą naiwność takiego okrzyku. To było dobre do patriotycznej piosenki, nie do rzeczowego obrachunku”.

A Siciński czekał na odpowiedź: „Więc w imię czego gotów był pan ginąć? — zapytał. — Bardzo chwalebny taki abstrakcyjny patriotyzm, ale jak na człowieka inteligentnego dość uproszczony...

— Wcale nie miałem zamiaru ginąć — przerwał Szary szorstko. — Nie miałem i nie mam w dalszym ciągu. Przeciwnie, mogę pana zapewnić, że przez te wszystkie lata nie czułem się tak bezpiecznie jak w lesie. I nigdzie nie czułem się tak na swoim miejscu jak tam. A jeżeli chodzi o patriotyzm... sposób, w jaki pan to powiedział, nie potrzebuje żadnych komentarzy. Ale niech pan nie sądzi, że mnie pan tym dotknął. Nie będę tego słowa bronił ani się przy nim upierał. Sprawy, o których mówimy, nie mają nic wspólnego z frazeologią uroczystych akademii. Nic. Zupełnie nic. U nas w lesie nie było gorszej obelgi jak powiedzieć komuś 'ty patrioto zbolała'. (...) Zostawmy patriotyzm w spokoju. Tu trzeba wynaleźć jakieś nowe, nie sprostytuowane jeszcze słowo. A może lepiej nie wymyślać nic. W ogóle zrezygnować z terminu, który pana śmieszy, a mnie zawstydza. (...) — Dobrze, bardzo dobrze — zgodził się Siciński. (...) — Z tego, co pan powiedział mógłbym wnioskować, że poszedł pan do lasu dlatego, żeby się schronić, żeby znaleźć bezpieczeństwo. Czy tylko dlatego?

Szary wychnął powoli dym. — Nie — mruknął.

— Więc?

— O Boże! Co za pytania! Żeby się bić, do diabła!

— Dobrze. A pańscy koledzy, pańscy przyjaciele też tak samo? (...)

— Przypuszczam...

— W porządku — ucieszył się Siciński. — Hipoteza uwarunkowana stoi mocno. (...) O jaką Polskę? No dobrze, nie nalegam. Można użyć najróżniejszych przymiotników: o wolną, demokratyczną, liberalną, obszarniczą, narodową czy socjalistyczną. (...) Można bronić rzeczy, których już nie ma, i zdobywać takie, których jeszcze nie ma. I jedna i druga historia może mieć sens, jeżeli istnieją konkretne widoki powodzenia. Co mnie interesuje, to skuteczność metody. Cel oznaczymy sobie ogólnikowo mianem 'dobrej sprawy'. Otóż każdy normalny człowiek zgodzi się chyba

z tym, że dobra sprawa nie jest kwestią mitu ani legendy, jest sprawą ludzi konkretnie żyjących, ludzi żywych... (...) Mówił pan, że nie miał pan zamiaru ginąć (...), ale niemniej chciał się pan bić i wszyscy inni też chcieli. A w takim razie i pan i każdy inny panu podobny liczył nielogicznie na jakieś swoje osobiste, wyjątkowe szczęście, bo decyzja walki implikuje przecież zgodę na śmierć. Przynajmniej w zasadzie...

— Czy dziś potrzeba na to walki? — przerwał mu Szary.

— Nie. Oczywiście, równie łatwo o śmierć na ulicy czy gdziekolwiek. Nie chodzi o możliwości statystyczne. Chodzi o pewien akt świadomości. Widzi pan: ujmując rzecz ogólnie, w całej Polsce kilkaset tysięcy młodych ludzi, może nawet kilka milionów, zgodziło się milcząco, mniej lub więcej szczerze, na własną śmierć dla tak czy inaczej pojętej 'dobrej sprawy'. (...) Służenie dobrej sprawie to służenie życiu, nie śmierci. (...) Tylko to, co prowadzi do życia, jest słuszne. Fascynacja śmiercią jest chorobą psychiczną, jest zбочeniem...

— Ale śmierć też czasem służy życiu...

— O ho! ho! frazesy z repertuaru wieszczów!... Czasem. Czasem tak. Ale śmierć, nie samobójstwo. I w dodatku samobójstwo z odruchu czy — jeszcze gorzej — samobójstwo dla teatralnego gestu. Niech pan nie protestuje. 'Święta ofiara' to dobre w poemacie albo w tragedii. Zresztą nie mamy prawa mówić o jakiejś konieczności, o sytuacji bez wyjścia. Czy próbowaliśmy innego wyjścia?

— Ten pański Skiwski próbuje — warknął Szary. (...)

— Mój czy nie mój, wszystko jedno. Tak. Próbuje. Niesłusznie głupio. Ale jeżeli chodzi o przykłady, to można znaleźć lepsze. Czesi... Czesi bardzo pana irytują, prawda? Tchórze, co? ugodowcy? wazeliniarze? (...) Czesi, widzi pan, to jest naród naprawdę uświadomiony. Oni dobrą sprawę nie tylko czują, ale i rozumieją, i potrafią zrealizować ją konsekwentnie. U nich nie ma w tym żadnego zakłamania. Wiadomo, o co chodzi: o życie całego narodu. W takiej grze trzeba kalkulować. Po co zaraz umierać? Po co poświęcać wszystko, kiedy można wyliczyć sobie drogę przynoszącą najmniejsze straty. Głupcowi zawsze łatwiej jest umrzeć niż obliczyć. Śmierć to bodajże jedyna rzecz, której nie trzeba się uczyć. Dlatego jest u nas taka popularna. Czesi umieją kalkulować. Nie robią szaleństw. Mówi się u nas: boją się, wysługują, godzą... niech będzie. Mają rząd 'quislingowski', narzucony — dobrze. Czemu nie? Ale przynajmniej w jakimś tam stopniu mają kontrolę nad swoją administracją, gospodarką, szkolnictwem. Istnieją bardziej realnie niż my. A na

ostatniego robra mają też swoją bohaterską kartę: jedną dywizję za granicą i Benesza w Anglii. Czy potrzeba więcej? Zobaczycie pan, jak świetnie wyjdą z tej wojny — zdrowi i cali, ze stratami nie o wiele przekraczającymi ilość wypadków samochodowych za okres sześciu lat. A my? (...) Co mamy? Nic! (...) We własnych mniemaniach opinię bohaterów, w mniemaniu cywilizowanego świata opinię głupiego Jasia, albo dzikiego Gurkki, który 'każe się bić'.

Szary (...) znów był bezbronny i niemy. Wiedział, że powinien protestować, ale wiedział też, że jego protesty byłyby w tej chwili przeciwko Sicińskiemu, nie przeciwko jego racjom. A poza tym cóż mógł powiedzieć? Przemknął mu przez pamięć popularny jeszcze niedawno slogan: 'natchnienie narodów'. Wykrzywił wargi. Dzikim Gurkkom też pewnie opowiada się coś w tym rodzaju dla zachęty... Oczywiście, Czesi mają rację; myślał z jakimś nieoczekiwanym spokojem. — I rzecz jasna: wcale nie chodzi o to, czy my 'kochamy się bić', czy nie. Więc o co chodzi? — Czuł się zupełnie zagubiony. Argumenty Sicińskiego wydawały się nie do odparcia, a jednak nie trafiały, nie docierały do istoty rzeczy. Jemu samemu zaś rozpaczliwie brakowało argumentów, brakowało nawet słów. (...) Na ogół nikt nie 'kochał się bić'. Lecz sama 'dobra sprawa' nie tłumaczyła jeszcze w całości uroku tamtego życia. Dobra sprawa mogłaby być po czesku rozsądna. Tu jeszcze coś innego działało na wyobraźnię i na serca. Coś, co sprawiało — tak: przyznawał się teraz sam sobie — że człowiek przyjmował z wdzięcznością i ulgą konieczność sprzeniewierzenia się wszelkim cywilizowanym normom, okazję do zanurzenia w anachronizm. 'Okazja' — Szary zdawał sobie sprawę, jak cynicznie brzmi to słowo, ale w przypiływie niszczycielskiej szczerości zgadzał się na nie.

— Brak zaufania do rozumu — mówił Siciński — jest niesety jedną z naszych cech narodowych. Mając do wyboru trzeźwą analizę sytuacji lub natychmiastowy odruch protestu, zawsze wybierzemy to drugie. Oczywiście jest to przejaw prymitywizmu. (...) Uwarunkowanie. To jest klucz do wszystkich naszych zagadek. Nie mamy tradycji praktycznego myślenia. Mamy tylko tradycję niepraktycznego działania. Nazbyt długo żyliśmy w warunkach, w których odpowiedzialność za byt narodu ograniczała się do 'rządu dusz'. Stąd zamiast teorii politycznej — mesjanizm. Stąd zamiast umiejętności trzeźwego oceniania sytuacji — skłonności do urazów, patetycznych protestów, aktów rozpacz. I to wszystko usankcjonowane mistyczną wiarą w jakąś zabsolutyzowaną słuszność. Wielkie słowa, piękne gesty, jakieś romantyczne

misterium w samym środku zmotoryzowanego dwudziestego wieku. Nawet dwadzieścia lat własnej państwowości nie wystarczyło, aby nas uwspółcześnić. Ot, widzi pan: powtórzyła się tradycyjna narodowa katastrofa, umiłowana w skrytości ducha kłęska — uśmiechnął się zjadliwie — i trzask: wszystko tamto odżyło. Uczucie niestety trwalej kształtuje osobowość aniżeli myśl.

Szary milczał. 'Znów wracały obrazy'. Jakiś świt, dogasające ognisko. Poruszają się tłumoki szarych koców, bolesne westchnienia, szcęk repetowanego karabinu. Budzi się kompania. Piaszczystym traktem podjeżdżają skrzypiąc wozy. U jaśniejszego wylotu przesieki nieruchoma sylwetka. Jeździec w kudłatym kożuchu z wyciągniętą rozkazująco ręką. (...)

Tak, to już było. Przeżył to dawno temu, jeszcze jako dziecko. Obraz był pędzla Maksymiliana Gierymskiego, wisiał w muzeum. Nazywał się 'Pobudka w obozie powstańczym'. Tak dobrze pamiętał smak rozrzedzonego powietrza, w kościach chłód niewygodnie przespanej nocy! I radość, że to minęło, że to nie on krząta się przy siodłaniu tego siwaka z podkulonym ogonem. No, i proszę; los ofiarował mu ziszczone marzenie. Ten sam smak. Już nie odgadywany, przeżyty. Wszystkie rodzinne opowieści, aromat historii. Historii urzekającej tym, że zamiast płynąć majestatyczną falą pod przesłami traktatów, przy wtórze fanfar i skrzypieniu piór gęsi, złościła się leśnym gąszczem, buntem, zasadzką. Wszystko czekało na niego. Wszystkie ulubione dekoracje.

Siciński ciągnął swoje: — Dla naszego romantycznego podniebienia sukces jest nazbyt prostacki. My musimy cierpieć. Dopiero to jest interesujące. I dopiero wtedy można upajać się bezpiecznie tym, czego byśmy to nie dokonali, gdyby się nam powiodło.

Szary uśmiechnął się. (...) 'Umiłowana w głębi duszy kłęska' — to tylko utkwіło w nim, nurtowało, chociaż próbował zlekceważyć owo zdanie jako literacki frazes. Nagle olśniło go. Nierówność walki! Oto był moralny grunt. Wszelkie romantyczne ozdoby stanowiły jakby zewnętrzną warstwę. Istotny urok, ten głęboki, polegał na niewspółmierności środków. Z motyką na słońce. Tak. To było czymś na kształt gwarancji. (...)

Ale zamiast poprzestać na tej osobistej wewnętrznej satysfakcji, zaczął — niespodziewanie dla samego siebie — wywodzić, że Ameryka, że Anglia, że wkład we wspólne zwycięstwo, że zobowiązania aliantów, że wojna jeszcze się nie skończyła... Już przy pierwszych słowach ogarnęło go przygnębienie i wstyd — świadomość rozpaczliwej pustki. (...)

— Czy pan ma jeszcze zamiar długo świecić? — odezwał się nagle z łóżka zdruzony głos. Szary umilkł. (...) I ni stąd ni zowąd, jak gdyby ciemność rozzuchwalała go nieoczekiwanie, rzucił tonem zaczepki: — A jeżeli pan chce wiedzieć, czego szukałem w partyzantce, to powiem panu: przygody. Sportu. Ot: cała psychologiczna tajemnica!

Po chwili głos Sicińskiego odezwał się ponownie, tym razem spokojny, prawie życzliwy.

— No i po cóż się zgrywać? — powiedział socjolog. — Nie nabierze pan ani mnie ani siebie... (...) Zawsze lepiej spojrzeć prawdzie w oczy. Trzeba mieć odwagę przyznać się do przegranej. Wiadomo, to nie jest łatwo. (...) Tak, nie wy wywalczyście Polskę. (...) Wszystkie wasze rachuby były nierealne. Zamiast chwały zwycięzców przypadnie wam w udziale rozgoryczenie odtrąconych.

Szary skurczył się pod kocem, zacisnął zęby. Ból był tak dotkliwy, że nie dziwiłby się, usłyszawszy swój jęk. Siła tego cierpienia uświadomiła mu ogrom porażki. Mógł bluffować, mógł cynicznie zasłaniać się umiłowanym przygodą. To wszystko były wykręty. (...) Serce miał ciężkie od miłości i żalu. Nagle to wszystko przemieniło się w gniew. W bezsilny gniew przeciw Sicińskiemu, jakby to on był winien.

— W czym imieniu pan właściwie mówi? — zawołał. — Po której pan jest stronie? (...)

— Ja jestem po stronie historii. Panu zdaje się, że historia to jest to, co kiedyś było. Niech pan zrozumie: najważniejsze jest to, co się dzieje, co się staje... — urwał w pół zdania.

— A co pan dla tej historii robi? — zapytał Szary. Jak jej pan pomaga? Pan się tylko przygląda z mądrą miną...”

I to był już koniec rozmowy. „Daleko, wśród pustych, ośnieżonych pól budziły się działa. Wytężył słuch. Zrobiło mu się trochę lżej. Biją Niemców”.

## V

Nie jestem dobrym czytelnikiem opowiadań Szczepańskiego. Odczytuję je zbyt współcześnie i zbyt osobiście. Do pasji doprowadza mnie elokwencja Sicińskiego, wstrętem przejmują mnie jego wywody. Korci mnie, by podpowiadać Szaremu żelźwe repliki...

A tak nie można. Siciński góruje intelektualnie nad Szarym,



a Szczepański, wyposażając go w tak sprawny umysł, stawia przed czytelnikiem poważniejsze wymagania. Racje Sicińskiego są przemyślane, argumenty uszeregowane, a — nade wszystko — ma on za sobą naciągającą rzeczywistość. Cóż może temu wszystkiemu przeciwstawić Szary? Jedyne uczciwość i honor. Nie jest to wiele. Trudno zbudować na tym alternatywną wizję polityczną.

Tym bardziej, że Siciński ma wiele racji, że mówi nierzadko mądrze i celnie, że dotyka spraw, które i dla Szarego nie są oczywiste. Wszakże argumentacji jego towarzyszy swąd strachu. Te same racje, wypowiedane przez kolegę Szarego z partyzanckiego oddziału, miałyby zgoła inny sens. Szary dostrzegał przecież, „z jak złośliwym zaciekawieniem Siciński polował na każdy jego odruch oburzenia i protestu, z jaką satysfakcją każdy taki wybuch przyjmował i jak zrećnie obracał go w upokorzenie i kpinę”. Próbuje więc oddzielić argumenty od osoby: „Sama obecność Sicińskiego działała jak jakiś przymus, jak krytyczne sumienie rozumu. Jakaś na pół uświadomiona lojalność, poparta grubym osadem własnych rozczarowań i doświadczeń, nie pozwalała utożsamić tego człowieka o twarzy gryzonia i fujarkowatym głosie ze słowami, które wypowiadał. Jego racje były ponad nerwowymi dreszczami trwogi, trzeba je było przyjmować tym uczciwiej i poważniej, im łatwiej można było zlekceważyć je, sprowadzając wszystko do prostego wykładnika niesympatycznej osoby. To było męczące i przykre”. To było — dodajmy od siebie — do końca niemożliwe: rozmowa tyczyła spraw zbyt bolesnych i dramatycznych.

Powtórzmy: problemy będące przedmiotem sporu bynajmniej nie były oczywiste dla Szarego. Siciński nie był w swych sądach odosobniony. Aleksander Bocheński w „Dziejach głupoty”, Stefan Kisielewski w artykule o Powstaniu Warszawskim, Ksawery Pruszyński w pamflecie o Wielopolskim wypowiedzieli opinie częstokroć identyczne. Było więc nad czym dumać. Idzie wszakże o ton, o ten nastrój lekceważenia i pogardy, który jest wyczuwalny w każdym zdaniu Sicińskiego. Idzie więc — mówiąc najprościej — o tę linię demarkacyjną oddzielającą najsurowszy nawet krytycyzm od zdrady.

Bowiem idzie tu także o przyszłość: argumenty Sicińskiego pozwalają usprawiedliwić polityczną racjonalnością niemal każde przysze świństwo i zaprzaństwo. To jest w wywodzie Sicińskiego, który jest „po stronie historii”, najbardziej paskudne i to go będzie różnić zasadniczo od Stefana Kisielewskiego.

W sporze na argumenty Szary jest bezbronny. Ma poczucie przegranej: w wojnie i w tej dyskusji, a serce pełne „miłości

i żalu”. Stojący po stronie historii Siciński mógłby wyrecytować za Miłoszem:

(...)

*Żyjesz tu, teraz. Hic et nunc.  
Masz jedno życie, jeden punkt.  
Co zdążysz zrobić, to zostanie,  
Choćby ktoś inne mógł mieć zdanie.  
Nowa k o n w e n c j a już się tworzy.  
Nie mów: konwencja długich noży.  
Nie wątpię, że jest bardzo zła,  
Lecz wywalczyłem ją nie ja.  
Oskarżaj, jeśli masz ochotę,  
W weneckich bankach sztaby złote,  
Elżbietę, Lutra, kres Armady,  
Wersalskie bale, defilady,  
Tatarów, że nas najechali,  
Wojnę Stuletnią — i tak dalej.  
Choćbyś zazdrościł psom i ptakom,  
Musisz ją przyjąć j a k o t a k a,  
A więc po prostu jak zdarzenie  
Na naszej obrotowej scenie —  
I płyniesz w tym społecznym falcie,  
Jak orzech w Nilu katarakcie.*

Zaś Szary mógłby zareplikować:

*Nie jesteś jednak tak bezwolny,  
A choćbyś był jak kamień polny,  
Lawina biegnie od tego zmienia,  
Po jakich toczy się kamieniach.  
I, jak zwyczaj mawiać już ktoś inny,  
Możesz więc wpłynąć na bieg lawiny.*

(„Traktat moralny”)

To byłoby rozwinięcie końcowego pytania: „A pan co dla tej historii robi?”

Natomiast odpowiedź na deklarację: „Ja jestem po stronie historii”, mogłaby brzmieć tak:

(...)

*W historii księgę patrząc sfalszowaną  
Gdzie podrobione wpisują wyroki*

*Któż się do dziejów odwołać poważy  
Aby nadały tytuł jego czynom?  
Któż papierowym odda się wawrzynom  
Które na własny przygotował posąg?  
Komu wystarczy od własnego cienia  
Zachęty doznać albo potwierdzenia  
I latom ufać, aż go w pył rozniosą?*

(„Grób matki”)

## VI

Przywołałem tu Miłosza nieprzypadkowo: nie tylko dlatego, że poeta Wielgosz jest momentami nieco podobny do laureata Nagrody Nobla. Przypuszczam, że Miłosz mógł w owym czasie wypowiadać podobne sądy, przeto spojrzenie jego okiem na zdarzenia i rozmowy w gryniewickim dworze może okazać się użyteczne.

(...)

*Zbieg z rozbitej Warszawy znalazł był przytułek  
We dworze. Wśród wykuszów, zakamarków, pótek  
Myszkował i napotkał biblioteczne szafy  
Pamiętające chyba czas Kara Mustafy.  
Chciał klucza. Wszczął się rumor. I nie mógł przeboleć,  
Że po długich szukaniach tę dostał odpowiedź:  
(Ród na tym dworze mieszkał sławny, bogobojny)  
Że klucz zginął. A kiedy? Podczas pierwszej wojny.*

(„Toast”)

Ten zbieg był poetą i swym „instynktem ptasim” wyczuwał dobrze, ku czemu wszystko idzie. W kilka lat po wojnie napisze w prywatnym liście o swych ówczesnych odczuciach bardziej szczegółowo: „Ewolucja — pisał w 1952 roku Miłosz do Wańkowicza — odbyła się w latach 1943 i 1944, a potem decydująca była klęska powstania. (...) U nas, w Warszawie, w takich ludziach jak mój najbliższy przyjaciel Jerzy Andrzejewski, narastała wściekłość na Londyn. (...) wściekła nienawiść do Londynu. Bo w latach okupacji r o z u m i e l i ś m y sytuację, udając często przed sobą, że jej nie rozumiemy. Mówię tu w niebezpiecznym skrócie o sprawach zbyt zawiłych i bolesnych. Ale dla wielu

ludzi nagłe przekształcenie się różnych osób w komunistów jest niepojęte, tłumaczą to strachem, karierowiczostwem itd. Dla mnie wcale nie jest niepojęte, bo przez te lata wojny patrzyłem uważnie na barometr. Niech panu wystarczy za objaw, za skrót najbardziej zwycięży to, że Jerzy Andrzejewski napisał wiosną 1944 cykl nowel, które były krwawą satyrą na konspirację i całe te nastroje w Warszawie. To był z jego strony akt rozpaczny i samopotępienia, a równocześnie działał, jak to on zwykle — wyłupując to, co było w powietrzu, uczucie pułapki i wściekłości, że się oszukuje samego siebie. I trzeba panu wiedzieć, że przyczyną, dla której Andrzejewski jest dziś w partii, był kwietniowy dzień 1945 roku, kiedy w Warszawie szukaliśmy śladów po naszych przyjaciółach w stosach gruzów. Karierowiczostwo, chęć utrzymania się stale na powierzchni, pycha — dobrze, niech będzie. Ale człowiek nie jest istotą prostą i draży go chwila — chwila łez, psychologicznego uderzenia. To są sprawy trudne. To, co piszę, jest prawdą. W zestawieniu z rzeczywistością — jeżeli człowiek ją silnie przeżywa — frazeologia, wielkie słowa, którymi częstowała nas emigracja, była ohydna. Nienawiść do tego, czym była Polska przed wojną, do wszystkich owoców — strasznych. Pomijam tu całkowicie analizę z punktu widzenia, jak mogłoby a jak nie mogłoby być: nie o to wcale chodzi. Że coś rozwija się tak jak musi, a nie inaczej, nie zmienia wcale faktu, że można na to uczuciowo reagować”.

Ten opis, sporządzony już z pewnej czasowej perspektywy, jest niejako podsumowaniem całej dyskusji. Aliści Sylwester z 1944/1945 roku jest tej drogi istotnym etapem. Cóż było wcześniej? Ocena polskich programów politycznych: „Żałosny widok — ten płacz nad mękami Babilonu, / Inteligenci w opadłych portkach wskrzeszający nowe średniowiecze”. I była przestroga: „Biada temu, kto ustawia dziecinny młynek na brzegu rwących potoków, / Kiedy rycząca powódź i noc idą z gór. / ... / Nieszczęsne narody łagodne, które w myślach stawiają pół kroku, / A za to granic nie znają w szafowaniu krwią” („Na pewną książkę”).

Tej mentalności krajowego podziemia towarzyszył polityczny cynizm polskiego Londynu:

(...)

*Oto siedzi starszyczna. Grają sobie w karty*

*I koniak dobrej marki wachają otwarty.*

*„Ofiary muszą być” — rzecze jeden basem*

*Kładzie kartę i stuka podkutym obcasem.*

*„Karo” — powiada na to in spe wojewoda —*

*„Lepiej kiedy jednostka co ginie jest młoda.  
Państwo na nią pieniędzy znacznie mniej wydało.  
Wiemy ile kształcenie kadr nas kosztowało.  
Starszym trzeba coś mówić, chcą idei, dodatków”.  
No i była ta armia siedemnastolatków.*

Skutki tego stanu rzeczy także opisywał:

*Był sobie Jaś. Nieznany poeta. Wielbiciel  
Staropolskiej poezji, z fachu nauczyciel,  
Organizator wielu podziemnych zgromadzeń,  
Recytacji, wieczorów i wzajemnych kadzeń.  
Szlachetna twarz z Grottgera, wąsik i wypieki.  
Przez pięć lat budził ducha. Że dzień niedaleki.  
Że już, że właśnie Churchill, że świat się przybliżyła.  
A żywił się Norwidem i Janem od Krzyża.  
Kiedy właśnie stolica, jak trzeba, płonęła,  
Czuł, że musi coś zrobić i wziął się do dzieła:  
We Włochach pod Warszawą, mimo żony płaczu,  
Bił co dzień komunikat z walk na powielaczu.  
Że świetnie. Ze lotnictwo. Ze tryumf powstania.  
Że bohater, możliwe. Także mistrz załgania.  
Ręce z tyłu związali im pętlą kolczastą.  
Ogromną dekoracją stało w ogniu miasto.  
Dwa kilometry w górę dymów i płomieni,  
Od których każdy listek trawy się czerwieni.  
A na szosie, pod wzgórkim na którym umierał,  
Własowcy się uczyli jeździć na rowerach.*

*W Londynie... cóż, w Londynie brzęczeli wlepieni  
W plaster, z którego stodycz ssali do kieszeni  
A wojsko stało w Szkocji rok bodaj nie jeden  
I włókł się rok żołnierzom każdy jakby siedem.  
„Żołnierz ma, proszę pana, nie myśleć a bić się.  
Powinien wiedzieć jedno: że ma oddać życie.  
Oświata? Fanaberie. Ducha tylko łamie”.  
Tak mówili w Londynie. Powiedz mi, że kłamie.*

(„Toast”)

Pewno niejeden mógłby to właśnie powiedzieć Miłoszowi: w Londynie byli różni ludzie i mówili różne rzeczy. Byli wszakże i tacy, jak ci wyżej opisani, a co najważniejsze — poeta takimi

ich widział. Wyposażony w taką wiedzę, przyjął Powstanie Warszawskie jako samobójstwo, a jego klęskę — jaką normalną kolej rzeczy.

Rozmowy gryniewickie Wielgosza są — łatwo to sobie wyobrazić — konsekwencją tego stanu ducha. Obrona Skińskiego to nic innego jak rodzaj intelektualnego masochizmu, jak ciąg dalszy samobiczowania, „akt rozpacz i samopotępienia” człowieka, który wie, że wpadł w pułapkę. Podobnie „filozofia krasnoludka”: tu wyłożona skrótowo, nie brzmi zachęcająco. Szerzej wyłożył ją Miłosz w „Traktacie moralnym”, udzielając rad, jak potykać się z „konwencją długich noży”:

*Łagodź jej dzikość, okrucieństwo,  
Do tego też potrzebne męstwo,  
A chociaż nowoczesne państwo  
Na służbę grzmi samarytańską,  
Zbyt wieleśmy widzieli zbrodni,  
Byśmy się dobra wyrzec mogli  
I mówiąc: krew jest dzisiaj tania —  
Zasiąść spokojnie do śniadania,  
Albo konieczność widząc bredni  
Uznawać je za chleb powszedni.  
A więc pamiętaj — w trudną porę  
Marzeń masz być ambasadorem.  
(...)  
Oto twój świat. On jest na szali.  
Politycy grę już przegrali,  
Triumfy ich tylko pozorne  
Jak błyskawice są wieczorne,  
Choć nikt z nich nigdy nie utraci  
Ufności w moc indoktrynacji,  
Która wyznawców da kohorty.  
Spoteczne jednak są retorty  
Bardziej złożone, a pierwiastki  
Jak nieodkryte płyną gwiazdy.  
Nowy pierwiastek dodawany  
Nieraz pracowni burzy ściany,  
A to, co z góry teraz leci,  
Na likwor sypie się stuleci  
I wynik będzie całkiem różny  
Że w końcu dobry, tak założmy.*

Oto istotny sens filozofii krasnoludka. Tylko, że w tamtą syl-

westrową noc Szary byłby zapewne głuchy na ten nieprosty wywód. To, co słyszał z ust Wielgosza, jawiło mu się jako obrzydliwość, a było to zagłuszenie rozpacz przez człowieka, który obserwował ostatnie chwile ginącego świata; wiedział, że „innego końca świata nie będzie” — a ludzie nadal będą żyli. Świat ginący nie był przedmiotem jego tęsknot („krzywdy był kraj i ucisku”), świat nadchodzący był przedmiotem lęku („w czerwonym słońcu, błysk bata”). Ale miał tę przewagę świat nadchodzący nad starym, że stawał się realnością.

Próbując zwerbalizować swe odczucia, czekając w Goszycach na ofensywę Czerwonej Armii, Miłosz zapisał:

*Kiedyśmy z płonącego uchodzili miasta,  
Na pierwszej drodze polnej wstecz zwracając oczy  
Mówiłem: „Niechaj trawa ślad nasz pozarasta,  
Niechaj w ogniu umilkną wrzeszczący prorocy,  
Niech umarli umartym mówią, co się stało,  
Namznaczono gwałtowne, nowe zrodzić plemię,  
Wolne od zła i szczęścia, które tam drzemało.  
Idźmy”. A miecz płomieni otwierał nam ziemię.*

(„Ucieczka”)

Odczuwał więc wyzwolenie rozbitka. Świat zaczynał się na nowo. Pisał:

— *Moja przeszłość to nad morzem podróż głupiego motyla  
Moja przyszłość to ogród gdzie kucharka zarzyła koguta.  
Cóż ja mam, z moim bólem i buntem?  
Chwilę weź jedną, a gdy się rozchyli  
Jak dłonie złożone piękna muszla chwili  
Co widzisz?*

— *Perłę, sekundę.*

— *Na dnie sekundy, perły, różowe promienie  
Na dnie sekundy, perły, co widzisz, złotniku?  
Czy to odblask pożaru oczy twoje przykuł?  
Czy to pamięć?*

— *Nie. To gwiazda, мгновение.*

— *W мгновении jednym, w tej gwieździe czasowi odjętej  
Ci widzisz, kiedy wichry zmienności ustaje?*

— *Ziemię, niebo i morze, ładowne okręty,  
Wiosny mokre od rosy i zamorskie kraje.  
Na te, w spokojnym blasku ukazane dziwy  
Spoglądam i nie pragnę, bo jestem szczęśliwy.*

(„Rozmowa płocho”)

Rozglądając się wokół siebie, przypatrując się oazie ginącego świata, napisał wiersz:

### „SKARGA DAM MINIONEGO CZASU”

*Nasze suknie łądziste zdarty się na drogach,  
Pęty na dno dziejowej upadły topieli,  
Płatki spalonych wstążek wiatr gonił po wodach,  
Pierścienie z naszych palców ciemni ludzie zdjęli.  
Nasze fryzury strojne, w które zręczność mistrza  
Wplatała srebrne gwiazdy, kwiaty, rajskie pióra,  
Rozpadły się i w ciemność sypnęły popiołem.  
A gdy jutrzienka z morza wstała przeźroczysta,  
Nago szłyśmy w nowego Babilonu murach  
Coś przypomnieć próbując ze zmarszczonym czołem.*

Tak wyglądała odchodząca w mrok przeszłość. Sam chciał jednak, uporczywie do tego wracał, myśleć o przyszłości:

*Czy tym samym jest żółdź i dąb oszroniały  
Czy tym samym jest paproć i węgiel kamienny?  
Czy tym samym jest kropla i fał morskich wały?  
Czy tym samym jest metal i pierścionek cenny?*

*Czemuż więc zapytujesz mnie o wiersze dawne  
I o minionych dziewczyn cudaczne imiona?  
Niech wiersze moje drogą jaką kto chce chodzą,  
Niechaj moje dziewczyny innym dzieci rodzą,  
Mnie węgiel, dąb i pierścień, i fala spieniona.*

(„Los”)

Chciał zerwać z przeszłością, zerwać z rozpaczą. Po okupacyjnym piekle szukał nadziei, wznosząc sylwestrowy toast:



(...)

*Abyśmy, w młodym lecie brodząc po kolana,  
Mówili, blask z niebiosów pijąc jak ze dzbana:  
Posłuchaj, ludzkość żyje, nasza radość żyje.*

(„Życzenie”).

Kim mógł być Szary dla autora tych wierszy? To przecież do niego zwróci się już po kilku miesiącach w „Przedmowie” do „Ocalenia”:

*Ty, którego nie mogłem ocalić,  
Wysłuchaj mnie.  
Zrozum tę mowę prostą, bo wstydzę się innej.  
Przysięgam, nie ma we mnie czarodziejstwa słów.  
Mówię do ciebie milcząc, jak obłok czy drzewo.*

*To co wzmacniało mnie, dla ciebie było śmiertelne.  
Żegnanie epoki brateś za początek nowej,  
Natchnienie nienawiści za piękno liryczne,  
Siłę ślepią za dokonany kształt.*

To o nim, Szarym, napisze po dwunastu latach w „Traktacie poetyckim”:

(...)

*Dwudziestoletni poeci Warszawy  
Nie chcieli wiedzieć, że coś w tym stuleciu  
Myślom ulega, nie Dawidom z procą.  
Byli jak człowiek na szpitalnej sali  
Który śmiech dzieci i zabawy ptaków  
Stara się pojąć raz tylko, ostatni,  
Zanim nie zamkną się kamienne wrota,  
I na przymierza z jutrem obojętny  
Dba tylko o to, jak być wiernym chwili.  
Nie ozdabiały starej barykady  
Zorze ludzkości, wieszczów obietnice.  
Zraniona mieczem stała Matka Boska  
Nad żółtym polem i wiankiem poległych.*

(...)

*I żaden grecki antyczny bohater  
Do bitwy nie szedł tak zbyty nadziei,  
Z wyobrażeniem swojej białej czaszki  
Kopnięty butem obcego przechodnia.*

Dialog Wielgosza z Szarym jest właściwie niemożliwy. Najbardziej dzieli ich to, co powinno z pozoru łączyć: poczucie klęski. Wielgosz racji Szarego już nie rozumie; Szary Wielgosza nie rozumie jeszcze. Mówią różnymi językami, żyją w różnych rzeczywistościach. Wielgosz ma w sobie coś z Kassandra, której przepowiednie się sprawdziły. Gniew swój obraca nie przeciw Achajom, którzy podbili jego kraj, lecz przeciw mieszkańcom Troi, którzy jego przemów nie chcieli słuchać. Szary natomiast jest jednym z Trojan, którzy bronili się do końca.

Inaczej Siciński. Ten — tłumacząc idee Wielgosza na język polityki — skłania się ku nader konkretnym politycznym opcjom. W powodzi słów — nierzadko celnych — na temat polskiego charakteru narodowego Siciński formułuje i taką myśl: „U nas nikt nie odważa się wziąć odpowiedzialności za przyszłość”. Dla mnie, czytającego ten monolog po czterdziestu latach, brzmi to dziwnie znajomo. Któż z nas nie słyszał tych słów? A przecież ta ogólnikowa formuła to tyle, co deklaracja niechęci do oporu wobec nadchodzących komunistów. Brzmi to, owszem, efektywnie, ale kryje pustkę i osłania fałsz. Z komunistami nie można było współpracować, bo ta forma koegzystencji ich nie interesowała. Można było im służyć i w ten sposób brać na siebie odpowiedzialność za ich poczynania, powtarzać ich kłamstwa, wychwalać ich dyktaturę, uzasadniać ich totalitarne panowanie.

Natomiast do zachwyków Sicińskiego nad „modelem czeskim” historia dopisała nieoczekiwaną pointę: pomijając już brak analogii (Czechosłowacja nie miała brytyjskich gwarancji; nie podjęła wojny z Hitlerem na swoim terytorium; Stalin nie żądał połowy terytoriów tego kraju i nie wymordował tysięcy oficerów czeskich w Katyniu), to trup Jana Masaryka na bruku przed pałacem hradczańskim dowodzi, jaki byłby finał polityki polskiej naśladowującej wzory Hachy z jednej, a Benesa z drugiej strony.

Polityczny wywód Sicińskiego, tak logiczny a tak odrażający, jest w zestawieniu z praktyką systemów totalitarnych równie naiwny i nieskuteczny, jak intuicyjna aksjologia Szarego. Nie tylko to: cała historia Polski XIX wieku dowodzi, jak ostrożnie należy się obchodzić z pojęciem „realizmu” w polityce. Nie jest to bowiem określenie dostatecznie precyzyjnie charakteryzujące nurty myślenia politycznego, które przyznają się do tej nazwy. Nie da się rozsądnie uzasadnić tezy, że np. Szczęsny Potocki był realistą,

a Kościuszko „to był wariat, co buntował proletariat”; nie da się jednocześnie wywieść, że król Stanisław August Poniatowski był bardziej realistyczny niż książę Józef Poniatowski, Wincenty Krasiński — bardziej niż Adam Czartoryski, a Wielopolski — niż Traugutt. Realizm w polityce — tego uczą polskie dzieje — odnosić zawsze należy do założonych celów. Dla Sicińskiego natomiast decydująca jest „skuteczność metody”. Z tej perspektywy ocenia polski ruch oporu jako chybiony. Zapomina tylko dodać, że z punktu widzenia wartości fundamentalnej, jaką była niepodległość narodu, wszelkie metody okazały się nieskuteczne. Redukując problem do realizmu pojmowanego jako skuteczność, Polacy powinni po prostu wyrzec się myśli o niepodległości i przestać istnieć jako suwerenny naród.

Rozumowanie Sicińskiego nie było w owym czasie niczym wyjątkowym. Jego rozwinięty wykład odnaleźć można zarówno w „Dziejach głupoty” Aleksandra Bocheńskiego, jak w politycznych artykułach Jana Kotta. Rdzeniem tego rozumowania — u Kotta nie zakamuflowanym przez ideologiczne frazesy, u Bocheńskiego obnażonym — było przekonanie, że rozum nakazuje być po stronie silniejszego, w obozie zwycięzcy. Dokładnie w ten sam sposób rozumował Skiwski, decydując się na kolaborację z Niemcami. Czyn Skiwskiego potępiony został z różnych powodów: Siciński uważał to za błąd, za wynik fałszywej oceny układu sił; Szary — za zdradę.

Siciński jest dumny, że przewidział układ sił w chwili końca wojny i sukces komunistów. Nie on jeden. Np. Stanisław Grabski wychodząc z założenia, że Polska na długi czas „zostanie zaprzęgnięta do sowieckiej furmanki”, w 1945 roku powrócił z emigracji do kraju. Został nawet wiceprzewodniczącym Krajowej Rady Narodowej, tego falsyfikatu rzeczywistej reprezentacji społecznej, który legalizować miał bezprawie. Grabski rozumował podobnie jak Siciński, a do tego nie był tchórzem. Jego idee kompromisu polsko-sowieckiego i współpracy z komunistami były dobrze przemyślane i starannie argumentowane. Wszelako do kompromisu, jak do małżeństwa, potrzeba woli obu stron. Dlatego trudno przeczyć, że polityczna rola Grabskiego w rządzonej przez komunistów Polsce ograniczała się do wątpliwego zaszczytu zasiadania obok Bieruta przy różnych stołach przydiablnych.

Wywód Sicińskiego wzbudzić może podziw jako technika samookłamywania się; jako diagnoza było to rozumowanie błędne. Konsekwentnie realizowana droga „bycia po stronie historii” wiodła po prostu do służalstwa. Ewolucja Aleksandra Bocheńskiego od „Dziejów głupoty” do miejsca na poselskiej ławie w bieru-

towskim sejmie była tego aż nadto wymownym świadectwem. W rozumowaniu Sicińskiego, jak w książce Bocheńskiego, *p r a w d a i w o l n o ś ć* są pojęciami nieobecnymi. Dla konkretnego przytoczmy zapiskę Henryka Elzenberga o wolności:

„Wolność — pisał Elzenberg — nie ta groteskowa Sartre'owska, ale ta, o której myślę z przejęciem i pewnym patosem, to byłaby wolność jaka? W pierwszym rzędzie: wolność wartościowania — w tym sensie, że moje oceny nie byłyby zdeterminowane w drodze 'przyczynowości naturalnej' przez tzw. 'czynniki uboczne' (interes, uprzedzenie, namiętność), ale byłyby wydawane uczciwie na podstawie poznania przedmiotu. (...) Dalej: byłyby to wolność, którą przez wartościowanie osiągam. W dziedzinie faktów ulegam przemocy rzeczywistości; muszę je uznać za fakty i muszę w postępowaniu swym z nimi się liczyć. Tu są d z e rzeczywistość, i w tym sądzeniu jakoś przecież się od niej wyzwalam: żadna siła nie może mnie zmusić, bym za piękne uznał to, co uważam za brzydkie, albo na odwrót. Ślepa i bezduszna siła natury, albo zbrodnia ludzka, mogą mnie zabić; i tak samo: jeżeli g d z i e ś t w i e r d z a m ślepe i bezduszne siły, a gdzie indziej znów zbrodnię, to są fakty, którym nie mogę zaprzeczyć; w obu wypadkach ulegam. Ale nic mnie nie zmusi do pomyślenia, że zbrodnia nie jest zbrodnią, albo że panowanie ślepych i bezdusznych sił jest czymś lepszym niż panowanie woli rozumnej. Tu ja się przeciwstawiam rzeczywistości, a ona wobec mnie jest bezsilna”.

Zapamiętajmy: filozofia etyczna Elzenberga okazała się w konfrontacji z totalitaryzmem bardziej użyteczna i skuteczna niż polityczne konstrukcje Sicińskiego.

## VIII

Postulat „skuteczności” wymaga przeto chwili namysłu. Mam wrażenie, że oznacza on zwykle coś więcej niż sam deklaruje. Zastanawiam się: powiedzieć lekarzowi, że ma skutecznie leczyć pacjentów czy krawcowi, że ma skutecznie szyc koszule — czy to ma jakiś sens? Postulat skuteczności sformułowany pod adresem medycyny czy krawieckiego rzemiosła jest po prostu czymś śmiesznym, tyleż bezsensownym co oczywistym. Nikt nigdy nikogo nie namawiał do działań ze swej natury i założeń nieskutecznych — dowodziłoby to braku piątek klepki. Jeśli zatem w stosunku do działań politycznych taki postulat jest formułowany,

warto zastanowić się, czy ów postulat nie jest po prostu sygnałem, że chodzi o zakwestionowanie celów działania, choć z pozoru odnosi się tylko do sfery metod.

Posłużmy się przykładem: Sosnkowski i Mikołajczyk zarzucali sobie wzajemnie — opisuje to Jan Nowak w „Kurierze z Warszawy” — nieskuteczność wybranych metod, wszelako nadrzędny ich cel był bez wątplenia wspólny: suwerenność Polski. Natomiast Siciński, mówiąc o skuteczności, przekreśla ów cel nadrzędny; dlatego Szary pyta go: „Po której pan jest stronie? W czym imieniu pan właściwie mówi?” Pytania te ujawniają różnicę o charakterze zasadniczym, a owo ujawnienie jest tym cenniejsze, że formuła skuteczności pozwala zręcznie tę różnicę zamaskować. Formuła skuteczności bowiem nie oznacza nic — lub też oznacza drogę do zdrady.

Chcę być dobrze zrozumiany: od każdego proponującego innym program politycznych zachowań wolno domagać się wyjaśnienia, jak widzi skutki — bliższe i dalsze — proponowanych poczynań. Aliści wszelkie pytania o skuteczność mają sens tylko przy założeniu zgody co do celów. Do 1945 roku takim celem, celem wszystkich polskich obozów politycznych, była walka o niepodległość państwa. Łatwo jest osądzać, że walka ta okazała się nieskuteczna, skoro Polacy niepodległość utracili. Natomiast żaden z krytyków nie przeprowadził sensownego dowodu, że była możliwa inna droga postępowania, która by tę niepodległość pozwoliła ocalić. W każdym bądź razie nie uczynił tego Siciński. Później, po 1945 roku, z postulatami „skuteczności” działy się rzeczy nie mniej dziwne. W licznych polemikach mieszały się dwa różne rodzaje troski o skuteczność: jednym chodziło o to, jak skutecznie wcisnąć społeczeństwo w totalitarny kaftan, innym — jak skutecznie się przed tym wybronić. Kiedy jednak publiczne słowo poddane zostało próbie cenzuralnych kleszczy, postulat „skuteczności” utracił swą klarowność, stawał się coraz częściej uzasadnieniem dla zaniechania i usprawiedliwieniem dla konformizmu.

Ta dwuznaczność pozostała do dziś: do dziś argument „skuteczności” jest popularnym uzasadnieniem dla postawy wyrzekania się wierności prawdzie, gdy kłamstwo miewa tak doskonałą koniunkturę, a głośno wypowiedziane słowo prawdy bywa tak rozpaczliwie bezskuteczne. Skuteczność jest pułapką, w którą wpadają najtwardsi i najodważniejsi. Ceniony felietonista, autor tekstów programowo nonkonformistycznych, pisze dziś: „Inteligenci wymyślają programy: programy dla Polaków. Jakież są owe programy wymyślane dziś dla Polaków przez inteligentów

pochłoniętych sprawami Polski? Są one przesiąknięte duchem moralnej czystości, przepojone pamięcią najświetniejszej przeszłości, zakotwiczone w prawdzie. Bania ze szlachetnością, uczciwością, żarliwością rozbiła się nad głowami inteligentów wymyślających programy dla narodu. Czegoż chcą od Polaków owe programy wyrosłe z troski najszczerzej dobru publicznemu podporządkowanej? Poświęceń. Wyrzeczenia się prywaty. Pamięci. (...) Stwierdzam: ich rzucające się w oczy cnoty moralne nie stanowią dla mnie żadnej wartości, jestem zdolny oceniać je według jednego tylko kryterium: skuteczności. Program dla narodu to nie jest historyjka dla grzecznych dzieci. Program dla narodu, choćby bił rekordy wzniosłości, siedział po uszy w prawdzie, opływał dobrem, jeśli nie zapewnia minimum skuteczności, jest programem złym. I oto medytując nad programami, porównując je ze sobą, przykładając do nich bezduszną miarę skuteczności skonstruowałem sobie i dla siebie własny, domowy aparacik do badania ich wartości, do wyławiania ziarna z masy plew. Ten instrument to programomierz. Programomierz mój jest zupełnie ślepy i głuchy na tkwiące w rozpatrywanych ideach wartości wyższe. Interesuje go wyłącznie jedno: jak mają się formułowane w owych programach wymagania wobec obywateli do ich interesów przyziemnych, materialnych, prywatnych. Rozbieżność tych wymagań i owych interesów — program zły. Zbieżność tych dwóch sfer — program dobry. Mój programomierz wychodzi z założenia, że program oparty na gotowości do ofiar, poświęceń, wyrzeczeń prędzej czy później przestaje być programem całego narodu i staje się programem jego nielicznych bohaterów. Mój programomierz przyznaje walor skuteczności takim programom, w których przynajmniej jedną z dźwigni motywujących ludzkie działanie jest chęć poprawienia własnego, materialnego bytu. Mój programomierz wydaje się bezrozumnym gratem, ponieważ Polacy wciąż żyją sprawami ducha, (—) [Ustawa z dn. 31. VII. 1981 r., O kontroli publikacji i widowisk, art. 2, pkt 1 i 2 (*Dziennik Ustaw* nr 20, poz. 89, zm. 1983 *Dziennik Ustaw* nr 44, poz. 204)]”.

W jednym się z Piotrem Wierzbickim zgadzam całkowicie — jego programomierz jest rzeczywiście bezużytecznym gratem. Może w zakończeniu, wykreślonym przez cenzurę, autor wyjawiał jakieś dodatkowe zalety swego przyrzędu i swego wywodu, ale ponieważ nie pisał tylko dla redaktorów i cenzorów, ale i dla normalnych czytelników — zakładam, że końcówka nie zmienia całego rozumowania. Skoro zaś tak, to nie jestem ciekaw, czy w tych wykreślonych zdaniach Wierzbicki napisał: „Niech żyje

Wałęsa”, czy też „Jaruzelski jest brzydki!”. To co napisał całkiem mi wystarczy.

Najdalszy jestem od kwestionowania dobrej woli Wierzbickiego, choć ten szyderczy ton drwiny z opozycyjnej inteligencji znam dobrze z artykułów całkiem innych publicystów. I byłbym nieszczerzy przemilczając, że te drwiny napawają mnie niesmakiem.

Znam też — i doceniam — różnice. Wiem, że w felietonie Urbana te same zwroty i sformułowania (a mogłyby być identyczne) kryją morał taki: jesteście słabeusze, nie macie szans, poddajcie się lepiej prędko i dobrowolnie, podczas gdy felieton Wierzbickiego kryje w sobie apel: wymyślcie wreszcie receptę na antykomunistyczną jedność moralno-polityczną. Urban pragnie złamać cywilny opór społeczeństwa; Wierzbicki lęka się, że formy tego oporu będą nieskuteczne.

Były gnidolog, choć „dyletant w sprawach strategiczno-narodowych”, powinien jednak mieć tyle oleju w głowie, by pojmować, że koncentruje swoją frustrację na ludziach formułujących takie programy oporu, które obowiązują przede wszystkim ich samych, co jest jedynym sensownym sprawdzianem skuteczności. Sam nie proponuje w zamian nic: zamiast programów woli wymyślać programomierze. Osobiście wolę banię ze szlachetnością od bani z programomierzami. Wiem — felietonista nie ma obowiązku proponować programu pozytywnego. Ale wiem także, że każdy program oporu w państwie totalitarnym musi być „oparty na gotowości do ofiar”. Kto tego jeszcze nie przyjął do wiadomości, ten okłamuje siebie i innych. Zarzut braku skuteczności pod adresem postaw nonkonformistycznych jest zawsze początkiem marszu ku kapitulacji.

Dziwne to odwrócenie ról: kilka lat temu broniłem przed Wierzbickim postawy szacunku dla „interesów przyziemnych, materialnych, prywatnych”. Nie zmieniłem zdania od czasu tamtej polemiki. Ale też i wówczas nie miałem złudzeń, że można skonstruować „program dla całego narodu”. Gdyby to było możliwe, pewno Wierzbicki, zamiast narzekać na banię ze szlachetnością, po prostu by nam taki program objawił. A tak pozostaje na upowszechnianiu „historyjki dla grzecznych chłopców” i naiwnego, choć groźnego w konsekwencji, złudzenia, że coś podobnego jest w ogóle możliwe.

Tak, programierz Wierzbickiego to produkt bezsilnej złości człowieka, który przegrał. Przeze mnie przemawia ona również. Ja jednak staram się raczej przeanalizować tę swoją bezsilną złość, niżli ją przelewać na ludzi, którzy za mnie i Wierzbickiego co

dzień nastawiają karku. Bowiem taka właśnie, panie Piotrze, jest prawda: jesteśmy bezsilni, skazani na bezskuteczną szlachetność, na poświęcenia i na pamięć, na wyrzeczenie się prywaty i na ofiarność, a także na przekonanie, że nie podąży za nami cały naród. Pamięta pan może, co pisał na ten temat Herbert? Otóż pisał on:

*Ani w głowach które gasi ostry cień proporców  
ani w piersiach otwartych poniechanych na rżysku  
ani w dłoniach dźwigających zimne berło i jabłko  
ani w sercu dzwonu  
ani pod stopami katedry  
nie zawiera się wszystko*

*Ci którzy toczą wózki po źle wybrukowanym przedmieściu  
i uciekają z pożaru z butlą barszczu  
którzy wracają na miny nie po to by wołać zmarłych  
ale aby odnaleźć rurę żelaznego piecyka  
głodzeni — kochający życie  
bici w twarz — kochający życie  
których trudno nazwać kwiatem  
ale są ciałem  
to jest żywą plazmą  
dwoje rąk do zastaniania głowy  
dwoje nóg szybkich w ucieczce  
zdolność zdobywania pokarmu  
zdolność oddychania  
zdolność przekazywania życia pod murem więziennym  
giną ci  
którzy kochają bardziej piękne słowa niż tłuste zapachy  
ale jest ich na szczęście niewielu*

*naród trwa  
i wracając z pełnymi workami ze szlaków ucieczki  
wznosi łuk triumfalny  
dla pięknie umartwych*

(„Substancja”)

Cóż przeto czynić? Na to pytanie szukam odpowiedzi u Miłosza:

(...)  
*Jak widzisz, nie mam ja recepty  
Do żadnej nie należę sekty,*



*A ocalenie tylko w tobie.  
Jest to po prostu może zdrowie  
Umysłu, serca równowaga,  
Bo czasem prosty lęk pomaga,  
A lekarz, kiedy jest znudzony  
Odpowiadaniem na androny  
I szarlataństwa mu dopieką —  
Zaleca befsztyk, rosół, mleko.  
(...)*

*Na dziś nie daję ci nadziei,  
Nie czekają darmo treuga Dei,  
Bo z życia, które tobie dano,  
Magiczną nie uciekniesz bramą.  
Idźmy w pokoju ludzie prości.  
Przed nami jest*

— „Jądro ciemności”.

(„Traktat moralny”)

## IX

Powróćmy do Szarego. Wobec programowierza Sicińskiego był on bezradny. Ból klęski towarzyszy u niego poczuciu miłości do własnych racji intelektualnych. Jego jedyną bronią jest próba ocalenia wolności wewnętrznej drogą autentycznego odczytania sensu własnej postawy. Odnajdzie ten sens w obrazku Gierymskiego; w świadomości, że stanął do „nierównej walki” w obronie wartości. „Walka toczyła się — mówił bohater 'Polskiej jesieni' Szczepańskiego — o rzeczy wielkie. O niepodległość, o polityczny byt narodu. Ale intuicyjnie wyczuwałem jeszcze inny jej sens. Ogromna, stalowa maszyna miała stratować i zgładzić wszystko, co miękkie i łagodne, w jej twardym łoskocie zamilknąć miały wszystkie głosy niepodobne do klekotu pancernych blach. Poza betonowymi murami państw żyli jednak ludzie, których serca wypełniała litość, nie znana rządowi i sztabom. Może oni mieli najwięcej racji, może ich należało przede wszystkim ocalić?”

Jak powstańcy z 1863 roku, jak bohaterowie Conrada, Szary dotarł do prawd najprostszych i najpewniejszych. Gierymski i Conrad dawali oparcie uczciwsze niż wywody Sicińskiego. „Samo postawienie na kartę heroiczną — powiadał Elzenberg — to już

rodzaj wygranej. Pogromcy 'bohaterszczyzny' mają nieraz rację w szczegółach; w sumie to brzydkie towarzystwo". Mógłby więc Szary powiedzieć za Herbertem:

(...)

*Tak więc estetyka może być pomocna w życiu  
nie należy zaniedbywać nauki o pięknie*

*Zanim zgłosimy akces trzeba pilnie badać  
kształt architektury rytm bębnow i piszczałek  
kolory oficjalne nikczemny rytuał pogrzebów*

*Nasze oczy i uszy odmówiły posłuchu  
księżęta naszych zmysłów wybrały dumne wygnanie*

*To wcale nie wymagało wielkiego charakteru  
mieliśmy odrobinę niezbędnej odwagi  
lecz w gruncie rzeczy była to sprawa smaku  
Tak smaku*

*Który każe wyjść skrzywić się wycedzić szyderstwo  
Choćby za to miał spaść bezcenny kapitel ciała  
głowa*

(„Potęga smaku”)

Taki zapewne był katechizm Szarego na czas Przodującego Ustroju.

Natomiast Sicińskiego łatwo wyobrazić sobie wśród pozytywnych bohaterów nowej epoki. Taki jest finał tej konfrontacji racji i wartości. Analizowany w kategoriach politycznych, spór Sicińskiego z Szarym jest nierozstrzygalny: obaj grają role napisane przez innego reżysera, obaj są ofiarami niezawinionego tragizmu. W kategoriach moralnych słuszność jest po stronie małomównego Szarego: jego racje lepiej wytrzymały próbę Przodującego Ustroju, choć zamiast chwały zwycięzców przypadło mu w udziale rozgoryczenie odtrąconych.

Opowiadaniem „Błogosławione wody Lete” wprowadza Szczyński swego bohatera w pierwsze lata powojenne. Bohater ten — rówieśnik Szarego — spędził lata wojny w obozie koncentracyjnym. Na sąsiedniej pryczy spał drugi bohater opowiadania, Bałaj.

Narrator (opowiadanie pisane jest w pierwszej osobie) ma w sobie coś z Szarego; Bałaj — coś z Sicińskiego. Bałaj przekłada subtelne wywody socjologa na język brutalnego konkrētu codziennych zachowań. Bezpośrednio po zakończeniu wojny chodzi w obozowym pasiaku. „Ta szmata — wyjaśnia zdumionemu koledze z lagru — pomaga załatwić niejedną sprawę. Jeszcze to działa na ludzi. Przepuszczą cię bez ogonka, szybciej obsłużą w sklepie... Trzeba korzystać póki czas. (...) Koniunktura na nas nie potrwa długo. Na razie wzduszą się dranie, bo im wstyd, ale potem obrzydniemy im. Trzeba się spieszyć. Ja, bracie, przysięgam sobie: nie będę frajer, nie dam się wykołować...”. Po czym — rozmowa toczyła się 9 maja 1945 roku — wyłożył swoje *credo*: „Nie, nie będę frajer. Niech się świat wali — swoje muszę mieć. Wycisnę z życia co się da. (...) Bez sentymentów, na zimno. Należy mi się, czy nie? Powiedz sam. Nas już nie trzeba uczyć. Zapiszę się do partii, naturalnie. Będę robił karierę. Zobaczysz; tylko przewącham, którądy, a z pewnością wlezę na najwyższe piętro”.

Bałaj dotrzymał słowa: wnet został posłem, wkrótce potem wiceministrem. Taki już pozostał: wyposażony w programomierz skuteczności, wolny od moralnych sentymentów, konsekwentnie trzymający się zwycięzców... A jego rozmówca i kolega z obozowej pryczy? Ten został literatem. Rozpoczął od opowiadania „Kromka chleba”. Był to literacki zapis obozowej rzeczywistości, przypominający nieco swym przesłaniem oświecimskie opowiadania Tadeusza Borowskiego. Perypetie towarzyszące tej publikacji przypominały skandal wywołany przez nowelę „Buty” Szczepańskiego.

„Kromka chleba” miała być w intencji autorskiej „krzykiem rozpacz”, „ostrzeżeniem”. Redaktorzy byli jednak zdania, że noweli brak optymizmu. Proponowali „drobne retusze”. Miały one polegać na „rozwarstwieniu obozu”, „bo postaci opowiadania nie posiadały jakoby 'zaplecza', zawieszane były w próżni i motywy ich działania pozbawione były klasowego uzasadnienia. Poza tym nieodzowne było wprowadzenie jeszcze jednego bohatera, mogła to być pozornie sylwetka drugoplanowa i nie biorąca bezpośredniego udziału w akcji, ale reprezentująca światopoglądową dojrzałość i dzięki temu zdolna do komentarza czy choćby refleksji ustawiającej rzeczy we właściwej proporcji, dającej czytelnikowi klucz, którym można odemknąć drzwi dusznego świata koszmaru”.

„Proszę pana — odrzekł na to narrator — tam byliśmy bandą zawsonych, nieszczęśliwych, na pół zdechłych żebraków. Jeżeli

zostawało w nas coś ludzkiego, to tkwiło to w samych korzeniach, nie w liściach, nie w kwiatach”. Redaktor replikował: „Był pan na odczycie pośła Bałaja? On właśnie bardzo trafnie ujął te sprawy. Człowieczeństwo... tak. Ale nie mgławicowe. Przemysłane, poddane pewnej dyscyplinie świadomości i woli. Ja osobiście zupełnie wierzę w to, co powiedział; że tym, co pozwoliło mu przetrwać, był jego światopogląd i zawarta w nim nadzieja”. Narrator zaśmiał się: „Nie, nie byłem na odczycie pośła Bałaja. Po co? Przez cały rok spałem z nim na jednej pryczy w łagrze. Wiem bardzo dobrze, co pozwoliło mu przetrwać. Paczki od żony. Od żony, którą zaraz po powrocie puścił kantem. (...) Na pewno bywa także inaczej, ale wielkie prawdy pośła Bałaja dojrzały w nim z chwilą, kiedy się najadł i włożył futro. On pierwszy by mnie wyśmiał, gdybym mu je podał w tym opowiadaniu”. Redaktora nie przekonały te argumenty. Gdy po długich wędrówkach „Kromka chleba” została wreszcie opublikowana, do redakcji posypały się listy od czytelników. Wręczono je autorowi: „Pośpiesznie, z wzrastającym podnieceniem przebiegałem oczyma linijki słów tak rozmaitego kształtu, jak rozmaite bywają ludzkie twarze i głosy. Niektóre upominały mnie wprawnymi pewnymi siebie zawijasami, inne jazgotały nerwowo w drżących podrygach lub bębniły drobno i ostro równiutkimi klinami oburzonej perswazji. Prawie wszystkie ganiły i potępiały. Autorzy listów powoływali się na swoją znajomość narodowej psychiki, na najwyższe moralne i literackie autorytety, na wychowawczą doniosłość 'polskiego męczeństwa'. Byli głęboko dotknięci bezczelnością i nihilizmem takiego 'szargania', uważali mnie za szkodnika, za koniunkturalnego aferzystę, za cynika kalamajęcego własne gniazdo albo po prostu za błazna, który usiłuje zwrócić na siebie uwagę. Wielu negowało stanowczo autentyczność mojej relacji i ręczyło, że jest ona 'wyssana z brudnego palca'. Oto stałem przed sądem. W miarę czytania pokój redakcji zapełniał się indywidualnościami, wrogimi, skrzykującymi się do ataku duchami filistrów. Byłem dla nich niebezpieczeństwem, zagrozałem ich sytemu, zakochanemu w sobie spokojowi”.

I to był chyba punkt zwrotny w życiu narratora. Później Szczepański każe swemu bohaterowi wrosnąć w środowisko literackie, stać się konformistą, sprawcą „wygodnej i popłatnej śmierci człowieka w pisarzu”. Autor „Kromki chleba” przeobraził się w twórcę płatnych komedii i życzliwego czytelnika wywiadów wiceministra Bałaja, który w 1956 roku sam sobie udzielał nagany „za to, że nie dość energicznie tępił objawy karierowiczostwa szerzące się w jego resorcie”. Coś w nim pękło — literatura

przestała być dlań potrzebą sumienia — stała się intratną profesją.  
Jak u Herberta:

(...)

*Ofiara skrzydeł naprzód boli  
a z tego bólu można śpiewać  
potem się kocha nieruchomość  
i strach dyktuje słowo pieśni  
tą pieśnią oddalając wyrok  
postulsi instynktowi życia  
na dnie skrywamy iskrę buntu  
kiedy chwalimy słodką przemoc*

*przez wąskie gardło długie ody  
od tego pewnie gardło pęka*

*i pęka serce gdy za blisko  
przybliży oczy nieruchome (...)*

(„Mały ptaszek”)

Los autora „Kromki chleba” to jeden z wariantów życiorysu pokolenia Szarego i „doli ptaków w srogich czasach”. Innym wariantem tego życiorysu i tej doli jest narrator opowiadania Szczepańskiego „Manekin”. Ten z kolei, także leśny partyzant, nie zrobił kariery literackiej w okresie „błędów i wypaczeń”. Milczał w tych latach. W chwili „odwilży”, gdy Bałaj i inni zaczęli gromić „mięczaków”, którzy „swoją lekliwą zgodliwością umożliwiali przez wiele lat niegodne praktyki administrowania literaturą”, los uśmiechnął się do rówieśnika Szarego: otrzymał ważną nagrodę literacką. W trakcie uroczystego wręczenia usłyszał z ust znanego literata: „Szanowaliśmy jego milczenie; ta nagroda jest aktem sprawiedliwości”. Słuchając tych słów Łysego, zastanawiał się: „Jaka godna mina! Pochylony lekko nad stołem, twarz blada, zdrętwiała od powagi, bruzdy rzymskiego senatora wokół ust. Ale w oczach ciepło. Prawie ojcowska miłość — mądra, z dystansem. Dawniej te oczy bywały zimne. 'Nic dla pana nie mogę zrobić, kolego'. A to znaczyło: 'Odczep się! Ciesz się, że cię tolerujemy — my, poważni ludzie'. Uzasadnione zniecierpliwienie uczujących wobec natręta. (...) Dziś oni mówią, że z największym obrzydzeniem łykali żaby. Żadne tam uctowanie. Prawie bohaterstwo. Kiedy udawali? Wtenczas czy dziś?” „Nagroda? — zżyma się laureat. — Na cholere mi

ich nagroda. Łaskę robią! 'Patrzcie, jacy jesteście sprawiedliwi!' Teraz! Teraz nie sztuka. (...) Jest satysfakcja. Pomieszana z goryczą, z urazą, ale jest. Jeszcze coś? Tak. Gorycz, uraza, może przywiązanie do dawnej roli sprawiedliwego, który milczy oskarżycielsko”.

Tak rozpoczyna się jeden z nielicznych w polskiej literaturze monologów pisarza, który próbuje dociec powodów swego milczenia w okresie stalinowskim. Stąd tak nietypowa reakcja na „odwilż”. Zwykle opisywano ją od strony szoku wywołanego zbrodniami Stalina, które ujawnił Chruszczow, od strony zbuntowanych komunistów, ich trzęsienia ziemi i ich rewolucji sumień. Szczepański rekonstruuje drugą twarz „odwilży”: dalszy ciąg gry prowadzonej przez matadorów. Opisał to precyzyjnie Herbert w wierszu „Jak nas wprowadzono”, zadedykowanym „obłudnym protektorom”:

*Bawiłem się na ulicy  
nikt się mną nie zajmował  
robiłem babki z piasku  
mrużąc po nosie Rimbauda*

*raz starszy pan to postępszał  
jesteś chłopcze poetą  
my właśnie teraz robimy  
oddolny ruch literacki*

*pogładził po brudnej główce  
dał mi dużego lizaka  
a nawet kupił ubranie  
w ochronnej barwie młodości*

*takiego ślicznego ubrania  
nie miałem od pierwszej komunii  
krótkie spodenki i wielki  
marynarski kołnierzyk*

*czarne lakierki z kłamrą  
białe skarpetki do kolan  
wziął starszy pan za rękę  
i poprowadził na bal*

*tam byli inni chłopcy  
także w krótkich spodenkach*

*starannie wygoleni  
szurający nogami*

*no teraz bawcie się chłopcy  
dlaczego stoicie po kątach  
— pytali starsi panowie —  
no zróbcie koło młyńskie*

*a myśmy nie chcieli berka  
nie chcieliśmy ciuciubabki  
dość mieliśmy starszych panów  
byliśmy bardzo głodni*

*więc zaraz nas posadzono  
wokół wielkiego stołu  
dano nam wody z sokiem  
i po kawałku tortu*

*teraz wstawali chłopcy  
przebrani za dorosłych  
grubym głosem chwalili  
lub bili nas po łapach*

*niczegośmy nie słyszeli  
niczegośmy nie czuli  
wpatrzeni wielkimi oczami  
w kawałek tortu który  
coraz bardziej się topił  
w gorących naszych rękach  
i słodycz ta pierwsza w życiu  
ginęła w ciemnym rękawie*

Ten precyzyjny opis kreowania urzędowej „odwilży” w Prządającym Ustroju zestawmy teraz z zapisem świadomości pisarza, który powraca z wewnętrznej emigracji na legalne łamy. O tym traktuje wiersz Herberta „Szufłada”.

*O moja siedmiostrunna z deski  
tu były zasuszone teźki  
zastygła w buncie pięść i papier  
na którym w zimną noc pisałem  
młodzieńczy śmieszny mój testament  
a teraz pusto wymieciono*

*sprzedatem tzy i pięści grono  
na targowisku miało cenę  
niewielkie słowa trochę groszy  
i nic już teraz snu nie płoszy  
i już nie dla mnie wszy i beton*

*Szuflado liro utracona  
a jeszcze tyle wygrać mogłem  
bębnąc palcami w puste dno  
i taka dobra była rozpacz  
więc jakże trudno jest się rozstać  
z pożywnym bólem bez nadziei*

*pukam do ciebie otwórz przebacz  
nie mogłem dłużej milczeć sprzedać  
musiałem kamień mej niezgody  
taka jest wolność trzeba znowu  
wymyślać i obalać bogów  
gdy się już z pieśnią zmaga cesarz*

*a teraz szumi pusta muszla  
o morzach które w piasek uszły  
o burzy ściętej w kryształ soli  
zanim szuflada przyjmie ciało*

*taki to mój nieskładny pacierz  
do czterech desek moralności*

Wiersze Herberta pozwalają lepiej zrozumieć słowa bohatera „Manekina”: „Mówiłem, że w milczeniu nie ma zasługi. Że po prostu nie mogłem. Że choćbym chciał, to by nie wyszło. Tak, wtedy się uśmiechnął. (...) Jakbym usłyszał jego myśl: 'Obłudniku'. Fałszywa skromność, czyli właściwie pycha. Nie mogłem. Po prostu więziń cnoty! (...) Przecież to prawda. Przecież czasami... tak, czasami już byłem gotów. I nie mogłem. To nie wychodziło. (...) Dlaczego? (...)

W pracowni mojego ojca stał manekin. To był wzór. Na nim sprawdzało się robotę. (...) Zabawne — teraz to widzę: moje poczucie prawdy, niejasne wyobrażenie owej jakiejś postaci czy rzeczy ulokowane było między szafą a oknem pracowni w tamtym nie istniejącym od dawna mieszkaniu. (...) Świadomość tego miejsca chybotąca się zawsze we mnie jak banieczka powietrza w poziomnicy.



I to działało? Tak mi się wydaje. No, oczywiście były słowa. Wszystko musi się jakoś nazywać. Uczciwość, wierność, sprawiedliwość, odwaga... słowa i zdania. Długie dowody, przykłady, sylogizmy. Uczciwy człowiek i nigdy... Sprawiedliwy człowiek zawsze... Jeżeli to, to tamto... Chrystus, Sokrates, Conrad... Ale czułem zawsze, jak się ta banieczka waha, jak widoma przestrzeń chwieje się, dopóki nie ustawię się na niej właściwie, nie porównam stron świata z wyrocznią manekinu”.

Manekin to programomierz Szczepańskiego. W chwilach trudnych, w obliczu decyzji ryzykownych, kiedy ktoś musiał jechać w teren narażając się na aresztowanie przez Gestapo — opowiada narrator „Manekina” — „świat chwieje się mdląco. Zaczynają palić mnie uszy, policzki, skronie. Świat chwieje się. Wymiary są płynne, kierunki niepewne, moje własne istnienie niegodne uwagi, jeszcze sekunda ciszy, a ten zamęt mnie zniszczy. 'Ja pojedę' — mówię. Twarz pali mnie w dalszym ciągu, ale karuzela ustała. Kierunki, wymiary, lewa strona, prawa strona, góra, dół — wszystko na miejscu. Manekin w kącie, między szafą a oknem. Wiem, gdzie jestem. Porządek został przywrócony”.

Więc to dlatego musiałem po wojnie milczeć? — zastanawia się narrator. „Dwa tomiki wierszy po wojnie i stop. Już tylko dla siebie. Wszystko 'niecenzuralne'. Nawet zapach siana, nawet kumkanie żab niecenzuralne w moich ustach. 'Bo wy jesteście metafizyk. Wy jesteście katastrofista. Dlaczego nie możecie wykrztusić tego TAK?' Jak tu wytłumaczyć komuś, że mam taki wzorzec, że pływa we mnie taka banieczka? Że nie mogę znieść tego chybotu przestrzeni?”

I dalej rekonstruuje stan swej świadomości: „Opierałem się raczej na nazwach. Ten stan uspokojenia, wewnętrznej pewności, na którym mi tak zależało, to był, jak mniemam, szacunek dla samego siebie. Aby go uzyskać, trzeba było spełniać warunki pewnego ideału. Obowiązek, odwaga, wierność — model był jednak skomplikowany, złożony z wielu części o pięknych nazwach. Redukcja do nagiego symbolu, do ślepego wyczucia kierunku wreszcie, dokonywała się stopniowo. Nazwy stawały się z czasem zbyt wieloznaczne, wątpliwe. A przede wszystkim zabierano mi te nazwy. Używano ich w taki sposób, że trzeba było zrezygnować z nich jak ze sfałszowanych znaków firmowych.

'Czemu pan nie pisze o szczęściu, o wolności, o entuzjazmie?' Rozglądałem się wokół. Cała tajemnica polegała na tym, żeby się nie rozglądać. No, ale co zrobić z szacunkiem dla siebie? To się tak zdaje, że można po prostu wyłączyć się. Nie przyjmować pewnych rzeczy do wiadomości. Norwid. Sprawa krytyki literac-

kiej — niby dosyć niewinna. Chyba gdzieś w czterdziestym dziewiątym roku czytałem ten artykuł. 'Reakcyjny fideista', 'mętny myśliciel', 'poeta skłonny do językowego niechlujstwa'. To wszystko pisał człowiek, który nauczył mnie kiedyś czci dla Norwida, który objawił mi uroki i głębie jego poezji. Jeszcze wtedy zdawało mi się, że wystarczy splunąć. Wkrótce jednak zabrakłoby śliny. I zresztą jak tu żyć, plując nieustannie? Kimże się jest, żeby mieć prawo do plucia? Pamięć nie wybiera. Oprócz Dobrych Świadectw leżą w archiwum i inne. Pluć na starego profesora za to, że się boi? (...) Po co te obrachunki? Żeby wreszcie wypadło na zero? Tych rachunków nie da się nigdy zamknąć. I zresztą to nie zmienia obrazu świata. Ale strach zmienia. Tak, może to jest najistotniejszy czynnik. Choćby się zawsze pamiętało o poprawce na strach, jego działanie kształtuje rzeczywistość. Pomyślałem o poezji, bo każdy myśli przede wszystkim o swojej dziedzinie, ale to tylko fragment, tylko skutek. Wywichnione głosy. Słuchaliśmy ich wszyscy. Wyłamano jakieś hamulce, spalono bezpieczniki. Płynęły z głośników, skore, posłuszne, bezdźwięczne. Ludzie, dla których mieliśmy szacunek, ludzie nierzadko otoczeni bohaterską legendą oskarżali się o wszelkie podłości i prosili o surowe kary. To była dobra lekcja. Jakże się dziwić starym i słabym, że wyciągali z niej przewidziane wnioski? Kiedy psychologię zastępuje fizjologia, człowiek staje się inną istotą. 'Będziecie inaczej śpiewać!' Och, to jest najstraszniejsze zakłęcie. Nie mówmy o tym. Ale najgorzej, jeśli w imię szlachetnych celów. To właśnie łamie. Jak to? Nie chcesz dobra? Opierasz się? I zaczyna się zabieranie nazw.

Nie doceniałem w pełni tego pierwszego afisza. Oglądaliśmy go razem z Pawłem. Wrócił niedawno z obozu. (...) Patrzyliśmy na pokracznego karła symbolizującego naszą wieloletnią walkę ze złem — wszystko, co mogliśmy przeciwstawić pohańbieniu i przemocy. Zerknąłem na Pawła, nie wierząc własnym oczom. Opuścił głowę i uśmiechnął się dziwnie. 'Nie byliśmy tacy — powiedział — ale będziemy'.

Jak ten koncert synchronizował się niepostrzeżenie! A nim się spostrzegł, kiedy każde 'nie' znaczyło: 'Nie chcę szlachetnego celu. Jestem wrogiem dobra'. I — co tu dużo gadać? — chwilami prawie się w to wierzyło. Słuchajcie melodii nadawanej przez tysiąc głośników i próbujcie gwizdać coś innego.

Dobrze. Tylko z czego ja się tłumaczę? A prawda: to ciągle *à propos* tego milczenia. No, więc prosta sprawa. Nie śmiałem mówić głośno, bo słowa za bardzo się pomieszały. Najbardziej się bałem chwalić szlachetny cel. Te zwichnione głosy też go

chwaliły. I stary profesor od Norwida. Ale skąd tu Norwid? Dlaczego jego dobro, jego szlachetność stały się nagle pokraczne i karłowate? Dlaczego nasza ofiarność w walce stała się zdradą? Jedno dobro i drugie dobro były aż tak bardzo sprzeczne ze sobą? Czy tylko słowa nie mogły ich objąć w całości? Tak czy owak to musiało się skrupić na słowach. Bez względu na to, co miały naprawdę oznaczać albo ukrywać. Takim językiem już się nie da mówić. Chyba, że ktoś poprzestaje na dźwiękach. Na formie. Otóż jeszcze daleki byłem od formalizmu. I znowu kwestia języka. Formalista! Przecież nie co innego mi zarzucano. A tymczasem razem ze słowami zabrano mi formę. Co właściwie zostało? Na co mogłem się powołać w moim oporze? Wszystkie nazwy przeniesiono na kolorowy, radosny oleodruk, wystawiony do kopiowania. Oto wzór! Jedyny, powszechny i obowiązujący. A mój własny wzór? No tak: stracił kształty. Nie miałem go czym określić ani tłumaczyć. Zostało to, o czym zapomniałem: niepokój banieczki powietrza szukającej poziomu. Instynktowna obrona przed zawrotem głowy”.

Zdumiewająca jest ta powieść. W chwili, gdy inni pisarze rekonstruowali motywy własnego akcesu do Przodującego Ustroju, Szczepański każe swemu bohaterowi tłumaczyć się z milczenia, które uchodziło przecież za cnotę. Mistrzowski jest ten wizerunek życia wewnętrznego i chyba niezwykle szczery. Narrator, tak jak Szary w rozmowie z Sicińskim, jest bezbronny i bezradny. Racjom Przodującego Ustroju nie potrafi przeciwstawić żadnej spójnej propozycji politycznej. Dawne formuły poszły do archiwum; nowe jeszcze nie narodziły się. Pozostała pamięć dziesięciorga przykazań, „potęga smaku” i intuicja moralna: „niepokój banieczki powietrza szukającej poziomu”.

Szczepański nie kończy jednak na tym swej analizy. Poddaje narratora „Manekina” próbie igrzysk conradowskiej: nasz bohater schodzi ze swojej „Patny”.

Wspomina tę chwilę z goryczą: „Można sobie mówić: 'Kłamstwo jest poniżej mojej godności' — dopóki się owej godności nie podda próbie”. Stało się to, kiedy szedł do szpitala, by odwiedzić rodzącą żonę. „I wtedy ta dłoń na moim ramieniu. Niski czarniawy facet. Zamszowe półbuty na korkowej podeszwie. W bramie pokazał mi rożek legitymacji. 'Czy jestem aresztowany?' — zapytałem. — 'To się dopiero okaże' — odparł, wydymając lekceważąco wargi.

Posadzono mnie na krzeselku w rogu wielkiego pokoju o brudnych ścianach. Przy czterech biurkach pod oknami urzędnicy

o zaniebanym wyglądzie wertowali kartotekę. Czasem któryś z nich wstawał, podchodził do sąsiada i pokazywał mu jakiś paperek, albo mówił parę słów półgłosem. Co chwila spoglądałem na zegarek z uczuciem człowieka pogrążonego w złym śnie. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zdawało mi się, że zostałem zapomniany, ale kiedy założyłem nogę na nogę, jeden z urzędników rzucił mi kose spojrzenie i rzekł: 'Zachowujcie się poprawnie. Tu nie karczma'.

Czas wizyt w szpitalu dobiegał końca. Jakby mi pociąg uciekał sprzed nosa. Ostatni moment, żeby skoczyć na stopień. 'O co chodzi? — powiedziałem podniesionym głosem. — Ja się bardzo spieszę. Powiedzcie, o co wam chodzi i puśćcie mnie. To jakieś nieporozumienie!' — 'Siedźcie spokojnie, bo zawołam wartownika' — odezwał się ten od biurka. Inni nawet nie podnieśli głów. Było mi wszystko jedno. Krzyczałem, że to bezprawie, powoływałem się na konstytucję. Nie odpowiadali.

Nagle wszedł wysoki chudy młodzik. Stał przede mną, odgarnął opadające mu na skronie tłuste kosmyki. 'Spiesz się wam? Dokąd?' — 'Do szpitala. Za kwadrans kończy się czas przyjęć. Zrozum pan, moja żona rodzi'.

Przyjrzał mi się z roztargnieniem. 'Dobrze. Nie będziemy was trzymać. Odpowiedzcie tylko na jedno pytanie'.

— 'O co chodzi?' — 'Byliście w leśnym oddziale Borsuka?' — 'Tak, ujawniłem się'. — 'Znaliście Adama?' — 'Znałem'. — 'Jak się Adam nazywał?' — 'Nie wiem'.

Wzruszył ramionami i zawrócił ku drzwiom. 'Zostaniecie tu, dopóki sobie nie przypomnicie' — rzucił mi na odchodnym.

Zapomniałem zabrać papierosy. Na próżno przetrząsałem kieszenie, podczas gdy ten ostatni kwadrans przemijał sekunda po sekundzie. Potem przestałem już patrzeć na zegarek. Zapalono lampy. Urzędnicy wyszli. Na ich miejsce zjawili się nowi, zdawało mi się, że zupełnie tacy sami.

Śmiesz nas lub irytuje rozpacz dziecka, które wścieka się, nie mogąc postąpić według własnej woli. Nauczyliśmy się udawać, że działamy zgodnie ze swoją wolą. Ale czasem nie ma już miejsca nawet na pozory. Straszne jest uczucie niczym nie osłoniętej bezsilności. Kilka razy zaglądał do mnie młody człowiek z kosmykami na czole. Pytał tylko 'no?', a kiedy zaczynałem dowodzić mu, że nie wiem i wiedzieć nie mogę, wycofywał się, nie słuchając moich argumentów.

Wreszcie zaprowadzono mnie do małego pokoiku z pulpitem i krzesłem. Na pulpicie leżały arkusze papieru, pióro z wło-

sem w stalówce obok szkolnego kałamarza. 'Napiszcie dokładny życiorys'.

Nigdy jeszcze nie uświadamiałem sobie tak dotkliwie bezużyteczności nazw. Wszystko, czym umacniałem się w sobie, stało się teraz niebezpieczne. Jakże bezbarwnie, jak wymijająco streszczałem tę moją przeszłość, z której czerpałem kiedyś tyle otuchy, nawet dumy! To nawet nie była już moja przeszłość. To były 'dane' z wielekroć wypełnianych ankiet. Ale jeszcze za dużo tkwiło w nich aluzji do prawdziwego życia. Tymczasem minuty i godziny stawały się kleistą mazią, w której gmerałem się bezradnie jak mucha. A oczekiwanie Lidki dławiło mi gardło. Czułem je nieustannie.

W następnym pokoju — ileż czasu minęło, odkąd olbrzymi wartownik w bramie odebrał mi dokumenty? — leżał puszysty dywan, a za politurowanym biurkiem, pod wąsatym portretem w złożonych ramach, siedział elegancki kędzierzawy oficer. Traktował mnie z chłodną uprzejmością. Był bezgranicznie cierpliwy. Mój upór napawał go zdziwieniem i niesmakiem. Nie rozumiał, skąd u mnie ten brak dobrej woli. Tak twierdził w każdym razie. Czyżbym był wrogiem działającym na niekorzyść własnego narodu i państwa? Dlaczego nie chcę udzielić pomocy władzom? Przecież to naturalny obowiązek każdego obywatela. Naszą rozmowę przerywały długie okresy milczenia. Siedzący z boku chudy tłustowłosy młodzieniec czyścił sobie paznokcie ułamaną z pudełka od zapalek drzazgą. I ja zaczynałem się sobie dziwić. Cóż mogłem powiedzieć na swoją obronę? Gdybym nawet wdał się w dyskusję zasadniczą z oficerem, nie miałbym żadnych szans. On reprezentował stan faktyczny, rzeczywistość, a ja? To nieokreślone poczucie równowagi, na które zabrakło mi już nawet określeń. Mogłem poruszać się już tylko na wyznaczonym przez niego terenie. Zapewniałem go więc, że się myli, że wcale nie odmawiam pomocy i że nie brak mi dobrej woli. Nie mogę udzielić żadnej informacji po prostu dlatego, że nie wiem. Zajrzał do tekturowej teczki leżącej na biurku, przewrócił w niej kilka kartek. Potem zatrzymał na mnie wzrok surowy, zdecydowany.

'My wiemy, że to nieprawda'. Milczałem. 'Był w waszym oddziale niejaki Kruk'. Skinąłem głową. 'Pan mu mówił, że utrzymuje pan stosunki towarzyskie z Adamem'.

Była już noc. Zdawało mi się, że w całym mieście tylko my trzech czuwamy w tym wysłanym dywanem gabinecie. Nieraz potem przypomiąłem sobie tę scenę, ten właśnie moment. Czy dałem się zamroczyć zmęczeniu, czy też celowo (choć w tajem-

nicy przed sobą) zacząłem drążyć podkop pod własnym szańcem? Doprawdy nie wiem. Jeśli jednak skłaniałem się do kapitulacji, to na pewno nie cały. Byłem jak twierdza, w której część załogi straciła wolę oporu. Czy to mógł być tylko błąd? Nie pamiętam nawet, czy w tej chwili wciąż jeszcze myślałem o Lidce. Nagle zasypałem oficera pytaniami. Jakimże to niebezpieczeństwem dla państwa może być taki Adam? Człowiek, który odważnie walczył z Niemcami, a po wojnie cały poświęcał się pożytecznej pracy, zyskał powszechne uznanie dla swej fachowej wiedzy, uczciwości, energii. Co można mu zarzucić? Dlaczego tropi się takich ludzi? O co się ich podejrzewa?

Oficer pochylił się ku mnie przez biurko z pierwszym gniewnym błyskiem w oczach. 'Nazwisko?' — Jeszcze raz zamilkłem.

Wtedy odwracając się ode mnie ze wstrętem, rzekł do chudego młodzieńca: 'Już dosyć czasu straciliśmy z tym bydlakiem. Róbcie, kolego, to, co się robi w takich wypadkach'. Młody człowiek wstał, uśmiechając się wąsko. Lewą garścią przecesał włosy, prawą zagłębił w kieszeń. Rozległ się brzęk metalu — tępy i maszynowy.

'Chodźcie' — powiedział.

Wymieniłem nazwisko Adama''.

Co było potem? Manekin upadł. „Jeśli można sobie wyobrazić wolność bez nadziei, jaką dawać powinna, bez blasku, bez dumy — to w stan takiej wolności popadłem nagle. Przystały mi obowiązywać wszelkie umowy, bo nie byłem już godnym zaufania kontrahentem. Mogłem więc nie liczyć się dłużej z... czym? Z samym sobą przede wszystkim. Ze swoją godnością, którą wyolbrzymiałem bezpodstawnie. Tak, okazało się, że bezpodstawnie. Mogłem się wreszcie przestać cenić.

(...) Nie bardzo pamiętam, co myślałem. Wiem tylko, że spoglądałem na siebie w jaskrawym świetle utraty złudzeń. No i konsekwencje były jasne. Na jakiej zasadzie tak się opierać? Z czym się tak drożyć? Z czym? To jest oszukiwanie siebie i innych. Dlaczego nie 'oddzielić liry od człowieka', skoro człowiek niewiele wart. A nawet nie tak sprawa stoi. To też tylko pozory — jakaś pantomima dramatycznej ofiary. W rzeczywistości: obojętne, co tego rodzaju lirnik wybrzdąka. Dla Norwida 'świętość słowa'. Nie bądźmy zarozumiali. Jest praktyczna wartość słowa. W sam raz dla mnie. Można za to kupić bezpieczeństwo i separatkę w szpitalu dla żony''.

Tak wyglądała jego kapitulacja. Nie publikował jednak nadal: „Owszem, nie wychodziło. Brakowało praktyki. Środków.

Przełamania uprzedzeń wydawców, wytworzenie sobie nowej opinii też nie dokonuje się z dnia na dzień. Organizowanie odwrotu, nawet upadku, wymaga czasu i trudów. Nie wychodziło tak łatwo, aż wreszcie zmieniły się czasy. I pozostałem 'nieskalany'. I oto jaki akt sprawiedliwości. Nagroda”.

## X

Pisał Conrad, jakby o bohaterze „Manekina”:

„Nic okropniejszego, jak śledzić człowieka, który został przyłapano nie na zbrodni, lecz na słabości. Przeciętą moralną dyscypliną nie pozwala nam popełniać zbrodni — w prawnym znaczeniu tego wyrazu; ale nikt z nas nie czuje się bezpieczny wobec jakiejś siły nieznannej — choć może podejrzwanej, tak jak w niektórych częściach świata podejrzewamy, że każdy gąszcz kryje jadowitego węża; wobec słabości, która się może przyczaić w ukryciu, czy ją śledzimy czy też nie — od której szukamy ucieczki w modlitwie albo gardzimy nią po męsku, którą tłumimy, lub też nie wierzymy, że istnieje przez więcej niż pół życia. Człowiek daje się zniechęca wciągać w sprawy, za które mu wymyślają, albo w sprawy trące szubienicą, a jednak duch jego może przetrwać to wszystko — przetrwać ogólne potępienie, a nawet i stryczek — zaiste! A zdarzają się czasem rzeczy na ogół dość błahe — które zupełnie gubią pewnych ludzi. Obserwowałem tego młodego chłopca. Podobał mi się z powierzchowności; znałem ludzi tego typu; pochodził z dobrego gniazda — był jednym z nas. Przedstawiał tu cały pokrewny mu rodzaj, kobiet i mężczyzn ani szczególnie zdolnych, ani bardzo zajmujących — ludzi, których istnienie opiera się po prostu na uczciwej wierze i instynktownej odwadze. Nie chodzi mi o odwagę wojskową ani odwagę cywilną, ani żaden specjalny rodzaj odwagi. Mam tu na myśli tę wrodzoną zdolność do spojrzenia pokusie prosto w oczy — gotowość bynajmniej nie intelektualną, lecz pozbawioną pozory — odporność, być może, wyzbytą z wdzięku, ale bezcenną — instynktowną i błogosławioną, nieugiętość wobec zewnętrznych i wewnętrznych trwóg, wobec potęgi przyrody, wobec kuszącego ludzkiego zepsucia — nieugiętość popartą przez wiarę, która nie ulega sile faktów, niedostępna jest dla zarazy przykładu, dla ponęty idei. Precz z ideami! To są włóczęgi, łaziki, co się dobierają do tylnych drzwi duszy, aby cząstka po cząstce unosić naszą istotę; aby wykradać okruchy wiary — tej wiary

w parę prostych pojęć, których człowiek musi się trzymać, jeśli chce żyć przyzwoicie i mieć lekką śmierć”.

Jakby replikując na ten słynny wywód, dopisał Szczepański do „Manekina” nietypowe *post scriptum*. „A teraz mówię ja, autor — pisał. — Wiem, że łamię konwencję. Proszę mi wybaczyć. (...) Czuję jednak, że nawet za cenę kompozycji nie powinienem rezygnować z wyciągnięcia wszystkich konsekwencji tematu. Wydają mi się one naprawdę istotne. I dlatego koniecznie tym załamaniem rąk, tym bolesnym unikiem, nie pozbawionym nuty cynizmu, wydaje mi się fałszem. Osobiście widzę w przedstawionej tu sytuacji jakiś błysk nadziei, jakąś szansę. Paradoksalną na pozór, trudną, tak — ale w świecie sztuki wszystko rzuca cień paradoksu i nic nie przychodzi bez trudu. Otóż chciałem powiedzieć od siebie kilka słów pociechy, które w ustach mojego bohatera brzmiałyby podejrzenie, może nawet wykrętne. Mianowicie, że sztuka nie bywa na ogół kwiatem czystego sumienia i że do chwały człowieka nieustannie dąży poprzez jego upadek. Dlatego to rozpacz w życiu jest jej posilnym pożywieniem, a jej naturalnym ruchem jest właśnie powstawanie z upadku. Bowiem, w moim przynajmniej przekonaniu, prawdziwą ojczyzną sztuki jest raj utracony”.

Trudno mi czytać te słowa bez wzruszenia. Oto w trosce o wartości moralne, o klarowność etycznego przesłania, pisarz świadomie godzi w artystyczną jednolitość swego utworu. A przecież jest w tym jakiś szczególny akt wierności nie tylko ludzkiej, lecz i pisarskiej. Szczepański raz jeszcze zmierzył się z klęską i raz jeszcze utożsamiał się z przegrywającymi. Nie była to postawa powszechna. Inni pisali np. o Powstaniu Warszawskim tak oto: „Widziałem tę rzeź i to piekło zgotowane milionowemu miastu przez garść mitologicznych straceniów. Odeszli; trzeba im przyznać potężnie trzasnęli drzwiami. Gestami takimi można budować mitologię, nie można budować egzystencji”. Napisał te słowa Czeszko, ale słycać w nich pogłos innych, i Sicińskiego, i Aleksandra Bocheńskiego. Ten zwrot był formułą wspólną zwycięzców-komunistów i tych osobliwych mądrali spoglądających z lotu ptaka na narodowy dramat, szyderców wystawiających rachunek przegranym, scenarzystów sałw śmiechu, „śmierci na śmietniku”, specjalistów od bicia w cudze piersi. Dla tych ludzi klęska była okazją do dystansowania się od przegranych; dlatego klęskę narodu sprowadzali do porażki poszczególnych obozów politycznych; była też okazją do egzaminowania przegranych z moralności osobistej i rozsądku politycznego; była to — wreszcie — doskonała okazja do wyśmiewania oporu tych, którzy się



wciąż z klęską nie pogodzili oraz ich programów, w których doszukiwali się tchórzowskiego kręactwa lub „fantazyjnego gościnka utopii, zwariowanych pomysłów, szaleńczych projektów”.

Szczepański jest tej postawy przeciwnikiem. Przegrana człowieka i narodu jest zawsze w jakiś sposób jego własną przegraną. Tak było w „Polskiej jesieni” i w opowieści o Berezowskim, w „Butach” i „Końcu legendy”, w „Kromce chleba” i w „Manekinie”. Ale też Szczepański wie, że żadna z tych klęsk nie jest ostateczna.

Bowiem — powiadał bohater Conrada — „można bardzo dobrze sobie radzić, choć się wie, że odwaga sama z siebie nie przychodzi. Nic znów w tym nie ma takiego, co by mogło wytrącić człowieka z równowagi. Jedna prawda więcej nie powinna życia uniemożliwiać... Ale honor, honor, proszę pana. Honor! To, to jest rzeczywiste, to, to naprawdę istnieje! A co życie może być warte, ieśli... jeśli honor jest stracony...”.

Taki jest elementarz Szczepańskiego. Dlatego w każdej klęsce szukać będzie źdźbła nadziei. By je pielęgnować.

Za ową pielęgnację nigdy mu tacy, jak ja, nie przestaną być wdzięczni.

## XI

„Manekin”, jedno z najciekawszych opowiadań Szczepańskiego, jest nieporównanym świadectwem pisarza, który w epoce stalinowskiej wybrał drogę oporu; jest zapisem bezsilności fizycznej i intelektualnej oraz opowieścią o etycznym rezerwuarze siły. „I bądź odważny gdy rozum zawodzi bądź odważny” — Pan Cogito dobrze wiedział co robi, bardziej ufając odwadze niż rozumowi. Bo w rozumie może tkwić — to znowu Conrad — „coś, co jest najuporczywszym z upiorów stworzonych przez człowieka: jątrzące wątplenie, które podnosi się jak mgła, a mrozi bardziej niż pewność śmierci, ukryte i toczące niby robak — zwątpienie o tym, że istnieje władająca nami potęga uznana jako ustalony wzór postępowania. Takie zwątpienie jest najniebezpieczniejszą z przeszłości, o które człowiek może się potknąć; wywołuje wrzaskliwy popłoch i dobroduszne, spokojne podłostki; jest widmem prawdziwej klęski”.

Szczepański wie to wszystko doskonale. Zna wysokość ceny, którą trzeba płacić za kłamanie samemu sobie. Dlatego jego opo-

wiadania są tak uporczywie powtarzaną opcją za prawdą. Za całą prawdą. Za prawdą o stalinizmie; o oporze przeciw stalinizmowi; o mitologizacji tego oporu. Jan Józef Szczepański, żołnierz Armii Krajowej — napisał „Buty”, opowieść o wojennej degrengoladzie sumień; napisał „Koniec legendy” — opowieść o bezradności ginącego świata Polski Podziemnej. Pisarz nieugięty wobec pokus i perswazyi Przodującego Ustroju opisał („Błogosławione wody Lete”, „Manekin”) dwa warianty życiorysu pisarza, który wziął rozbrat z moralną kondycją swego powołania.

Autor „Kromki chleba” i narrator „Manekina” to dwa przykłady kłęski pod naporem „najuporczywszego z upiórów stworzonych przez człowieka”. W obu tych przypadkach, a dorzucmy jeszcze Sicińskiego i Bałaja, akces do Przodującego Ustroju zinterpretowany został jako abdykacja z godności. Świat wewnętrzny tych ludzi jest całkowicie odmienny od tego, który znamy ze „Zniewolonego umysłu” Miłosza. Bohaterami „Zniewolonego umysłu” rządzi Duch Dziejów; bohaterami opowiadań Szczepańskiego — strach, kalkulacja i lichota moralna. To nie przypadek, że Siciński jest tchórzem, Bałaj — cynicznym arywistą; to nie przypadek, że autora „Kromki chleba” pociągają apanaże, a narratora „Manekina” gubi moment moralnej nieuwagi w obliczu oficera śledczego. W konstrukcji Szczepańskiego nie ma miejsca na kogoś w typie Rubaszowa z powieści Koestlera czy Szczuki z powieści Andrzejewskiego; Lucjusz i Klaudiusz z „Guseł” byliby tu po prostu parą tchórzliwych koniunkturalistów. A przecież autor „Kromki chleba” mógłby dzielić dramatyczny los Tadeusza Borowskiego, zaś narratora „Manekina” łatwo byłoby wyposażyć w życiorys Tadeusza Konwickiego czy Andrzeja Brauna. Jednak z perspektywy Szczepańskiego błąd akcesu u ludzi tego pokolenia jest zawsze wynikiem strachu lub złej woli. Wyjątek uczyni tylko dla młodych — w powieści „Pojedynek” opowie o fanatyzmie chłopaka wychowanego w totalitarnej szkole janeczarów. Identyczne stanowisko zajmowali i inni niezłomni: w kraju Elzenberg, Malewska, Herbert, na emigracji Herling-Grudziński, Lechoń. Był to — jak myślę — fragment ich strategii samoobronnej: sądzili innych po czynach, a nie po intencjach; z czynów wyprowadzali intencję, a nie na odwrót. Narrator „Manekina” powiadał: „Słuchajcie melodii nadawanej przez tysiąc głośników i próbujcie gwizdać coś innego”. Nie było to łatwe — i tu chyba trzeba szukać odpowiedzi na pytanie o ową specyficzną jednostronność.

Cała literatura tego okresu, wszystkie chyba zachowane świa-

dectwa, nacechowane są jednostronnością. Pomijając już oficjalną propagandę komunistyczną, to jakże jednostronny był Andrzejewski kreśląc w „Popiele i diamencie” wizerunek szlachetnego Szczuki i niemądrego Maćka Chełmickiego. Jednostronny był także Miłosz, gdy analizując mechanizm akcesu i zniewolenia, zbywał postawy konsekwentnej niezgody ironiczną uwagą:

(...)

*Tak się ten przykry sens odstania:*

*Obłąd dziś ceną jest działania*

*I chyba tylko eremita,*

*Co w wieży Augustyna czyta,*

*Sądzi, że umknąć mu się uda.*

*Wątpliwa jednak to zastuga.*

(„Traktat moralny”)

Pomińmy już jednostronność Lechonia, który w Miłoszu widział po prostu komunistycznego agenta...

Sytuacja kryzysu wartości i konfliktu postaw wiodła ku polaryzacji i warunkowała postawy w taki właśnie — jednostronny — sposób uformowane. Tak było wszędzie. Dlatego Tomasz Mann nie chciał po 1945 roku uznać racji niemieckiej literatury funkcjonującej pod hitlerowską cenzurą; dlatego Aleksander Sołżenicyn przekreślał cały niemal dorobek oficjalnej produkcji literackiej w ZSSR; dlatego w opowiadaniach Jana Józefa Szczepańskiego nie spotykamy uczciwego komunisty, a u Miłosza — pozytywnego endeka.

Czas totalizmu nie sprzyja sądom wyważonym. Henryk Elzenberg, który był zdania, że „trzeba stać ponad swymi namiętnościami i spoglądać na nie z wysoka”, w 1953 roku zanotował w swym dzienniku: „Ciekawa sytuacja psychologiczna: piszę coś pod silnym wewnętrznym naporem, a jednocześnie wyraźnie 'za wypowiedzeniem', cały czas zastrzegając sobie sąd spokojniejszy, staranniej zrównoważony, beznamiętny i sprawiedliwy. Ale na razie chcę być namiętny i nie chcę być sprawiedliwy, z pewnych rzeczy chcę się otrząsnąć, zrzucić je z siebie, podeptać. To także jest konieczność życiowa. Dopiero po takich otrząśnięciach się, wybuchach i oczyszczeniach ma się prawo do sądu spokojnego i olimpijskiego; inaczej olimpijskość i spokój są tylko wyrazem ustępliwości, ulegania, niemrawości duchowej; lub ściślej: nie ma Olimpu, jest tylko skarłałość i ńędza”.

## XII

*Płynę pod prąd a oni ze mną  
nieubłaganie patrzą w oczy  
uparcie szepcą słowa stare  
jemy nasz gorzki chleb rozpaczy  
Muszę ich zawieźć w suche miejsce  
i kopczyk z piasku zrobić duży  
zanim im wiosna sygnie kwiaty  
i mocny zielny sen odurzy*

(„Prolog”)

Ten fragment z „Prologu” Herberta jest jednym z kluczy do pisarstwa Jana Józefa Szczepańskiego. Los pokolenia A. Karskiego, pokolenia ludzi dzielnych i nieszczęśliwych, jest także jego obsesją. Po 1956 roku, po ustaniu terroru, ludzie ci ponownie wrócili do życia. Herbert opisał ten powrót w wierszu „Przebudzenie”.

*Kiedy opadła groza pogasty reflektory  
odkryliśmy że jesteśmy na śmietniku w bardzo dziwnych pozach*

*jedni z wyciągniętą szyją  
drudzy z otwartymi ustami z których sączyła się jeszcze ojczyzna  
inni z pięścią przyciśniętą do oczu  
skurczeni emfatycznie patetycznie wyprężeni  
w rękach mieliśmy kawałki blachy i kości  
(światło reflektorów przemieniło je w symbole)  
ale teraz to były tylko kości i blacha*

*nie mieliśmy dokąd odejść zostaliśmy na śmietniku  
zrobiliśmy porządek  
kości i blachę oddaliśmy do archiwum*

*śluchaliśmy szczebiotania tramwajów jaskółczego głosu fabryk  
i nasze życie stało się nam pod nogi*

Szczepański opowie dalszy ciąg tych biografii. W jednym z ostatnich opowiadań („W windzie”, *Pismo*, 1982) opisał swoje wrażenie z przypadkowego widoku obcej kobiety oczekującej na windę:

„Ta czekająca na dole kobieta należy do ludzi, którym nie

ma czego zazdrościć. Wystarczyło krótkiego momentu, kiedy widziałem ją całą od stóp do głowy, abym nabrał co do tego niezachwianej pewności. Lichy płaszcz z pociemniałym od wilgoci króliczym kołnierzem, przygarbione plecy, siatka na zakupy wypchana kartonami proszków do prania i rolkami zamokłego toaletowego papieru, w drugiej ręce ociekający czarny parasol. Aura znużenia i beznadziejności. Pomyślałem, że jest osobą samotną i (...) ujrzałem jej życie, jakby wyłuskane z mroku szybkim błyskiem reflektora intuicji. W czasie wojny musiała być jeszcze młodą dziewczyną. Może nawet ładną. Regularne rysy wąskiej twarzy, cienki nos, fizjonomiczna kompozycja sprawiająca obecnie wrażenie lisiego pyszczka, mogła kiedyś posiadać sporo powabu. Jak wszystkie młode dziewczyny marzyła kiedyś o miłości, kojarząc ją z kwiatami, tańcem, blaskiem słońca migocącym wesoło na łagodnej, morskiej fali, z kolorowymi sukienkami oraz uczuciem bezpieczeństwa i szczęścia pomyślnie spełnionego losu. I jak wszystkie młode dziewczyny w tym kraju i w tamtym czasie musiała dopasowywać to marzenie do nacierającego zewsząd okrucieństwa, do strachu, zatruwającego każdą godzinę, do egzaltowanej świadomości udziału w groźnym dramacie. Dawało jej to chwilami poczucie heroicznego sensu istnienia, a nadzieję opromieniało nadziemską jasnością. Podczas powstania była pewnie sanitariuszką albo łączniczką. I wtedy zapewne uświadomiła sobie po raz pierwszy kruchość nadziei. Pośród płonącego, rozpadającego się w gruzy miasta, w nieustannej obecności gwałtownej śmierci, rozplenionej wszędzie wokół tak, że stała się regułą codzienności, zrozumiała, że jeśli cokolwiek ma się spełnić w jej życiu, musi się to spełnić natychmiast, bo jutro lub za godzinę będzie już za późno. Podchorąży, dowódca plutonu, wyrosnięty chłopak w okularach, z biało-czerwoną opaską na rękawie granatowej kurtki, która kiedyś była częścią gimnazjalnego mundurka, żywił to samo przekonanie. Stało się to na wysuniętej placówce, w rozbitym mieszkaniu jakichś nieznanymi ludźmi, gdzie pod nogami skwierczało szkło i wały się cudze zdeptane fotografie. Tapczan, na którym leżeli, powlekała warstwa rozkruszonego tynku. Była wstrząśnięta brutalnością aktu, zaszokowana doznaniem przełamania wstydu, do głębi poruszona przełamaniem własnej osobności. A następnego dnia dreptała, pochylona, dnem przebitego w poprzek ulicy wykopu. Pochylona nie tylko z powodu bzykających nad głową kul, ale dlatego, że ciężar noszy, których drążki wrzynały się twardo w dłonie, obciągał w dół jej ramiona. Szła z tyłu. Nie widziała twarzy podchorążego, jedynie skołtunione jasne włosy i podłużny kształt ciała pod kocem. Suchymi

oczyma wpatrywała się w rozrastającą się stale na tym kocu plamę krwi, która wypływała z rozprutego odłamkiem granatu brzucha. Potem Pruszków. Wielkie, betonowe hale, wilgotne i zimne, wypełnione po brzegi ludzką niedolą. A potem, jak męczący sen, długa jazda w zamkniętym bydłącym wagonie i zatłoczony, głodny obóz jeniecki gdzieś w Bawarii i zapadające coraz głębiej w świadomość przekonanie, że nie mogło się skończyć inaczej, jak klęską — że klęska jest nieuchronnym przeznaczeniem tego narodu. Wyzwolenie, to byli weseli czarni chłopcy w *battle dress*'ach i kopułkowatych hełmach. Klepali po plecach, rozdawali papierosy, czekoladę, puszki coca-coli. Ale przynosili tylko dalsze wygnanie. W obozie 'dipisów' pisała na maszynie w biurze administracji i pomagała organizować patriotyczne akademie. Prowizorycznie przystosowane baraki, zajęcia służące tymczasowym celom, życie z łaski anonimowych opiekunów — wszystko to zaczęło nabierać cech trwałości, stawało się formułą jakiegoś istnienia na niby. Chciała istnieć naprawdę. Wróciła. Miasto odrastało powoli od korzeni w topieli błota, w mgłę ceglanego pyłu. Było ruchliwą, gwarną pustynią. Stukała na maszynie w biurach różnych spółdzielni, podjęła jakieś przypadkowe studia, których nie mogła ukończyć. Jeździła na wczasy pracownicze do miejscowości, których nazw nigdy przedtem nie słyszała. Szklarska Poręba, Międzyzdroje, Ustka. Fale morza nie wabiły mirażami szczęścia. Były przelewającymi się mechanicznie masami szarozielonej wody. W czasie jednego z takich urlopów zdarzyła się jej przygoda. Starszy mężczyzna, mający również za sobą doświadczenia Powstania Warszawskiego. Żonaty. Po skończonym turnusie nie spotkali się już więcej. Wyczerpał się zapas niespodzianek, jakie kryje w sobie przyszłość. Jeszcze żyje, ale właściwie już stało się wszystko. Jej 'teraz' jest jak zamknięty pokój bez okien. Mroczna nawa kościoła, gdzie, klęcząc, zastanawia się czasem, co w końcu miało znaczyć jej życie. Godziny wyczekiwania w ogonkach przed sklepami. 'Rzucili cytryny'. 'Mają podobno dawać poledwice'. Wieczorami przepisuje jakieś listy handlowe i specyfikacje dla instytucji, w których pracowała kiedyś. Na nic więcej, na nikogo więcej nie czeka. Czeką na wiatr".

W tej wymyślonej na poczekaniu biografii zawiera się cały dramat tych ludzi, którym życie przyniosło gorycz klęski i smutek niespełnienia. Szczepański jest jednym z nich. Jednym z tych, którzy mogliby powtórzyć zapiskę Elzenberga z 1953 roku: „Myślę sobie czasem, że — mówiąc pewną kiepską gwarą dzisiejszą — 'być wygranym' w życiu, to jest właściwie mniej interesu-

jące niż być 'przegrany'. Mojej przynajmniej naturze wygrana jakoś esencjonalnie nie odpowiada. Gdybym miał powodzenie, rozgłos, nie wiedziałbym co się z tym robi. Może bym nawet odczuwał pewien jakby wstyd — metafizyczny?"

Coś z tego klimatu jest w opowiadaniach Szczepańskiego. Dlatego nie dokonuje on mitologizacji przeszłości, choć w pełni docenia wartość mitu. Za swą powinność uważa jednak danie świadectwa prawdy — gorzkiej prawdy, bezsensownej, wstrętnej, ale zawsze kryjącej w sobie jakieś zadanie. Dokąd pojedzie windą ta przypadkowo spotkana kobieta, której los, tak rozpaczliwie prozaiczny i pozbawiony sensu, kryje w sobie pokusę rezygnacji i kapitulacji przed „najuporczywszym z upiorów”? Dokąd pojedzie?

„Tysiące nas — pisał Conrad — wędrują po obliczu ziemi, sławni lub nieznan, zarabiając za oceanem na rozgłos, na bogactwo lub tylko na suchy chleb; ale zdaje mi się, że dla każdego z nas powrót do kraju musi być jakby zdaniem rachunku. Wracamy, aby stanąć wobec naszych zwierzchników, krewnych, przyjaciół, tych, którym jesteśmy winni posłuszeństwo, i tych, których kochamy. Lecz nawet ludzie nie mający ani jednych ani drugich, zupełnie swobodni, samotni, pozbawieni wszelkich więzów i obowiązków, nawet ci, których nie oczekują kochane twarze i dobrze znane głosy, muszą się spotkać z duchem przenikającym kraj, duchem, którego pełno jest pod niebem w powietrzu, w dolinach i na pagórkach, na polach, w wodzie, w drzewach — z niemyim przyjacielem, sędzią, i natchnionym doradcą. Mówcie sobie, co chcecie, lecz jeśli pragniemy w swym kraju zaznać radości, odetchnąć jego spokojem i spojrzeć w oczy jego prawdzie, musimy wrócić z czystym sumieniem. (...) Faktem jest niezaprzeczonem, że nagrody swej trzeba dotknąć czystymi rękoma, aby nie obróciła się w zeschnięte liście i ciernie. Zdaje mi się, że ludzie zupełnie samotni, ci, co nie mają ani własnego ogniska, ani przywiązania bliskiej istoty, którzy powracają nie do domu, ale do kraju, aby zetknąć się z jego bezcielesnym, wiecznym, niezmiennym duchem, że oni właśnie rozumieją najlepiej jego surowość, jego zbawczą siłę i łaskę, którą jest przedwieczne prawo do naszej wierności i do naszego posłuszeństwa. Tak! Niewielu z nas to rozumie, ale jednak czujemy to wszyscy, powtarzam: wszyscy bez wyjątku, albowiem ci, którzy tego nie czują, wcale się nie liczą”.

„Poczucie sensu — tymi słowami kończy Szczepański opowiadanie 'W windzie' — to świadomość dążenia ku czemuś, to świadomość potrzeby dokonywania wyborów. To egzystencja w świecie wartości. Dobro i zło. Prawda i fałsz. Mimo szerzącego się

cynizmu, nadal rozróżniamy wyraźnie te kategorie. One istnieją. Istnieją w sprzeczności ze sobą. W nieustającej walce. A więc udział w odwiecznej wojnie. W wojnie, która musi się toczyć, jeżeli życie ludzkie na ziemi ma mieć jakiegokolwiek znaczenie. Która toczy się w czasie — w czasie jak gdyby nierówno podzielonym. Wydłużonym w niekończącą się perspektywę dla mozolnych dokonań dobra i prawdy i posiekany na części dla doraźnych zdobyczy zła i kłamstwa. Udział w dramacie i dwie perspektywy czasu do wyboru. Poczucie sensu istnienia zależy od opowiedzenia się po jednej ze stron.

Jazda trwa. W górę lub w dół. Jeszcze, jeszcze, jeszcze...”

Dokąd przeto jechać tą windą? Tam, gdzie można — powiada Conrad — „zanurzyć się w niszczącym żywiole... (...) To jedyna właściwa droga. Iść za marzeniem i znowu iść za marzeniem i tak *ewig usque ad finem*” (zawsze do końca).



## POTĘGA SMAKU

### I

Co mógł robić młody AKowiec po 1945 roku, gdy ustały hitlerowskie egzekucje, zaczął się tzw. „okres utrwalania władzy ludowej”? W wyniku porozumień jałtańskich Polsce został narzucony rząd kierowany przez komunistów i ustroj oparty na sowieckich wzorach totalitarnych. Komuniści przekreślali instytucjonalną ciągłość państwowości polskiej, miażdżyli wszystkie struktury podziemne utworzone dla narodowej samoobrony. Rząd RP w Londynie i jego krajowe agendy zostały uznane za nielegalne, przedstawiciele podziemnej administracji aresztowano i wywożono. Mury pokrył plakat „AK — zapluty karzeł reakcji”. Jaką więc drogę miał przed sobą ów żołnierz AK, którego nie dosięgnęła hitlerowska kula, obowiązywała przysięga, a ścigał urząd bezpieczeństwa? Mógł nadal ukrywać się i konspirować. Ale jak długo? Tropiony i szczuty, wspomagany przez ludzi coraz bardziej znękanych represjami, bez żadnej wiary w sens swej konspiracji? Tam, do ukrycia, dochodziły apele rzeczników Przewodzącego Ustroju do ujawnienia się i ponętne propozycje „pojednania narodowego”. A żyć było coraz trudniej, nadziei na pomoc z Zachodu żadnej, sił coraz mniej. Coraz więcej kolegów wpadało w łapy UB, traciło zęby i paznokcie podczas przesłuchań, stawało przed sądami lekką ręką ferującymi wyroki. Inni wiali przez zieloną granicę, jeszcze inni ujawniali się, zdawali broń, próbowali normalnego życia. Wspólne dla wszystkich było już tylko dojmujące poczucie przegranej, wiedza o daremności przelanej krwi i o bezsensie tysięcy ofiar. Po zdławieniu PSL i sfalszowaniu wyborów w konspiracji nie było już na co czekać — ten

rozdział należało więc uznać za zamknięty. Jedni przysięgali sobie, że od polityki odchodzą na zawsze; drudzy dokonywali rozrachunku z Zachodem, który ich zdradził; jeszcze inni szukali winowajców klęski wśród własnych przełożonych. Tak rozdziły się postawy ucieczki od rzeczywistości z jednej strony, a apostazji moralnej — z drugiej.

Kiedy czytam wiersze Zbigniewa Herberta, mam nieodparte wrażenie obcowania z zapisem świadomości człowieka, który nie uciekł za granicę, nie przeszedł na stronę Przodującego Ustroju, ani też się nie ujawnił, wtedy w 1945 roku. Nie ujawnił się właściwie i nigdy później, wciąż tkwiąc psychicznie w swej „konspiracji wyobraźni”. Nie dokonał też aktu amputacji pamięci — pozostał na zawsze „strażnikiem grobów” osądzającym świat z perspektywy wartości wtedy podeptanych i ludzi wtedy zabitych.

## II

Koniec podziemia opisał w „Próbie rozwiązania mitologii”:  
„Bogowie zebrali się w baraku na przedmieściu. Zeus mówił jak zwykle dłużej i nudnie. Wniosek końcowy: organizację trzeba rozwiązać, dość bezsensownej konspiracji, należy wejść w to racjonalne społeczeństwo i jakoś przeżyć. Atena chlipała w kącie.

Uczciwie — trzeba to podkreślić — podzielono ostatnie dochody. Posejdon był nastawiony optymistycznie. Głośno ryczał, że da sobie radę. Najgorzej czuli się opiekunowie uregulowanych strumieni i wyciętych lasów. Po cichu wszyscy liczyli na sny, ale nikt o tym nie chciał mówić.

Żadnych wniosków nie było. Hermes wstrzymał się od głosowania. Atena chlipała w kącie.

Wracali do miasta późnym wieczorem, z fałszywymi dokumentami w kieszeni i garścią miedziaków. Kiedy przechodzili przez most, Hermes skoczył do rzeki. Widzieli jak tonął, ale nikt go nie ratował.

Zdania były podzielone; czy był to zły, czy przeciwnie, dobry znak. W każdym razie był to punkt wyjścia do czegoś nowego, niejasnego”.

Kto jest narratorem tej opowieści? Podejrzewam, że Herbert udzielił głosu donosicielowi — tak właśnie mógłby brzmieć jego raport o samorozwiązaniu się partyzanckiego oddziału. Krótko i rzeczowo. Złośliwie i pogardliwie.

Oddając głos donosicielowi, spoglądając jego okiem na swoją

kłeskę, Herbert — nieprzypadkowo przecież — wyposażył konspiratorów w imiona greckich bogów. Bowiem — w tym ujęciu — zwięzły raport o rozwiązaniu oddziału staje się zarazem informacją o likwidacji zbiorowości symbolizującej treści i przesłanie określonej tradycji kulturalnej. „Próba rozwiązania konspiracji, kapitulacja ludzi wchodzących w „racjonalne społeczeństwo”, by przeżyć, wszystko to jest tożsame z kłeską kultury europejskiej, której rdzeniem jest antyk.

„Próba rozwiązania mitologii” jest herbertowską wizją tego, co Elzenberg nazywał „przewrotem w kulturze”, a co było kłeską kultury, kłeską tym bardziej dojmującą, że m o r a l n ą. Ujawniający się bogowie greccy, powiadając „dość bezsensownej konspiracji” i licząc już tylko na sny, popełniają moralne samobójstwo — na samobójstwo faktyczne zdobywa się tylko Hermes. Narrator przygląda im się okiem nowej epoki, okiem zwycięzców. Ten zabieg formalny — opowieść językiem urzędowego donosiciela o „przewrocie w kulturze” — powtórzył Herbert w utworze „Cernunnos”:

„Nowi bogowie szli za armią rzymską w przyzwoitej odległości, tak aby kolebanie bioder Wenery i niepohamowane wybuchy śmiechu Bachusa nie wydawały się zbyt niestosowne wobec ciepłych jeszcze popiołów i ciał barbarzyńskich bohaterów uroczyście grzebanych przez żuki i mrówki.

Starzy bogowie przyglądali się zza drzew wkraczaniu nowych bez sympatii, ale z podziwem. Blade, nie owłosione ciała wydawały się słabe, lecz pociągające.

Mimo trudności językowych doszło do spotkania na szczycie. Po kilku konferencjach podzielono sfery wpływów. Starzy bogowie zadowolili się drugorzędnymi stanowiskami na prowincji. Wszelako z okazji większych uroczystości rzeźbiono ich w kamieniu (syпки piaskowiec) razem z bogami zdobywców.

Prawdziwy cień na kolaborację rzucił Cernunnos. Przyjął wprawdzie za namową kolegów łaćnińską końcówkę, ale jego rozłożyste i stale rosnące rogi nie dały się przysłonić żadnym wieńcem.

Najczęściej przeto rezydował w ostępach leśnych. Widziano go często na mrocznych polanach. W jednej ręce trzyma węża o głowie jagnięcia, drugą kreśli w powietrzu niezrozumiałe zupełnie znaki”.

W tym z kolei zapisie donosiciela-memuarysty rolę Hermesa-samobójcy pełni Cernunnos, barbarzyński bóg niezdolny do kolaboracji ze zwycięzcami. Przegrał — kryje się po lasach, nikt już

nie rozumie mowy jego znaków. Ale istnieje. Tak jak istnieją w świecie zwycięzców ci, którzy przegrali.

Jednym z nich jest Zbigniew Herbert. Posługuje się mową ironii, „tą chlubą niewolnych” (Miłosz), przywołuje antyk — świat wartości wyklętych, strzeże grobów, rozmawia z poległymi w lesie Ardeńskim i nie ma żadnej nadziei na to, że los może się odmienić. Wobec zwycięskich barbarzyńców jest obrońcą antyku, wobec Zachodu wciela się w postać barbarzyńskiego *l'intransigent* (nieustępliwy).

Koniec świata antyku jest końcem jego świata. O tym traktuje wiersz „Do Marka Aurelego”. Wszakże w obrębie tego świata jego ojczyzna jest nosicielką doświadczenia szczególnego. O tym traktuje wiersz „Wawel”.

Oto pierwszy z tych wierszy: świat podbijany przez barbarzyńców („barbarzyński okrzyk trwogi”) żerujących na „odwiecznym ciemnym lęku”, co staje się instrumentem dzieła destrukcji „kruchej ludzkiego ładu” Marka Aureliusza, Henryka Elzenberga i łacińskiej cywilizacji. Barbarzyński potop zwycięży („to przypływ zburzy twe litery”) i zniszczy świat kultury europejskiej („runą świata ściany cztery”). Cóż pozostaje jej przegranym dzieciom? „W popioły chuchać macie eter / gryźć palce szukać próżnych słów / i wlec za sobą cień poległych”. Znikąd pomocy: „zdradzi nas wszechświat astronomia / rachunek gwiazd i mądrość traw”. Idzie już tylko o wybór śmierci: „więc lepiej Marku spokój zdejm / i ponad ciemność podaj rękę / niech drży gdy bije w zmysłów pięć / jak w wątłą lirę ślepy wszechświat”. Obrońcom „łaciny” pozostaje już tak niewielki kruchy gest ludzkiej solidarności — akt ostatniej niezgody.

Wszelako kształt tej solidarności jest — musi być — równie osobliwy, jak kształt tej łaciny. Czy Wawel może być Akropolem?

*Patriotyczną kataraktę na oczach miał ten  
co cię zrównał z gmachem marmurów*

*Perykleście  
smuć się musi twa kolumna  
i prosty cień dostojność głowic  
harmonia ramion uniesionych*

*a tu ceglany śmieszny zgiełek  
królewskie jabłko renesansu  
na austriackich koszar tle*

*i tylko może w noc w gorączce  
w obłędzie w żalu barbarzyńca  
co się od krzyży i szubienic  
dowiedział równowagi brył*

*i tylko może pod księżycem  
kiedy anioły od ołtarza  
odchodzą by tratować sny*

*i tylko wtedy*  
— Akropolis

*Akropol dla wydziedziczonych  
i łaska łaska dla kłamiących*

(„Wawel”)

Dedykowany Jerzemu Turowiczowi, „Wawel” jest charakterystyką polskiego kształtu „łaciny”. Krzyże i szubienice wyznaczały tu pojęcie harmonii antycznej, a Cernunnos, symbol oporu, z barbarzyńską konsekwencją ofiarowywał będzie mit Akropolu zwyciężonym i sponiewieranym. Wbrew rozsądkowi, wbrew rzeczywistości, wbrew prawom Historii zadekretowanym przez zwycięzców. Barbarzyńca, „co się od krzyżów i szubienic / dowiedział równowagi brył” bronić będzie łaciny skazanej przez zwycięzców na „śmietnik Historii”.

Zwycięzcy lubili opowiadać „przypowieść o rosyjskich emigrantach”, o degrengoladzie „białych” wygnańców, którzy najpierw „chodzili na ziemiańskie bale / szeptano wokół — co za perły”, a:

*po paru latach mówiono  
tylko o trojgu  
o tym który zwariował  
o tym który się powiesił  
i o tej do której chodzili mężczyźni*

*reszta żyła na uboczu  
i wolno obracała się w proch.*

Autor tej relacji, Herbert, tak ją kończy:

*Tę przypowieść opowiada Mikołaj  
który rozumie konieczność dziejów  
aby mnie przerazić to znaczy przekonać*

(„Przypowieść o rosyjskich emigrantach”)

Komentarz jest odrzuceniem płaszczyzny sporu. Argument poparty szantażem przestaje być argumentem. Ze strachem dyskutować niepodobna — trzeba go opanować, bo inaczej strach opanuje ciebie. Trzeba uprzedzić strach, wybić mu zęby. Trzeba powiedzieć: tak, jestem wśród tych, co przegrali. W języku antycznej kultury znaczy to: jestem z Troi, miasta podbitego przez wrogów.

*O Trojo Trojo  
archeolog  
przez palce twój przesypie popiół  
a pożar większy od Iliady  
na siedem strun —*

*za mało strun  
potrzebny chór  
lamentów morze  
i łoskot gór  
kamienny deszcz  
(...)*

(„O Troi”)

Mieszkaniec podbitej Troi był wiernym jej Hektorem. Nie miał złudzeń co do natury Przodującego Ustroju, zaprowadzanego przez zwycięzców. Nie miał żadnej pokusy sporu ideologicznego z nimi.

(...)

*Kto wie gdyby nas lepiej i piękniej kuszono  
stano kobiety różowe płaskie jak opłatek  
lub fantastyczne twory z obrazów Hieronima Boscha  
lecz piekło było w tym czasie jakie  
mokry dół załtek morderców barak  
nazwany pałacem sprawiedliwości  
samogonny Mefisto w leninowskiej kurtce  
posyłał w teren wnuczeta Aurory  
chłopców o twarzach ziemniaczanych  
bardzo brzydkie dziewczyny o czerwonych rękach*

*Zaiste ich retoryka była aż nazbyt parciana  
(Marek Tulliusz obracał się w grobie)  
tańcuchy tautologii parę pojęć jak cepy  
dialektyka oprawców żadnej dystynkcji w rozumowaniu  
składnia pozbawiona urody koniunktywu  
(...)*

(„Potęga smaku”)

Nie miał również — inaczej niż np. Arthur Koestler — żadnej pokusy interpretacji procesów stalinowskich w kategoriach ideologicznego sporu. Pisał:

*Kiedy staje przed nimi  
w cieniu podejrzenia  
jest jeszcze cały  
z materii światła*

*eony jego włosów  
spięte są w pukiel  
niewinności*

*po pierwszym pytaniu  
policzki nabiegają krwią*

*krwew rozprowadzają  
narzędzia i interrogacja  
żelazem trzcina  
wolnym ogniem  
określa się granice  
jego ciała*

*uderzenie w plecy  
utrwała kręgosłup  
między kałuzą a obtokiem*

*po kilku nocach  
dzieło jest skończone  
skórzane gardło anioła  
pełne jest lepkiej ugody*

*jakże piękna jest chwila  
gdy pada na kolana  
wcielony w winę  
nasycony treścią*

*język waha się  
między wybitymi  
a wyznaniem  
wieszają go głową w dół*

*z włosów anioła  
ściekają krople wosku  
i tworzą na podłodze  
prostą przepowiednię*

(„Przesłuchanie anioła”)

Tak, Zbigniew Herbert nie miał złudzeń. W prologu do „Jaskini filozofów” chór, podzielony na głosy, wygłasza monolog-przepowiednię:

*I my, którzy sztukę godzenia się na wszystko doprowadziliśmy do  
[szczytu, także z tym musimy się pogodzić.  
Okolicznością łagodzącą jest fakt, że sztuka pochodzi z czasów  
[zamierzchłych.*

*Wtedy technika przesłuchań stała na niskim poziomie  
Sokrates dopiero wynalazł dialektykę,  
Praktyczny podręcznik dla sędziów śledczych został opracowany  
[znacznie później.*

*Dlatego oskarżony tak długo broił.  
A głowa jego, wyrzucona na wysoki brzeg czasów, ma zamazane  
[rysy.*

*My nie zrobimy potomnym takiego kawału  
Wszyscy wystąpi na tamtą stronę będą mieli do szyi przytwier-  
[dzony kamień z paragrafem, na który umarli.  
Wszystkie inne materiały zostaną zniszczone, aby nie stanowiły  
[pokusy dla psychologów.*

*Paru niewinnych i nieomylnych zabalsamujemy. Dzieła ich też  
[zabalsamujemy i będziemy pokazywać mottochowi.  
[Całkiem bezpłatnie.*

*W ten sposób ludzkość wyzwolona będzie od dramatów i od  
[sztuki, która rodzi się z wątpienia.  
I zostanie tylko historia dowiedziona sposobem geometrycznym.*

W tym momencie „odgłos przypominający świst bata”.  
Po czym chór mówi: „Zaczynamy”.

To też jest prosta przepowiednia: taki los, tu i teraz, w tym czasie i na tej ziemi, każdemu może być dany. O tym wciąż trzeba pamiętać, nawet odwiedzając „Gabinet śmiechu” w wesołym miasteczku. Bo cóż tam poeta zobaczył:

„Huśtawka, diabelski młyn, strzelnica — to rozrywki ludzi



pospolitych. Umysł subtelny, natury refleksyjnej woła gabinet śmiechu. Jego celem wzniosłym i ukrytym jest przygotować nas na najgorsze. Oto w jednym lustrze pokazuje ciało nasze zdjęte z koła — nieforemny worek połamanych kości, w innym ciało nasze zdjęte z haka po długotrwałej suchej destylacji powietrza.

Odwiedzajcie gabinet śmiechu. Odwiedzajcie gabinet śmiechu. To przedśmiatek życia, przedpokój tortury”.

Być przygotowanym na najgorsze... To tekst — przestroga. To także akt zgody na cierpienie i akt niezgody na zaprzaczenie. Herbert oswaja cierpienie, przyswaja je świadomości — w tej operacji zdaje się dostrzegać jedyny skuteczny środek obrony przed paraliżującym strachem. Uczynić z cierpienia normę, to odebrać mu złowrogą siłę. I oto z jego wierszy wyłania się świat, którego ramy wyznacza cierpienie bliźnich i okrucieństwo oprawców. Od tej reguły nie ma ucieczki, ale wiedza o jej funkcjonowaniu może być źródłem siły. Henryk Elzenberg zanotował w swym dzienniku:

„Cierpienie to rzecz niebezpieczna. Grozi życiu obniżeniem, stłumieniem, zacieśnieniem, skurczeniem, zanikiem. Niebezpieczeństwem jest również wytwarzanie sobie światopoglądu pod dyktando swego cierpienia; przeciw temu trzeba się bronić.

Przyjęte jednak rozumnie i znoszone bez załamania, wnosi cierpienie w życie człowieka rzeczy bezcenne. Pierwsza to — przez osobiste przeżycie i zrozumienie — współczucie dla innych cierpiących. (...) Druga: cierpienie uczy odróżniać rzeczy istotne od nieistotnych, blichtr i błagę od treści rzetelnej. W sobie, w innych ludziach, w kulturze. Trzecia to skurczenie w człowieku zarozumiałości i pychy.

Czwarty dar cierpienia to rozszerzenie horyzontu, bardziej wszechstronne wniknięcie w to, czym jest życie i czym są żyjące istoty. Uczymy się widzieć świat z innej perspektywy niż tej, kiedy się nam żyło spokojnie; zmienione potrzeby sprawiają, że inne są też spostrzeżenia; pociągają za sobą przeżycia sposoby działania, wysiłki, o których by się przedtem nie pomyślało. To w zakresie naszym własnym; ale ponadto: cierpienie to przecież zjawisko ponad wszelką miarę rozpowszechnione; zaznać go, to poznać coś, co się później będzie odnajdywać na każdym kroku. A przy tym jest to zjawisko dla każdego żyjącego, w ogromnej mierze, wyznaczające jego zachowanie się: unikanie cierpienia i reakcja na nie to przecież połowa zabiegów, na których schodzi mu czas jego żywota. Kto zaznał cierpienia, ten te zabiegi rozumie dużo lepiej: wnika w motywy, wczuwa się od wewnątrz w

impulsy. I w tym sensie można powiedzieć, że cierpienie jest szkołą mądrości”.

Szczególnie — dodajmy — szkołą mądrości dla tych, którzy przegrali.

Czy antyk, kultura zwyciężonych, może być repliką na cierpienie; czy może być źródłem siły? Spoglądając wstecz, konfrontując świat antyczny z własnym, Herbert pisał:

(...)  
*Wyławiam teraz tylko  
słone strzaskane torsy*

*Apollo śni się po nocach  
z twarzą poległego Persa*

*mylne są wróżby poezji  
wszystko było inaczej*

*inny był pożar poematu  
inny był pożar miasta  
Bohaterowie nie wrócili z wyprawy  
Nie było bohaterów  
ocaleli niegodni*

*szukam posągu  
zatopionego w młodości*

*pozostał tylko pusty cokół —  
ślad dłoni szukającej kształtu*

(„Do Apollina”)

Pozostał tylko pusty cokół... Ujawniona prawda jest przerażająca, a w jej drażnieniu poeta bywa uporczywy aż do autookrucieństwa. To także element strategii: destrukcja świata mitów kultury jest destrukcją własnych azylów duchowych. Wznoszeniu Akropolów dla wydziedziczonych towarzyszy ich demaskacja — dla prawdy. Herbert odrzuca azyle z własnej woli. Jakby lękał się, że gdy skonfiskują mu je inni, będzie bezbronny, zaś czyniąc to sam — wzrasta odszukaną siłą. Posuwa się do ostateczności. Replikując na codzienne pogrożki samogonnego Mefista, powiada: tak, zostaliśmy już doprowadzeni pod mur; teraz czekamy na egzekucję:

„Stoimy pod murem. Zdjęto nam młodość jak koszulę ska-  
zańcom. Czekamy. Zanim tłusta kula usiądzie na karku, mija  
dziesięć, dwadzieścia lat. Mur jest wysoki i mocny. Za murem  
jest drzewo i gwiazda. Drzewo podważa mur korzeniami. Gwiaz-  
da nagryza kamień jak mysz. Za sto, dwieście lat będzie już  
małe okienko”.

(„M u r”)

Taki jest świat Zbigniewa Herberta.

### III

W tym świecie żyją również poeci.

(...)

— *jak wyprowadzić*  
*z ruin ludzi*  
*jak wyprowadzić*  
*z wierszy chór —*

*myśli poeta doskonały*  
*jak soli słup*  
*dostojnie niemy*  
— *Pieśń ujdzie cało*  
*Uszła cało*

*płomiennym skrzydłem*  
*w czyste niebo*

*Nad ruinami wschodzi księżyc*  
*O Trojo Trojo*  
*Milczy miasto*

*Poeta walczy z własnym cieniem*  
*Poeta krzyczy jak ptak w pustce*

*Księżyc powtarza swój krajobraz*  
*łagodny metal w zgorzelisku*

(...)

(„O Troi”)

„Poeta milczy / pada deszcz” — tak kończy się wiersz o Troi

i o poecie w epoce Apokalipsy. Kim jest ten poeta? „Wygna-  
niec kształtów oczywistych / głoszę swój taniec nieruchomy”  
(„Architektura”) — oto określenie jego statusu. Taka jest rze-  
czywistość. A marzenie? Marzeniem jest Arijon, helleński Ca-  
ruso, „koncertmistrz antycznego świata”. Śpiewa „tyranom i  
poganiaczom mułów”. „Tyranom czernieją na głowach korony /  
a sprzedawcy placków z cebulą / po raz pierwszy myślą się w  
rachubach na swoją niekorzyść”. O czym śpiewa Arijon? „Tego  
dokładnie nikt nie wie / najważniejsze jest to że przywraca światu  
harmonię” („Arijon”).

Arijon jest poetą, bowiem „poeta naśladuje głos ptaków”,  
a „śpiewając wierzy głęboko / że przyspiesza wschód słońca”.  
„Czym byłby świat — pyta Herbert — gdyby nie napełniała  
go / nieustanna krzątania poety / ptaków i kamieni” („Przy-  
powieść”).

Poeci wszakże bywają różni. Także Przodujący Ustrój hołubi  
poetów-inżynierów dusz. „Belzebub kocha sztukę. Chełpi się, że  
jego chóry, jego poeci i jego malarz przewyższają już prawie  
niebieskich. Kto ma lepszą sztukę, ma lepszy rząd — to jasne.  
Niedługo będą się mogli zmierzyć na Festiwalu Dwu Światów.  
I wtedy zobaczymy, co zostanie z Dantego, Fra Angelico i Bacha.

Belzebub popiera sztukę. Zapewnia swym artystom spokój,  
dobre wyżywienie i absolutną izolację od piekielnego życia” („Co  
myśli Pan Cogito o piekle”).

Toteż i artyści popierają Belzebuba. Oto ich portret:

(...)

*na koniec oni*

*autorzy płócien podzielonych na prawą stronę i lewą stronę*

*którzy znają tylko dwa kolory*

*kolor tak i kolor nie*

*wynalazcy prostych symbolów*

*otwartych dłoni i zaciśniętych pięści*

*śpiewu i płaczu*

*ptaków i pocisków*

*uśmiechów i szczyrzenia zębów*

*którzy mówią*

*potem kiedy zamieszkamy w owocach*

*będziemy używali subtelnego koloru „może”*

*i „pod pewnym warunkiem” o perłowym połysku*

*ale teraz ćwiczymy dwa chóry*

*i na pustą scenę*

*pod oślepiające światło  
rzucamy ciebie  
z okrzykiem: wybieraj póki czas  
wybieraj na co czekasz  
wybieraj*

*I aby ci pomóc nieznacznie popychamy języczek wagi  
(„Trzy studia na temat realizmu”)*

Na pustej scenie, pod oślepiającym światłem Herbert dokonuje wyboru:

*(...)  
ja mały ptaszek znam swą wartość znam  
nie jestem jak ów świerszcz co pod kamieniem siedzi  
swobodny lekkomyślny bo ma tylko łuskę  
która wkrótce zostanie — pusty pomnik po nim  
a my mamy historię i ruiny gwiazd  
i domy bardzo mądrze wyłożone puchem  
i szkołę śpiewu która jak ufamy  
przetrwa gwiazd roje nieme i niemuzyczne  
— gdy zginie ptak to zaraz w niebie dziura  
przez którą sypie szary proch na zieleń ziemi —  
(...)*

Wiersz kończy się przesłaniem do potomnego:

*(...)  
ty co pod drzewem czytasz książkę  
i pośród ludzi jesteś ptakiem*

*tobie to pióro — jeśli możesz  
elegię napisz na mój zgon*

*pióro zachowaj w nim kolory  
strachu miłości i rozpacz  
może napiszesz nim poemat  
o doli ptaków w srogich czasach*

*(„Mały ptaszek”)*

Srogie czasy rodzą kapitulacje, choć „ofiara skrzydeł naprzód boli”. Kapitulacje rodzą ornamentatorów, pupilów Belzebuba.

*Pochwaleni niech będą ornamentatorzy  
ozdabiacze i sztukatorzy  
twórcy aniołków fruujących*

*i ci także którzy robią wstążki  
a na wstążkach napisy krzepiące  
(pod wstążkami wiatr od wyschłych rzek)*

*a także skrzypkowie i fleciści  
którzy dbają aby ton był czysty  
oni strzegą arii Bacha na strunie G*

*no i ma się rozumieć poeci  
bowiem stają w obronie dzieci  
mówią uśmiech dłonie i oczy*

*oni mają rację nie jest sprawą sztuki  
prawdy szukać to są sprawy nauki  
sztukatorzy czuwają nad ciepłem serca*

*żeby była nad bramą mozaika  
gołąb gałąź albo słońce w kwiatach  
(ktoś za bramą ciągnie symbole za sznurek)*

*są już takie słowa kolory i rytmy  
co się śmieją i płaczą jak żywe  
sztukatorzy przechowują te słowa*

*że się pędzi przy tym ciemne młyny  
my się o to sztukatorzy nie martwimy  
my jesteśmy partią życia i radości*

*na ulicy radosnych pochodów  
szary mur więzienny w oczy kłuje  
brzydka plama w krajobrazie idealnym*

*sztukatorów co najlepszych wezwali  
całą noc sztukatorzy malowali  
nawet plecy tych co siedzą z tamtej strony na różowo*

(„Ornamentatorzy”)

Tym pamfletem szydęrczym na Gałczyńskiego wprowadził

Herbert czytelnika w centrum problemu kultury totalitarnej. Zlikwidowano już pluralizm, niezależność, wielowątkowość. Kultura została zredukowana do instrumentu władzy. Pozostał jeden już tylko oficjalny kanon.

*Odeszły pasterskie fletnie  
złoto niedzielnych trąbek  
zielone echa waltornie  
i skrzypce także odeszły —*

*pozostał tylko bęben  
i bęben gra nam dalej  
odświętny marsz żałobny marsz  
proste uczucia idą w takt  
na sztywnych nogach  
dobosz gra  
i jedna myśl i słowo jedno  
gdy bęben wzywa stromą przepaść*

*niesiemy kłosa lub nagrobek  
co mądry nam wyróży bęben  
gdy w skórę bruków bije krok  
ten hardy krok co świat przemieni  
na pochód i na okrzyk jeden*

*nareszcie idzie ludzkość cała  
nareszcie każdy trafił w krok  
cieleca skóra pałki duże  
rozbiły wieże samotności  
i strutowane jest milczenie  
a śmierć niestraszna kiedy tłumna*

*Kolumna prochu nad pochodem  
rozstąpi się postuszne morze  
zejdziemy nisko do czeluści  
do pustych piekieł oraz wyżej  
nieba sprawdzamy nieprawdziwość  
i wyzwolony od przestraszów  
w piasek się zmieni cały pochód  
niesiony przez szyderczy wiatr*

*i tak ostatnie echo przejdzie  
po niepostuszej pleśni ziemi*

*zostanie tylko bęben bęben  
dyktator muzyk rozgromionych*

(„Pieśń o bębnie”)

Tak brzmi diagnoza. Przyszłością tego ruchu, który w triumfalnym i rozwrzeszczanym pochodzie podbija świat, rozbija wieże z kości słoniowej, odbiera prawo do samotności, unicestwia niebo i unieważnia piekło — jest kupa lotnego piasku, nicość. Totalitarny bęben ogłusza, zatruwa i wyniszcza wszystko. Także poetów.

Przyjrzyjmy się kurze:

„Kura jest najlepszym przykładem, do czego doprowadza bliskie współzycie z ludźmi. Zatraciła zupełnie ptasią lekkość i wdzięk. Ogon sterczy nad wydatnym kuprem jak za duży kapelusz w złym guście. Jej rzadkie chwile uniesienia, kiedy staje na jednej nodze i zakleja okrągłe oczy błoniastymi powiekami, są wstrząsająco obrzydliwe. I w dodatku ta parodia śpiewu — poderżnięte suplikacje nad rzeczą niewypowiedzianie śmieszna: okrągłym, białym, umazanym jajkiem.

Kura przypomina niektórych poetów”.

(„K u r a”)

A oto klasyk:

„Wielkie drewniane ucho zatkane wata i nudziarstwami Cycerona. Wspaniały stylistą — mówią wszyscy. Nikt już dzisiaj takich długich zdań nie pisze. I co za erudycja. W kamieniu nawet umie czytać. Tylko nigdy nie domyśli się, że żyłki marmuru w termach Dioklecjana to są pęknięte naczynia krwionośne niewolników z kamieniołomów”.

(„K l a s y k”)

Po doświadczeniu „Bębna” i spotkaniu z „Klasykiem” Herbert wie już, że nawet jego ukochany antyk może być formułą kłamstwa. Bowiem w epoce „bębna” i barbarzyńców prawdą kultury jest wiedza o bólu. Bez tej wiedzy poezja staje się kłamliwym ornamentem na więziennym murze.

Dlatego kulturę poddać należy testowi bólu. Dlatego, wbrew klasykowi, który nie wie nic o krwi niewolników z kamieniołomów, Herbert pochylił się nad mitem o Marsjaszu.

Marsjasz jest dlań symbolem sztuki udreżonej; jej nieodłącznym doświadczeniem jest ból i cierpienie. Marsjasz stanął do po-



jedyńku z Apollinem o palmę pierwszego śpiewaka. Drogo za to zapłacił — przegrany bóg ukarał go okrutną torturą.

Apollo z wiersza Herberta to okrutne bóstwo wcielające się w kolejnych możliwych kolejnych epok, to bóg o „nerwach z tworzyw sztucznych”, bóg zły, zawistny i głuchy na krzyk torturowanego. A krzyk ten jest tak straszny, że „pada skamieniały słowik” i siwieje drzewo, do którego przywiązano Marsjasza.

Marsjasz ukarany został za grzech odwieczny artystów, grzech Ikara: niebezpiecznie jest zbyt pięknie śpiewać i zbyt wysoko latać. Za los Marsjasza Herbert oskarża niebiosa, lży antycznego boga, bluźni:

(...)  
*zwirową aleję  
wysadzaną bukszpanem  
odchodzi zwycięzca*

*zastanawiając się  
czy z wycia Marsjasza  
nie powstanie czasem  
nowa gałąź  
sztuki — powiedzmy — konkretnej*

(„Apollo i Marsjasz”)

Wszelako bluźnić bogu antycznemu może tylko ten, kto weń wierzy. I oto do tegoż Apolla śle poeta modlitwę:

*Usłysz nas Srebrnotuki przez zamęt liści i strzał  
przez bitwy uparte milczenie i mocne wołanie martwych  
znów jesień Srebrnotuki drzewa i ludzie odchodzą  
śpimy w dusznych namiotach pod niebem zmiętym od przekleństw  
w pyle nurzamy twarze w pocie myjemy ciała  
(...)*

*nie o wieniec kamienny Troi prosimy Cię Panie  
nie o pióropusz sławy białe kobiety i złoto  
lecz jeśli możesz przywróć splamionym twarzom dobroć  
i włóż prostotę do rąk tak jak włożyłeś żelazo —  
obłoki zsyłaj Apollo obłoki zsyłaj obłoki*

(„Fragment”)

Tak brzmi modlitwa o normalność. O to samo zwracał się w „Prośbie”:

(...)

*a potem po skończonej walce  
pozwól nam rozprostować palce  
choćby już była tylko pustka*

*gdy w dłoń otwartą przyjmiesz klęskę  
gdy czaszkę w czułe palce weźmiesz  
zacznie się wtedy jeszcze raz*

*otwartych dłoni wielka sprawa  
po strunach podróż po zabawach  
ostatnie ziarno ocalenia*

(„Prośba”)

Jakież to ziarno?

#### IV

*Oto jest moje piękno niepoważne  
a kruche jest jak włosy i jak szkło*

*układam swe przyrządy śpiewne  
na brzegu stolic przeddzień grozy*

*tu mały kubek upojenia  
i struna jak zabity świerszcz  
lutnia nie większa niż dłoń dziecka  
fałszywy cień zmyślony śmiech*

*oto szkatułka barw zachodu  
puzderko pieszczot też flakonik  
muzyki pukiel i młodości*

*to będę niósł jak chleb i miłość  
mijając ciałem tor żelaza*

*oto jest moje kruche piękno  
układam swe przyrządy śpiewne  
na brzegu mórz na lotnym piasku*

*a fala widząc moją płochość  
kamień podaje zamiast kwiatu*

(„Niepoprawność”)

Oto ziarna Herberta: „muzyki pukiel i młodości”. Fala atakująca „brzeg stolic przeddzień grozy” to znany nam już „przyływ” barbarzyństwa, burzący łacińskie litery Marka Aurelego. Zburzy także „przyrządy śpiewne” poety — fala barbarzyństwa nie toleruje „kruchego piękna” i „kamień podaje zamiast kwiatu”. Jak się obronić?

Kto nie chce złożyć „ofiary skrzydeł”, kto nie chce kroczyć w pochodzie w takt bębna i być wśród ciskających kamieniami, ten musi znaleźć porozumienie z kamieniem, zawrzeć z nim przyjaźń, uczynić go kolejnym źródłem swej siły. I oto kamień przestaje być złowrogim „kamieniem”: zostaje pieszczotliwie i zdrobniale nazwany „kamykiem”.

*Kamyk jest stworzeniem  
doskonałym*

*równy samemu sobie  
pilnujący swych granic*

*wypełniony dokładnie  
kamiennym sensem*

*o zapachu który niczego nie przypomina  
niczego nie płoszy nie budzi pożądania*

*jego zapał i chłód  
są słuszne i pełne godności*

*czuję ciężki wyrzut  
kiedy go trzymam w dłoni  
i ciało jego szlachetne  
przenika fałszywe ciepło*

*— Kamyki nie dają się oswoić  
do końca będą na nas patrzeć  
okiem spokojnym bardzo jasnym*

(„Kamyk”)

Komu kamyki nie dają się oswoić? Tym, którzy chcą nimi ciskać. Kamyki nie pozwalają się dowolnie modelować, strzegą swej natury, zachowują chłodną godność — mogą być wzorem dla nas, ludzi, „którzy sztukę godzenia się na wszystko doprowadzili-

my do szczytu”. Herbert zazdrości kamykom umiejętności spoglądania „okiem spokojnym bardzo jasnym”. W świat natury i martwych przedmiotów poeta podążył, by szukać odpowiedzi na najbardziej ludzkie z pytań. Podążył tam — opowiada w „Rekonstrukcji poety” — gdy stracił wzrok i wiarę. „Wdrapałem się na ołtarz i dotknąłem twarzy boga. Usta miał zamknięte jak muszla. Był ślepy jak ja”. To był moment przełomowy. Potem — opowiada — „bardzo ostrożnie zacząłem badać świat. Wszystko, co dotychczas o nim wiedziałem, było nieprzydatne. Jak dekoracje z innej sztuki. Trzeba było poznawać na nowo, zaczynając nie od Troi, nie od Achillesa, ale od sandału, od sprzączki przy sandale, od kamyka potrąconego niedbale na drodze” („Rekonstrukcja poety”).

Tak powstał wiersz o kamyku. Tak powstał cały świat na nowo stworzony (por. „Kłopoty małego stwórcy”), na własną modłę wykreowany. Bowiem — wyjaśnia Herbert — „Przedmioty martwe są zawsze w porządku i nic im, niestety, nie można zarzucić. Nie udało mi się nigdy zauważyć krzesła, które przestępuje z nogi na nogę, ani łóżka, które staje dęba. Także stoły, nawet kiedy są zmęczone, nie odważą się przykłęknąć. Podejrzewam, że przedmioty robią to ze względów wychowawczych, aby wciąż nam wypominać naszą niestałość” („Przedmioty”).

Oto stołek, przedmiot zazwyczaj niezauważalny, nie skłaniający do zadumy nad naturą epoki. W epoce totalitarnej wszakże, naczyniowej zdradami i zaprzaństwami, nawet ów zwykły stołek nabiera utajonych sensów.

*W końcu nie można ukryć tej miłości  
mały czworonóg na dębowych nogach  
o skórze szorstkiej i chłodnej nad podziw  
przedmiot codzienny bez oczu lecz z twarzą  
na której zmarszczki sąd dojrzały znaczą  
szary osiołek najcierpliwszy z ostów  
sierść mu wypadła od zbyt długich postów  
i tylko kępkę szczeciny drewnianej  
czują pod ręką gdy gładzą go rano  
— wiesz mój kochany byli szarlatani  
którzy mówili: kłamie ręka kłamie  
oko kiedy dotykam kształtów co są pustką —*

*to byli ludzie źli zawistni rzeczom  
świat chcieli złowić na wędkę zaprzeczeń*

*jak ci wyrazić moją wdzięczność podziw  
przychodzisz zawsze na wołanie oczu  
nieruchomością wielką tłumacząc na migi  
biednemu rozumowi: jesteśmy prawdziwi —  
na koniec wierność rzeczy otwiera nam oczy*

(„Stołek”)

Tak brzmi opowieść o destruktorach klasycznej definicji prawdy i chrześcijańskiego kanonu wartości, o szarlatanach-politrukach, o złych ludziach — kapłanach Nowej Wiary Dialektycznej, którzy „świat chcieli złować na wędkę zaprzeczeń”, o zawistnikach, co chcieli skonfiskować ludziom i rzeczom nie tylko ciało, ale i tajemnicę istnienia. Rzeczy stawiały opór skuteczniej niż ludzie.

Na przykład taka drewniana kostka. „Drewnianą kostkę można opisać tylko z zewnątrz. Jesteśmy zatem skazani na wieczną niewiedzę o jej istocie. Nawet jeśli ją szybko przepołowić, natychmiast jej wnętrze staje się ścianą i następuje błyskawiczna przemiana tajemnicy w skórę” („Drewniana kostka”).

Rzeczy bronią tajemnicy swego istnienia. Trzeba uszanować ich suwerenność i ich milczenie. Bowiem milczenie rzeczy, tak jak milczenie człowieka i społeczności, nie oznacza ani śmierci, ani niewolniczej aprobaty. Milczenie bywa nader wieloznaczne, trzeba tylko opanować sztukę słuchania milczących. Dość pomyśleć, by wiedzieć, że ze stołem trzeba postępować ostrożnie. „Nie wolno także ocierać się o stołowe nogi, gdyż są one bardzo wrażliwe („Ostrożnie ze stołem”).

Inaczej krzesła. „Któż pomyślał, że ciepła szyja stanie się poręczą, a nogi skore do ucieczki i radości zeszytwnieją w cztery proste szrudła. Dawniej krzesła były to piękne, krwiożercze zwierzęta. Zbyt łatwo jednak dały się oswoić i teraz jest to najpodlejszy gatunek czworonogów. Straciły upór i odwagę. Są tylko cierpliwe. Nikogo nie stratowały, nikogo nie poniosły. Na pewno mają świadomość zmarnowanego życia. Rozpacz krzesel objawia się w skrzypieniu” („Krzesła”).

Zaś „skrzypce są nagie. Mają chude ramionka. Niezdarnie chcą się nimi zasłonić. Płaczą ze wstydu i zimna. Dlatego. A nie jak twierdzą recenzenci muzyczni, żeby było piękniej” („Skrzypce”).

Kawiarnie nocą to „upiorny szlachtuz sprzętów. Bestialsko pomordowane krzesła i stoliki leżą na grzbietach z nogami wyciągniętymi w wapienne niebo” („Kawiarnia”).

Drzewa boją się ludzi. Na widok drwala „zielone włosy drzew podnoszą się z przerażenia” („Drwał”).

W ogrodach, o których śnił poeta w czas „srebrnego larum gwiazd”, których szukał w czas „grzmotu fal”, też różnie bywa. „Ogród botaniczny” to jest pensjonat roślin, prowadzony bardzo surowo jak szkoły klasztorne. Trawy, drzewa i kwiaty rosną przyzwyczajone bez żadnej vegetacyjnej bujności, wystrzegając się niedozwolonych pieszczoł z trzmielami. Są wciąż skrępowane swoją łacińską godnością i tym, że muszą być przykładem. „Nawet róże sznurują usta” („Ogród botaniczny”).

Całkiem inaczej jest w „zimowym ogrodzie”. Ten, oglądany przez okno, w które „zastukał pazur mrozu”, przypomina „kruchy ludzki ład” atakowany przez barbarzyński „przyływ”. Wszystko zastyga.

(...)

*drzewa dla zmysłów nieruchome  
wirują szybko w lekkim szkle  
i tylko pazur nieostrożny  
objaśnia lot zerwanym szronem*

*nie ma już ziemi lepkich łap  
które się grzebią w trupach kwiatów  
za chmurę śniegu uniesieni  
na liniach lekkich grawitacji  
i tylko chwilę czarne pnie  
i tylko głuchy jak bas konar  
nim je ogłuszył mrozu ogień*

*z rombów trójkątów ostrostupów  
na przekór — niespokojnej linii  
włosów przez które cieknie krew  
jedwabiem w nierozumnych łańdach  
zielonej trumnie dla motyla —  
z rombów trójkątów ostrostupów  
odbudowano mądry ogród  
diamentem spina sieć płaszczyzna  
nie będzie wołał już owadów  
na ucztę miodu i trucizny.*

Jak przyjąć inwazję mrozu? Herbert ma stałą odpowiedź:

(...)

*powitać mróz gdy tobie ptakom*

wyjmuje wprawnym dziobem serce  
i rozkazuje iść po rzecze  
z czarnego pnia z ciężkiego ciała  
wyrasta gałąź biały oddech  
by marzeń wszystkich naszych atom  
z powietrzem znowu się połączył

(„Zimowy ogród”)

Cierpienia roślin, poddanych doświadczeniu mrozu, korespondują z cierpieniem prześcieradeł, poddanych doświadczeniu magła:

„Inkwizytorzy są wśród nas. Żyją w suterenach wielkich kamienic i tylko napis MAGIEL TUTAJ zdradza ich obecność.

Stoły o napiętych brązowych mięśniach, potężne walce, miazdzące wolno, ale dokładnie, koło napędowe, które nie zna litości — czekają na nas.

Prześcieradła, które wynoszą z magła, są jak puste ciała czarownic i heretyków” („M a g i e l”).

Także ryby mają swoich inkwizytorów. „Nie można wyobrazić sobie snu ryb. Nawet w najciemniejszym kącie stawu, wśród trzcin, ich spoczynek jest czuwaniem: wiecznie ta sama pozycja i absolutna niemożność powiedzenia o nich: złożyły głowę.

Także ich łzy są jak krzyk w pustce — niepoliczone.

Ryby nie mogą gestykulować swojej rozpacz. To usprawiedliwia tępy nóż, który skacze po grzbiecie zdzierając cekiny łusek” („R y b y”).

Ryby cierpią bezgłośnie i nie potrafią się bronić — jak pewni ludzie i pewne narody. Za to osa bronić się będzie do ostatka:

„Kiedy jednym ruchem skoszono ze stołu kwietny obrus, miód i owoce, rzuciła się do odlotu. Uwikłana w dławiący dym firanki, brzęczała długo. Wreszcie dotarła do okna. Raz po raz uderzała słabnącym ciałem o zimne zestalone powietrze szyby. W ostatnim uderzeniu skrzydeł drzemała ta sama wiara, że niepokój ciał zdolny jest obudzić wiatr niosący nas ku upragnionym światom” („O s a”).

Stółek i skrzypce, magiel i osa, to tylko niektóre fragmenty wspaniałego świata wykreowanego przez Herberta. Znaleźć w nim można dobroć i okrucieństwo, mądrość i bezsens, honor i

strach. Przyjazna poufałość z tym światem to sposób na uporządkowanie wiedzy o mechanizmach rządzących światem ludzi. Wędrówka Herberta do krainy krzesła, stołów, kamyków, guzików i koni wodnych jest czymś na kształt postulowanej przez Henryka Elzenberga „secesji od rodu ludzkiego”. Bowiem ludzie porzucili wierność, godność i nadzieję, podczas gdy świat nie-ludzi te cnoty zachował. Stołek jest wierny; kamyk — pełen godności. Zaś nadzieja wpisana jest w sam rytm świata natury:

„W najgłębszym momencie przed świtem rozlega się pierwszy głos tępy i ostry zarazem jak uderzenie noża. Potem z minuty na minutę wzmagające się szmery drążą pień nocy.

Wydaje się, że nie ma żadnej nadziei.

To, co walczy o światło, jest śmiertelnie kruche.

I kiedy na horyzoncie ukazuje się okrwawiony przekrój drzewa, nierealnie duży i prawdziwie bolesny, nie zapomnijmy błogosławić cudu” („Ś w i t”).

## V

Herbert pozostanie wszakże wierny swojej strategii samoobronnej zabijania w sobie wszelkiej nadziei, by odebrać broń „łobuzom od Historii”. Po zbudowaniu swego wspaniałego świata, zauważy cierpko:

*Góra naprzeciw pałacu Minosa jest jak grecki teatr  
tragedia oparta plecami o gwałtowny stok  
w rzędach bardzo wonne krzewy ciekawe oliwki  
oklaskują ruinę*

*naprawdę między przyrodą a losem ludzkim  
nie ma istotnego związku  
powiedzenie że trawa szydzi z katastrofy  
jest wymysłem niepocieszonych i chwiejnych*

*osobliwy przypadek: dwie proste równoległe  
nie przecinają się nawet w nieskończoności*

*tylko można tylko o tym uczciwie powiedzieć*

(„Góra naprzeciw pałacu”)



A mimo to — przedmioty obdarzone są cnotą wierności. Po przegranej wojnie zaś najtrudniej właśnie o wierność. Bywa, że gniew karmiony latami prześladowań i cierpienie eksploduje pretencją do siebie i swoich. Chcesz żyć normalnie, więc depreczesz to, co było ci najdroższe — by zapomnieć.

Dlatego sojusznikiem wierności jest pamięć.

(...)  
*żyjąc — pomimo*  
*żyjąc — przeciw*  
*wyrzucam sobie grzech niepamięci*  
(...)

(„Trzy wiersze z pamięci”)

To jest grzech główny: „uścisk zostawiliście jak zbyt czyny sweter / wzrok jak pytanie”, powtarzał sobie poeta. A pamięć tego była w swej istocie wiernością wobec poległych. „Nie dajmy zginąć poległym” — ta myśl powraca z uporczywością obsesji do „strażnika grobów”. Herbert wie, skąd się bierze jego upór; przecież wystarczy spojrzeć na dłonie:

(...)  
*oto linia życia patrzcie przebiega jak strzała*  
*widnokrąg pięciu palców rozjaśniony potokiem*  
*który rwie naprzód obalając przeszkody*  
*i nie ma nic piękniejszego nic potężniejszego*  
*niż to dążenie naprzód*

*jakże bezradna jest przy niej linia wierności*  
*jak okrzyk nocą jak rzeka pustyni*  
*poczęta w piasku i ginąca w piasku*  
(...)

(„Wróżenie”)

Wierność temu, co przegrało, temu co dziś kruche i podeptane, taka wierność jest po prostu bardzo trudna: „aby naprawdę cierpieć, trzeba być wiernym” („Wiatr i róża”).

W chwilach klęsk i cierpienie ratunkiem i oparciem dla wierności bywała religia, naturalny sprzymierzeniec nieszczęśliwych i prześladowanych. Zgodnie stwierdzają to tak różni świadkowie epoki, jak Bonhoeffer i Sołżenicyn, Malewska i Nadieżda Mandelsztam, Jan Strzelecki i Herling-Grudziński. Wedle ich świadectwa, wiara przywracała sens, przynosiła otuchę, obiecywała

zadośćuczynienie. Wiara pozwalała przełamać strach przed śmiercią.

Stosunek Herberta do religii daleki jest od jednoznaczności. Śmierć — wciąż obecna w jego poezji — odarta jest tu z dostojności religijnej obietnicy. Sama w sobie jest bezsensowna. To tylko życie, którego jest okrutnym zwieńczeniem, może jej nadać jakiś sens. Co będzie jednak po śmierci?

*co będzie  
kiedy ręce  
odpadną od wierszy*

*gdy w innych górach  
będę pił suchą wodę*

*powinno to być obojętne  
ale nie jest*

*co stanie się z wierszami  
gdy odejdzie oddech  
i odrzucona zostanie  
łaska głosu*

*czy opuszczę stół  
i zejdę w dolinę  
gdzie huczy  
nowy śmiech  
pod ciemnym lasem*

(„Co będzie”)

Co będzie u wrót tej doliny? Herbertowska wizja Sądu Ostatecznego opowiedziana została językiem radiowego sprawozdawcy:

*Po deszczu gwiazd  
na łące popiołów  
zebrali się wszyscy pod strażą aniołów*

*z ocalałego wzgórza  
można objąć okiem  
całe beczące stado dwunogów*

*naprawdę jest ich niewielu  
doliczając nawet tych którzy przyjdą  
z kronik bajek i żywotów świętych*

*ale dość tych rozważań  
przenieśmy się wzrokiem  
do gardła doliny  
z którego dobywa się krzyk*

*po świście eksplozji  
po świście ciszy  
ten głos bije jak źródło żywej wody*

*jest to jak nam wyjaśniają  
krzyk matek od których odłączają dzieci  
gdyż jak się okazuje  
będziemy zbawieni pojedynczo*

*aniołowie stróże są bezwzględni  
i trzeba przyznać mają ciężką robotę*

*ona prosi  
— schowaj mnie w oku  
w dłoni w ramionach  
zawsze byliśmy razem  
nie możesz mnie teraz opuścić  
kiedy umarłam i potrzebuję czułości*

*starszy anioł  
z uśmiechem tłumaczy nieporozumienie*

*staruszka niesie  
zwłoki kanarka  
(wszystkie zwierzęta umarły trochę wcześniej)  
był taki miły — mówi z płaczem  
wszystko rozumiał  
kiedy powiedziałam —  
głos jej ginie wśród ogólnego wrzasku*

*nawet drwal  
którego trudno posadzić o takie rzeczy  
stare zgarbione chłopisko  
przyciska siekiere do piersi*

— całe życie była moja  
teraz też będzie moja  
żywiła mnie tam  
wyżywi tu  
nikt nie zna prawa  
— powiada —  
nie oddam

ci którzy jak się zdaje  
bez bólu poddali się rozkazom  
idą spuściwszy głowy na znak pojednania  
ale w zaciśniętych pięściach chowają  
strzępy listów wstążki włosy ucięte  
i fotografie  
które jak sądzą naiwnie  
nie zostaną im odebrane

tak to oni wyglądają  
na moment  
przed ostatecznym podziałem  
na zgrzytających zębami  
i śpiewających psalmy

(„U wrót doliny”)

Herbertowska wizja nie jest nazbyt krzepiąca i nie ma w sobie nic z wzniosłości. Przypomina raczej rampę oświęcimską w chwili po przybyciu nowego transportu, w momencie selekcji dokonywanej przez obozowych strażników. Sąd Ostateczny — obietnica wielkiej nadziei dla każdego chrześcijanina — został przez poetę z tej nadziei odarty. Dlaczego?

Ryzykuję odpowiedź, że Herbert boi się, po prostu boi się swą siłę ludzką czerpać z wiary w ponad-ludzki sens swoich czynków; boi się sytuacji dobrze znanej: zwątpienie w realność owego ponadludzkiego wymiaru może spowodować, że utracona wiara ze źródła siły stałaby się źródłem słabości. Dlatego — powtarzając swój duchowo-strategiczny manewr — poeta sam pozbawia się możliwości szukania oparcia w rachubie na Sąd Ostateczny. Dla Herberta warunkiem prawdziwej siły duchowej — także Boskiej — jest wierność wartościom podeptanym dla nich samych. Tak rozumiem herbertowską interpretację dziejów Jezusa.

*Sanhedryn nie sądził w nocy  
czern potrzebna wyobraźni  
jaskrawo nie zgadza się ze zwyczajem*

*jest rzeczą nieprawdopodobną  
aby gwałcono święto Paschy  
z powodu małego groźnego Galilejczyka  
podejrzana wydaje się zgodność opinii  
tradycyjnych antagonistów — Sadyceuszy i Faryzeuszy*

*do Kajfasza należało przeprowadzenie śledztwa  
ius gladii był w ręku Rzymian  
po co więc wołać cienie  
i tłum wyjący uwolnij Barabasa*

*jak się zdaje cała sprawa rozegrała się między urzędnikami  
błędym Piłatem i tetrarchą Herodem  
postępowanie administracyjne nienaganne  
ale któż z tego potrafi uczynić dramat*

*stad sceneria płochliwych brodaczy  
i motłoch który idzie pod górę imieniem  
czaszka*

*to mogło być szare  
bez namiętności*

(„Na marginesie procesu”)

Tak brzmi relacja znawcy współczesnych socjotechnik władzy. A oto „Męczeństwo Pana Naszego malowane przez Anonima z kręgu mistrzów nadreńskich”:

„Gęby mają szpetne, a ręce sprawne, przywykłe do młota i gwoźdźcia, żelaza i drzewa. Właśnie przybijają Jezusa Chrystusa Pana Naszego do krzyża. Roboty huk, spieszyć się trzeba, żeby na południe wszystko było gotowe.

Rycerze na koniach — dekoracje dramatu. Twarze obojętne. Długie lance imitują drzewa bez gałęzi na tym wzgórzu bez drzew.

Dobrzy rzemieślnicy przybijają — jak się rzekło — Pana Naszego do krzyża. Sznury, gwoździe, kamień do ostrzenia narzędzi ułożone są porządnie na piasku. Krzątania, ale bez zbytecznej nerwowości.

Piasek jest ciepły, malowany dokładnie ziarnko po ziarnku. Gdziekolwiek kępka wyprężonych sztywno trwa i radująca oko niewinnie biała stokrotka”.

Ukrzyżowanie nie zakończyło wszakże sprawy.

*Kaptani mają problem  
z pogranicza etyki i rachunkowości*

*co zrobić ze srebrnikami  
które Judasz rzucił im pod nogi*

*suma została zapisana  
po stronie wydatków  
zannotują ją kronikarze  
po stronie legendy*

*nie godzi się wpisać jej  
w rubryce nieprzewidziane dochody  
niebezpiecznie wprowadzić do skarbcza  
mogłaby zarazić srebro*

*nie wypada  
kupić za nią świecznika do świątyni  
ani rozdać ubogim*

*po długiej naradzie  
postanawiają nabyć plac garncarski  
i założyć na nim  
cmentarz dla pielgrzymów*

*oddać — niejako  
pieniądze na śmierć  
śmierci*

*wyjście  
było taktowne  
więc dlaczego  
huczy przez stulecia  
nazwa tego miejsca  
hakeldama  
hakeldama  
to jest pole krwi*

(„Hakeldama”)

Komentarz do tych zdarzeń sporządził również Pan Cogito:

*Nie powinien przysyłać syna*

*zbyt wielu widziało  
przebite dłonie syna  
jego zwykłą skórę*

*zapisane to było  
aby nas pojednać  
najgorszym pojednaniem*

*zbyt wiele nozdrzy  
chłonęło z lubością  
zapach jego strachu*

*nie wolno schodzić  
nisko  
bratać się krwią*

*nie powinien przysyłać syna  
lepiej było królować  
w barakowym pałacu z marmurowych chmur  
na tronie przerażenia  
z berłem śmierci*

(„Rozmyślenia Pana Cogito o odkupieniu”)

W każdym z tych wierszy obecny jest dystans do ewangelicznego przekazu. Każdy z nich jest próbą spojrzenia na dzieje Jezusa z odmiennej perspektywy: socjotechnika władzy, rzemieślnika w służbie rządzącego kultu, księgowego epoki dyktatury pieniądza, wreszcie intelektualisty epoki totalitarnej. W świadectwo tego ostatniego wpisane jest przeświadczenie o nieadekwatności tamtego świadectwa do doświadczenia ludzi teraźniejszych. Pan Cogito mianowicie opowiada o lęku przed społecznością, która „z lubością chłonie zapach strachu”; traktuje więc o Chrystusie zamordowanym w osamotnieniu i wśród obojętności bliźnich. Tak ginęły ofiary totalitarnych dyktatur: ich śmierci nie wywoływały protestów ani rewolucji. Ci ludzie ginęli na oczach obojętnego tłumu i milczącego Boga: totalitarna dyktatura odzierała śmierć z tajemnicy, redukowała ją do kilku działań z pogranicza socjotechniki, rzemiosła i rachunkowości. Śmierć tak zredukowana

stawała się straszliwym instrumentem strachu — dlatego — zdaje się mówić Herbert — należało uprzedzić „łobuzów od Historii” dokonujących owej redukcji śmierci i dokonać tej operacji samodzielnie.

Obietnica niebiańskiego absolutu zawsze kryje w sobie pokorę duchowego lenistwa i tego bezruchu, który pragnie uchodzić za „higienę duszy”. Dlatego — powie poeta — „Jeśli po śmierci zechcą nas przemienić w zeszcły płomyczek, który chodzi po ścieżkach wiatrów — należy zbuntować się. Na nic wiekuisty wypoczynek na łonie powietrza, w cieniu żółtej glorii, wśród mamrotania dwuwymiarowych chórów.

Trzeba wstąpić w kamień, w drzewo, w wodę, w szpary furty. Lepiej być skrzypieniem podłogi niż przeraźliwie przezroczystą doskonałością” („Żeby tylko nie anioł”).

Poeta nie ufał doskonałości i absolutom. Nie ufał obietnicom zwiastunów Raju. Komuniści lubili wtedy powtarzać, że od chrześcijan różni ich dążenie do zrealizowania Raju na ziemi, tego Raju, który chrześcijanie obiecują jako pośmiertną nagrodę. Komentując te deklaracje, Jan Strzelecki zanotował w swym dzienniku, że jako retoryka brzmi to nawet niezłe, ale jako program polityczny ta formuła wieść może jedynie ku sytuacji, w której Biuro Polityczne pewnego dnia ogłosi, że oto „Raj zrealizowano”.

Obietnice „raju na ziemi”, wizje prospektywnej utopii, która wynagrodzi mizериę dnia dzisiejszego, były trwałym chwytym propagandowym ideologów Przodującego Ustroju. Był to utajony hołd złożony tęsknotom religijnym przez ideologię programowo negującą transcendencję. Na co dzień zaś realizowano system, w którym — wedle znanego określenia — „wszystko co nie było zakazane, było obowiązkowe”.

Do obietnic ideologów miał Herbert zdrowy dystans, ale — jak zobaczymy — wcale nie uważał wiary w raj pozaziemski za jedyne możliwe źródło sprzeciwu wobec totalitarnego kłamstwa. Przyjrzyjmy się jego „Sprawozdaniu z raj”:

*W raj* tydzień pracy trwa trzydzieści godzin  
*pensje są wyższe ceny stale zniżkują*  
*praca fizyczna nie męczy (wskutek mniejszego przyciągania)*  
*rąbanie drzewa to tyle co pisanie na maszynie*  
*ustrój społeczny jest trwały a rządy rozumne*  
*naprawdę w raj* jest lepiej niż w jakimkolwiek kraju

*Na początku miało być inaczej —*  
*świetliste kręgi chóry i stopnie abstrakcji*



*ale nie udało się oddzielić dokładnie  
ciała od duszy i przychodziła tutaj  
z kroplą sadła nitką mięśni  
trzeba było wyciągnąć wnioski  
zmieszać ziarno absolutu z ziarnem gliny  
jeszcze jedno odstępstwo od doktryny ostatnie odstępstwo  
tylko Jan to przewidział: zmartwychwstaniecie ciałem*

*Boga oglądają nieliczni  
jest tylko dla tych z czystej pneумы  
reszta słucha komunikatów o cudach i potopach  
z czasem wszyscy będą oglądali Boga  
kiedy to nastąpi nikt nie wie*

*Na razie w sobotę o dwunastej w południe  
syreny ryczą słodko  
i z fabryk wychodzą niebiescy proletariusze  
pod pachą niosą niezgrabnie swe skrzydła jak skrzypce*

(„Sprawozdanie z rajów”)

Dziwny ten raj, bardzo jest podobny do społeczeństwa, którego obraz Orwell po wizjonersku nakreślił w swej książce „1984”. Ten raj — co równie istotne — nie różni się zgoła od codziennego doświadczenia Polaków: choć tydzień pracy jest dłuższy, to „Boga oglądają nieliczni / jest tylko dla tych z czystej pneумы / reszta słucha komunikatów o cudach i potopach”. Równie realistyczny jest herbertowski wizerunek piekła:

„Licząc od góry: komin, anteny, blaszany, pogięty dach. Przez okna widać zaplątaną w sznury dziewczynę, którą księżyc zapomniał wciągnąć do siebie i zostawił na pastwę plotkarek i pajaków. Niżej kobieta czyta list, chłodzi twarz pudrem i znów czyta. Na pierwszym piętrze młody człowiek chodzi tam i z powrotem i myśli: jak ja wyjdę na ulicę z tymi pogryzionymi wargami i w rozlatujących się butach. W kawiarni na dole pusto bo to rano. Tylko jedna para w kącie. Trzymają się za ręce. On mówi: 'Będziemy zawsze razem. Proszę pana czarną i oranżadę'. Kelner idzie szybko za kotarę i tam dopiero wybucha śmiechem” („Piekło”).

Raj ideologów nie różni się specjalnie od piekła codzienności. A oto „raj teologów”:

„Aleje, długie aleje, wysadzone drzewami starannie przyciętymi jak w parku angielskim. Czasem przechodzi tędy Anioł. Włosy starannie utrefione, skrzydła szumiące łaciną. Ma w ręku zgrabny przyrząd zwany sylogizmem. Idzie szybko nie poruszając powietrza i piasku. Mija w milczeniu kamienne symbole cnót, czyste jakości, idee przedmiotów i wiele innych rzeczy zupełnie niewyobrażalnych. Nie znika nigdy z oczu, bowiem nie ma tu perspektyw. Orkiestry i chóry milczą, ale muzyka jest obecna. Jest pusto. Teologowie mówią przestrzennie. To też ma być dowód” („Raj teologów”).

Ten obraz objaśnia czytelnikom, dlaczego lepiej być „skrzypieniem podłogi” niż „czystą doskonałością”. Koresponduje on nieco z tym, „co myśli Pan Cogito o piekle”:

„Najniższy krąg piekła. Wbrew powszechnej opinii nie zamieszkują go ani despoty, ani matkobójcy, ani także ci, którzy chodzą za ciałem innych. Jest to azyl artystów pełen luster, instrumentów i obrazów. Na pierwszy rzut oka najbardziej komfortowy oddział infernalny, bez smoły, ognia i tortur fizycznych.

Cały rok odbywają się tu konkursy, festiwale i koncerty. Nie ma pełni sezonu. Pełnia jest permanentna i niemal absolutna. Co kwartał powstają nowe kierunki i nic, jak się zdaje, nie jest w stanie zahamować triumfalnego pochodu awangardy.

Belzebub kocha sztukę. Chętni się, że jego chóry, jego poeci i jego malarze przewyższają już prawie niebieskich. Kto ma lepszą sztukę, ma lepszy rząd — to jasne. Niedługo będą się mogli zmierzyć na Festiwalu Dwu Światów. I wtedy zobaczymy, co zostanie z Dantego, Fra Angelico i Bacha.

Belzebub popiera sztukę. Zapewnia swym artystom spokój, dobre wyżywienie i absolutną izolację od piekielnego życia” („Co myśli Pan Cogito o piekle”).

Czy Belzebub popiera także teologię? Pytanie nie jest absurdalne, bowiem u Herberta łatwo pomylić piekło z niebem. Ich obrazy stanowią ironiczny komentarz poety do tych skodyfikowanych sposobów myślenia i postępowania, które fundują normy moralne na ludzkim marzeniu o raju i na ludzkim strachu przed piekłem. Herbert wciąż pamięta, że wiarę w niebo można utracić; że strachu przed piekłem można się wyzbyć — że tędy wieść może droga ku totalitarnej pokusie.

Nim spróbujemy odpowiedzieć na pytanie, czy poeta wierzy w Boga, powiedzmy, że z pewnością wierzy w diabła.

*Baruch Spinoza z Amsterdamu  
zapragnął osiągnąć Boga*

*szlifując na strychu  
soczewki  
przebił nagle zastonę  
i stanął twarzą w twarz*

*mówił długo  
(a gdy tak mówił  
rozszerzał się umysł jego  
i dusza jego)  
zadawał pytania  
na temat natury człowieka*

— *Bóg gładził roztargnioną brodę*

— *pytał o pierwszą przyczynę*

— *Bóg patrzył w nieskończoność*

*pytał o przyczynę ostateczną*

— *Bóg łamał palce  
chrząkał*

*kiedy Spinoza zamilkł  
rzecze Bóg  
— mówisz ładnie Baruch  
lubię twoją geometryczną łacinę  
a także jasną składnię  
symetrię wywodów*

*pomówmy jednak  
o Rzeczach Naprawdę  
Wielkich*

— *popatrz na twoje ręce  
pokaleczone i drżące*

— niszczysz oczy  
w ciemnościach

— odżywasz się źle  
odziewasz nędznie

— kup nowy dom  
wybacz weneckim lustrom  
że powtarzają powierzchnię

— wybacz kwiatom we włosach  
— pijackiej piosence

— dbaj o dochody  
jak twój kolega Kartezjusz

— bądź przebiegły  
jak Erazm

— poświęć traktat  
Ludwikowi XIV  
i tak go nie przeczyta

— uciszaj  
racjonalną furję  
upadną od niej trony  
i szernieją gwiazdy

— pomyśl  
o kobiecie  
która da ci dziecko

— widzisz Baruch  
mówimy o Rzeczach Wielkich

— chcę być kochany  
przez nieuczonych i gwałtownych  
są to jedyni  
którzy naprawdę mnie łakną

teraz zastona opada  
Spinoza zostaje sam

*nie widzi złotego obłoku  
światła na wysokościach*

*widzi ciemność*

*słyszy skrzypienie schodów  
kroki schodzące w dół*

(„Pan Cogito opowiada o kuszeniu Spinozy”)

Rozmówcą Spinozy był Książę Ciemności. Ten diabeł nachodzi także poetę. Kusi tym, o co poeta prosił Apollina: normalnością. Prosił przecież: „a potem po skończonej walce / pozwól nam rozprostować palce”... I oto nieoczekiwana odpowiedź: rozprostuj palce, „dbaj o dochody”, „poświęć traktat Ludwikowi XIV”. Diabeł wie, w jaką strunę uderzyć; wie jak przyoblec zdradę w szatę codziennej zwyczajności.

Jak oprzeć się temu kuszeniu? Więc może jednak anioł?

Ale wobec aniołów zachowuje poeta przezorny dystans. Owszem, podziwia ich i opisuje w całej niezwykłości. Oto oni: „Gabriel złocisty, podpora tronu i baldachim”, „Rafael, stroyiciel chórów”, „Azrael, kierowca planet, geometra nieskończoności, doskonały znawca fizyki teoretycznej”, „Michał, cały w łuskach i pióropuszcach”, „Azrafael, dekorator świata, opiekun bujnej węgetacji, ze skrzydłami jak dwa dęby szumiące”, „Dedrael, apologeta i kabalista”. Są wspaniali, ale ufność poety wzbudza tylko siódmy anioł: Szemhel. „Szemhel, Szemhel / — sarkają aniołowie / dlaczego nie jesteś doskonały”. Szemhel jest rzeczowy, chodzi „w starej wyleniającej aureoli”, „był wielokrotnie karany / za przemyt grzeszników” („Siódmy anioł”).

Szemhel jest najmniej anielskim z aniołów, nic w nim nie ma z absolutu, a przecież to on oprowadza poetę po świecie wiary. Dzięki Szemhelowi, przemytnikowi grzeszników, nauczy się Pan Cogito jak „być pośrednikiem wolności”: „trzymać sznur ucieczki / przemycać gryps / dawać znak / zaufać sercu / czystemu odruchowi sympatii” („Gra Pana Cogito”). Szemhel nauczy poetę pokory w oczekiwaniu na Objawienie; Szemhel nakaze mu zanotować, że „niebezpieczne są słowa / które wypadły z całości / urywki zdań sytuacji / początki refrenu / zapomnianego hymnu / 'zbawieni będą ci którzy'”. Tak, to Szemhel wskaże poecie drogę do wiary, „że brakujące słowa / wejdą w kalekie zdania / i pewność na którą czekamy / zarzuci kotwicę” (\*\*\*)

„Religia — pisał Jan Błoński — jest w świecie Herberta

zdecydowanie obecna. (...) Zdaje się on żałować czasów, kiedy on sam — i wraz z nim cała społeczność — umiała wierzyć naiwnie. Jeśli więc nawet wartości, jakie niosła religia dzieciństwa okazują się przebrzmiałe, zachowują zawsze i piękno i dostojęstwo. Postawa rozczarowanego tradycjonalisty, który tęskni do metafizycznej prostoty, właściwej owemu 'dawniej', kiedy było dalej do końca świata, do rozsypania wszelkich pewników...”.

Ta trafna obserwacja nie wyczerpuje jednak sprawy. Pozostawia otwartym pytanie: czy w świecie wiary Herberta jest miejsce na wiarę religijną? Czy jest na nią miejsce w tym dumnym wyrzeczeniu się rachuby na Sąd Ostateczny i pozadoczesne wyrównanie krzywd; w tym heroicznym trwaniu na ruinach Troi; w tej strategii czynienia z pamięci o klęsce źródła duchowej mocy?

W wierszu „Kołatka” czytamy wyzwanie:

(...)  
*moja wyobraźnia  
to kawałek deski  
a za cały instrument  
mam drewniany patyk*

*uderzam w deskę  
a ona mi odpowiada  
tak — tak  
nie — nie*

*innym zielony dzwon drzewa  
niebieski dzwon wody  
ja mam kołatkę  
od nie strzeżonych ogrodów*

*uderzam w deskę  
a ona odpowiada  
suchy poemat moralisty  
tak — tak  
nie — nie*

(„Kołatka”)

Deska i patyk tworzą kołatkę. Jeśli wszakże ta kołatka odzywa się do poety słowami Chrystusa z Kazania na Górze, to ów suchy poemat moralisty musi ewokować wspomnienie Krzyża.

O swej wierze mówi Herbert skąpo i sucho. Kryje ona w

sobie raczej powinność niż nadzieję; jest raczej pamięcią krzyża niż zmartwychwstania. Czasem myślę, że jest to wiara w jakiś sposób bliska wierze Chrystusa, który na krzyżu mówi:

*Eloi, Eloi, lama sabatehami* co znaczy: Panie, Panie czemuś mnie opuścił.

## VI

Nie jest łatwo zinterpretować stosunek Herberta do religii i kościoła. Jego wiersze pełne są formuł wieloznacznych i wymykają się tradycyjnym kryteriom. Szukając interpretacyjnego klucza, znów sięgam do dziennika Henryka Elzenberga. W grudniu 1952 roku zapisał on: „Religia staje się niemoralna, gdy ma służyć zaspokojeniu ludzkich potrzeb autocentrycznych, poręczyć nieśmiertelność duszy, opatrność, porządek moralny w świecie, panowanie sprawiedliwości. Religia nie jest do pocieszania naszych zawiedzionych przez brzydki świat egoizmów; kto w te pocieszające kombinacje wierzy, ten w swej religijności jest podejrzany; kto w nie wierzy dla tego, że są pocieszające, ten grzeszy. Religia ma w życiu dawać pełnię, głębię, polot, bogactwo — także chyba pewną surowość, wynosić je ponad siebie i przepajać blaskiem mistycznym, a nie wmawiać stworzonkom, że w gruncie rzeczy wszystko ślicznie jest urządzone z uwzględnieniem ich interesów i pragnień.

Dusza nie jest potrzebna do tego, żeby była nieśmiertelna. (...) Dusza jest potrzebna do dwóch rzeczy: 1) żeby była wolna; 2) żeby była sędzią rzeczywistości. To drugie zresztą jest również pewną odmianą wolności”.

To jest rdzeń: zachować wewnętrzną wolność sądenia. A nadzieja? „Im dłużej żyję — zapisał Elzenberg w listopadzie 1951 roku — tym bardziej człowiek staje się dla mnie czymś egzotycznym. Nic z niego nie rozumiem, żadnych mostów ani dojść nie znajduję. (...) Ja źle się czuję w empirii i roi mi się 'zbawienie'. Oni chcieliby tylko wygodnej i coraz wygodniejszej empirii. Ja w stosunkach z nimi szukam porozumienia w jakimś stopniu także uczuciowego, a że go nie znajduję, więc się odwracam: oni najprzyjaźniej obcuja bez takiego sentymenciarstwa. Ja wierzę, że są rzeczy wyższe i doskonalsze od innych; oni tylko, że bardziej potrzebne, przyjemniejsze, pożyteczniejsze. Ja rzadko miewam jakąś nadzieję, a oni wbrew oczywistości wciąż mają: równie nędzne

jak fantastyczne. Jeden się spodziewa powrotu do minionej epoki dziejowej, drugi — osobistej nieśmiertelności, trzeci uleczenia wszystkich bied ziemskich przez przebudowę ustroju, a wszystkim mniej lub więcej się zdaje, że nadzieja jest zasługą i cnotą”.

Dla Elzenberga i Herberta nadzieja nie była w 1951 roku „zasługą i cnotą”. Była wątłą protezą lub groźną trucizną, czymś na kształt konia trojańskiego, którym posługiwał się wróg zdobywając duchowe fortece opornych. Nadzieja — także nadzieja religijna — relatywizowała wierność uzależniając ją od siebie: bowiem nadzieję można było utracić, zaś wierności nie wolno było się wyrzec.

Postawa ta nie oznaczała oczywiście wrogości wobec Kościoła. Elzenberg z pewnością mógłby powtórzyć w epoce stalinizmu swą zapiskę z 1910 roku o „kwestii walki z Kościołem w Polsce”. „Szkodliwa jest ta walka — pisał — z tego względu, że wywołuje nieprzyjaźń między odłamami społeczeństwa i osłabia je w walce na zewnątrz. I jeszcze uwaga ogólna: zwalczać jakąś ideę bez szkody dla poziomu duchowego ludzkości można tylko przez współzawodnictwo, nigdy przez zwykłą negację”.

Znamienna refleksja — już w 1910 roku dostrzegł Elzenberg, sam stojąc poza Kościołem, istotne skazy w antyklerykalnym stereotypie polskich radykałów. Należy wątpić, by po 1945 roku właśnie on, korzystający z gościnnych ław katolickiego miesięcznika *Znak*, mógł zmienić zdanie na ten temat.

Bowiem po 1945 roku inteligencja polska stanęła wobec dylematu — czy też raczej karykatury dylematu — sprzed sześćdziesięciu lat. Wtedy to prasa pozytywistyczna z Aleksandrem Świętochowskim na czele głosiła program modernizacji kraju, atakując zarazem tradycyjny konserwatyzm polskiej społeczności chroniącej swą tożsamość w identyfikacji z katolicką ortodoksją. Kościół katolicki był dla rosyjskiego zaborcy wrogiem nadrzędnym, najtrudniejszą do zdobycia twierdzą polskości. W tej sytuacji antyklerykalizm Świętochowskiego i jego zwolenników traktowany był z względną tolerancją. Na marginesie tego układu pojawili się młodzi socjaliści. Ci młodzi, Waryński i inni, głoszący idee uniwersalne i wyznający program międzynarodowej rewolucji, piętnujący narodową zaściankowość i klerykalizm Polaków, jawili się obserwatorowi z zewnątrz, duńskiemu pisarzowi Georgowi Brandesowi, jako ludzie z innej planety, wyobcowani marzyciele i fantaści.

Wedle Brandesa naczelny dylemat polskiej inteligencji brzmiał: albo formułować hasła obrony narodowości, blokować próby mo-



dernizacyjne, wspierać konserwatywne idee Kościoła i w ten sposób faktycznie sprzyjać zastojowi kulturalnemu, albo też optować za nowoczesnością, odrzucić ciasny klerykalny gorset i w ten sposób faktycznie sprzyjać wynarodowieniu. Tak było u schyłku XIX wieku.

W epoce stalinizmu, po likwidacji wszystkich autentycznych instytucji życia społecznego, jedynym azylem niezależności pozostał Kościół. Konsekwentna polityka władz, pełna restrykcji i represji, spychała coraz bardziej Kościół ku zakrytciu. W tej sytuacji jego naturalną bazą pozostawała wieś — wiejskość była cechą charakterystyczną polskiego katolicyzmu.

Po wielu latach wielkich przemian w łonie polskiego katolicyzmu i burzliwych wstrząsów w łonie polskiego społeczeństwa, Tadeusz Chrzanowski, przyjaciel Herberta, któremu poeta zadeedykował piękny wiersz „O róży”, tak napisze:

„Prawda ma dziś cenę złota i jeszcze wyższą. Ceniemy prawdę naszych korzeni, naszych źródeł, naszej tożsamości. Przechowujemy prawdę tych, co przeminęli i dokładajmy do niej naszą własną prawdę dla przyszłych pokoleń. Nie mamy się czego wstydić, a w każdym razie w tej dziedzinie naszej 'wiejskiej religijności', która tu — na spłachciu ornej ziemi, na targowisku mocarstw, w krajobrazie ze 'świętkiem' — tylekroć nas ocalała, tylekroć pozwalała nam być sobą...” („Modlitwy przydrożne”, *Tygodnik Powszechny*, 8. I. 1984).

W owym czasie jednak widziano te sprawy inaczej. Ludzie typu Herberta mogli znaleźć — i znajdowali — w Kościele oparcie instytucjonalne, znacznie rzadziej — intelektualne. Ideologii Przewodzącego Ustroju Kościół przeciwstawiał prawdy swej wiary wypowiedane językiem tradycyjnym, nierzadko anachronicznym.

Było to zapewne nieuchronne — taka jest logika wielkich przełomów. Nie zmienia to jednak faktu, że Kościół — taki jaki był — jawił się wielu intelektualistom jako składnik Polski dnia wczorajszego; Polski, która odeszła. Rządzący komuniści odwoływali się do ideałów socjalizmu, obiecywali sprawiedliwość społeczną i nowoczesność cywilizacyjną, powszechną oświatę i bezpłatne leczenie, tanią książkę i likwidację bezrobocia. Otwierali drzwi na wyższe uczelnie i dostęp do nowych elit. To brzmiało atrakcyjnie. Duchowi wnukowie opisywanych przez Brandesa socjalistów, młodzi ludzie mający wciąż przed oczyma hitlerizm i klęskę Powstania Warszawskiego, brali *à la lettre* hasła i slogany nowych rządców Polski. Dostrzegali w nich i chcieli dostrzegać jakąś realną perspektywę dla kraju i szansę dla siebie. I wnet

kroczyli w karnych pochodach w rytm bębna „dyktatora muzyk” rozgromionych. Po śmierci Stalina to oni właśnie — dodajmy — podnieśli sztandar buntu, ale to już całkiem inna historia...

Wtedy, w epoce stalinowskiej, kroczyli w pochodach — taki był ich rytm i taka melodia... Ich argumenty — o postępie historycznym i koniecznościach dziejowych — brzmiały dla wielu przekonująco, miały za sobą sankcję rzeczywistości. Miłosz i Kula, Elzenberg i Malewska, Szczepański i Herbert zrelacjonowali techniki samoobrony przed tą argumentacją. Byłoby jednak kardynalnym błędem i intelektualnym fałszem ignorowanie ogromnej nośności tych Prawd Nowej Wiary w tamtej epoce. Słuszność miał Miłosz, gdy pisał w liście do Wańkowicza, że „diament jest bronią straszliwą”: uwodzi najtęższe umysły i najwybitniejsze osobowości.

Zbigniew Herbert okazał się całkowicie niepodatny na idee i argumenty Nowej Wiary. „To wcale nie wymagało wielkiego charakteru” — napisał po latach. Aliści jego własna twórczość jest także — jak sędzę — pośrednim potwierdzeniem potęgi diamentu. Przecież te wiersze, ten niezwykle zapis precyzji intelektualnej, moralnego napięcia i duchowego skupienia mogły powstać z odrzucenia — pogardliwego, zgoda! — tylko takiej pokusy, która była powszechna i rzeczywista; z przewyciężenia rozdarcia, które nie było papierowe.

O tym rozdarciu rzadko poeta mówi wprost. Sięgnijmy wszakże do wiersza „Wawel”. Kazimierz Wyka — przy okazji omawiania „Struny światła” — przypomniał, że Wyspiański chciał przerobić austriackie koszary na wielką narodową budowlę w stylu antycznym. Czyniąc aluzję do tych projektów, poeta wspominał je z gorzkim szyderstwem: „patriotyczną kataraktę miał na oczach ten / co cię zrównał z gmachem marmurów”. No bo jakże? — „a tu ceglany śmieszny zgiełk / ... / na austriackich koszar tle”.

Wszakże identyfikuje się natychmiast z autorem tego szalonego pomysłu, z tym „barbarzyńcą co się od krzyżów i szubienic / dowiedział równowagi brył”. W tej formule określającej fenomen Wyspiańskiego (i własny) zawarł Herbert diagnozę dramatu i rozdarcia polskiej kultury. Ona wyjaśnia wszystko: gorączkę, obłęd, żal i tę noc, „kiedy anioły od ołtarza / odchodzą by trutować sny”; tę noc, kiedy rodzi się ów pomysł. „Akropol dla wydziedziczonych”: wielki, wspaniały gmach ofiarowany tej nędzy ludzkiej, narodowi pogrążonemu w niemocy i niewoli.

Czymże innym były dla Polski wiersze Zbigniewa Herberta?

W drugi wymiar wiersza wprowadza dedykacja dla Jerzego Turowicza. Był on i wtedy redaktorem naczelnym *Tygodnika Powszechnego*, pisma, z którym w latach stalinizmu związany był Herbert; jedyne pismo, które wtedy nie uczestniczyło w urzędowym kłamstwie. Jego redagowanie było zarazem tworzeniem duchowego azylu dla społeczności poniżonej i terroryzowanej; było moralnym wysiłkiem budowy „Akropolu dla wydziedziczonych”. Jakież było to pismo w tamtych latach? Permanentnie atakowane przez adeptów Nowej Wiary, systematycznie dławione przez cenzurę — tak się miała jego zawartość do pragnień i możliwości redaktorów, jak austriackie koszary do helleńskiej wizji Wyspiańskiego. Świat kulturalny *Tygodnika* był smutny i ubogi, poprawnie tradycyjny i poczciwie pobożny — nie mógł być inny. Wyrzekając się udziału w kłamstwach chwalców Nowej Wiary, *Tygodnik* nie był w stanie — z przyczyn od siebie niezależnych — dać atrakcyjnej intelektualnej alternatywy. Prawdy o Polsce i o świecie też pisać nie mógł. W jego los i treść wpisany więc był rodzaj kłamstwa niezawinionego; tego kłamstwa, które wypowiada lekarz do konającego, gdy zapewnia go, że rychło wyzdrowieje, tego kłamstwa, które było udziałem Wyspiańskiego projektującego Akropolis; tego kłamstwa, którym broniliśmy się nie raz w naszych narodowych dziejach przed spodleniem i zaprzaństwem.

Przeto:

*Akropol dla wydziedziczonych  
i łaska łaska dla kłamiących*

Nie dla skandujących łgarstwa łobuzów od Historii, ale dla „kłamiących” uczestników narodowej mistyfikacji tworzonej ku pocieszeniu serc tu „na spłachciu ornej ziemi, na targowisku mocarstw”, dla Wyspiańskiego i Turowicza, dla ciebie i dla mnie...

Zważmy: Herbert nigdy nie zadeklarował się jako poeta katolicki i nie podążył drogą oporu wydeptaną przez katolickich kapłanów. Instytucja Kościoła katolickiego jest w jego wierszach prawie nieobecna, kiedy zaś pojawi się, to w kontekście dalekim od jednoznaczności. Z wiersza „Ostatnia prośba” trudno wywnioskować, że Kościół jest miejscem, gdzie narrator czuje się dobrze: upał, ponumerowane ławki, zapomniane słowa modlitwy, zaduch, pot, wszystko zamknięte. Książ „nie wznosi się” ani trochę, przeciwnie: „ślizga się w dół / jak mucha”. „Wreszcie koniec”. Dopiero za kościelnym progiem „następuje akt strzelisty / głębokiego oddechu”.

Interpretując ten wiersz Błoński zauważył: „Herbert nie pozwala nam jednak zapomnieć, że bohater spełnia ostatecznie życzenie matki: i nie tyle daremność obrzędu (nic o tym nie mówi), ile duchowa słabość uczestników budzi w nim zawstydzienie”.

Chyba jednak niezupełnie tak. Herbert dobrze wiedział, w jakim kraju żyje, doskonale orientował się, że wszelka krytyka Kościoła miała swój sens sytuacyjny, tzn. służyła tym, którzy Kościół prześladowali. Elementarna przyzwoitość zabraniała mu krytykować „Kościół milczenia”, ale elementarna uczciwość i intuicja artysty nie pozwalały mu identyfikować się z Kościołem, w którym „wszystko zamknięte”, brak „przewiewu” i „ponumerowane ławki” — symbole ładu biurokratycznej instytucji, a nie miejsca, gdzie odbywa się spotkanie z Bogiem.

Jan Józef Szczepański, tak bliski Herbertowi i też związany z *Tygodnikiem Powszechnym*, powiedział po wielu latach w jednym z wywiadów: „W latach 50-tych (...) ateizacja wydawała się skuteczna. Miałem zresztą wówczas indyferentny stosunek do tych spraw. Nie do religii, ale do Kościoła. Nisko ceniłem kler. Wydawało mi się, że Kościół nie sprostą intelektualnemu wyzwaniu jakie niosą czasy. Niepokoiła mnie możliwość zastąpienia religii pragmatyczną ideologią (*Więź* nr 11-12/1982, „Szansa spóźnionej literatury”, rozm. Krystyna Jagiełło).

„Ostatnia próba” skłania do przypuszczenia, że Herbert rozumował podobnie. Był po stronie Kościoła, bo był po stronie prześladowanych, a przeciw prześladowcom; po stronie wartości ewangelicznych, a przeciw objawieniom Nowej Wiary.

Wszelako odpowiedzi na intelektualne wyzwanie Nowej Wiary szukał sam, nie zadowolając się formułami eklezjalnymi. Na własną rękę szukał sposobu przewyciężenia konfliktu pomiędzy totalitarną nowoczesnością a konserwatywnym zastojem narodowej samoobrony.

## VII

Podążając samotnie ku swemu losowi, poeta przyglądał się otoczeniu. Oto „domy przedmieścia”, najczystsze źródło melancholii:

*Domy przedmieścia o podkrążonych oknach  
domy kaszlące cicho  
dreszcze tynku  
domy o rzadkich włosach  
chorej cerze*

*tylko kominy marzą  
chuda skarga  
dochodzi do brzegu lasu  
na brzeg wielkiej wody*

*chciałbym wam wymyślić imiona  
napętniać zapachem Indii  
ogniem Bosforu  
gwarem wodospadów*

*domy przedmieścia o zapadniętych skroniach  
domy żujące skórkę chleba  
zimne jak sen paralityka  
których schody są palmą kurzu  
domy stale na sprzedaż  
zajazdy nieszczęścia  
domy które nigdy nie były w teatrze*

*szczury domów przedmieścia  
zaprowadźcie je nad brzeg oceanu  
niech usiądą w gorącym piasku  
niech oglądają noc podzwrotnikową  
niech fala ich nagrodzi burzliwą owacją  
jak przystoi tylko zmarnowanym żywotom*

(„Domy przedmieścia”)

Tak wygląda herbertowska wizja życia codziennego Polaków.  
Obserwując polski obyczaj u progu stalinizmu, Miłosz zapisał:

*Zwróciłeś pewnie już uwagę:  
Nacisk na sposób życia kładę.  
Masę masz zrobić na tym polu,  
Pomówmy więc o alkoholu.*

*Pośród żarcików, anegdotek  
Szlachecki wspominając miodek,  
Chyli się Polska w trudne czasy  
Przed bóstwem wódki i kietbasy.  
Po prastowiańsku się zatacza,  
I z czkawką licząc swe ubóstwo  
Racji do chluby widzi mnóstwo.*

*Zjawisko wódki jest ciekawe,  
Warto poświęcić mu rozprawę  
Ze wszystkich trunków ona jedna  
Dymom zagłady jest pokrewna.  
W niej miast płonących widać migot,  
Przez cienkie szkło skazańcy idą,  
A kiedy w nocy domy syczą  
I w oknach pożar jest żrenicą,  
Nad litrem z osowiałą twarzą  
Zasiedli bracia Karamazow.  
Jak nad mrowiskiem w letnim cieple  
Zapach mrówczego kwasu krzepnie,  
Tak odór nad nieszczęsnym krajem  
Z dala podróżnym sygnał daje:  
„Cywilizacja krwi i łez  
La civilisation des punaises*

(„Traktat moralny”)

Jakby replikując na tę cywilizację krwi, łez i pluskiew, Herbert pisał: „Pijacy są to ludzie, którzy piją do dna i duszkiem. Ale krzywią się, bo na dnie widzą znów siebie. Przez szyjkę butelki obserwują dalekie światy. Gdyby mieli silniejszą głowę i więcej smaku, byłiby astronomami” („Pijacy”).

Jak wyglądało mieszkanie Herberta w tamtych latach?

*W tym pokoju są trzy walizki  
łóżko nie moje  
szafa z pleśnią lustra  
kiedy otwieram drzwi  
sprzęty nieruchomieją  
ogarnia mnie zapach znajomy  
pot bezsenność i pościel*

*jeden obrazek na ścianie  
przedstawia Wezuwiusza  
z pióropuszem dymu  
(...)*

Świat realiów zderzony z światem kreacji malarskiej przynosi nader osobliwy wizerunek stanu duchowego poety. Składa się nań przeświadczenie o trwałej brzydocie świata i ustabilizowanej beznadziejności. „Nie wierzę w czynne wulkany” — tak brzmi

deklaracja niewiary w zmianę złożona przez klaustrofoba zamkniętego w czterech ścianach, uwięzionego między szafą a bezsennością. Opisany jest też drugi obraz wiszący na ścianie:

(...)

*to holenderskie wnętrze*

*z mroku*

*kobiece ręce*

*nachylają dzbanek*

*z którego sączy się warkocz mleka*

*na stole nóż serweta*

*chleb ryba pęczek cebuli*

*idąc za złotym światłem*

*wchodzimy na trzy schody*

*przez uchylone drzwi*

*widać kwadrat ogrodu*

*liście oddychają światłem*

*ptaki podtrzymują słodycz dnia*

*nieprawdziwy świat*

*ciepły jak chleb*

*złoty jak jabłko*

(...)

Dlaczego nieprawdziwy? Dlatego, że te symbole tęsknoty do normalności: chleb, serweta, ogród i ryba, liście i ptaki, znów zderzają się z tym, co realnie istniejące:

*odrapane tapety*

*meble nie oswojone*

*bielma luster na ścianach*

*to są wnętrza prawdziwe*

(...)

I tak — powie poeta — „w pokoju moim / i trzech walizek / dzień się roztopia / w snu kałuży” („Pokój umeblowany”).

Jest smutno. „Od rana pada deszcz. Będzie pogrzeb tej z naprzeciwka. Szwaczki. Marzyła o ślubnym pierścionku, a umarła z napaństwem na palcu. Wszyscy się z tego śmieją. Pocziwy

deszcz ceruje niebo i ziemię. Ale z tego też nic nie będzie” („Szwaczka”).

Żadnej radości — śmiech bywa tylko szyderczy. Znikąd nadziei. W którą stronę zwrócić spojrzenie? Może ku miłości?

Podczas okupacji poeta zanotował obraz zakochanych:

*Lasy płonęły  
a oni  
na szyjach splatali ręce  
jak bukiety róż*

*ludzie zbiegali do schronów —  
on mówił że żona ma włosy  
w których się można ukryć*

*okryci jednym kocem  
szepotali słowa bezwstydne  
litanię zakochanych*

*Gdy było bardzo źle  
skakali w oczy naprzeciw  
i zamykali je mocno*

*tak mocno że nie poczuli ognia  
który dochodził do rzęs*

*do końca byli mężni  
do końca byli wierni*

(„Dwie krople”)

W tamtych latach miłość była źródłem wierności i męstwa. A jak jest teraz, w epoce stalinowskiej?

*Idziemy nad morzem  
trzymając mocno w rękach  
dwa końce starożytnego dialogu  
— kochasz mnie  
— kocham*

*ze ściągniętymi brwiami  
streszczam całą mądrość  
dwa testamentów*



*astrologów proroków  
filozofów z ogrodów  
i filozofów klasztornych  
a brzmi to bez mała tak:  
— nie płacz  
— bądź dzielna  
— popatrz wszyscy ludzie*

*wydymasz wargi i mówisz  
— powinienes być kaznodzieją —*

*i zagniewana odchodzisz  
nie kocha się moralistów*

*cóż mam powiedzieć nad brzegiem  
małego martwego morza*

*woda powoli wypełnia  
kształty stóp które znikły*

(„Epizod”)

Równie pouczająca jest przypowieść o „jedwabiu duszy”:

*Nigdy  
nie mówiłem z nią  
ani o miłości  
ani o śmierci  
tylko ślepy smak  
i niemy dotyk  
biegały między nami  
gdy pogrążeni w sobie  
leżeliśmy blisko*

*muszę  
zajrzeć do jej wnętrza  
zobaczyć co nosi  
w środku*

*gdy spała  
z otwartymi ustami  
zajrzałem*

*i co  
i co  
jak myślicie  
co zobaczyłem*

*spodziewałem się  
gałęzi  
spodziewałem się  
ptaka  
spodziewałem się  
domu  
nad wodą wielką i cichą*

*a tam  
na szklanej płycie  
zobaczyłem parę  
jedwabnych pończoch*

*mój Boże  
kupię jej te pończochy  
kupię*

*ale co zjawi się wtedy  
na szklanej płycie  
małej duszy*

*czy będzie to rzecz  
której nie dotyka się  
ani jednym palcem marzenia*

(„Jedwab duszy”)

Te wiersze opowiadają o Przodującym Ustroju dniu powszednim. W totalitarnej codzienności nie ma miejsca na autentycznych bohaterów i średniowiecznych rycerzy, na wielkie słowa i heroiczne czyny — jest wyniszczająca lichota i szara proza biografii ludzkich odartych z sensu.

Wszakże sekret tych herbertowskich obrazów tkwi w tym, że ponad tą zwyczajnością odrapanych tapet i marzeń o jedwabnych pończochach unosi się totalitarna groza; czają się „wszy i beton” („Szuflada”). Mówi *maitre* hotelowy:

„W tych czasach trzeba strasznie uważać — wszędzie są do-

nosiciele i skorpiony”. Potem winda: „w windzie stajemy naprzeciw lustra, ale już za pierwszym szarpnięciem widzimy, jak na miejscu twarzy pojawia się srebrna pleśń” („Hotel”).

## VIII

Jak w takim świecie być Hektorem, strażnikiem pamięci zabitych przyjaciół i podeptanych rycerskich cnót? Herbert, świadom nieprzystawalności świata swych wartości do świata spraw codziennych, rozwiązuje ten konflikt dwóch światów odwołując się do ironii. To jest jego broń. Ironię nazwał Miłosz „chlubą zniewolonych” („Nie tak”), a wiersze Herberta są tego określenia znakomitą egzemplifikacją. Nie tylko ironicznie wyszydza on rzeczywistość, ale i siebie, swoje marzenie bierze w ironiczny nawias. Oto „Stary Prometeusz”:

„Pisze pamiętniki. Próbuje w nich wyjaśnić miejsce bohatera w systemie konieczności, pogodzić sprzeczne z sobą pojęcie bytu i losu. Ogień buzuje wesoło na kominku, w kuchni krząta się żona — egzaltowana dziewczyna, która nie mogła urodzić mu syna, ale pociesza się, że i tak przejdzie do historii. Przygotowania do kolacji, na którą ma przyjść miejscowy proboszcz i aptekarz, najbliższy teraz przyjaciel Prometeusza.

Ogień buzuje na kominku. Na ścianie wypchany orzeł i list dziękczynny tyrana Kaukazu, któremu dzięki wynalazkowi Prometeusza udało się spalić zbuntowane miasto.

Prometeusz śmieje się cicho. Jest to teraz jego jedyny sposób wyrażania niezgody na świat” („Stary Prometeusz”).

Tak kończą zbuntowani nonkonformiści, którzy wydzierali tajemnicę bogom: zna poeta moc ironii i zna jej dwuznaczności. Ironia pozwala widzieć rzeczy jasno i okrutnie:

„Naprzód był bóg nocy i burzy, czarny bałwan bez oczu, przed którym skakali nadzy i umazani krwią. Potem w czasach republiki było wielu bogów z żonami, dziećmi, trzeszczącymi łóżkami i bezpiecznie eksplodującym piorunem. W końcu już tylko zabobonni neurastenicy nosili w kieszeni mały posążek z soli, przedstawiający boga ironii. Nie było wówczas większego boga.

Wtedy przyszlį barbarzyńcy. Oni też bardzo cenili bożka ironii. Tłukli go obcasami i wsypywali do potraw” („Z mitologii”).

Mały bożek ironii ma wielką moc. Wyzwała prawdy, które bywają płodne, ale i destrukcyjne; toruje drogę cnotom republiki, ale i barbarzyńcom, którzy jego samego niszczą i zdeptują. Ten mały bożek, źródło siły, ale i cierpienia, pojawia się nieraz na ramieniu poety jak anioł: „blady, złośliwy anioł Ironii”. Na szczęście nie jest sam, bowiem na drugim ramieniu pojawia się wraz z nim „potężny, miłujący anioł Schizofrenii” („Wariatka”).

Kiedy prawda odbiera nadzieję, szaleństwo jest ocaleniem.

Cóż zobaczył poeta tak strasznego, że przyjść mu musiał w sukurs anioł Schizofrenii? Degradację bogów przez ludzi.

„Pieśń o Rolandzie”, jeden z tych utworów, które są wciąż obecne w pisarstwie Herberta, opowiada o reakcji mieszkańców Saragossy, poddanych króla Marsyla, na wieść o klęsce Marsyla w bitwie z wojskami Karola Wielkiego: „Biegną do krypty Apollina, pomstują nań, odkazują się szpetnie 'Ha, zły boże! Czemuś nam uczynił taki wstyd?! Czemuś ścierpiął zgubę naszego króla? Złą dajesz zapłatę tym, co ci dobrze służy!’ Potem odbierają mu berło i koronę, walą go na ziemię do swoich nóg, biją go i kruszą kijami”. To samo zrobiono z innymi...

Herbert opowiada o późniejszych losach zdegradowanych bogów:

„Trójwymiarowe ilustracje z żałosnych podręczników. Śmiertelnie biali, z suchym włosom, pustym kołczanem i zwiędłym tyrsem. Stoją nieruchomo, na jałowych wyspach, wśród żywych kamieni pod liściastym niebem. Symetryczna Afrodyta, Jowisz opłakiwany przez psy, Bachus opity gipsem. Hańba natury. Liszaje ogrodów.

Prawdziwi bogowie tylko na krótko i niechętnie wchodzili w skórę kamieni. Potężne przedsiębiorstwo — gromów i jutrzni, głosu i złotych deszczów — wymagało niezwyklej ruchliwości. Uciekali ze spalonych miast, uczeplieni fali żeglowali na odległe wyspy. W żebraczych łachmanach przekraczali granice czasów i cywilizacji.

Tropieni i tropiący, spoceni, krzykliwi, w nieustannym pościgu za uciekającą ludzkością” („Ozdobne a prawdziwe”).

Ale wątpić należy, czy ją dogonią. Bowiem — pamiętamy z „Próby rozwiązania mitologii” — bogowie antyczni, nosiciele klasycznych cnót i wartości, kapitulują przed ludzkością rządzoną przez „łobuzów od Historii”. U j a w n i a j ą s i ę. Sens tych u j a w n i e ń jest przeraźliwie oczywisty: to jest klęska. Bowiem wartości deptane, więzione, mordowane są wciąż wartoś-

ciami żywymi: są siłą rodzaju ludzkiego, póki mogą dawać świadectwo. Dzięki nim prześladowany zachowuje dumę, poniżany — godność, uwięziony — wolność duchową. Inaczej jest, kiedy zachodzi proces asymilacji wartości przez świat totalitarny — wtedy wartości próchnieją, karleją, zamierają. Szacunek dla antyku przestaje być znakiem wartości — staje się ornamentem tyrańskiego ładu, który zbudowany jest na ich zaprzeczeniu.

Oto obraz obecności antyku w takim świecie:

„Dzięki energicznej akcji rządu, strażaków i organizacji młodzieżowych już po dwudziestu wiekach wydobyto dwa tysiące ofiar Wezuwiusza, które (trzeba to od razu powiedzieć) znajdują się w dobrym stanie i życiu ich nie zagraża już żadne niebezpieczeństwo. Zakochani odwracają się plecami do natarczywych dziennikarzy i angielskich starych panien, łańcuchowe psy szczekają jak opętane, a mały ulicznik przekazuje historii imię pewnej rozkosznicy” („Na pomoc Pompei”).

Oto antyk po ujawnieniu się bogów...

Ten punkt widzenia przeciwny jest głównej idei „Central Parku”, gdzie Miłosz opowiadał się za strategią „przenoszenia” po kryjomu wartości antycznych przez „czas ciemności”:

(...)

*Spokojnie patrząc na to co jest siłą,  
Wiemy, że mijają kto chce rządzić światem.  
I nie sądzimy aby trzeba było  
Z nożem żyć zawsze albo automatem.*

*Przemysłność broni w nieszczęście się zmienia,  
Sztandary wicher postrzępi w rozpędzie  
Ale greckiego dziedziczki imienia  
Stawa, dopóki trwa ludzkość, trwać będzie.*

*I wiek ciemności jak zima przeminie  
Gdy mocne soki drzewo ma pod korą.  
Uśmiech sofistów, jak w papieskim Rzymie,  
Pióro wytrąci z rąk inkwizytorom.*

*Tak jak już niegdyś z Konstantynopola  
W północne kraje przywiezione księgi,  
Głos naszych mędrców na zdziczałych polach  
Tworzącej źródłem stanie się potęgi.*

*Ten to Juliuszu zaszczyt jest nam dany:  
Wykute w złocie nowe formy wskrzeszać  
I choć nieprędki czas dalszej przemiany  
Waleczne trunki dla przyszłości mieszać.  
(...)*

(„Central Park”)

Inaczej Herbert. Ten nie wierzy, by można ocalić wartości kultury klasycznej w inny sposób, niż dając im bezustanne świadectwo. Ale jak to uczynić, skoro „szyję rosnącą do męczeństwa / uderza płaska dłoń naśmiewcy”, zaś „ci którzy przegrali tańczą z dzwonekami u nóg / w kajdanach śmiesznych strojów w piórach zdechłego orła”? Taki jest obraz klęski. Anioł Ironii pozwala poecie wyjść na spotkanie tej klęsce, a anioł Schizofrenii pozwoli mu to spotkanie przeżyć. Szaleństwo ratuje przed wszechwładzą Ironii; ironia chroni przed szaleństwem. Te dwa anioły, razem zespolone, pozwalają odpowiedzieć na pytanie o istotę stosunku Herberta do antyku, na pytanie: „dlaczego klasycy”?

1

*W księdze czwartej Wojny Peloponeskiej  
Tucydides opowiada dzieje swej nieudanej wyprawy*

*pośród długich mów wodzów  
bitew oblężeń zarazy  
gęstej sieci intryg  
dyplomatycznych zabiegów  
epizod ten jest jak szpilka  
w lesie*

*kolonia ateńska Amfipolis  
wpadła w ręce Brazydasa  
ponieważ Tucydides spóźnił się z odsieczą*

*zapłacił za to rodzinnemu miastu  
dozgonnym wygnaniem*

*exulowie wszystkich czasów  
wiedzą jaka to cena*

*generałowie ostatnich wojen  
jeśli zdarzy się podobna afera  
skomlą na kolanach przed potomnością  
zachwalają swoje bohaterstwo  
i niewinność*

*oskarżają podwładnych  
zawistnych kolegów  
nieprzyjazne wiatry*

*Tucydides mówi tylko  
że miał siedem okrętów  
była zima  
i płynął szybko*

*jeśli tematem sztuki  
będzie dzbanek rozbity  
mała rozbita dusza  
z wielkim żalem nad sobą*

*to co po nas zostanie  
będzie jak płacz kochanków  
w małym brudnym hotelu  
kiedy świtają tapety*

(„Dlaczego klasycy”)

Tak brzmi odpowiedź Herberta na pytanie o sens tradycji antycznej; na pytanie, jak podążać za Hektorem, jak opowiadać się za sprawą przegraną, jak bronić się przed rozpaczą.

## IX

Tucydides imponuje poecie umiejętnością godnego przegrywania turnieju z nieszczęściem. Ten sposób znoszenia werdyktów Historii należy do cnót najwyższej przez Herberta cenionych. Bo- wiem dla niego — jak dla Elzenberga, Malewskiej czy Szczepań-

skiego — sens wiernego trwania przy wartościach nie tkwił w szansach ich zwycięstwa, ale w nich samych. Herbert sens wartości odczytuje z dziejów — wie przeto, że ich losem bywa przegrane życie, zaś ich ceną — śmierć. Zwycięstwem nad okrucieństwem i nicością nie jest więc doraźny sukces, lecz sam akt dochowania wierności. Jest on zwycięstwem i zarazem nagrodą. Ten motyw jest równie trwały w pisarstwie Herberta, jak jednolitość jego wizji Przodującego Ustroju. W polityczny konkret poeta ingerował bardzo rzadko, a jego diagnozy formułowane w epoce stalinizmu („Do Marka Aurelego”, „Przypowieść o rosyjskich emigrantach”, „Trzy studia na temat realizmu”), podczas odwilży październikowej („Jesień sprawiedliwa”, „Ze szczytu schodów”, „Jak nas wprowadzano”), czy jeszcze później („Z dziejów Firmy”, „17 IX”, „Raport z oblężonego miasta”) są tyleż głosami w sprawach najbardziej aktualnych, co opisem generalnych mechanizmów funkcjonowania Przodującego Ustroju. Herbert doprowadził do perfekcji umiejętność przyoblekania konkretności w formuły o nośności uniwersalnej. Rzecz by można, że zespolił pogląd ogólny z „wilgotnym sercem rzeczy”; że zdołał „przełać wielość bez szatańskich pieców / ciemnej alchemii i zbyt jasnej abstrakcji” („Ścieżka”).

Wymienione wiersze nie są aluzyjne — każdy z nich opowiada o zdarzeniu aż nazbyt konkretnym. W każdy jednak wpisana jest wiedza wykraczająca poza to, co jednostkowe: jest opowieścią zarazem o „źródle” i o „wzgórzu”, o „idei” i „liściu”. Wymierzając sprawiedliwość swemu światu i swej epoce, umiał poeta poza ich horyzont wykroczyć i ich kryteria przewyciężyć.

A przecież świadomie wybrał klęskę. A przecież pisał:

(...)

*nie dla mnie gaj mirtowy strumień i obłoki  
zostały mi balkony wygnany arkadyjczyk  
patrzyć muszę na dachy jak na pełne morze  
gdzie okrętów tonących skarga dymi długa*

*cóż mi zostało cóż krzyk mandolin  
lot krótki i upadek na kamienne dno  
gdzie się czeka wśród gapiów na przyptyw wieczności  
oddając w zamian trochę krwi*

*nie tego czekałem nie to nie jest młodość  
stać z głową w bandażach i ręce przyciskać  
(...)*



*tak zegarze tak trucizno to będzie jedyna podróż  
podróż promem na drugi brzeg rzeki  
(...)*

(„Balkony”)

Podróż promem na drugi brzeg rzeki Styks wydawała się jedyną perspektywą tego, który zdecydował się być poetą martwych — zamordowanych, i żywych — zakneblowanych. Jego opcja była jednoznaczna — żadnych kompromisów z „łobuzami od Historii”. Milczał i pisał do szuflady.

A przecież z dzisiejszej perspektywy jest oczywiste, że to on właśnie zwyciężył: jako pisarz i jako człowiek. W jaki sposób tego dokonał?

Herbertowska strategia intelektualnego pojedynku ze światem była skomplikowana: przez cały czas cechowała ją dialektyka „solidarności” i „oporu”. „Solidarności” ze swą społecznością i „oporu” wobec procesów w tej społeczności zachodzących. Herbert, tak jak i jego dobry znajomy Pan Cogito, jest Polakiem i obywatelem cywilizacji zachodniej; w obu tych wymiarach bywa rzecznikiem „solidarności” i głosem „oporu”.

Jest Polakiem, a boli go, że jego ziomkowie „oddali historię i weszli w lenistwo gablotek / leżą w grobowcu pod szkłem obok wiernych kamieni” („Ci którzy przegrali”); jest człowiekiem cywilizacji Zachodu, a boli go, że „zziajani alchemicy halucynacji / produkują / nowe dreszcze / nowe kolory / nowe jęki / i rodzi się sztuka / agresywnej epilepsji / z czasem / deprawatorzy osiwieją / i pomyślą o zadośćuczynieniu / powstaną wtedy / nowe więzienia / nowe azyle / nowe cmentarze / jest to jednak wizja / lepszej przyszłości / na razie / magia / kwitnie / jak nigdy” („Pan Cogito o magii”).

Pan Cogito — to jest jego zasługa główna — wynalazł sposób na życie w takim świecie; wymyślił własną grę z tym światem.

## GRA PANA COGITO

### 1

*Ulubioną zabawą  
Pana Cogito  
jest gra Kropotkin*

*ma wiele zalet  
gra Kropotkin*

*wyzwała wyobraźnię historyczną  
poczucie solidarności  
odbywa się na wolnym powietrzu  
obfituje w dramatyczne epizody  
jej reguły są szlachetne  
despotyzm zawsze przegrywa*

*na wielkiej tablicy imaginacji  
Pan Cogito ustawia figury*

*król oznacza  
Piotra Kropotkina w twierdzy pietropawłowskiej  
laufrę trzech żołnierzy i sztyldwacha  
wieża zbawczą karete*

*Pan Cogito ma do wyboru  
wiele ról*

*może grać  
śliczną Zofię Nikołajewną  
ona w kopercie zegarka  
przemysca plan ucieczki*

*może być także skrzypkiem  
który w szarym domku  
umyślnie wynajętym  
naprzeciw więzienia  
gra Urowadzenie z Seraju  
co oznacza ulica wolna*

*najbardziej jednak  
lubi Pan Cogito  
rolę doktora Orestesa Weimara*

*on w dramatycznym momencie  
zagaduje żołnierza przy bramie*

*— widział ty Wania mikroba  
— nie widział  
— a on bestia po twojej skórze łązi*

— *nie mówcie jaśnie panie*  
— *a łazi i ogon ma*  
— *duży?*  
— *na dwie albo trzy wiorsty*

*wtedy futrzana czapka*  
*spada na baranie oczy*

*i już*  
*toczy się wartko*  
*gra Kropotkin*

*król-więzień sadzi wielkimi susami*  
*szamocze się chwilę z flanelowym szlafrokiem*  
*skrzypek w szarym domku*  
*gra Urowadzenie z Seraju*  
*słychać głosy łapaj*  
*doktor Orestes snuje o mikrobach*  
*bicie serca*  
*podkute buty na bruku*  
*wreszcie zbawcza karetą*  
*laufry nie mają ruchu*

*Pan Cogito*  
*cieszy się jak dziecko*  
*znów wygrał grę Kropotkin*

2

*tyle lat*  
*tyle już lat*  
*gra Pan Cogito*

*ale nigdy*  
*nie pociągała go rola*  
*bohatera ucieczki*

*nie przez niechęć*  
*do błękitnej krwi*  
*księcia anarchistów*  
*ani wstręt do teorii*  
*o wzajemnej pomocy*

*nie wynika to także z tchórzostwa  
Zofia Nikołajewna  
skrzypek z szarego domu  
doktor Orestes  
też nastawiali głowy*

*z nimi jednak  
Pan Cogito  
utożsamia się niemal zupełnie*

*jeśliby zaszła potrzeba  
mógłby być nawet koniem  
karety uciekiniera*

*Pan Cogito  
chciałby być pośrednikiem wolności*

*trzymać sznur ucieczki  
przemycać gryps  
dawać znak  
zaufać sercu  
czystemu odruchowi sympatii*

*nie chce jednak odpowiadać za to  
co w miesięczniku Freedom  
napiszą brodacze  
o nikłej wyobraźni*

*przyjmuje rolę poślednią  
nie będzie mieszkał w historii*

(„Gra Pana Cogito”)

Być pośrednikiem wolności — cóż to oznacza?  
W XX wieku, epoce totalnych konfliktów i totalitarnych ideologii, postawa taka oznacza każdorazowy akces, wieczny znak gotowości do niesienia pomocy uwięzionym, godności poniżonym, otuchy prześladowanym. Jest to więc postawa odrzucania pokusy ucieczki w krainę kontemplacji i zaangażowania w polityczne konflikty współczesności. Pan Cogito wszakże nie wierzy w definitywność politycznych rozwiązań. Mógłby pewnie powtórzyć za Simone Weil, że „wolność jest wieczną uciekinierką z obozu zwycięzców”, a on sam decyduje się być jej wiecznym sprzy-

mierzeńcem, pośrednikiem i towarzyszem drogi. Dlatego nie opowiada się za żadną z politycznych doktryn. Opowiada się za akcją na rzecz ludzkiej wolności, która wprawdzie znajduje w doktrynach swój wyraz, ale zarazem jest przez nie krępowana, a po zwycięstwie — niemal zawsze obracana w swe przeciwieństwo. Pana Cogito urzeka wizerunek księcia anarchistów uciekającego z carskiego więzienia, ale odstręcza obraz jego spadkobierców, „brodaczy o nikłej wyobraźni”, którzy w miesięczniku o nazwie *Freedom* kreślą swe wizje świetlanej przyszłości. Owe wizje to nic innego jak zapowiedź „nowych więzień” i „nowych cmentarzy” („Pan Cogito o magii”), to „prawda uczuć / z rezerwatów przyrody”, co „szuka utraconego raju / w nowych dżunglach porządku”, to „śmierć gwałtowna” wolności („Pan Cogito a pop”).

Pan Cogito nie wierzy przeto w utopijne projekty ładu społecznego i świat wolny od konfliktów. Dlatego „nigdy nie pociągała go rola bohatera ucieczki”. W tym sensie jest ponadpolityczny. Ponad politykę, pojmowaną jako dążenie do władzy i realizacji doktrynalnego projektu, przekłada wybór konkretnych racji moralnych i konkretnych gestów solidarności: „trzymać sznur ucieczki / przemycać gryps / dawać znak / zaufać sercu”. Taki jest kanon moralny Pana Cogito na dzień dzisiejszy, na czas dyktatury i łobuzów od Historii, alchemików halucynacji i brodaczy o nikłej wyobraźni; na epokę, którą Elzenberg określił jako „przewrót w kulturze”.

Jeden z mistrzów Pana Cogito, Kartezjusz, powiadał w „Rozprawie o metodzie”:

„Nim ktoś zacznie przebudowywać dom, w którym mieszka, nie dość jest zburzyć go jeno i zgromadzić zapas materiałów oraz zgodzić architektów lub też ćwiczyć się samemu w architekturze, wreszcie nakreślić starannie plan. Trzeba mu także wystarać się o jakiś inny domek, gdzie by mógł wygodnie się pomieścić przez czas, kiedy będzie pracował nad nowym. Tak więc, iżby nie pozostał chwiejny w swoich czynnościach przez czas, przez który rozum zmusza mnie być chwiejnym w sądach, i abym mógł wśród tego żyć najszczęśliwiej jak zdołam, utworzyłem sobie moralność tymczasową...”.

Trzy zasady owej etyki na czas przewrotu, etyki tymczasowej, brzmiały:

Pierwsza zasada: „... Być posłusznym prawom i obyczajom mego kraju, dzierżąc się stale religii, w której Bóg dozwolił mi

łaskawie wzrosnąć od dzieciństwa. We wszelkiej innej rzeczy prowadzić się wedle mniemań najbardziej umiarkowanych i najbardziej oddalonych od wszelkiego wybryku oraz powszechnie przyjętych w praktyce przez najroztropniejszych między tymi, z którymi żyć wypadnie... A że mogą się zapewne znajdować ludzie równie rozsądni wśród Persów lub Chińczyków co wśród nas, zdawało mi się, że najużyteczniejszym prowadzić się będzie wedle tych, z którymi mi żyć wypadło... postanowiłem baczyć raczej na to, co czynią, niż na to, co mówią...”

Druga zasada: „... Być możliwie najbardziej stałym i niewzruszonym w postępkach i trzymać się mniemań nawet najbardziej wątpliwych — skoro już raz do nich przystąpię — nie mniej pewnie, co gdyby były bardzo ugruntowane... Choćbyśmy nawet nie widzieli więcej prawdopodobieństwa w jednych niż w drugich, winniśmy się wszelako przechylać ku niektórym i uważać je później, w odniesieniu do praktyki, już nie jako wątpliwe, ale jako zupełnie prawdziwe i pewne”.

Trzecia zasada: „Starać się zwyciężyć raczej siebie niż los i raczej odmienić własne pragnienia niż porządek świata, i na ogół przyzwyczać się do przeświadczenia, iż nie ma nic, co by było zupełnie w naszej mocy prócz myśli”.

Stąd prosta droga do formuły: *cogito ergo sum*.

Grę Pana Cogito interpretować należy jako rozwinięcie powyższych zasad etyki tymczasowej. Jej ceną jest — zdaniem poety — świadomość, że Pan Cogito „przyjmuje rolę poślednią / nie będzie mieszkał w historii”. Czy nie kryje się wszakże w tej grze faryzeizm, kult „czystych rąk”, decyzja świadomego uchylania się od odpowiedzialności? Czy Pan Cogito nie jest po prostu niekonsekwentny?

Nie sądzę. Pan Cogito nie uchyla się od odpowiedzialności za czyny, których sensu moralnego jest pewien; uchyla się natomiast od czynów, których moralny sens nie jest dlań klarowny. Za przemycenie gipsu można zapłacić głową — ten czyn wszakże nie wymaga politycznej identyfikacji z żadną doktryną, partią czy Kościołem. Oczywiście — zareplikuje na to adwersarz Pana Cogito — ale przecież ramy ludzkiego losu wyznaczone są przez poczynania ludzi doktryny, partii czy Kościoła. Zgoda — odpowiemy. Ramy te wyznaczają także plutony egzekucyjne, kat obsługujący gilotynę, szpicel podsłuchujący prywatną rozmowę. Nie jest to wszakże wystarczający powód, by w każdej z tych form rzeźbienia ludzkiego losu należało partycypować.

W etykę Pana Cogito wpisany jest nakaz, by każdą doktrynę osądzać z perspektywy jej służby zasadom wolności. Wolność stanowi większą wartość niż jakikolwiek z politycznych programów. Zaś ludzie, którzy służbie wolności podporządkowują swe życiowe decyzje, są — dodajmy od siebie — współkonstruktorami ludzkiego losu w równej mierze, co ludzie służący partiom i doktrynom.

Trudno nam zatem podzielić konkluzję poety, że Pan Cogito „nie będzie mieszkał w historii”. Cóż to bowiem oznacza?

Tomasz Mann był zdania, że „w historii świata jest każdy. Wystarczy tylko narodzić się, by tak czy owak, lepiej czy gorzej, przez odrobinę własnego bytu wnieść swoją cząstkę do całości procesu dziejowego. Przeważnie jednak ludzie krzątają się z dala i na uboczu, na marginesie, nieświadomi głównego nurtu wydarzeń i nie biorąc w nim udziału, skromni i w gruncie rzeczy zadowoleni, że nie należą do jego głównego personelu”. Ale są tacy, którzy nie chcą krzątać się na marginesie i pragną „dostać się w główny nurt, w nurt Obietnicy”, pragną „należeć do rodziny, włączyć się w łańcuch pokoleń, wiodący przez stulecia ku zbawieniom” („Józef i jego bracia”).

Jaki to nurt? Nurt władzy czy nurt wolności?

Największy dziś autorytet mojego narodu napisał tak:

*Wolność trzeba stale zdobywać,  
nie można jej tylko posiadać.  
Przychodzi jako dar,  
Utrzymuje się poprzez zmaganie.  
Dar i zmaganie wpisują się w karty ukryte,  
a przecież jawne.  
Całym sobą płacisz za wolność  
więc to wolnością nazywaj,  
że możesz płacąc  
ciągle na nowo siebie posiadać.  
Tą zapłatą wchodzimy w historię  
i dotykamy jej epok:  
Którędy przebiega dział pokoleń  
między tymi,  
co nie dopłacili,  
a tymi,  
co musieli nadpłacać?  
Po której jesteś stronie?*

(Karol Wojtyła, „Myśląc Ojczyznę”)

Po której stronie jest Pan Cogito? Podąża drogą, którą weszli do historii Sokrates i Galileusz, św. Franciszek z Asyżu i Adam Mickiewicz, Martin Luther King i Andriej Sacharow — on też do niej wejdzie. Na szczęście historia nie jest w tak powszechnym władaniu tyranów czy „brodaczy o nikłej wyobraźni”, jak nasz czas współczesny. Na szczęście Herbert się myli...

Jednak konkluzja poety ma sens nie tylko opisany: jest również deklaracją intencji. Pan Cogito nie po to trzyma sznurki ucieczki, by zamieszkać w historii. Czyni tak po to, by pomóc wolności — i będzie tak czynił nawet wtedy, gdy cena będzie w y g n a n i e z historii. Zakładając z góry, że w niej nie zamieszka, dokonując dobrowolnego wyrzeczenia, staje się niedostępny pokusom „zziajanych alchemików halucynacji”. To jest jego zbroja.

## X

Być „pośrednikiem wolności” oznacza uczestniczyć we wspólnocie, choćby z tym jednym człowiekiem, któremu przemyca się gryps i trzyma sznur ucieczki. Ale oto nikt już nie chce uciekać, grypsy nie znajdują odbiorców, społeczność godzi się z niewolą, a „ci którzy przegrali tańczę z dzwonekami u nóg / w kajdanach śmiesznych strojów w piórach zdechłego orła”.

To jest czas próby ostatecznej.

Poeta przygląda mu się z chłodnym spokojem, dokonuje jego precyzyjnej wiwisekcji i po stoicku rozważa własną przyszłość.

(...)

*Pan Cogito  
chciałby stanąć  
na wysokości sytuacji*

*to znaczy  
spojrzeć losowi  
prosto w oczy*

(...)

*patrzy przez okno  
jak słońce Republiki  
ma się ku zachodowi  
pozostało mu niewiele  
właściwie tylko  
wybór pozycji  
w której chce umrzeć*



*wybór gestu  
wybór ostatniego słowa*

*dlatego nie kładzie się  
do łóżka  
aby uniknąć  
uduszenia we śnie*

*chciałby do końca  
stanąć na wysokości sytuacji  
(...)*

(„Pan Cogito o postawie wyprostowanej”)

Herbert zna smak kłęski i gorycz osamotnienia; nie raz już konfrontował wybrany przez siebie etos rycerski z realiami ustrojów totalitarnych. „Pieśń o Rolandzie” opowiadała o rycerskiej śmierci bitewnej wśród dzielnych rycerzy; pieśń o Panu Cogito opowiada, jak w systemie totalitarnej dyktatury każdy umiera w samotności. Roland oglądał wierność i bohaterskie czyny swych towarzyszy broni; Pan Cogito patrzy, jak „obywatele nie chcą się bronić”, obserwuje „epidemię instynktu samozachowawczego” i „przyspieszone kursy padania na kolana”; widzi, że jego towarzysze „biernie czekają na wroga”, „zakopują złoto”, „uczą dzieci kłamać”. Nasłuchuje wciąż gorszych nowin: oto „świętynię wolności zamieniono na pchli targ”, podobno „senat obraduje nad tym jak nie być senatem”.

Pan Cogito wie, co będzie dalej. Przez otwarte bramy wtargną barbarzyńcy, od których ogromny chłód wieje. Cień ich przepali trawę, kiedy zlecą w dolinę, krzycząc swoje przeciągłe: *nothing, nothing, nothing*. Nakażą mury więzień zamalować na różowo i kroczyć w karnych pochodach w rytm bębna. Sen ludzki stanie się niespokojny:

(...)  
*przerwie sen nagłe wejście trzech  
wysokich z gumy i żelaza  
sprawdzą nazwisko sprawdzą strach  
i zejść nakażą w dół po schodach  
nic z sobą zabrać nie pozwolą  
prócz współczującej twarzy stróża  
(...)*

(„Odpowiedź”)

Pana od przyrody zabiją łobuzy od historii, którzy bożka ironii tłukli obcasami i wsypywali do potraw. Tylko kilku bogów zdoła się ukryć. Ale i oni po niedługim czasie zbiorą się w baraku na przedmieściu. Zeus będzie mówił jak zwykle długo i nudnie. Wniosek końcowy: organizację trzeba rozwiązać, dość bezsensownej konspiracji, należy wejść w to racjonalne społeczeństwo i jakoś przeżyć.

Pan Cogito widzi to wszystko w nagłym błysku, gdy patrzy przez okno, jak słońce Republiki ma się ku zachodowi. Wie, że zostało mu niewiele: właściwie tylko wybór pozycji, w której chce umrzeć, wybór gestu, wybór ostatniego słowa.

Tym ostatnim słowem są dwa przesłania: do przyjaciół i do wrogów.

W „Przesłaniu Pana Cogito” do przyjaciół zsyntetyzowana została cała wiedza o tajemnicy ludzkiej, godności, o spokoju w desperacji, glorii w klęsce, nadziei w beznadziejności, o zuchwałstwie prawdy i pokorze cnoty, o dumie potrzebnej i dumie niepotrzebnej, o pogardzie dla procederu szpiclów i katów, o geście solidarności z poniżonymi i bitymi; o tym wreszcie, że pociechy spodziewać się nie należy, a jedyną nagrodą będzie świadomość, że było się wiernym.

Ten jeden z najwspanialszych polskich wierszy, wiersz-manifest i wiersz-modlitwa, wiersz-wyznanie i wiersz-błogosławieństwo, jest i pozostanie największym zadośćuczynieniem dla tych, którzy słowa jego uznają za swoje. Poczucie, że to do nich zwrócił się poeta, będzie dla nich nagrodą.

Wrogom zaś powiedział:

*Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco  
a droga którą Jaś i Małgosia dreptali do szkoły  
nie rozstąpi się w przepaść*

*Rzeki nazbyt leniwe nieskore do potopów  
rycerze śpiący w górach będą spali dalej  
więc łatwo wejdiesz nieproszony gościu*

I zaraz potem:

*Ale synowie ziemi nocą się zgromadzą  
śmieszni karbonariusze spiskowcy wolności  
będą czyścili swoje muzealne bronie  
przysięgali na ptaka i na dwa kolory*

Przeto: tryumf wroga będzie tyleż oczywisty, co i pozorny. Bowiem tu, na tej ziemi, pomimo jej bezbronności i osamotnienia, żaden tryumf przemocy nie jest ostateczny. Bowiem zniewolić Polaków można tylko wtedy, gdy ich się skłoni, by „oddali historię i weszli w lenistwo gablotek”. Gdy jednak wyjmą swoje muzealne bronie, wtedy można ich zgładzić ale niepodobna rzucić na kolana.

*A potem tak jak zawsze — tony i wybuchy  
malowani chłopcy bezsenni dowódcy  
plecaki pełne kłęski rude pola chwały  
krzepiąca wiedza że jesteśmy — sami*

Wszystko to było, jest i będzie. To jest już wpisane w polski los.

„Ale obrona trwa i będzie trwała do końca / i jeśli miasto padnie ocaleje jeden / on będzie niósł miasto w sobie po drogach wygnania / on będzie Miasto” („Raport z oblężonego Miasta”).

## XI

Proroctwo o „śmiesznych karbonariuszach” kończy się słowami:

(...)  
*Moja bezbronna ojczyzna przyjmie cię najeźdźco  
i da ci szańc ziem pod wierzbą — i spokój  
by ci co przyjdą po nas uczyli się znowu  
najtrudniejszego kunsztu — odpuszczania win*

(„17 IX”)

Ten wiersz, napisany jesienią 1981 roku (dokładnie — 17 września), antycypując szok stanu wojennego, stanowi zarazem zwięzłą rekapitulację podstawowych wątków herbertowskiego świata wartości. Pisał Błoński, że: „nigdzie (...) liryzm Herberta nie bucha silniej niż wtedy, kiedy mowa o ojczyźnie (...). Nigdzie też lepiej nie widać, jak nieknięte pozostały dla Herberta dogmaty duchowe dawnego porządku”.

Prawda to i nieprawda zarazem. Prawda — bowiem Herbert w całej swej twórczości zachował szczególną wrażliwość na wartość ojczyzny; nieprawda — bowiem w swojej istocie wiersze Herberta są nie tylko afirmacją tradycyjnej etyki patriotycznej,

ale i konsekwentnym przeformułowywaniem dawnego porządku dogmatów duchowych. Jest w nich i solidarność i opór.

Spór poety z rodakami o kształt polskiej wyobraźni rozgrywał się jednak nie na poziomie walki o kanon narodowych wartości — tu Herbert, inaczej niż Miłosz, był solidarny ze wspólnotą.

Miłosz rąbał po oczach:

(...)

*Łączę drobne ogniwa, staram się jak da się  
Wytłumaczyć powszechny (i czy w jednej klasie?)  
Strach przed myślą. Te znane ciemne rumieńczyki,  
Te buzie w ciup, sapnięcia, niecierpliwe syki:  
Nie szargać! To nie pora! Nie jątrzyć! Nie kalać!  
Trzymać krótko przy pysku! Na jad nie pozwalać!  
Krzepić serca! Jednoczyć! I nie dać się złamać!  
Zatrzeć! Schować pod sukno! (Krótko mówiąc, skłamać).  
Toż to jest cały program. Dobry. Jak dla kogo.  
Nie dla tych, którzy skutki wyobrazić mogą.*

(...)

*I po tym się was wszędzie i zawsze poznaje  
Choćbyście odmienili klimaty i kraje,  
Że ludzie, kiedy nie są zapalni i ciemni,  
Zaraz jakoś przestają być dla was przyjemni  
A poeta, jeżeli z wami sprzymierzony,  
Wydaje tylko drżące i jęśliwe tony.  
Których treść eteryczną zatarła cenzura.  
Tą formą presji zwykle najwięcej się wskóra*

(„Toast”)

Z pozorów takim „sprzymierzonym” poetą był właśnie Herbert. Jednak „dogmaty duchowe dawnego porządku” to nie tylko system wartości, ale i język rozmowy o nich, styl ich wyznawania. Ten styl, który wiódł ku nacjonalistycznym deformacjom i państwotwórczej bładzie — obiektem wściekłości Miłosza. Z tym właśnie podjął Herbert spór na poziomie walki o język. Język jego wierszy jest polemiką z szowinistycznym wynaturzeniem patriotycznego kanonu w ksenofobię i w triumfalizm; także w kłamstwo. To również język trzeźwej obserwacji, chroniący przed obłudą, nieodstępnym towarzyszem wyznawców „dogmatów duchowych dawnego porządku”. Posłuchajmy:

*Kiedy mój starszy brat  
wrócił z wojny*

*miął na czole srebrną gwiazdkę  
a pod gwiazdką  
przepaść*

*to odłamek szrapnela  
trafił go pod Verdun  
a może pod Grunwaldem  
(szczegółów nie pamiętał)*

*mówił dużo  
wieloma językami  
ale najbardziej lubił  
język historii*

*do utraty oddechu  
podrywał z ziemi poległych kolegów  
Rolanda Feliksiaka Hannibala*

*krzyczał  
że to ostatnia wyprawa krzyżowa  
że wkrótce Kartagina padnie  
a potem wśród szlochów wyznawał  
że Napoleon go nie lubi  
jak błędnie  
zmysły go opuszczają  
wolno obracał się w pomnik  
(...)*

(„Deszcz”)

Tak brzmi prawda bez szyderstwa. Tak brzmi propozycja nowego języka o narodowych wartościach — tych najświętszych. Język tego wiersza jest oszczędny, trudny i autoironiczny. Nie da się w tym języku sformułować szowinistycznych haseł nasyconych fanatyzmem i nienawiścią. Jest on tak przezroczystry, że mówiąc nim — niepodobna kłamać. Język „dogmatów duchowych dawnego porządku” był — jak wiadomo — na takie deformacje podatny.

Patriotyczna etyka Herberta zawiera się pomiędzy nakazem: „i nie przebaczaj zaiste nie w twojej mocy / przebaczać w imieniu tych których zdradzono o świcie” („Przesłanie Pana Cogito”), a nieugiętą wiarą, że „ci co przyjdą po nas” będą „uczyli się znowu/najtrudniejszego kunsztu — odpuszczania win” („17 IX”).

Sprzeczność między nakazem a nadzieją jest tylko pozorna. Nakaz „i nie przebaczej” jest przykazaniem wierności zdradzonemu i zamordowanemu; jest aktem solidarności zwyciężającej śmierć. To nie jest zemsta — to jest pamięć i wierność. „Najtrudniejszy kunszt odpuszczania win” nie jest wyrzeczeniem się wierności. Jest przekroczeniem — ale nie zmazaniem — pamięci własnego bólu.

Przekroczyć rami własnej pamięci to także na nowo wykreować własną świadomość, odnowić się, ponownie wyrzeźbić swój duchowy wizerunek. Kiedy więc poeta mówi o tych, co będą „przysięgali na ptaka i na dwa kolory”, to poprzez serdeczną autoironię oczyszcza rytualny akt wierności podbitej ojczyźnie z nalotu drętwego pustosłowia; kiedy zaś mówi o „najtrudniejszym kunszcie” — składa deklarację posłuszeństwa najistotniejszym korzeniom duchowym swej wspólnoty.

Jest przeto wierny „dogmatom duchowym dawnego porządku” na tej samej zasadzie, co katolicki kapłan wierny jest nakazom Ewangelii. Wśród kapłanów wszakże są integryści i moderniści. Herbert — trzymając się tego porównania — ani integrystą ani modernistą być ani nie chce, ani nie może. Osobliwość polskiej sytuacji polega na tym, że musi być on zarazem jednym i drugim.

Jest przeciw „totalitarnej modernizacji”, ale proste powtarzanie dawnych formuł po prostu mu nie wystarcza. Dlatego szuka własnego języka i podąża własną drogą.

## XII

Z Przodującym Ustrojem zetknął się poeta bardzo wcześniej, jeszcze w swym rodzinnym mieście — Lwowie. Spoglądając na przedwojenną mapę Polski, napisał:

„Na samym rogu tej starej mapy jest kraj, do którego tęsknię.  
Jest to ojczyzna jabłek, pagórków, leniwych rzek, cierpkiego wina  
i miłości. Niestety wielki pająk rozsnuł na nim swą sieć i lepłą  
śliną zatknął rogatki marzenia. Tak jest zawsze: anioł z ognistym  
mieczem, pająk, sumienie”.

(„K r a j”)

Pojedynek sumienia z pająkiem trwać będzie nieprzerwanie, a największe nasilenie osiągnie, gdy rządowi Pajaka nad Polską towarzyszyć zaczęła mistyka „obleżonej twierdzy”. Była uzasadnieniem

dla specjalnej dyscypliny, szpiclowskiej czujności, bezwzględного posłuszeństwa. Rządził cesarz. Jeden z prokonsulów tak go scharakteryzował:

(...)

*cesarz zresztą lubi odwagę cywilną  
do pewnych granic do pewnych rozsądnych granic  
to w gruncie rzeczy człowiek tak jak wszyscy  
i już bardzo zmęczony sztuczkami z trucizną  
nie może pić do syta nieustanne szachy  
ten lewy kielich dla Druziusza w prawym umoczyć wargi  
potem pić tylko wodę nie spuszczać oka z Tacyta  
wyjść do ogrodu i wrócić gdy już wyniosą ciało*

(„Powrót prokonsula”)

Później wspominał poeta:

„Był sobie raz cesarz. Miał żółte oczy i drapieżną szczękę. Mieszkał w pałacu pełnym marmurów i policjantów. Budził się w nocy i krzychał. Nikt go nie kochał. Najbardziej lubił polowania i terror. Ale fotografował się z dziećmi wśród kwiatów. Kiedy umarł, nikt nie śmiał zdjąć jego portretów. Zobaczcie, może jest jeszcze u was w domu jego maska”.

(„C e s a r z”)

Cesarz miał status Boga z herbertowskiego raję: oglądali go tylko nieliczni, był „tylko dla tych z czystej pneumy / reszta słuchoła komunikatów o cudach i potopach”.

Poeta miał jednak swoje sposoby: dopadał cesarza we śnie. Sen nie był sojusznikiem tyrana. Nawet skazańcowi pojawiał się on we śnie bez naturalnej glorii:

*Broda króla na którą tłuszczę i owacje  
spadały tak że ciężka stała się jak topór  
ukazuje się nagle skazańcowi we śnie  
i na lichtarzu ciała sama świeci w mroku*

*jedna ręka od mięsa wielka jak prowincja  
Po której oracz lizie snuje się korweta  
ręka berłem władnąca zeszcła od dystynkcji  
zsiwiała od starości jak stara moneta*

*w klepsydrze serca piasek sący się leniwie  
nogi zdjęto z butami w kącie jak na warcie  
stoją gdy nocą tężejąc na tronie  
król bezpotomnie trzeci wymiar traci*

(„Opis króla”)

Taki jest sen skazańca. A oto sen cesarza:

„Szpara! — krzyczy przez sen cesarz, aż drży nad jego głową baldachim strusich piór. Żołnierze, którzy chodzą wokół sypialni z obnażonymi mieczami, sądzą, że cesarz śni obłężenie. Teraz właśnie dostrzegł szczelinę w murze i chce, by przez nią wdzierali się do twierdzy.

A naprawdę cesarz jest teraz stonogą, która biegnie po podłodze w poszukiwaniu resztek jedzenia. Naraz widzi nad głową ogromny sandał, który już już ma go zmiażdżyć. Cesarz szuka szpary, w którą mógłby się wcisnąć. Podłoga jest gładka i śliska.

Tak. Nie ma nic pospolitszego nad sny cesarzy”.

(„Sen cesarza”)

Sny demaskują tyranów. Sny nie zostały upokorzone — są źródłem naszej otuchy. Ofiarowują nam Akropol i portret Mony Lizy bezwolnego tyrana, im zaś — przeraźliwy obraz własnego strachu.

Jakże różne są ludzkie strachy!

(...)  
*nasz strach  
to znaleziona w kieszeni  
kartka  
„ostrzec Wójcika  
locum na Długiej spalone”*

*nasz strach  
(...)  
ma kształt pośpiesznie  
związanego tobołu  
z ciepłą odzieżą  
suchym prowiantem  
i bronią  
(...)*

(„Nasz strach”)



Zaś ich strach, tych, którzy sypiają z baldachimem strusich piór nad głową, to wizja, że się jest „stonogą, która biegnie po podłodze w poszukiwaniu resztek jedzenia” i „naraż widzi nad głową ogromny sandał”. Świat snu jest rewanżem więźniów nad despotami.

W świecie jawy zwyciężają oni, despotci, profesjonalści władzy — „ci którzy stoją na szczycie schodów”.

Do nich zwrócił się Miłosz w wierszu „Do polityka”:

*Kto ty jesteś człowieku — zbrodniarz czy bohater?  
Ty, którego do czynu wychowała noc.  
Oto starca i dziecka w ręku dzierzysz los  
twarz twoja zakryta  
Jak golem nad światem.*

*Czy obrócisz w popioły miasto czy ojczyznę?  
Stój! Zadrzyj w sercu swoim! Nie umywaj rąk!  
Nie oddawaj wyroku niespełnionym dziejom!  
Twoja jest waga i twój jest miecz.  
Ty, ponad ludzką troską, gniewem i nadzieją  
Ocalasz albo gubisz  
Pospolitą rzecz*

*Ty jesteś dobry i w gronie rodziny  
Pieścisz nieraz blask dziecinnych głów.  
Ale jeżeli przeklnie ciebie — milion rodzin?  
Biada! Co pozostanie z twoich dobrych dni?  
Co pozostanie z twoich krzepkich mów?  
Ciemność nadchodzi.*

*Gwarne miasta i pola, kopalnie, okręty,  
Na twojej dłoni, ludzkiej, jakże ludzkiej.  
Patrz. Linia twego życia tedy będzie złta.  
Trzykroć błogostawiony  
Po trzykroć przeklęty  
Władco dobra  
Albo władco złta*

(„Do polityka”)

Spróbujmy potraktować jako replikę na ten wiersz herbertowski „Tren Fortynbrasa”, opatrzony dedykacją „dla M.C.” (Miłosza Czesława). „Tren” skonstruowany jest w formie monologu Fortynbrasa, królewicza Norwegii, który po śmierci Hamleta bierze Danię w swe władanie. Jest to więc herbertowska rekon-

strukcja motywacji i argumentów polityków — ludzi władzy.  
Mówił Fortynbras do martwego Hamleta:

Teraz kiedy zostaliśmy sami możemy porozmawiać książę  
[jak mężczyzna z mężczyzną]  
choć leżysz na schodach i widzisz tyle co martwa mrówka  
to znaczy czarne słońce o złamanych promieniach  
Nigdy nie mogłem myśleć o twoich dłoniach bez uśmiechu  
i teraz kiedy leżą na kamieniu jak strącone gniazda  
są tak samo bezbronne jak przedtem To jest właśnie koniec  
Ręce leżą osobno Szpada leży osobno Osobno głowa  
i nogi rycerza w miękkich pantoflach  
Pogrzeb mieć będziesz żołnierski chociaż nie byłeś żołnierzem  
jest to jedyny rytuał na jakim trochę się znam  
Nie będzie gromnic i śpiewu będą lonty i huk  
kir wleczony po bruku hełmy podkute buty konie artyleryjskie  
[werbel werbel wiem nic pięknego]  
to będą moje manewry przed objęciem władzy  
trzeba wziąć miasto za gardło i wstrząsnąć nim trochę

Tak czy owak musiłeś zginąć Hamlecie nie byłeś do życia  
wierzyłeś w kryształowe pojęcia a nie glinę ludzką  
żyłeś ciągłymi skurczami jak we śnie łączyłeś chimery  
łapczywie gryzłeś powietrze i natychmiast wymiotowałeś  
nie umiałeś żadnej ludzkiej rzeczy nawet oddychać nie umiałeś

Teraz masz spokój Hamlecie zrobiłeś co do ciebie należało  
i masz spokój Reszta nie jest milczeniem ale należy do mnie  
wybrałeś część łatwiejszą efektowny sztych  
lecz czymże jest śmierć bohaterska wobec wiernego czuwania  
z zimnym jabłkiem w dłoni na wysokim krześle  
z widokiem na mrowisko i tarczę zegara

Żegnaj książę czeka na mnie projekt kanalizacji  
i dekret w sprawie prostytutek i żebraków  
muszę także obmyśleć lepszy system więzień  
gdyż jak zauważyłeś słusznie Dania jest więzieniem  
Odchodzę do moich spraw Dziś w nocy urodzi się  
gwiazda Hamlet Nigdy się nie spotkamy  
to co po mnie zostanie nie będzie przedmiotem tragedii

Ani nam witać się ani żegnać żyjemy w archipelagach  
a ta woda te słowa cóż mogą cóż mogą książę

(„Tren Fortynbrasa”)

Argumenty Fortynbrasa zostały przedstawione tak obiektywnie, tyle w nich namysłu i rozważań, że niejeden z krytyków uznał, iż sam Herbert identyfikuje się z tymi racjami. Wszelako — słusznie podkreślił Błoński — „żadne interpretacje (...) nie przesłonią w Fortynbrasie zwykłego świntucha”. Prawdziwym bohaterem wiersza jest Hamlet, który „wierzył w kryształowe pojęcia a nie glinę ludzką”, „żył ciągłymi skurczami” i „łowił chimery”.

Dokładnie tak samo musiał mówić do poety niejeden z „obłudnych protektorów”; niejeden z tych, którzy opowiadali mu przypowieść o rosyjskich emigrantach, nagradzali chłostą śmiechu i straszili śmiercią na śmietniku Historii. Hamlet jest poetą widzianym oczyma Fortynbrasa — polityka.

Role zostały rozdane uczciwie: Hamlet musi wciąż robić to, co do niego należy — dopiero śmierć przyniesie mu ukojenie. Fortynbrasa stać na litościwe pochylenie się nad poetą, który umiera na chorobę uczciwości, chorobę śmiertelną w świecie kłamstwa, przemocy i zdrady. Różni się tym nieco od swoich czynowników, którzy wprawdzie tak samo jak on „biorą miasto za gardło” i „obmyślają lepszy system więzień”, nie popadają jednak przy tym w chwilę refleksyjnej zadumy...

Fortynbras i jego ludzie dzierżą miecz i wagę. Oni wygrają, z „ulgą rzuca grudę” na hamletowy grób. „Na polu walki politycznej — pisał Stanisław Ossowski — zwycięstwo nie bywa udziałem Hamletów”. Taka bowiem jest struktura świata, że nie Hamleci sprawują w nim władzę.

W imię jakich przeto racji opowiadać się warto po stronie Hamletów, po stronie słabych i przegrywających? Bowiem to oni właśnie — zdaje się odpowiadać na to pytanie poeta — wzbogacają świat ludzki o takie wartości jak honor, wierność, prawda. Tych wartości, jakże ulotnych i kruchych, nie sposób zredukować do żadnych politycznych programów i choć w starciu z polityką to one z reguły przegrywają, to jednak bez podejmowania stałe walki w ich obronie życie utraciłoby sens. Herbert nigdy nie mówi tego wprost — taka interpretacja jest już domysłem czytelnika. Poeta oddaje głos Fortynbrasowi — ten jest rzeczowy, posługuje się argumentacją racjonalną, jego słowom trudno odmówić perswazyjnej mocy. Dobrze go Herbert wyposażył w racje rozsądku i siły. Hamlet — martwy i zwyciężony — przeciwstawić im może tylko milczenie.

Jest to wszakże milczenie tak wymowne, jak opisane przez Dostojewskiego milczenie Chrystusa wobec monologu Wielkiego Inkwizytora; jak inne milczenie Chrystusa — jedyna odpowiedź

na pytanie Piłata o prawdę. Milczenie bywa aktem wielkiej mocy. Jeśli potrafi zmusić Fortynbrasa, polityka sięgającego po miecz i wagę, do tak obszernego wyłożenia własnych racji, to kryje w sobie taką siłę, której dać nie może ani władza, ani pieniądze — może ją dać tylko świadectwo honoru i sumienia.

Bowiem martwy Hamlet odnosi szczególnego rodzaju zwyczajstwo — zwycięża nicość.

### XIII

Monolog Fortynbrasa ma jeszcze tę cechę szczególną, że argumenty świata władzy kierowane są do słuchacza, który musi milczeć. Tylko ludziom zmuszonym do milczenia mogli rzecznicy Przodującego Ustroju wykładać swą filozofię władzy: „wiecznego czuwania / z zimnym jabłkiem w dłoni”, swą filozofię reform społecznych: „projekt kanalizacji / i dekret w sprawie prostytutek i żebraków” oraz „lepszy system więzień”; swą praktyczną receptę na pomyślny finał walki klas: „trzeba wziąć miasto za gardło i wstrząsnąć nim trochę” — tak pojmowali bowiem swoją misję w służbie Postępu i Konieczności Historycznej, w służbie Ducha Dziejów, o którym Miłosz pisał: „terror zwany Historią” („Faust warszawski”).

Zdaniem Herberta zaś:

(...)

*morderczą władzę sprawuje Zeitgeist  
to znaczy diabeł mody diabeł przemijania  
zegar epoki staje — bogowie idą na dno*

(„Izadora Duncan”)

To była jego odpowiedź na przypowieści Mikołaja, który rozumiał konieczności dziejów i monologi Fortynbrasa, który rozumiał konieczności władzy. Tak stawał wobec pytania o sens postępu. I zmuszał czytelnika do postawienia sobie pytania: czym jest ów postęp? Czy istotnie ci trzej „z gumy i żelaza” są nosicielami postępu? Czy jego znakiem było zniszczenie Rzymu przez barbarzyńców? Czy dojście Hitlera do władzy było postępowaniem w stosunku do republiki weimarskiej? Wedle jakich kryteriów mierzyć postęp i regres?

Powtórzmy: poeta nigdy nie formułował wprost tych pytań, ale są one w jego wierszach wciąż obecne.

Przeto: czy miarą postępu jest dobrobyt? I Herbert opisuje straszną, ponizającą nędzę. Może więc tak szeroko reklamowany rozwój kultury? I opisuje nicość kultury totalitarnej opartej na kłamstwie. Może tedy postęp to tyle, co nieuchronna zmiana wsparta na przemocy? Skoro tak, to istotnie inwazje barbarzyńców są „postępowe”, „postępowi” są Longobardowie ze swym dzikim okrzykiem „*nothing*”; „postępowi” są szpicle, kaci i tchórze, którzy wygrają, a także łobuzy od Historii mordujący pana od przyrody. Skoro jednak to właśnie jest ów postęp, tak czczony przez „Kierownictwo”, tak pilnie strzeżony przez „Straż — gumowe ramię Firmy”, tak zachwalany przez kroczących w rytm bębna i tak ochoczo przyozdabiany przez ornamentatorów, to dla człowieka prawego nie istnieje żaden rozsądny powód, by po jego właśnie stronie się opowiedzieć.

Owszem, jest taki powód — strach przed jego potęgą. Pisał Miłosz:

(...)

*W niebieskim świetle, w konstelacjach liści*

*Przede mną ty, sam wiesz o tym, Faust,*

*któremu nie wystarczył eliksir młodości,*

*Ty, żądający ładu i potęgi.*

*Kreślę na piasku linię, zjawiasz się*

*I zapytuję ciebie: jakie prawo*

*Masz kłamać sobie i swój własny strach*

*Nazwać imieniem ładu i potęgi?*

*Strach: aby nie spaść między tych co żyją*

*Jak żyje woda w zarostach ogrodach,*

*W ciemności ruin. Których ślepe trwanie*

*Jest wypełnieniem śmierci nim umarli.*

(...)

*Strach: aby ręce ich nas nie dosięgły*

(...)

*Strach: aby wyrok nie zapadł Historii*

(...)

(„Faust warszawski”)

Problem strachu — jak pamiętamy — także dla Herberta był nader istotny. Cena godności jest dlań ceną strachu. Jakby mówił: od strachu nie można uciec; strach można tylko wybrać. Dlatego poeta uświadamia rodzaj strachu, jaki czeka mnie po zaprzaństwie i strach stonogi przed sandałem. Alternatywą jest strach konspiratora: „zapomniana kartka w kieszeni”, „pośpiesznie związany tobół z ciepłą bielizną”. Mam wolny wybór.

Mogę przecież uniknąć strachu przed tą chwilą, kiedy przerwie sen nagłe wejście trzech wysokich z gumy i żelaza. Mogę pójść na służbę do cesarza. Co mnie tam czeka?

(...)

*nie mam zamiaru zastęgiwać się  
będę bił brawo odmierzoną porcją  
uśmiechał się na uncje marszczył brwi dyskretnie  
nie dadzą mi za to złotego łańcucha  
ten żelazny wystarczy*

(...)

*trzeba będzie na nowo ułożyć się z twarzą  
z dolną wargą by umiała powściągnąć pogardę  
z oczami aby były idealnie puste  
i z nieszczęsnym podbródkiem zającym mej twarzy  
który drży gdy wchodzi dowódca gwardii*

(...)

(„Powrót prokonsula”)

Znowu ten strach... Jakiż to wierny towarzysz cesarskiego sługi! A może jest to strach przesadny? Może przyszłość będzie spokojna?

„Postarzał się car ojczulek, postarzał. Już nawet gołąbka własnymi rękami nie mógł zadusić. Siedział na tronie złoty i zimny. Tylko broda mu rosła do podłogi i niżej.

Rządził wtedy kto inny, nie wiadomo kto. Ciekawy lud zaglądał do pałacu przez okno, ale Kriwonosow zasłonił okna szubienicami. Więc tylko wisielcy widzieli co nieco.

W końcu umarł car ojczulek na dobre. Dzwony biły, ale ciała nie wynoszono. Przyrósł car do tronu. Nogi tronowe pomieszały się z nogami carskimi. Ręka wrosła w poręcz. Nie można go było oderwać. A zakopać cara ze złotym tronem — żal” („Bajka ruska”).

Oto jaka będzie przyszłość.

Ale, naturalnie, mogę wybrać służbę u cesarza. Za sobą będę mieć łobuzów od Historii, katów, tchórzów i szpicli oraz Fortynbrasa biorącego miasto za gardło, by wstrząsnąć nim trochę. A czeka mnie strach stonogi przed sandałem — sam go wybiorę.

Zaś wybierając „nasz strach” mam za sobą Hamleta. I Hektora, Gilgamesza, Rolanda. I Juliusza Hrabiego, który — „błę-

kitny, amarantowy, a wąs złoty jego” — prowadzi żołnierzy przeciw ciżbie Moskali pod górę („Wąwóz Małachowskiego”). I groby tych, co polegli. I korzenie mej kultury: godność jej starożytnych mędrców, honor jej średniowiecznych rycerzy, mękę jej Syna Bożego Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Więc gdzie jest „postęp”?

Z wierszy Herberta wyniosłem przekonanie, że w dzieje gatunku ludzkiego nie jest wpisany żaden zewnętrzny sens; historia nie ma żadnego celu, ku któremu zmierza. W wierszach Herberta nie ma miejsca na żadną — religijną bądź świecką — eschatologię. Sens historii nadają ludzie. Mówiąc ściślej: różni ludzie nadają różne sensory. Także łobuzy od Historii, którzy swe poczynania wyposażają w sankcje Postępu i Dziejowych Konieczności. Jednak ich wizja dziejów, której zwieńczeniem jest Przodujący Ustrój, to nic innego jak sposób na okłamywanie siebie i innych.

Czym jednak są dzieje w swojej istocie? Dla Herberta historia ma kształt spirali, na której wciąż Apollo torturuje Marsjasza w myśl zasady: „sztukmistrz musi zgłębić okrucieństwo” („W drodze do Delf”). Hektor wciąż broni Troi zdobywanej przez Achajów, a Hrabia Juliusz stawia czoła ciżbie Moskali niczym Roland Saracenom. Ich los jest przesądzony: poezja Herberta przeniknięta jest katastrofizmem, przecuciem klęski. Nike, choć waha się, to przecież:

(...)  
*rozumie dobrze  
że jutro o świcie  
muszą znaleźć tego chłopca  
z otwartą piersią  
zamkniętymi oczyma  
i cierpkim obolem ojczyzny  
pod drętwym językiem*

(„Nike która się waha”)

Poeta nie ma najmniejszych wahań, by być razem z tym chłopcem. Jeśli bowiem centralnym kryterium oceny zjawisk historycznych są wartości, to ich obrona jest powinnością nadrzędną — jest procesem usensowniania dziejów. Poetę nie interesuje, czy owe wartości są deptane z pozycji „postępowych” czy „wstecznych”. Kiedy są niszczone przez możnych i rządzących, a zdradane przez słabych i podbitych, jest to dlań widomy znak, że „słońce Republiki ma się ku zachodowi”.

Nadciągają barbarzyńcy. W ich marszu odnajduje sens historii plemię katów, szpicli i tchórzy, którzy już „otworzyli bramy”. Barbarzyńcy są coraz bliżej. Ogromny chód od nich wieje, „kiedy zlatują w dolinę krzycząc swoje przeciągłe *nothing, nothing, nothing*”.

I oto — w obliczu tego krzyku — mą powinnością jest nadać historii własny sens; ten sens wyznaczy mój akt niezgody i akt oporu... To będzie moja odpowiedź.

*To będzie noc w głębokim śniegu  
który ma moc głuszenia kroków  
w głębokim cieniu co przemienia  
ciała na duże kałuże mroku  
leżymy powstrzymując oddech  
i nawet szept najlżejszej myśli*

*jeśli nas nie wyśledzą wilki  
i człowiek w szubie co kołysze  
na piersi szybkostrzelną śmierć  
poderwać trzeba się i biec  
w oklasku suchych krótkich salw  
na tamten upragniony brzeg*

*wszędzie ta sama ziemia jest  
naucza mądrość wszędzie człowiek  
białymi łzami płacze  
matki kołyszają dzieci  
księżyc wschodzi  
i biały dom buduje nam*

*to będzie noc po trudnej jawie  
ta konspiracja wyobraźni  
ma chleba smak i lekkość wódki  
lecz wybór by pozostać tu  
potwierdza każdy sen o palmach*

*przerwie sen nagle wejście trzech  
wysokich z gumy i żelaza  
sprawdzą nazwisko sprawdzą strach  
i zejść rozkażą w dół po schodach  
nic z sobą zabrać nie pozwolą  
prócz współczującej twarzy stróża*



*belleńska rzymska średniowieczna  
indyjska elżbietańska włoska  
francuska nade wszystko chyba  
trochę weimarska i wersalska  
tyle dźwigamy naszych ojczyzn  
na jednym grzbiecie jednej ziemi*

*lecz ta jedyna której strzeże  
liczba najbardziej pojedyncza  
jest tutaj gdzie cię wdepczą w grunt  
lub szpadlem który hardo dzwoni  
tęsknocie zrobią spory dół*

(„Odpowiedź”)

Bowiem:

*Rów w którym płynie mętna rzeka  
nazywam Wisłą. Ciężko wyznać:  
na taką miłość nas skazali  
taką przebodli nas ojczyzną*

(„Prolog”)

#### XIV

„Idź wyprostowany”. „Bądź odważny gdy rozum zawodzi  
bądź odważny / w ostatecznym rachunku jedynie to się liczy”.

Tak mówi do mnie poeta. I mówi: wybieraj. Mówiąc tak,  
nie naśladuje tamtych, „którzy znają tylko dwa kolory / kolor  
tak i kolor nie”, którzy powiadali: „teraz ćwiczymy dwa chóry /  
i na pustą scenę / pod oślepiające światło / rzucamy ciebie /  
z okrzykiem: wybieraj póki czas / wybieraj na co czekasz / wy-  
bieraj / I aby ci pomóc nieznacznie popychamy języczek wagi”  
(„Trzy studia na temat realizmu”).

Nie. Herbert nie popycha języczka wagi. Przeciwnie. Mówi  
do mnie: los spojrzy ci w oczy w miejscu, gdzie była twoja  
głowa. I mówi: nikt cię nie pocieszy. I jeszcze dodaje: „a na-  
grodzą cię za to tym co mają pod ręką / chłostą śmiechem zabój-  
stwem na śmietniku”.

Nie pozostawia mi żadnych złudzeń: „oni wygrają”.

(...)

*i tylko nas przeciwko którym  
ojcowie Kościoła pisaliby broszury*

contra academicos  
tylko nas spotka los straszny  
płomień i lament  
bowiem przyjąwszy chrzest ziemi  
zbyt mężni byliśmy w niepewności

(„Chrzest”)

Tak mówi do mnie Zbigniew Herbert. Pewnie mówi prawdę. Nie wiem, czy stać mnie będzie na wybór postawy wyprostowanej. Nie wiem, czy gniew mój bezsilny będzie jak morze, ilekroć usłyszę głos poniżonych i bitych. Nie wiem, czy dojrzę, kiedy światło w górach daje znak. Nie wiem, czy będę wierny i pójdę, by trafić do grona zimnych czaszek. Nie wiem...

(...)

*nie wiesz jakie twe słowo i jaki kształt może błahy  
przechowa zmarszczka kamienia — nie to co myślisz że tobą  
i nie wiesz czy krew i kości czy może rzęsę wybiorą  
w ziemi ułożą łaskawej gdzie dojrzewają posągi*

(„Ołtarz”)

Nie wiem. Jedno wszakże wiem. Dowiedziałem się tego od Zbigniewa Herberta, człowieka, który się nigdy nie ujawnił: jeśli nie sprostam wezwaniu, nie wolno mi będzie tłumaczyć sobie i innym, że wybrałem Rozsądek i Realizm, że uwierzyłem w Postęp, że zaufałem Koniecznościom Dziejowym.

Bo to są fikcje. Prawdą jest tylko „anioł z ognistym mieczem, pajak, sumienie”; „krew skandująca ciemne tautologię” i „najgorsza ze wszystkich — twarz zdrady”.

Prawdą jest mój strach i „ciemne burzliwe niebo / z jasną pręgą na horyzoncie”.

Pisałem w więzieniu mokotowskim  
listopad 1983 - kwiecień 1984

## NA ZAKOŃCZENIE

Podstawowe przytoczenia pochodzą z następujących książek:

- 1) Henryk Elzenberg — *Kłopot z istnieniem*; Kraków 1963
- 2) Witold Kula — *Rozważania o historii*; Warszawa 1958
- 3) Czesław Miłosz — *Poezje*; Warszawa 1981
- 4) Hanna Malewska — *O odpowiedzialności*; Kraków 1981
- 5) Hanna Malewska — *Przemija postać świata*; Warszawa 1975
- 6) Zbigniew Herbert — *Wybór poezji. Dramaty*; Warszawa 1973
- 7) Zbigniew Herbert — *Pan Cogito*; Warszawa 1974
- 8) Jan Józef Szczepański — *Opowiadania dawne i dawniejsze*; Kraków 1973.

Kartezjusz cytowany jest według: Bolesław Miciński — *Pisma*; Kraków 1970.

Pozostałe cytaty pochodzą z gazet lub książek dostępnych w bibliotece więziennej. Niektóre wiersze cytowałem z pamięci. W razie zauważonych pomyłek — proszę o wyrozumiałość.

Intencją moją było przypomnienie pewnych myśli i wartości, które wydają mi się szczególnie cenne w naszym trudnym czasie. Jeśli zamysł okazał się chybiony, proszę winić za to mnie, „antologię”, a nie cytowanych autorów.

Pozostaje mi jeszcze miły obowiązek podziękowania tym wszystkim, którzy — choćby pośrednio i mimowolnie — nakłanili mnie do pracy.

Nazwisk przyjaciół nie będę w tym miejscu wymieniał.

W związku z tym moje podziękowanie przyjąć zechcą:

1) Wojciech Jaruzelski — za to, że ofiarował mi tyle wolnego czasu. Dedykuję mu:

*Absurd można wytrzymać, jeżeli jest w miarę  
Tam jednak był nie jeden i nawet nie parę,  
I przyznam się, że nie mam jakoś teraz chęci  
Tamte senne obrazy wywlekać z pamięci.  
Ktokolwiek miał tam trochę wrażliwsze anteny  
Chwytał fale, którymi, chcąc nie chcąc, żyjemy  
I widział całkiem jasno, że rządzą fantaści  
Co robią głupie miny na brzegu przepaści.  
Jakaś obywatelska rosta z tego groza,  
Coś jak skrzyp napiętego zanadto powroza  
I niejeden pomyślał słyszając głuche zgrzyty:  
W złej zatoce jest okręt Rzeczypospolitej.*

2) Czesław Kiszcak — za to, że propozycją świąt na Lazurowym Wybrzeżu dodał mi energii. Dedykuję mu opinię o jego profesji:

*Poznałem także plemię Jahu  
Co wielbi własne ekskrementy,  
Żyjący w niewolniczym strachu  
Donosicielski ród wykłęty.*

3) Mieczysław F. Rakowski — za to, że obrzucał mnie obelgami, ilekroć siedziałem w więzieniu, czym uchronił od wielu złudzeń. Dedykuję mu:

*Czemuż bym, matko, miał nie wierzyć w Piekło  
Jeżeli uścisk wymieniałem dłoni  
Z tymi, co w swoich nie patrzących oczach  
Noszą niepokój i fałsz potępieńców?  
O psy przekłete, oprawcy człowieka,  
Zapytujący ze śmiechem: cóż człowiek?  
Albo wrzeszczący: człowiek, człowiekowi,  
Z nogą opartą bliźniemu na gardle.  
O nieszczęśliwi, co nie znają nawet  
Chwili bojaźni pod obszarem nieba  
I nie przyznają się nigdy przed sobą  
Do wiedzy, którą mogą mieć o sobie.*

4) Jerzy Urban — za to, że swymi publikacjami unaoczniał nam, do jakiego paskudztwa może dojść inteligentny nawet człowiek. Dedykuję mu:

*Unikaj tych, co w swoim gronie  
Pograwszy w polityczne konie,*

*Gdy na kominku ogień trzaska,  
Wołają: lud, a szepczą miazga,  
Wołają: naród, szepczą: gie.  
Myślę, że robią bardzo źle,  
Bo upajają się pozorem  
Sami są tylko meteorem  
I lata ich czekają długie,  
Gdy ich obracać będą pługiem,  
I dużo wody minie w Wiśle,  
Nim o nich znowu ktoś gdzieś piśnie.*

5) Płk Władysław Monarcha, szef Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego — za to, że uniemożliwił mi pracę nad dysertacją doktorską, co dało mi sporo wolnego czasu na rozmyślania. Dedykuję mu:

*Ogrody skaczące w dół, na dno wąwozów,  
Narodowe tańce popielatych wiewiórek,  
Białe laboratoria skrzydlatych niemowląt  
Wyrastających zawsze w zmienionej epoce,  
Blask, sok, róż dni,  
Wszystko to  
Wydąło mi się początkiem słońca płowych równin,  
Gdzie na stacjach, przy kulawym stole,  
Siedzą nad pustą szklanką, z twarzą w dłoniach,  
Smutni maszyniści więziennych pociągów.*

6) Mjr Andrzej Nowacki, b. naczelnik tego więzienia — za to, że pozbawił mnie książek naukowych i tym dostarczył bodźca do pracy. Dedykuję mu:

*Mnie to wyszło na korzyść, ale zemsta słodka.  
Kto mi wejdzie w paradę, tego przykrość spotka.  
I tutaj, ostrużynę wesolego hebla,  
Wkładam pomiędzy wiersze nazwisko feldfebla.  
Bo słuszne co nam Breza (ten autor) powtarza:  
Dłużej pisarza — mówi — niżli dygnitarza.*

7) Płk Tadeusz Temberski z MSW — za to, że kazał mnie tak starannie kipiszować, iż stałem się ostrożny. Oto jak go rozpoznałem:

*Jak ich rozpoznać? Wykrój powiek  
Mają nie ten, co zwykły człowiek,*

*I w oczach mętny błysk owadzi —  
Ten ich najczęściej nagle zdradzi.*

8) Por. Wojciech Wojtulewicz, któremu przyrzekłem, że nie będzie zapomniany. Ponieważ jest poczciwym fajtlapą, to kiepsko mu szło nadzorowanie mnie, a ponieważ jest ambitnym niedorajdą, dedykuję mu przestrozę:

*Strzeż się wariatów. Ci są mili,  
Póki w zakładach ich więzili,  
Albo trzymali w zwykłej stajni.  
Są dziś wariaci mi a r o d a j n i.  
I każdy macha swą pałeczką  
I patrzy z góry, moje dziecko.  
Zaiste, wariat na swobodzie  
Największą klęską jest w przyrodzie.*

Tyle podziękowań szczegółowych. Te cytaty pochodzą z wierszy Miłosza. Ogólnie rzecz biorąc, ta książka jest moim podarunkiem, ofiarowanym w czterdziestą rocznicę ogłoszenia Manifestu PKWN, wszystkim łobuzom od Historii, wszystkim szpiclom, katom i tchórzom, którzy rządzą Polską Rzeczpospolitą Ludową. Dedykuję im ustęp z Tuwima:

*I wy, o których zapomniałem  
lub pominąłem was przez litość  
albo że taka was obfitość,  
i ty cenzorze, co za wiersz ten  
zapewne skażesz mnie na ciupę  
iżem się stał świntuchów hersztem,  
całujcie mnie wszyscy w dupę!*

## SPIS RZECZY

<i>Zamiast wstępu</i> .....	7
<i>Lukrecjusz i gusta</i> .....	25
<i>Wiara i odmowa</i> .....	65
<i>Filozofia na czas gładowładztwa</i> .....	99
<i>Szlak Conrada</i> .....	139
<i>Potęga smaku</i> .....	199
<i>Na zakończenie</i> .....	281





**A C H E V E D ' I M P R I M E R  
L E 2 8 F E V R I E R 1 9 8 5  
S U R L E S P R E S S E S D E  
L ' I M P R I M E R I E R I C H A R D  
2 4 , R U E S T E P H E N S O N ,  
P A R I S ( X V I I I <sup>e</sup> ).**

**Dépôt légal : 1<sup>er</sup> trim. 1985.**

**N° d'imprimeur 6785.**



dan Gt. Unyden Ceb,  
Wwa

2402/87